

# Wołodźko Walery

## SZERMIERZ PRZEZNACZENIA

Spokój z ciszą panowały na niebie i na ziemi. Księżycowa noc wiosenna jaśniała nad Wilnem. Na Niemieckiej ulicy w otwartym oknie drugiego piętra stał młodzieniec, zatapiając wzrok w przestrzeni, jakby wyszukiwał czegoś dobrze znanego, obecnie zapomnianego. Strzeła błękitnym okiem pełnym życia po bezbrzeżnych toniach niebieskich, usianych bladymi gwiazdkami, przygasał! od silniejszego światła. Spuszczał go na dół i wodził po ciasnych uliczkach, mrugających drobnymi płomykami latarek. Na szerokim czole, okolonem bujnym zarostem falistym, biegały myśli, a na drgających ustach latało uczucie ironji, ożywione mocnym postanowieniem. Wsparty na dwóch szerokich pięściach o krawędź okienną, był upostaciowaniem męskiego piękna i siły, lwem i orłem, rycerzem i archaniołem, wcielonym w stalowe ciało ludzkie.

Podniósł oczy do góry, w niebo, i utkwilił go nieruchomie w Alcyonie, gwiazdzie należącej do konstellacji Plejad. Ma być ona tą, na około której krąży widomy wszechświat planety. Przebiegał wzrokiem ducha od zenitu do nadiru. płyski gniewu przelatywały po zmarszczonym czole jak wężyki piorunowe.

Na kanapie, za stołem z płonącą lampą, siedział ksiądz młody, śledzący bacznie poruszeń stojącego w oknie.

— Miłością bezgraniczną zwalczymy złe a nie surowością, mój Świętosławie — rzekł kapłan.

I twarz mówiącego jakby oświetlona we wnętrzu lampą matową, blada, sucha, z ustami nieco rozwartymi, naznaczona świątobliwym spokojem, zwróciła się do stojącego w oknie młodziana.

— Mam!... przypomniałem — zawołał ostatni — słuchaj, ks. Wojciechu, co twe własne księgi święte powiadają: „Przeklęty, kto hamuje miecz swój ode krwi!” Wasz prawodawca zaś dodał: „Nie mniemajcie, że przyszedłem dawać pokój na ziemię, nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz”. Chcesz że jeszcze więcej słyszeć? Patrz, co powiada psalmista:

„Krwia płynąca będzie piła wodę potokową, Przekleństwo nieba dosięże wysokiego głową.”

Gdzież tu miłość bezgraniczna? Mniemam przytem, że w ducha a nie w literę zakonu wierzysz, — w walkę dobrego ze złem?

Głuchy śmiech przytłumiony wyrwał się

z ust trzeciego spółbiesiadnika, średnich lat, przysadkowatego, o śniadej twarzy pobrużdżonej w różnych kierunkach, z odstającymi uszami. Jak zajadliwy dym cygara, które trzymał w szerokich od ucha do ucha ustach, ironją i sarkazm przelatywały po jego płaskim obliczu, niby od topora wyciosanem.

— Doskonale, panie Świętosławie — podchwycił — powiedziałaś prawdę głęboką: mo

ralność naszej religii uswięca dogmat naukowy walki o byt...

— Błędne tłumaczenie — przerwał ks.

Wojciech z przyciskiem — walkę z namiętnościami, walkę z ciałem, z samym sobą a nie z bliźnim, uznaje moralność chrześcijańska; na tem polega wzniosła nauka krzyża..

— Nie trafiacie bynajmniej do mego przekonania, i ty ks. Wojciechu i pan Ksawery — odcinał się Świętosław łagodnie — Istota najwyższa, podług mnie, nie stworzyła ducha ludzkiego ani do maceracji ascetycznych, ani do ubijania się o żer i samice... nieskończenie tragiczniejszym jest jego przeznaczenie...

— Zdanie twe trąci pogaństwem — odpowiedział ks. Wojciech — już się domyślam, z dualizmu, ze sprzeczności dwóch pierwiastków, duch twój powstaje; przeznaczenie nim kieruje, a za sługa cała polega na czynie ofiarnym. Wiele miałbym jako kapłan do mówienia przeciw temu, ale... Dajmy zresztą pokój filozofji, przejdźmy do życia. Masz złote serce, a chcesz je koniecznie przerobić na kamienne. Nietylko jako wyznawca miłosierdzia nieograniczonego, ale więcej jako przyjaciel od dzieciństwa błagam cię,— przebacz mu! nie domagaj się tej jakiejś nieludzkiej satysfakcji honorowej.

Zgnieć go, usuń, ale po co tej parady honorowej? — wtrącił p. Ksawery — zatrymfujesz również, gdy to uczynisz po cichu, a co ważniejsza, zyszczesz na opinii ludzi poważnych, rozsądnych.

Świętosław spojrzął na gwiazdę, potarł

czoło i machnął ręką.

— Nie. Co ma być, niech będzie — rzekł — nigdy się nie cofam w podobnego rodzaju sprawach. Żadna osobistość mną tu nie powoduje\* głos wewnętrzny nakazuje skarcić oszczercę.

— Kierujesz się pan, chociaż bezwiednie, zasadą walki o byt — ciągnął pan Ksawery — słowem, odpychasz tę zasadę, ale w czynie je steś za nią.

Pogodna dotąd twarz Świętosława nasroż yła się jak u lwa, czoło w tył pochylone poorwały zmarszczki, a oczy błękitne ciskały błyskawice wzgardy i gniewu.

— Słuchaj p. Hadziewicz! — fuknął w stronę p. Ksawerego — gdyby wasza potworna zasada walki o byt zapanowała w ludzkości, nie mielibyśmy pocziwych ludzi; cnota, przeciwnie, zostałaby zbrodnią, a źli świeciliby nam przykładem jako mistrze nieprzebierania w środkach. Życie nie miałyby celu dla mnie — chcesz więc, żebym się przyznał dobrowolnie do mej nicości?! Wiedz, że jeżeli nie przebaczam hrabiemu, to jedynie dlatego, iż nie jestem wyznawcą twego hasła potwornego!

W miarę mówienia, głos Świętosława stawał się coraz dźwięczniejszym. Ironiczne wykrzywienie twarzy znikło u Hadziewicza, a za stąpiła je bladość żółta; tylko drganie kątów ust dawało poznać, że został głęboko dotknięty w swej dumie.

— Wolno naukowe prawdy przyjmować lub nie — rzekł pokornie — rozważa tu sędzią je

dynym, nie namiętność... Umiarkowanie jest twórcą postępu, a fanatyzm był i będzie najstraszniejszym biczem ludzkości, pobudzającym namiętność i zaślepienie...

— Namiętności złego — zbrodnie rodzą, lecz u dobrego — cnoty najwyższe, bohaterstwo. Duch wyższy, z zasady miłosierny, ściągając złość i obłudę, musi zażywać tej trucizny jako przeciwtrucizny, aby zwyciężyć złe własną jego bronią. Nie wyrodzi się ona nigdy w fanatyzm u prawdziwie dobrego! — Ziemia byłaby dotąd widownią walki o byt, siedliskiem małpoludów, ichtjozaurów, pterodaktyłów, potworów pożerających jedne drugie, ścierwem swem użyźniających glebę pod nieprzebyte puszcze, gdyby nie bohaterstwo ofiarne; — ono to poskramia przemoc złego i zaprowadza równość sprawiedliwego! — Z walki o byt powstaje fanatyzm, ale nigdy z bohaterstwa, rdze

nia którego jest honor i prawda. — Prawda wzniosła, szlachetna, nie ma przed sobą celów materialnych, i namiętność dla niej nie straszna..

— Rzecz mistycznie pojęta. Stosowniejszą jest tu metoda pozytywna, oparta na faktach, nie znosząca ani hipotez, ani abstrakcji. Ścisła i umiętna logika faktów jedną prawdę odkrywa.

— Co za prawdę?

— Rzeczywistą, realną...

— Co ma zgładzić idealną?!... niewygodną dla tych, co czerpią wszelkie natchnienie z korytka utilitaryzmu, przy obłudnym wrzasku —

naprzód! a prawdziwem cofaniu się wstecz, aby wrócić do czworororękiej i czworonogiej swobody, dającej monopol przemocy i siostrze jej szarla tanerji ?...

— Prawd idealnych nie ma, jak nie istnieje idealny człowiek, wytwór fantazji poetycznej.

— Znajdziesz jedne i drugie w religii — wtrącił ks. Wojciech.

— Gdyby ich nie było, zniknęłoby pojęcie dobrego i złego, a z niem razem cały świat żyjący — dodał Świętosław; — nie jest w stanie ich dopatrzeć, kto się na życie zapatruje ze stanowiska przyjemności i nieprzyjemności, za pomijając o obowiązku; dla takiego niedostępny będzie i ideał człowieka L.

— Bo ten nie istnieje — przeczył Ksawery.

— Istnieje, każdy wiek ma go, tylko za stosowanym do swej miary. Duch nie jest panem absolutnym materji, ztąd różnice w ujęciu zewnętrznem ideału; wolny dopiero występuje w całym blasku doskonałości, za którą tak tęsknimy...

— Napróżno... Altruizm, pociąg miłosny do utrwalenia rodzajów i gatunków, jest kluczem do wszelkich zagadek psychologicznych, niby moralnych; owóż gdy się oprze na rozumnym egoizmie, macie i ideał L. Egoizmem poskramia się ludzkość, i dąży do doskonałości...

— Trzodowej... ale nie tej, co rozpościera swe panowanie we wszechświecie, nie znając ani czasu, ani przestrzeni.

— Kochaj bliźniego twego jako siebie sa

mego — szepnął ks. Wojciech — człowiek miłosierny, prosty, czysty, — oto ideał chrześcijański !...

— Bardzo dobrze — odparł Ksawery — prawda ta pierwotna zaprowadzi na drogę do boru przyrodniczego, który z popędów altruistycznych wrazi potrzebę miłosierdzia. Dostyc filozofji, zaprowadziła nas wszystkich do potrzeby miłosierdzia. — Panie Świętosławie! nakłońże i ty ucha do zgody. Czy zmieniasz postanowienie ?

— Nie! — i brwi Świętosława zsunęły się groźnie. — Obraził nie mnie, lecz słabą istotę, i to z pobudek osobistych, podłych.

— Kto w ideał wierzy, nie powinien być tak zawziętym — wtrącił ks. Wojciech — nie poznaję ciebie, Świętosławie. Mieję litość nad nim i nad sobą!

— Nie wolno mi jej mieć ani nad nim, ani nad sobą — i Świętosław zwróciwszy się do Ksawerego, dodał — jutro oczekuję świadków. Na Ksawerego Hadziewicza ostatnie słowa zrobiły wrażenie przytłaczające; dopiero na schodach, na wychodnem z mieszkania, odzyskał zdolność poruszania zdrętwiałym językiem. Ks. Wojciech, postępujący obok, był smutny jakby chciał zapłakać nad uporem Świętosława Chrobrego, kolegi szkolnego, budzącego powszechnie podziw stałością charakteru i wygórowanem pojęciem obowiązku, okraszzonego szlachetnością rycerską. — Byli na dole ; podczas otwierania drzwi na ulicę, przez zaspanego stróża, szepnął Ksawery do księdza:

— A co księżę dobrodzieju, czyjeż to szkodziłszy doktryny? — nasze pozytywne, czyich idealne ? che ! che L,

— Złote serce, złote serce, panie łaskawy, szalona niem tylko gorączka miota, bo religji nie ma. Pomimo to, widzę znamię palca bożego na jego czole; na miljon ludzi, może się jeden taki uda...

— Znamię boskie ?!.... i to słyszę z ust katechizatorów? — Więc heretyk, urągający nauce Chrystusa, przeczący posłannictwu krzyża, krwiożerczy bałwochwalca honoru, ma być wybrany?! cha! cha! cha! Nauczycielu bezwzględnie

dnej pokory i miłosierdzia! widzę, żeś i ty, podobnie nam, w gruncie wyznawcą hasła pogani na Demokryta: „walka jest matką wszechrzeczy”, tak genialnie przerobionego obecnie przez Darwina na — walkę o byt. Wybornie, prawo wierność, poprawiasz mazdeizmem, eklektyzmem unitarjańskim, teozoficznym. Gdyby to słyszał nasz administrator, mielibyście małą desputę teologiczną?! Ks. Żyliński jest moi przyjacielem. Od początku mowy dreszcze przejmowały ks. Wojciecha, aż wzdrygnął się na ostatku. Przywiązanie do przyjaciela staczało w nim walkę z obowiązkiem kapłana, i powiedzmy prawdę, ze strachem odpowiedzialności przed łotrami jak Żyliński i Niemeksza, co rządzą kościołem. Ostatnie uczucie przewyciężyło, i jak niegdyś Piotr apostoł, zanim kogut trzykrotnie zapiał, opuścił przyjaciela...  
— Serca posłuchałem, panie łaskawy —  
słabi, ułomni, niegodni doskonałości nad dosko

nałością jesteśmy. Ależ bądźcie i wy dla niego wyrozumiałym... Wszak musicie wiedzieć, że Bronisława jest jakby siostrą Świętosława, czyż wypadało hrabiemu, chociażby rozgoryczonemu rekuzą, nazywać ją — pięknoscią, polującą na bogatego męża, i to w publicznym miejscu? Ale teraz żałuję mej pobłażliwości, bo widzę, że jest krwi chciwym...

Gdyby kto mógł widzieć twarz Ksawerego, wyczytałby na niej obecnie snadno owe głoski straszne „księcia tej ziemi”, połyskujące na czołach saducejskich, na czcicielach Baala i Molocha, owych piśmiennikach ewangelicznych, rozsiewających kąkol wśród pszenicy, lub ziarno na niepłodną opokę, albo wśród cierni. Był on niby archeologiem, literatem, ale nigdy nie opublikował ważniejszego, chyba króciutkie kronikarskie wiadomości, podpisane jednak całym imieniem i nazwiskiem. Proszony czy nie proszony odwiedzał każde liczniejsze zgromadzenie bądź w mieście, bądź na prowincji, przy czym propagował powszechne pojednanie i przebaczenie.

— Mam nadzieję — rzekł na rozstaniu na ulicy — że ksiądz dobrodziej nie będzie bronił teraz swego faworyta przed „sowiećnikiem”?

— Nie mogę, panie łaskawy, jako kapłan... i obłany rumieńcem wstydu, uściskałszy podaną sobie dłoń, ks. Wojciech pobrnął w swoją stronę.

Podczas gdy się ta rozmowa toczyła na

ulicy, ten, kogo ona dotyczyła, chodził po po  
koju dużymi krokami z założonymi rękami na

piersiach. Skowyt psa przerwał jego myśli, rzu  
cił wzrokiem na swą gwiazdkę. Podszedł do o  
kna, stanął, wzrok zatopił w niebiosach, przy  
cisnął rękę do serca, i westchnąwszy cicho sze  
pnął :

— Coż ja winien ?!

Odwrócił się do stołu, usiadł, wziął duży  
arkusz papieru i zaczął na nim pisać szybko.  
Początkowe słowa: „Gdyby mię nagły, niespo  
dziany zgon spotkał” itd., były aż nadto wy  
mowne, żeby powątpiewać, do czego się go  
tował ten kwitnący młodością i wdziękiem czło  
wiek. Pisał z całym spokojem; obojętną dla nie  
go była wyszczerzona z ciemnej przyszłości  
śmierć, w otoczeniu zgnilizny cuchnącej, roba  
ctwa plugawego rojów, próchna kości bieleją  
cych... Głos honoru i obowiązku pokrywał te  
wszystkie szkarady, przedstawiając jako stra  
szydła dziecinne, używane podczas prób massoń  
skich.

Druga biła na miejskim zegarze ; skończył  
pracę, wstał i podszedłszy do okna, raz jeszcze  
spojrzał na swoją gwiazdę. Rzewnie się uśmie  
chał jak dziecko za każdym jej mrugnięciem,  
niby niemowlę czule zasypiające na łonie mat  
ki. Rozmarzony osunął się na końską skórę,  
służącą za całe poślanie, i z twarzą zwróconą  
do nieba, powoli zaczął usypiać.

Na czole wyniosłem zasypiającego osiadł ów  
spokój głęboki, który Stwórca spuścił dnia pier  
wszego stworzenia na głowy żyjących. Spadł z  
niego ciężar, dźwigany w czyścicu piewcy Bo  
skiej Komedji przez dumnych, i więzy cielesne

jak pęta sokoła, siedzącego na ramieniu rycer  
skiem, opadały z duszy wyzwolonej. Świat ma  
rzeń sennyh stawał przed nim otworem. Język  
symboliczny błyskawicą tworzył znaki i obrazy,  
obejmujące największą zagadkę bytu i prze  
znaczenia.

Wieki wieków przesuwały się po nad gło

wą uśpionego.

Na niezgłębionych, bezbrzeżnych światłości toniach, dreszczem świętym ścinających woję na samo spojrzenie, ujrzał dwie szale, niby słońce na dwoje rozpadłe. Musiał wyteńczyć całą odwagę, całą przytomność, potęgę umysłu, by mózż chwilową równowagę utrzymać. Walka ta nie długo trwała. Miłość rzewna jak wietrzyk wiosenny, topiący śniegi, przewiał jego istotę; podobny do niemowlęcia, rwącego się do łona macierzyńskiego, pomknął do jednej z szal, strzelającej z po za krawędzi płomieniami rubinowymi z wijącymi się wśród nich brylantowymi językami. W tym oceanie światłości nakształt bukietów i równianek bujały lica anielskie, jak by to był rój pszczelny, gotowy do odlotu. Za nim zdołał pomyśleć, uczuł dwoje skrzydeł potężnych, wyrastających na barkach, na głowie hełm, i na piersiach pancierz brylantowy. Z chęcią myśli przebył przestrzeń bezbrzeżną, i stanął na krawędzi szali z aniołami.

Szale były w wiecznym ruchu. Ta, co była z aniołami, poszła w górę. Odkryło się wnętrze drugiej, pełne gwiazd, słońc, księżyców, opasanych olbrzymim pasem zodiacalnym. Była to

niby skarbnica pełna klejnotów, olśniewających zmysły urokiem nieprzewyciężonym.

Raz i drugi przemknęły koło siebie szale; wieki wieków miały, a nie mogły się z sobą zetknąć.

I zapłakały chóry anielskie, wyciągając dłonie do szali zodiacalnej; zapragnęły miłością ożywić nieruchomą świetność planetarną.

Płacz ten, a raczej śpiew rytmiczny, był tak potężny, tak rzewny, że się szale w swym wiekuistym ruchu na błyskawiczną chwilę wstrzymały, jakby zdjęte zdumieniem. Skorzystała z tego część aniołów, wyciągnęła różowe dłonie i rozwinąwszy skrzydła, zerwała się do lotu, jak stado gołębi, poprzedzających wóz bogini miłości. W ślad za nimi leciały roty archanielskie, w miecze, hełmy i puklerze brylantowe zbrojne.

Świętosław znalazł się wśród tych ostatnich, z mieczem i puklerzem brylantowym w dłoni.

Powiew miłości, kochania i pragnienia dreszczem ognistym przeciągnął po wirach i głębiach, wśród gwiazd, słońc, planet, księżyców. Martwa przyroda zadrżała w swych wnętrznościach. Bierność nieskończona uczuła trwogę w



zetknięciu z wolnością nieograniczoną. Szala zo-  
djakalna miała jedną tylko duszę, ta za wszyst-  
kie ciała czuła i myślała.

— Dzieci wolności nieograniczonej, czego  
szukacie w mym świecie bierności nieskończo-  
nej? — pytała dusza zodjakalna.

— Wzorów stałości, mądrości niewzruszo

nej, rozkoszy spokojnych — odpowiedział anioł  
na czele zastępów miłosnych — pragniemy to  
połączyć, co się przed czasami rozdziwiło.

— Próżne są wasze zabiegi, co się raz sta-  
ło, odstać się nie może. Mądrość u mnie zastą-  
piła Miłość, i dobrze mi jest.

Z szali rubinowej wyleciało ciche westchnie-  
nie, przepojone miłością, co skały jak wosk  
miękczy, dreszczem świętym martwość ożywia,  
złość w dobroć zamienia, ze sprzeczności je-  
dność tworzy.

— Miłość wam, dzieci moje, Mądrość zastę-  
puje. Co w Osobach jest, musi pozostać takim  
na wieki.

— O! Miłości najwyższa, o! Mądrości  
wszechmogąca — jęknęły chóry anielskie —  
dozwólcie nam ożywić, napoić miłością te śli-  
czne głazy, brylanty, szafiry, rubiny, te cudne  
etery, te grające barwami tęcze. Pozwólcie na  
małżeństwo ducha z materiałem

— Podług zamiaru osądzę was — odrzekł  
głos z szali rubinowej — trudno miłości nie  
przekraczać granic zakazanych. Ciężką próbę  
dzieci wolności rozpoczynacie. Znikomości za  
wody was oczekują...

I przestrzenie wzruszyły się w posadach;  
jęk cichy przemknął od krańca do krańca  
wszechświata.

Niektórzy z aniołów, posłuszni przestrodze,  
wstecz się cofnęli do szali rubinowej; ale mnó-  
stwo, choć trwogą śmiertelną zdjęte, rozpuściło  
skrzydła do lotu, wołając — Hosanna! — Spa-  
dli na górę z obłoków i powietrza, u spodu

czne na ziemię. Słabsi nie usłuchali głosu z  
szali i uczepili się splotu węzowego. Aniołowie

Lucyper, Ahriman, Sziwa, In, Plutus, Poklus,  
Nijoła, Prozerpina, zawładnęli trójgłowiec po  
twornem; roje innych nieprzeliczone obsiadły  
resztę trójcielska czarnego, drgającego lubie  
źnie. p W\*

Wichry ziemskie radośnie gwiznęły, ryknę  
ły klaszcząc bałwany morskie, kora ziemską  
tanecznymi podskoki odpowiedziała i wybuchnę  
ła siedmiokrotnym słupem ognia siarczystego.  
Do jej wiekuiestej niewoli, przybywali dobrowol  
ni niewolnicy, dla jej zabawy...

Wśród zamętu żywiołów, w rozkosznem po  
częciu, przeleciał jęk boleści.

— Złękliście się materji, ulegliście prze  
mocy dobrowolnie — biada wam!

Zastęp archanielski nie poszedł w te ślady.  
Pomimo znużenia i okropnych boleści, nie pod  
dawał się trwodze. Posłuszny rozkazowi swego  
Pana, runął od razu na jeżącą się okropnością  
ziemię nagą jak ów odważny nowicjusz wolno  
mularski, skaczący na gwoździe malowane. Mie  
czami sobie świecili wśród ciemności. Ale bole  
ści od spadnięcia nie doznali, bo z ziemi pod  
niosły się przyjmując na siebie grzbiety: sło  
nia Wedów dźwigającego ziemię, wołu Belama  
ryby Lewjatana, koguta Hufraszmodada, bijące  
go wesoło skrzydły złotemi, orła Asztregada,  
bujającego na początku czterech dróg światło  
białych, rozpostartego nad całym światem zo  
djakałnym, mającego złote nogi, a karmionego  
z czaszy rubinowej. — Okrzyk pierwszego try

umfu obcego żywiołu błyskawicą obleciał ziemię,  
— pierwszy hymn zwycięstwa rycerzy wolno  
ści, mężnych, nieustraszonych, usłyszała bierność  
zdumiona, i otworzyła łono dla odważnej miłości.  
Trójwąż na skinienie siły nad siłami padł  
jak nieżywy na ziemię, a z olbrzymich splotów  
kadłubów czarnych stanęła nad całą kulą ziem  
ską niby tarcza, brama: ze spiżu, żelaza i dja  
mentów, czeluść piekielną „Raju utraconego”  
zamykająca. Przed tą bramą złowieszczą się  
działa niewiasta z podpasem węzowym, brze  
mienna cerberami wyjącem. Grzech obmierzły,  
z brył ziemskich krwią zlutowanych, z koroną  
na czole, Trwoga podlęca, a przed niemi Noc  
straszna, Chaos i Przypadek mgłą smrodliwą i  
mroźną zasłaniały widok wszelki. Lucyper i re  
szta aniołów, co się po splotach trójwęża spu  
ścili, zamiast jak w pieśni uderzyć kopjami na  
zaporę i jej strażników ohydnych — upadli na  
twarz, i poczołgali się na czworaku pod wrze

ciężkie przekłete: czarne błoto i mgła ciemna  
zaćmiły jasność pierwotną ich powłoki ducho  
wej. Jęk nowy uderzył w niebiosy, a chychot  
wzburzonych żywiołów mu na to odpowiedział.  
Zaledwo ostatni z poczerńiałych zniknął,  
wódz archanielski uderzył głownią miecza w  
puklerz brylantowy, chóry zbrojne na to odpo  
wiedziały — hosanna! — i runęły na niewia  
stę z podpasem węzowym i bałwana z koroną.  
Świętosława miecz z rozkoszą grzęznął w  
sprośnem cielsku Trwogi, inni uderzyli na nie  
wiasnę z podpasem węzowym, a nie czekając  
dłużej, pierzchnęła i reszta potworów. Pukle

rzami uderzyli na wrzeczadze, i runęła zaporą  
ze spiżu, żelaza i brylantów.  
Po zwaleniu bramy, Świętosław, znalazł się  
wśród dziewiczej zieleni lasów, przy wodospa  
dzie wód kryształowych, na miękkim i won  
nem kwieciu rajskim. Ciało młodzieńcze jak  
stal hartowne przylgło do jego ducha mężne  
go. Pod jego ciosami padały potwory ziemskie  
walały się świątynie grzechu i fałszu. Zabobon  
i przemoc wysilały się na jego zabicie, ale on,  
nieśmiertelny, ciągle zmar twych wsta wał jak  
ziris, coraz młodszym, coraz świetniejszym, co  
raz silniejszym, — i rozpoczynał bój ze swymi,  
przeciwnikami, nigdy jednak za siebie, lecz za  
tych, dla których przyszedł na ten świat. Ani  
miecz, ani stos, ani głód, ani trud pokonać go  
nie mogły. Szyderstwo wystąpiło do zapasów —  
na arenie teatralnej stanęły rotty nikkzemników,  
i przedrzeźniając jego hasło, zawołały : Ave  
caesar, morituri te salutant ! ale i tych na verso  
pollice \*) rozkaz przesyconych saturnaljami, wy  
wleczono przebitych hakiem do spoliarium dzie  
jowego. Zniknęli bezpowrotnie; szyderstwo nie  
zmordowane wywlekło natomiast „Rycerza smu  
tnej postaci", i zgrzyt piór przepędził poezję  
„Okrągłego stołu", powiewną strusiem i piórami,  
najeżoną grotami kopij i gotyckimi wieżami, z  
unoszącym się nad niemi krzyżem: przemoc z  
obłudą zabobonna pierzchnęła wobec prawdy...  
Nowy zastęp sług „księcia tej ziemi" Lucypera,  
sofiścisibaryci, wyznawcy Cielca złotego, sta  
\*) "Wrażenie dla dobicia pokonanego gładjatora.

nęli naprzeciwko szermierzy prawdy bożej, osła  
niających rydwan postępu; na ich tarczach  
łyskało hasło : „Walka o byt.”

Pół węża pół tygrysa z ludzką głową rzu  
ciło się na bwiętosława. Ciął strasznie po szyi  
potwora, odskoczyła głowa, i padając, łysnąw  
szy, pękła z hukiem jak granat...

Drgnął, zbudził się, otworzył oczy. Luna  
pożaru biła w okno, a wrzawa głosów ludzkich  
dolatywała z dołu jak morze wzburzone.

— Pali się! gore!

Jednym susem stanął w oknie. Ujrzał nie  
opodał dom objęty płomieniami, z czerwonożółte  
mi językami liżącemi ściany, wśród kłębow dy  
mu buchającego z okien. Krzyk trwogi śmier  
telnej rozdarł powietrze i doleciał do jego u  
szu. Drgnął i podskoczył.

W kilku sekundach był już na ulicy. Wszy  
stko opuścił na los szczęścia, zostawił dobytek  
własny i pędził na ratunek. Zapał niezwykle  
ożywiał jego męzką postać, jak „szparko bieżą  
cego” Miecznika Malczewskiego, na odsiecz zie  
ciowi zagrożonemu podążającego.

II.

W uliczkach tak ciasnych jak wileńskie,  
w pobliżu pożaru, położenie było nieznośne...  
Szczególnie przykre wrażenie robiły małoduszne  
wrzaski żydów, odbierające odwagę nie tylko  
pogorzelcom, lecz i strażakom; przy nich pie  
kielny obraz pożaru podwójnie groźnie wyglą  
dał. Trwoga małodusznych zrobiła widok de

monicznie wstrętniejszym, więcej przerażającym  
od pobojowiska usianego trupami męźnych, ry  
czącego grzmotem dział, ziejącego śmiercią o  
krutną. — Ciekawie wygląda naiwne samolub  
stwo mas, rozdzierających niebiosa swemi skar  
gami, za straty marnego dobytku i mienia, w o  
bec zdumiewającej obojętności na widok swych  
obrońców, konających na polach bitew z wy  
dartemi jelitami, pogruchotanemi kośćmi, móz  
giem ociekłem! szlachetnemi głowami; krwią  
najzacniejszą broczących dzikie ustronia, siedli  
sko zwierząt drapieżnych, co sprzątną ujmując  
ludziom kłopotu ich resztki męczeńskie i boha  
terskie!? Gdyby zastępy szermierzy bożych nie  
miały początku archanielskiego, zaiste, niepo  
dobna byłoby wytłumaczyć tej ich wyrozumia

łości, dla małoduszności samolubnych mas. Dla  
dusz wybranych spełnienie obowiązku jest na  
grodą najwyższą, — o cnotę i prawdę im cho-  
dzi, a nie o sławę marną, próżność łechcącą;—  
boli ich jednak ludzka niewdzięczność, niepamięć...  
Świętosław z trudnością przedzierał się na  
miejsce pożaru. Dwie kamienice dwupiętrowe  
były objęte płomieniami od dołu do góry; da-  
chy dotąd stały całe. Z brzękiem padały szyby  
na bruk. Pod ruchomem sklepieniem z dymu i  
płomieni przelatywali jak duchy pokutnicze  
strażacy w swych hełmach błyszczących. Trzask  
ognia i sikawek straszny krzyk trwogi śmier-  
telnej zagłuszył:  
— Ratujcie! ratujcie!..  
Świętosław przerwał łańcuch, i pędził na  
głos wołający na ratunek.

Straszny widok stanął przed jego oczyma.  
Na brzegu, od strony nie zajętej pożarem,  
jednej z płonących kamienic, na balkonie, mi-  
gnęła postać kobieca w bieliznie z rozpuszczo-  
nemi włosami, a za nią dwie inne. One to wo-  
łały o ratunek. Wyskakiwały i wskakiwały na  
powrót, zamykając drzwi parapetowe, oblewane  
wodą sikawek pożarnych. Paliło się piętro pod  
ich mieszkaniem, płomienie lizały balkon; lada  
chwila i woda nie pomogłaby w obec rozszala-  
łego żywiołu. — Nie było, zdawało się, żadnej  
nadziei ocalenia nieszczęśliwych ofiar, skazanych  
na straszną śmierć ogniową.  
Tuż przy samym łańcuchu straży wojsko  
wej stało grono mężczyzn, sądząc z powierz-  
chowności, należące do wyższych warstw towa-  
rzyskich. Dwaj dwudziestokilkoletni panice  
wyróżniali się wśród niego: jeden wiotki blon-  
dyn jasny, z kędzierzawą głową, twarzą jak u  
anioła, z małuskiemi wąsikami, — drugi, bru-  
net, tegi, z mocnym rumieńcem i nosem orlim;  
gdy ostatni coraz mocniej wciskał ćwikier do  
oka, śledząc balkon z Pogorzelicami; pierwszy  
załamywał ręce w glansowanych rękawiczkach  
i ronił jak groch duże łzy z błękitnych oczu.  
Obok nich uwijał się Ksawery Hadziewicz, jak  
wiadomo wszędzie obecny, gdzie się ludzie  
zbiegli.  
— Okropny widok — wołał ostatni — nie  
szczęśliwa anielska istota, stworzona do pano-  
wania nad światem, a nie do tak marnego  
zgonu.  
— Grotówbym za nią lecieć w ogień — do

dal młodzian z éwikierem, przyczem coś zagadkowego przemknęło po jego rumianej twarzy — gdyby było jakiegokolwiek podobieństwo ocalenia. Biedna, biedna kuzyna!

— Poznaję twe dobre serce, hrabio Edwar dzie — a nieco ciszej, dodał — zapominasz na wet o krzywdzie sobie wyrządzonej...

Hrabia nic na to nie odpowiedział, raźniej tylko przestąpił z nogi na nogę, przelknął, aż się odezwało w gardle, i zerknął znacząco w stronę Ksawerego. Coś było niepojętego w tem spojrzeniu, trwoga i radość źle ukryta łyksały ze źrenicy jak dwa ostrza sztyletów.

— Ach! moi drodzy, moi mili, ratujcie, ratujmy — wołał blondyn coraz żałośniej — hej! strażacy, tysiąc rubli, kto te panie uratuje... co mówie!... dziesięć tysięcy... słyszycie! słyszycie! dziesięć tysięcy. A moi serdeczni, a moi najmilsi, a moi najdrożsi!

Wezwanie to jednak pozostawało bez skutku, niepodobieństwo bowiem dostania się w sam śiodek pożaru, i to na drugie piętro, stawało się coraz oczywistszem. Młodzieniec pomimo to nie ustawał wołać:

— Dziesięć tysięcy, słyszycie! dziesięć tysięcy...

Spojrzenia pełne współczucia padały na niego, ale nikt się nie zgłaszał. Naglił coraz na tarczywiej.

— Niepodobna jasny panie — odpowiedział strażak najbliższy — śmierć pewna, a ratunek niepewny. Dym udusi, zanim po drabinie wy lezie...

Blondyn załamał ręce i jęknął okropnie. Postać kobieca znowu mignęła wśród dymu, krzyknęła i już się cofała, gdy z dołu doleciał głos Świętosława:

— Odwagi, panno Bronisławo! Róbcie węzelki ; ubierajcie się; zaraz zabiorę was.

Świętosław skoczył do komendanta, zażądał liny z hakami i jedną ręczną sikawkę.

— Za mną, biegiem! — zakomenderował i pędził do domu naprzeciwko.

Po chwili na drugim piętrze domu naprze ciwległego, w oknie, ukazał się z lina w ręku. Cisnął raz, drugi, na ostatku hakiem zaczepił o krawędź balkonu. Było to możebne w ważkich starożytnych uliczkach wileńskich. Okręcił głowę mokrą płachtą, przywiązał się do drugiej liny, i kazawszy oblewać siebie i liny wodą, na rękach i nogach szybko polazł na przeciwko. Zaledwo to ujrzano na dole, okrzyki za chęty i zachwytu zahuczały, pokrywając sobą głosy pożaru.

— Z Bogiem! N. Panna Ostrobramska niech cię strzeże! Zuch! chwat!

— Kto to! kto to? — pytano w gronie pańskim.

— Chrobrski — odpowiedział Ksawery sucho.

— Świętosław? On ją zbawi! O! Boże, o! Boże! — wołał blondyn, składając ręce jak do modlitwy.

— Widocznie taki jego los — wtrącił Ksawery — aby nas wszystkich zakasowywał zaw sze — a nachyliwszy się do hr. Edwarda, szepnął — los czasami bywa psotnikiem...

dał młodzian z éwikierem, przyczem coś zagadkowego przemknęło po jego rumianej twarzy — gdyby było jakiegokolwiek podobieństwo ocalenia. Biedna, biedna kuzyna!

— Poznaję twe dobre serce, hrabio Edwar dzie — a nieco ciszej, dodał — zapominasz na wet o krzywdzie sobie wyrządzonej...

Hrabia nic na to nie odpowiedział, raźniej tylko przestąpił z nogi na nogę, przelknął, aż się odezwało w gardle, i zerknął znacząco w stronę Ksawerego. Coś było niepojętego w tem spojrzeniu, trwoga i radość źle ukryta łyaskały ze źrenicy jak dwa ostrza sztyletów.

— Ach! moi drodzy, moi mili, ratujcie, ratujmy — wołał blondyn coraz żałośniej — hej! strażacy, tysiąc rubli, kto te panie uratuje... co mówie!... dziesięć tysięcy... słyszycie! słyszycie! dziesięć tysięcy. A moi serdeczni, a moi najmilsi, a moi najdrożsi!

Wezwanie to jednak pozostawało bez skutku, niepodobieństwo bowiem dostania się w sam środek pożaru, i to na drugie piętro, stawało się coraz oczywistszem. Młodzieniec pomimo to nie ustawał wołać:

— Dziesięć tysięcy, słyszycie! dziesięć tysięcy...

Spojrzenia pełne współczucia padały na niego, ale nikt się nie zgłaszał. Naglił coraz na

tarczywiej.

— Niepodobna jasny panie — odpowiedział strażak najbliższy — śmierć pewna, a ratunek niepewny. Dym udusi, zanim po drabinie wy lezie...

Blondyn załamał ręce i jęknął okropnie.

Postać kobieca znowu mignęła wśród dymu, krzyknęła i już się cofała, gdy z dołu doleciał głos Świętosława:

— Odwagi, panno Bronisława! Róbcie wę zelki ; ubierajcie się; zaraz zabiorę was.

Świętosław skoczył do komendanta, zażądał liny z hakami i jedną ręczną sikawkę.

— Za mną, biegiem! — zakomenderował i pędził do domu naprzeciwko.

Po chwili na drugim piętrze domu naprzeciwległego, w oknie, ukazał się z lina w ręku. Cisnął raz, drugi, na ostatku hakiem zaczepił o krawędź balkonu. Było to możebne w ważkich starożytnych uliczkach wileńskich. Okręcił głowę mokrą płachtą, przywiązał się do drugiej liny, i kazawszy oblewać siebie i liny wodą, na rękach i nogach szybko polazł na przeciwko. Zaledwo to ujrzano na dole, okrzyki za chęty i zachwyty zahuczały, pokrywając sobą głosy pożaru.

— Z Bogiem! N. Panna Ostrobramska niech cię strzeże! Zuch ! chwat!

— Kto to! kto to? — pytano w gronie pańskim.

— Chrobrski — odpowiedział Ksawery sucho.

— Świętosław ? On ją zbawi! O! Boże, o! Boże! — wołał blondyn, składając ręce jak do modlitwy.

— Widocznie taki jego los — wtrącił Ksawery — aby nas wszystkich zakasowywał zaw sze — a nachyliwszy się do ki Edwarda, szepnął — los czasami bywa psotnikiem...

— Zamiast ślepego trafu, wołałbym coś pewniejszego — odpowiedział hrabia głosem, przy pominającym sobą mrużącemu kota, widzącego ptaszka na dachu — gdyby tak można szcze



ściu rękę podać?.. Nie ma tu przypadkiem kapi-  
tasia ?

— Z ognia uciekł z manatkami. Nadbie-  
gnie zaraz, tylko co go nie widać.

Woda wszystkich sikawek została skiero-  
waną w okna pod balkonem, do którego Świę-  
tosław docierał. Jak dzielny pływak, kilku po-  
tężnymi rzutami ramion przebył słup dymu z  
ogniem i parą; chwycił za balkon, przesadził  
poręczę i jednym susem wTpadł do drzwi, które  
już czekały na niego, będąc z lekka przy-  
mknięte.

Wśród dymu i upału, przeciskającego się z  
dołu, na środku saloniku, obok węzełków, kłę-  
czyły trzy kobiety, odmawiając głośno litanie.  
Najmłodsza z nich cudnej urody, jak z mar-  
muru wykuta, wyciągnawszy białe rączki do  
góry, przewodniczyła modłom dźwięcznym gło-  
sem. Coś dziko rozpaczliwego, ale zarazem  
wspaniałego biło od niej; żal życia i trwogę  
zwalczała jakąś energją, malująca się drzeniem  
różowych nozdrzy ślicznego noska, nieco zadar-  
tego, i ust jak dwa listki karminowe naprzód  
wydętych.

— Panie Świętosławie! — krzyknęła, gdy  
ujrzała wskakującego obrońcę — o! jakżeś po-  
czciwy...

— Prędko! — odpowiedział Świętosław,

ściskając rękę tej, co go przywitała — prze-  
ścieradeł, obrusów dużych proszę mi dać!  
W momencie cały stos bielizny znalazł się  
przy Świętosławie, który kazał każdej zawią-  
zać dla siebie osobny węzeł z prześcieradła i  
zmożyć wodą. Gdy wszystkie były gotowe,  
starsza pani zawołała:

— Brońcie najprzód ratuj, panie Święto-  
sławie !

— Ciocię trzeba pierwej — odpowiedziała  
Bronisława, czyli piękna panna.

— Za nic! — stanowczo rzekła ciotka.

Świętosław zawiązał do prześcieradła mo-  
krego pannę Bronisławę, przewiązał w pasie  
linką, i spuścił po głównej linie na przeciwną  
stronę. Zanim jednak spuścił, pomimo śmierci,  
latającej nad głowami, gdy podniósł w swych  
ramionach śliczną dziewczynę, uczył dreszcz roz-  
koszy, a serce zapukało mu młotami w piersi.  
W lot otrząsnął z siebie to wrażenie, i robił  
swoje dalej.

— Życie moje całe do ciebie należy, boha-  
terski zbawco — szeptała Bronisława, podczas

gdy koniec liny z hakiem przesuwiał pod jej węzeł — nie masz sobie równego...

— Nie bój się! droga panno Bronisławo — odpowiedział, i krzyknął naprzeciwko — ciągnijcie ! \*

Strażacy pociągnęli linę, i węzeł z Bronisławą, szybko wymknął się na środek ulicy wolny od dymu. Publiczność dech wstrzymywała ta ten widok. Woda ze wszystkich sikawek tryskała na linę i węzeł z panną. Strażacy i

tuż za nimi dopiero co nadbiegły blondyn, szybko wciągnęli Bronisławę do środka. Okrzyki, okłaski burzą zahuczały na dole.

Przed uratowaną, z rękami na sercu, wzdychając i lży roniąc, stał piękny blondyn, całował jej ręce i szeptał namiętnie:

— Cudowny darze nieba dla ziemi, cudowną drogą wracasz do nas jako niebianka, panno Bronisławo L.

— Zbawca bohaterski, jemu winnam ocale nie. O! panie Arturze, nie znaliśmy go dotąd...

— Chodźmy ztąd na dół — odpowiedział na to Artur i lekka chmurka troski przemknęła po jego wypukłym gładkim czole.

— Muszę czekać powrotu wszystkich...

Nie broniła się od pocałunków, ale z mięscia nie chciała ustąpić.

Po pannie również szczęśliwie przebyła po wietrznej podróży staruszka ciotka, witana z płaczem przez Bronisławę, jakby z tamtego świata przybywała. Niebawem przeciągnięto i służącą, która przez cały czas podróży po linie, głośno wymawiała imię Matki Boskiej Ostrobramskiej. Przeszło kwadrans upłynął od początku ratowania. Ogień tłumiony pod mieszkaniem Bronisławy, przez skupione działanie wszystkich sikawek w ten jeden punkt, tem mocniej się srożył po reszcie pogorzeli. Po wyciągnięciu ostatniej kobiety na przeciwną stronę, nagle runęły sufity obok balkonu; słup ognia i iskier buchnął po nad dachem; z pod blachy zaczęło trzeszczeć i języki płomieni ukazały się nad nią. Świętosław wskoczył do środka zamykając

drzwi, oblewane ciągle strumieniami wody z największej sikawki. Po zawaleniu się sufitów, furja ognia ustała. Wskoczył na balkon, aby uchwycić się liny ratunkowej, gdy ciotka krzyknęła :

— Aj! aj! Broficiu, gdzie portret pułkownika ?...

Świętosław skoczył w tył i krzyknął:

— A gdzie jest?

— Paniczu! śpieszcie—krzyknął strażak—wody nie ma, lina się smalić zaczyna.

— Gdzie wisi portret? — pytał Świętosław jakby igrając ze śmiercią.

— Porzuć go pan! — krzyknęła Bronisława.

— Daj pokój Świętosławie! — wołał Artur ztrwożony.

— W tym salonie, nad kanapą, po prawej stronie —odpowiedziała ciotka blada jak śmierć, widząc straszne niebezpieczeństwo, wywołane nieostrożnym wykrzyknikiem, i odgadując sercem kobiecym, że zbawca jest niewzruszonym w swym postanowieniu.

— Po co było to mówić cioci? — wyrzuciła Bronisława, z okropną trwogą spoglądając na fatalny balkon.

Długa jak wieki chwila upłynęła, już ani kropli wody nie było w ręcznej sikawce, która właściwie jedna zmaczała liny ratunkowe. Strażacy krzyczeli o wodę, inni biegli na ten ich głos, ale jakoś dziwnie na czas nie trafiali: za dnego dotąd nie było. Nareszcie wyskoczył

Świętosław z dymu; trzymając duży portret olejny, zapytał:

— Czy ten?

— Ten, ten; na miłość Boga wracaj pan!— wołała Bronisława tupcząc nogami i klaszcząc w dłonie niecierpliwie,

Cięnięty silną ręką, portret, poleciał na dół, pomiędzy ratujących sprzęty. Przywiązany do liny, mając dłonie zawinięte, bwiętosław, szybko przebywał przestrzeń będąc ciągnięty z naprzeciwka. Krzyk okropny rozległ się w tłumie. Lina przy balkonie płonęła jak knot. Świętosław był o parę sążni od okna, raptem lina do przełazenia pękła.

Jęk boleści i trwogi śmiertelnej wydobył się ze wszystkich piersi. Bronisława krzyknawszy przeraźliwie, padła zemdlona w objęcia ciotki i służki. Lina, którą się przywiązał, oca

liła Świętosława od niechybnego spadnięcia z wysokości drugiego piętra, i pewnej śmierci. Lecąc plecyma do ściany, miał tyle przytomności, że skurczył nogi i przyjął uderzenie bez piecznie. Po paru sekundach stał już zdrow i nieuszkodzony z uśmiechem na ustach na oknie, dziękując strażakom za pomoc i uratowanie. Huczne brawa grzmiały z dołu. Artur uściskał Świętosława ze łzami. Bronisława i ciotka, błogosławiły swego zbawcę, sługa obejmowała jego kolana. — Dajcież pokój! — odpowiedział Świętosław. — Zawracacie mi niepotrzebnie głowę... Jakbym to coś nadzwyczajnego dokonał? — gimnastyka i wyrobione mięśnie — ot i cały

O

sekret... Zresztą, spełniłem obowiązek prosty— nic więcej... Znajomi kobiet cisnęli się winszując cudu wnego ocalenia i wynurzając spólczenie. Na dole spotkał cały orszak wielbicieli Bronisławy, która pomimo, a może dla wielkiego przestachu, świeżo przebitego, jaśniała dla nich no wym nieznanym wdziękiem. Hrabia Edward z Ksawerym wyprzedzali innych; ich spólczeniu i oznakom głębokiego żalu nikt dorównać nie zdołał. Wszyscy prześcigali się w oddaniu przy sług Bronisławie Narzeńskiej, gdyż prócz zainteresowania ogólnego świeżo przebytem niebezpieczeństwem, należała ona do najpiękniejszych panien Wilna, z najlepszego domu obywatelskiego, i jako taka, stanowiła ozdobę wyższego towarzystwa. Ładny Artur zapraszał ją do swego faetoniku, zaprzęzonego parą jabłkowi tych siwoszów sławuckiej stadniny. Z innej strony, hr. Edward, ofiarowywał do usług swą dorożkę, zaprzęzoną dzielnym orłowskim karozem kłusakiem. Szła licytacja o usługi, mogąca chyba być porównaną do rodzicielskiej troskliwości koło ocalonego dziecka. Berło piekności, to owa różeczka czarodziejska, co złość na miłość a sknerstwo na rozrzutność przerabia ; co raniąc śmiertelnie serce, ból sam nawet pożądanym czyni. — W moim faetoniku — wołał Artur srebrzystym tenorem — możecie panie pomieścić się razem. — Mój karosz całe życie będzie dumny, za

dostąpienie zaszczytu dźwigania tak droгоценego ciężaru — przerywał hr. Edward — zresztą kuzynka w mej dorożce znajdzie się u siebie w domu...

Podczas gdy Bronisława mierzyła wzrokiem pogardy kuzyna, hr. Edwarda Rysińskiego, ciotka jej odpowiedziała za nią sucho i wyniośle:

— W pańskiej dorożce nie ma miejsca dla Brońci...

Hrabiemu kuzynowi słowa uwięzły w gardle, poczerwieniał tylko jeszcze mocniej i z sarkastyczną miną odwrócił się tyłem do pogorzlic. Obracając się, napotkał wzrok surowy świętosława, na zachmurzonym czole którego wystąpiły groźne zmarszczki, a ze źrenic latały błyskawice. Obok Świętosława stał Ksawery, onie miały ze strachu, na widok tej zmiany na jego obliczu.

— Nikt z nas, tutejszych, nie ma pojęcia o podobnej bezczelności — odezwał się głośno Świętosław do Ksawerego — zepsuty wyrzutek arystokratyczny jest chyba do tego zdolnym... Ksawery zdrętwiał do reszty; hrabia Edward nieco poczerwieniał, ale po chwili, poprawiwszy ówkiem w oku, z dumą imponującą rzucił wzrokiem pogardy na Świętosława, i zaczął rozmowę ze świeżo przybyłym rudym elegansem, krępyim jegomością, ze złotymi okularami na nosie i miną wyzywającą.

— Wyszedłeś przecie cały kapitasiu — mówił hr. Edward do ostatniego — patrz i ciesz

się! nie tylko sam ocalony, ale i te najpiękniejsze ofiary...

— Chwast trudno wyplenić, jak Niemiec powiada, — krztusił się zapytany kapitan Zawadja kiewicz, poprawiając okularów. — Pod Jelaczycem i Hajnauem nie takie przeprawy przebyłem a jakoś zawsze Bóg strzegł...

— Tą razą widocznie rozciągnął i na wszystkich pod jednym z wami dachem mieszkających tę szczególną opiekę!? cha! cha!

— Chłop strzela, pan Bóg kule nosi — i twarz kapitańska zPOCHMURNIAŁA.

Zagadkową rozmowę przerwało kilku in-nych paniczów ze złotej młodzieży, którzy mie-  
li za zaszczyt odegrywać rolę satelitów koło hr.  
Edwarda, gdyż był „cudzoziemcem”, właściwie  
Gralicjaninem, i miał ogromny mir u Moskali.  
Manewra te nie miały najmniejszego skut-  
ku na rozmawiających, ale niepomiernie bawiły  
hr. Edwarda i jego towarzyszy, to uśmiechają-  
cych się zjadliwie, to posyłających sarkastyczne  
uwagi półgłosem, doskonale jednak dolatujące  
do uszu ładnego męczennika. Miało się już ku  
końcowi rozmowy świętosława z Bronisławą,  
gdy jakby na przekorę Arturowi, ulicę w po-  
przek zatarasowała para zapasionych białych  
karetników, ciągnących mierzonym truchtem po  
wóz ogromny, nie nowy, ale bardzo starannie  
utrzymany.

Z powozu wysiadł pospiesznie mały jego  
mość, pękaty, z babko watą twarzą, ozdobioną  
potężnym nosem kształtu dzioba pelikana. Z roz-  
stawionemu rękami jak skrzydłami, kiwając no-

sem, wybladły, podbiegł do Bronisławy, i u-  
chwycił ją za ręce, wlepił swe oczy nieru-  
chomie; nie mógł, widocznie z wzruszenia, sło-  
wa przemówić:

— Wujaszku! dziękuję, żeś pospieszył Po-  
gorzelicę ratować — rzekła Bronisława na pół  
serjo.

— Pan „sowiec” popsuł szyki” adorato-  
rom — mruknął Ksawery po cichu do hrabiego.  
O ile na razie zwinnymi i żywymi okazy-  
wały się ruchy wujaszka, o tyleż trudno mu  
było zdobyć się na stosowne przemówienie. Wy-  
rywały mu się monosylaby urywane, wykrzy-  
kniki, ale całych słów za nic z siebie nie mógł  
wydobyć pod wpływem gwałtownego wzru-  
szenia.

— Och! cho! cho! dalibóg! słowo honoru!  
aha! i ciocia Kamilcia — nareszcie przemówił  
wujaszek, pan radca Pieślak, na imię Piotr, a  
z przezwiska „sowiec” — no, żywiście i  
zdrowi?...

— Jak widzisz panie Piętrze — odpowie-  
działa ciotka Kamilla — Bóg z życiem przy-  
najmniej dozwolił wyjść, posławszy nam w po-  
moc czcigodnego pana Świętosława...

— No, chwała Najwyższemu — wołał „so-  
wiec”, poprawiając order na szyi — podzię-  
kowanie śliczne, panie Świętosławie. Jabo się  
rwał do was, moje gołąbki, ale widzicie, Klosia,  
zawsze Klosia, pamięta o wszystkim. Nu, jak

zaczęła: Piesiu, a włóż „fufajkę” ; Piesiu, a cie  
płe skarpetki; Piesiu, a orderu nie zapomnij...

Jak zaczął ja to wszystko „nadziewać” (wdzie  
wać), ot tobie i przyjechał po wszystkim...  
— Przyznam się, my, w Austrii, nie posia  
damy podobnych egzemplarzy do „nadziewa  
nia” — mruknął hr. Edward do swego otocze  
nia, a zwróciwszy się do radcy, dodał — upa  
dam do nóżek pana „sowiecika”! Sercem nas  
za to prześcigacie, choć ostatni przybywacie...  
— A! a! a! krewniczka, kochanego pana  
hrabiego, witam. Dalibóg! to i pan Arturek,  
słowo honoru, tego... i pana Świętosława witam,  
witam — i radca wyciągał ręce do wszystkich  
po kolei, nie zapominając za każdą razą popra  
wiać order na szyi.  
Najmocniej jednak uściskał dłoń Świętosła  
wa, trząsł nią, zaklinał się, przysięgał; na o  
statku wydobywszy czerwony fular, obcierał  
nim łzy, spływające po wygolonych policz  
kach. Radca, nie mając dzieci, przelał całą mi  
łość rodzicielską na Bronisławę Narzeńską, sio  
strzenicę żony; jako słaby śmiertelnik, prócz o  
bowiązku poważnego, nie mógł oprzeć się i  
wdziękom czarodziejki, ztąd wypłynęło podwój  
ne przywiązanie i rozczulenie przed Świętosła  
wem. Wytarłszy nos potężnie na zakończe  
nie, fertycznie zawrócił swój kadłubek dobrze  
wypasiony, pulchnymi rączkami przyciągnął do  
siebie głowę Bronisławy, i złożył na jej py  
sznym hebanowym warkoczku pocałunek.  
— Dalibóg! dziecinko, cóżby ja począł bez  
ciebie na świecie? — bąkał radca płaksiwie —  
cały świat byłby „nipoczemu”. Słowo honoru,  
biegł ja na wyprzódki, ale ta Klosia ciągle za

pewniała, że to na drugim końcu ulicy Niemie  
ckiej, nu, ot tobie i drugi koniec...  
— Dziękuję wujaszкови za troskliwość —  
odpowiedziała Bronisława — a tymczasem na  
poczekaniu przyjm pogorzelić do swego domu,  
a na wstępie do powozu...

— Co ty żartujesz, anioleczku, alboż to nie twoje? ja i mój dom, i Klosia, i słowo honoru — wszystko to twoje, twoje, dalibóg! A siadaj cież, siadajcież i jedźcież do domu, żebyście się ze strachu i znużenia nie pochorowały, dalibóg! słowo honoru! Biednieńkie sierocinki...

I radca wyciągnąwszy pulchne ramiona, po pychał lekko do powozu Bronisławę z ciotką. Na pożegnanie, radca, raz jeszcze dziękował Świętosławowi.

— Ja, mój dom, Klosia... wszyscy jesteśmy twoi, stoimy otworem przed tobą — dalibóg! słowo honoru!...

— Stając przed takim otworem — szydził po cichu hrabia, mierząc impertynencko oczyma Świętosława — można się do reszty upoety zować...

Radca tymczasem nie ustawał w swych za biegach wynurzenia wdzięczności zbawcy boha terskiemu. Przesłużywszy lat trzydzieści pięć w Petersburgu, choć sam wileńczyk, powoli przerobił polszczyznę na żargon petersburskich Polaków, należących do tak zwanej „katolickiej narodowości, w której wzrósł od dziecka.

— Mam honor zaprosić szanownego pana — mówił radca do Świętosława — na wieczoryn kę, którą musimy „odś wiatko waću cudowne o

calenie naszej „duszki” anielskiej. Kto łaskaw, proszę do mnie jutro, zróbcie mnie tę „cześć” ! Czemu chata „bohata”, dalibóg! słowo honoru!... Uściskałszy po kolei dłonie wszystkich za proszonych, radca wsiadł do powozu; białosze westchnęły głęboko, i mierzonymi krokami, trudem poważnym posunęły do domu.

Zaprosiny i znakomita rola odegrana przez Świętosława, dała pochoop Ksaweremu do zrobienia nowych kroków, w celu pojednania powaśnionych. Hrabia Edward Rysiński, był właśnie tym, którego wyzwał Świętosław za obelżywe odezwanie się o Bronisławie Narzeńskiej. Hrabia niby od niechcienia posunął o parę kroków do Świętosława, a w rzeczywistości w chęci pojednania się z tym ostatnim.

— W tak solennej chwili — mówił Ksawery patetycznie do Świętosława — czy godzi się przechowywać zawziętość do przeciwnika, za tak błahą rzecz jak wasza ? Podajcie sobie ręce! Świeżo miałeś pan dowód jak jest czczone i wielbioną osobą, za którą się ujmujesz... Hrabia gotów ci podać pierwszy rękę.

— Ale ja jej nie przyjmę — odpowiedział



Świętosław sucho — kto uczciwe panny śmie  
szkalować za to, że dostał odkosza, gdy szukał  
przy tem majątku a nie serca, — ten jest po  
dług mnie nikczemnikiem, nie zasługującym do  
tykać mej ręki. — Hrabio Edwardzie Rysiński!  
weź to do siebie — a zwróciwszy się znowu do  
Ksawerego, dodał: — Czekam panów o dwu  
nastęj !  
Hrabia zbladł okropnie i oniemiał na chwili

lę, drząc na całym ciele. Otoczenie jego znała  
zło się pod również przytłaczającym wrażeniem;  
wszyscy pary z ust nie śmieli puścić, dopóki nie  
zniknął im z oczu Świętosław w ulicy.

— A to mi dopiero DonKiszot, — parsknął  
kapitan wyszczerzony — trzeba mu dać konie  
cznie nauczkę... Edziu! spuść się na mnie tyl  
ko ; juzem upatrzył wyborne pałasiki, zupełnie  
do twojej ręki...

Powoli hrabia odzyskiwał naturalne kolo  
ry, a z niemi osiadał napowrót ów nieźródna  
ny impertynenckosarkastyczny wyraz na ustach,  
właściwy austrogalicyskim dynastom.

— Drobnny ludek chce się wynieść przez  
warcholstwo — cedził hrabia przez zęby —  
szturmuje do porządku z łaski Bożej ustanowio  
nego... To jednak nieco za trudne... Zostawmy  
go w słodkim złudzeniu, a sami usuwając po  
dobne drobiazgi z porządku dziennego, oddajmy  
sobie — dobranoc! i idźmy lulać, gotując się  
do poważnych zajęć dziennych... To grunt, re  
szta furda...

I podawszy każdemu z kolei rękę, hrabia,  
zabrawszy z sobą do dorożki Ksawerego, po  
mknął żwawo do domu.

— Krew prawdziwie pańska — mówił ka  
pitan nieco skonfundowany nierycerską cnotą  
przyjaciela — pozytywista prawdziwy, do kroć  
set! z lada chłystkiem bić się nie będzie... Zro  
zumieli? che! che! che! dobranoc!

Pomimo tej arcydowcipnej argumentacji, to  
warzystwo jakoś niesamowito pobrnęło do  
domów.

W labiryncie uliczek koło ś. Anny, w najzaciszniejszym ochędźnym kąci miasta, przed kamieniczką schludną, której całe pierwsze piętro było rześcicie oświetlone, stał cały szereg powozów i „remiz.” Na koźlach powozów słodko drzemali stangreci i dorożkarze, kiwając w takt ugalonowanymi kapeluszami głowom końskim, raz po raz podrywanych w słodkiej drzemce. Nawet latarnie miejskie jakby się spiknęły z tem poważnem usposobieniem koni i ludzi, — płonęły tak blade i spokojnie, że zamiast buzić, do snu usposabiałały. Jeszcze nie wszyscy główni goście zjechali się do radziectwa Pieślaków, zajmujących oświetlone rześcicie piętro, i dla tego powozy musiały odbywać konwenansową stójkę od parady.

Dziesiąta wybiła na miejskim zegarze. Turkot szybki powozów zbudził furmanów i konie, radosnych, że będą zresztą mogli wracać na stajnię; nastąpiło instynktowe porozumienie, jako to muszą być ostatni, najważniejsi zaproszeni. Niebawem podjechał do domu radcy faetonik Artura, obok którego siedział Świętosław. Tuż za nimi pędziła dorożka z hr. Edwardem i Ksawerym.

— Edward! — mruknął Artur przez zęby i złapał się ręką za usta.

— My, albo on — odpowiedział Świętosław głosem decydującym.

— Zmiłuj się! daj pokój, niech go kaczkazdepcze L.

Zaledwo zdołali wysiąść, nadleciała dorożka. Najprzód wysiadł Ksawery, a za nim z angielską flegmą protekcyjnie spuszczał nogę na stopień hrabia. Świętosław szybkim ruchem stanął przed hrabią i rzekł głosem groźnym:

— W towarzystwie, gdzie bywam, nie znoszę podłych, a za takich uważam, co pojedyńku nie przyjmują. Czy mnie rozumiesz pan?

Hrabia Edward Rysiński dzisiaj właśnie nie przyjął sekundantów Świętosława Chrobrowskiego, i całe miasto już o tem wiedziało.

— A cóż mnie to może obchodzić? — odpowiedział hrabia z udaną obojętnością i wyciągnął wzgardliwie rękę jakby chciał natręta usunąć z drogi.

Zanim się kto opamiętał, silna pięść Świętosława porwała za ubranie na brzuchu hrabiego, i cisnęła nim napowrót w dorożkę jak worem nadzianym.

— Ruszaj ztąd, a prędko! — krzyknął

Świętosław, podsunąwszy się do woźnicy hrabskiego.

Dorożka, nie czekając powtórzenia rozkazu, kopnęła z miejsca, i w okamgnieniu znikła w ciemnościach nocy. Hrabia, który padł był od razu na brzuch, na czworaku wstawał, szukając kapelusza pod sobą, czem do głośnego śmiechu pobudził wszystkich furmanów, przebudzonych jak wiemy.

Ksawery, zżółkły, stał jak gość kamienny,

nie mogąc kroku naprzód stąpić; Artur zaś wyciągnął ręce do przyjaciela i wołał:

— Skandal! co powiedzą na górze? Biedni gospodarze okropnie nad tem uczują...

— Daj pokój, będzie cicho — uspakajał Świętosław, strzepując suknie i naciągając rękawiczki. — Bratku! — i tu się zwrócił do woźnicy Artura — masz oto poczęstunek, dla wszystkich kolegów tu obecnych; zaproś ich ode mnie, i poproś, aby milczeli o całej awanturze.

— Powiem, jasny panie, że to był taki zakład — odpowiedział furman — abo to my możemy zrozumieć, jak to państwo zabawiacie się?! he! he! he!

Dawszy na suty poczęstunek, Świętosław ujął Artura pod ramię i wesoło podążył na oświetlone piętro. Za nimi jak cień spłoszony postępował Ksawery ze zwieszoną głową, z przymglonem wstydem okiem, gdyż zwycięzcy nie kiwnęli mu nawet głową na jego ukłon. tak przytem pozółkł i twarz miał splaszczoną, że można go było przyjąć za wyborny typ Mon goła, opiętego w czarny frak...

Na spotkanie gości wybiegł wyfrakowany, w białym krawacie, z jaśniejącym na nim orderem, z miną uroczystą gospodarz, tchnący na wskroś gościnnością litewską. Gość w prapropodaniach litewskich ma zupełnie to samo stanowisko, co i w księgach Manu: w czasie swej bytności musi być czczony i podejmowany jak bóstwo dobroczynne KieloDewas, trzeba go uważać większym nawet po nad ogień święty, dać mu prócz „słodkich słów,” „wody źródła

nejw, trawy, ziemi dla odpoczynku, smacznych owoców i korzonków, stawy najlepszej...

— Dalibóg! słowo honoru! rycerski boha-  
terze — wołał radca kiwając z zapalem no-  
sem — serce rwie się do ciebie jak cielę do  
cycka — i wlepił dwa zawiesziste całusy, stojąc  
na palcach, w policzki Świętosława — my już  
zaczęli byli truchleć, at, może nie zechce nasze  
go chleba soli...

— Nie lubię z sobą drożyć się, panie rad-  
co — odpowiedział Świętosław — sercem za  
serce odpłacam, dyplomatyzować nie umiem.

— Aj! jaj! pańskie serce i głowa, to jak  
by do siebie były przyrychtowane. Ot, bohater,  
dalibóg, nie nadarmo Klosia powiada...

— Zostawcie te zachwyty dla większych  
czynów, które wpływają na losy milionów, a  
nie jednostek... Kochaj bliźniego twego jak sie-  
bie samego — a któż siebie nie ratuje w nie-  
bezpieczeństwie ?...

— Dalibóg! akurat bohater i ksiądz — ty  
le skromności, co u fiołeczka...

Z dalszemi wynurzeniami radca musiał się  
powstrzymać z powodu dwóch pozostałych go-  
ści. Witając wszystkich po kolei, rozstawał rę-  
ce w powietrzu, jakby ich zagarniał do gościn-  
nego pokoju, w obawie, by który nie czmychnął  
na ulicę. Wieść o nowoprzybyłych, jak zwykle,  
odbyła telefoniczną podróż po salonach, i nie-  
bawem wpadła, raczej zatoczyła się, przewala-  
jąc z boku na bok, niewielka, ale olbrzymiej tu-  
szy pani.

Nowoprzybyła mogła była mieć około pięć

dziesiątki, lecz pomimo wieku i tuszy, miała na  
sobie suknię dekolowaną, solferynowego kolo-  
ru, ozdobioną tak obfitemi garnirunkami, że wy-  
glądała jak różowa kula bilardowa, włożona mię-  
dzy heblowinami. W oczach jej piwnych, siedzą-  
cych jak żabki na wierzchu, dobroć i radość się  
malowały, a dwururyny nosek, nakształt bara-  
niego ogonka, pomiędzy dwoma baniami nimia-  
nemi policzków, wietrzył z lubością gości. Sze-  
lest jedwabnych solferynów w dziwną harmonię  
domowego szczęścia zlewał się ze skrzypem  
trzewików i nieco dychawicznym głosem; tuż  
za nogą postępujący bonończyk, potwornie za-  
pasiony, z językiem wywalonym i oczami zapła-  
kanemi, uzupełniał obraz rajy powszedniego...  
Najprzód bonończyk chrapliwie szczeknął,  
a po nim zadychająca się pani przemówiła,

zwracając mowę do radcy.

— A co Piesiu ? a co ? nie mówiłam, że przyjadą ? Ty się „połóż” na mnie, a ja już za wsze zgadnę...

— Dobry wieczór, pani sowietnikowej — pierwszy zawołał Artur, wyciskając całusa na tłustej, kształtu karaska, rączce mówiącej, pani Klotyldy Pieślakowej, małżonki radcy.

— A pan „gołąbeczek”, dobry wieczór, a dla czego tak późno ? — ciągnęła pani Klotylda, i zwracając się nagle do Świętosława, zrobiła dyg teatralny, dodając: — Och ! zbawco mej Bronieczki, tobie winnam życie i szczęście domowe... Dziękuję, bardzo dziękuję...

— Rad jestem, żem szanownej pani ujął

przykrości — odpowiedział Świętosław, oddając ukłon powitalny za dyg.

— Co to ujął przykrości? stokroć więcej uczyniłeś, dobroczyńco — łzy trysnęły radczy ni w tem miejscu, chustkę przycisnęła do oczu — wyobraź sobie tylko, właśnie z wieczora przysłano mi ze wsi: jarzābeczków, pularde do truflī, szparagów, kurcząt, raków, bekasów, no, i cóżby z tego było, gdyby broń Boże spotkało ją jakie większe nieszczęście ?... och! oboje, ja i Piesio...

— A jakże Klosiu — wtrącił radca, po prawiwszy order na szyi.

— Ja i Piesio — ciągnęła dalej gospodyni — stracilibyśmy apetyt, apetyt wszelki — i przepadłyby dary boże... Ależ proszę, proszę do środka!

— A jakże Klosiu, do środka, do środka prosimy — zakończył radca, popychając w powietrzu rękami.

Jakkolwiek Świętosław i Artur mieli po ważne nastrojone miny, to atoli wywnętrzenie się pani Klotyldy o mało ich do śmiechu nie pobudziło; chustkami, przyłożonemi do ust, w czas zamaskowali prawdziwe uczucia. Ksa wery, jako „fachowy” literat, jakoś zręczniej sobie postąpił z panią sowietnikową.

— Nic nad szanowne zdrowie, pani sowietnikowo dobrodziejko — rzekł wyciskając całusa na ręce gospodyni — a możeż ono być tam, gdzie organizm jest źle odżywiany ? Słusznie pani dobrodziejka stawisz w pierwszym rzędzie apetyt, stajesz na stanowisku pozytywistki....

— Dziękuję za komplement. Pan zawsze jako „literator” musisz rzecz upiększyć... kiedyż to ja stawała na pozytywe?... Ej! ty, ty, żar townisiu....

— Tam, tego, Klosiu — poprawiał radca— alboż bo moja „pempusiu”, pan Ksawery powia da o pozytywizmie czyli poprostu: o jarzabkach, bekasach, szparagach, szampanie, które są prawdziwym pozytywizmem, jak upewnia pan prezes; dalibóg! słowo honoru ....

— Ta, to wszystko jedno Piesiu. Proszę, proszę do pokojów, zróbcie „odłużenie” panowie ...

Pani Klotylda jako rodowita Petersburszczanka, należąca z dziada pradziada do na rodowości „katolickiej”, podobnie mężowi jak mogła tak przerabiała swój dialekt na czysto polski ; niektóre słowa moskiewskie żywcem tłumaczyła, inne znowuż przepolszczała w lot jak kaczką łykająca rybki złapane in flagranti...

Córka małego urzędnika, nie otrzymała większego wychowania, ale za to była niezrównaną gospodynią , wzorową małżonką, słowem skarbnicą domowego szczęścia. Gdy radca do służył się pensji, a przy tem jako służący na komorze, wedle przysłowia moskiewskich „kaznokradów”: „na tamożni, można...” uzbierał coś tam około stu tysięcy rubelków, oboje postanowili wrócić w rodzinne strony; Wilno bowiem i dla pani Klotyldy nie przestawało być gniazdem rodzinnem, bo ztąd pochodzili jej przodkowie. To prawda, miała pociąg szczególny do adoracji N. P. Ostrobramskiej, ale w rzeczy wi

stości nęciło ją Wilno widokiem: gruszek, śliwek, trześni, orzechów włoskich, nieznanych wcale surowej aurze stolicy nadnewskiej — to była podstawa pozytywna, na której budowała piedestał gmachu, mającego ukoronować resztki jej życia! Z płaczem wprawdzie żegnała swe „katolickie” społeczeństwo, ale cieszyła się z pobytu w Wilnie, aczkolwiek znajdowała je nieco za prowincjonalnem.... Żenowały ją wileńskie zwyczaje, odbiegające daleko od naturalnych, „na rąspaszku”, petersburskich; za to była zachwyconą niezwykłą delikatnością i po

dniosłością uczuć, służących im za podstawę. Koroną wszakże jej uciech była niezaprzeczenie kuchnia litewska, z jej rybami, grzybami, wędlinami, zwierzyną, smakującymi jakby były zdjętymi z błogosławionego drzewa Tuba, ko narami swemi ochładzającego raj mahometański i żywiącego wyznawców Proroka, tam zamieszkałych.

Patrząc na Świętosława, pani KlotyldaT wedle własnego wyrażenia gotowa była „język przełknąć”, palce oblizywać, tak jej wpadł w oko. Weszli do salonu.

— Doprawdy, kochanieńki panie mówiła do niego — w tobie tak zasmakowały panny, że aż usychają z oczekiwania...

— W łaskawej wyobraźni szanownej pani— odpowiedział Świętosław.

— Ale gdzie tam, na prawdę. Brońcia, ta biedaczka, szczególnie się niecierpliwi... i rad czyni ugryzła się w język, ale za późno.

Artura figlarne oczy raptem zgasły, a jednocześnie Świętosława mocno zajaśniały. Ko biece oko w lot to dopatrzyło, zwłaszcza, gdy na przywitanie podeszła sama Bronisława. Szła jakby ją porwał gorący prąd magnetyczny, szalony, pociągający kobiety do bohaterów i świętych, zniewalający je choć do dotknięcia rąbka ich sukni. Jej usta koralowe drżały uśmiechem rozkoszy, a fioletowe oczy swym aksamitem wpijały się w sokole żrenice Świętosława jak spragniony mieszkaniec pustyni afrykańskiej do źródła kryształowej wody. Kibić jej wyniosła unosiła się nad posadzką jak źdźbło pędzone wiatrem. Obie ręce wyciągnęła, ujmując gwałtownie dłoń Świętosława, również mocno ściskającą.

— Wyglądamy panów z upragnieniem od godziny — rzekła głosem wzruszonym — byłam w obawie, żeby nas to szczęście nie ominęło. Nieznośnie długimi zdały mi się te chwile, gdy ponownie będę mogła podziękować memu bohaterowskiemu zbawcy — i zwróciwszy się do Świętosława, dodała — nic więcej nad to dać ci panie nie mogę; przyjm więc to sercem, co z najgłębszego serca pochodzi...

— Jeżeli kiedy zbawca był nagrodzony — odpowiedział Świętosław, jaśniejący szczęściem — to ja nim jestem w tej chwili, słysząc te słowa.

Nigdy może nie spłynęło tyle rozkoszy w serce zbawcy, co w moje obecnie... Wierzaj mi pani!...

— Więcej jak wierzę, bo czuję w głębi

serca...

— Cóż to za szczęście słyszeć podobne sło

TU

wa, wychodzące z ust twoich, panno Bronisła wo!? — wtrącił Artur niecierpliwie — otwie rasz najdroższe skarby serca swego...

— Wątpię czy posiadani jakie skarby... ale gdybym je miała, to konieczność moralna naka zuje mi je otworzyć w tej chwili przed mym zbawcą...

To mówiąc, Bronisława przeciągnęła rękę do Artura, który ją ująwszy, ucałował tak na miętnie jak pszczoła, zapuszczająca smoczek da kielicha lilji. Z pierwszego wejrzenia łatwo mo żna było w nim rozpoznać szalenie zakochane go w Bronisławie, aż do bałwochwalstwa. Całe Wilno spoglądało na nich jak na przyszlą pa rę, nie mającą sobie równej pod względem pię kności i dobroci. Artur Dziewicki, majątny oby watel ziemski, rządny, oszczędny, szukał równej sobie stanowiskiem żony; kochał się od dawna w Bronisławie, dopiero jednak, gdy po świeżem odziedziczeniu przez nią majątku znacznego po ciotce hr. Rysińskiej, niedawno zmarłej, zjawił się z Galicji kuzyn konkurent, hr. Edward Ry siński, spadły jak z nieba na wieść o śmierci dalekiej krewnej, — postanowił zakończyć spra wę o rękę panny. Przejęty na wskroś miłością delikatną, odkładał z dnia na dzień krok sta nowczy, aż go niespodzianie zaskoczył wypadek obecny. Słyszac ostatnie słowa, stał jak wię zień, któremu odczytano wyrok śmierci.

— Dlaczegoż nie skoczyłem był raczej w ogień? — rzekł chwytając się za serce.

Słowa te były wymówione po cichu, Broni sława je wszakże słyszała. Coś nakształt spól

czucia przemknęło po jej ślicznej twarzy; gdyż czuła dotąd przywiązanie do tego ładnego pa nicza, podobne, jakie czuje z lotobarwisty kolibr do kwiatu pysznego, szkarłat do złota, perła do brylantu. Błyszczeli oboje wśród rzesz ludz kich, aby dali świadectwo o wyższości piękna



idealnego; był to rodzaj misji kapłańskiej, którą spełniali w upojeniu serca wezbranego miłością. Zaloty Edwarda, wywołane spekulacją na posaż, rzucały świętokradzki poniekąd cień na ten związek, dla tego pragnęła była w skrytość serca, aby oświadczyły nastąpiły rychło. Teraz jednak gdy poznała bliżej Świętosława, zapomniała jak o śnie minionym, o całym tem przeznaczeniu.

Weszło słońce, zgasnął księżyc...

Stał przed nią mocarz ducha, piękność nad pięknosciami, wspaniały, wyniosły jak olbrzymie szczyty Karpat, dające widok na najpiękniejsze dary rozsiane po polskiej krainie. — Swoiska cześć kobiety popycha do umiłowania tego, kto jej odkryje skarbnicę rodzinną, ojczystą, z bogacającą najszczerzej serce niewieście. — Dreszcze trwogi rozkosznej podniecały ogień nieśmiertelny, wszechwładnie panujący po nad wszelkimi innymi namiętnościami, złożonymi na dnie istoty kobiecej. Nie umiała odczytać hieroglifu zapisanego w wielkim zarysie jego charakteru, nie mogła go ani zmierzyć, ani zgłębić; czuła, że ją dzieliły od niego wiry i otchłanie bezdenne, — nie mniej przeto łączyła do niego jak słomka do potartego bursztynu.

Duma niewieścia, i ta musiała ustąpić. i Hołdy oddawane jej wdziękom były czemś mdłym i nieokreślonym, w porównaniu do tego ukorzenia się przed tym przyrodzonym panem... Jak dziecko raczkujące u stóp matki, czuła rozkosz w upadaniu przed tą męską, silną duszą. Patrząc na niego, doznawała podobnego uczucia jak w „Zachwyceniu” Słowackiego: „Przywalon byłem Twej lekkości skałą, Serce jak ptaszek złękniony latało...” (Z autografu w „Warcie” n. ).

Głębsze dopiero westchnienie ocknęło z upojenia Bronisławę, przypomniało o Arturze, który coraz więcej błądł, w miarę rosnącego uczucia w jej sercu dla drugiego.

— Co panu jest? — zapytała nareszcie jakby zbudzona.

— Czuję to samo, co nasi przodkowie gdy, { archanioł mieczem ognistym wyganiał ich z raju — odpowiedział Artur ledwie dosłyszczanym głosem.

— Jest to niesłychanie bolesne... Hart i wytrwałość ducha, są to przymioty zwalczające najmocniejsze postanowienia kobiece — i zmieniła raptem głos na wesoły — wszak mężczyźni

uznają się za panów naszych a czyż podobna  
panować bez tych przymiotów ?!

— Nie wszystkich matka natura jednako  
uposażyła...

— Trzeba więc uleść przyrodzonemu po  
rządkowi rzeczy, i to bez szemrania... j

— Choćby z sercem przesytem najjado  
witszą strzałą ironji, pozostanę zawsze, pani,  
twym dozgonnym niewolnikiem...

— A to wyborne ! na całym świecie uwal  
niają niewolników, a pan się dobrowolnie za ta  
kiego oddajesz?! Niegodna jestem tak wspa  
niałego daru...

— Ja jednak o tym ślubie nigdy nie za  
pomnę, może się kiedy na co przyda...  
Uśmiech rozdrażnienia przemknął po ró  
żnych usteczkach Bronisławy, jeszcze coś bo  
leńszego chciała odpowiedzieć Arturowi; gdy  
Ksawery z przyciśniętym do boku kłakiem, na  
pół zgięty, począł jej wynurzać kwieciste hołdy  
powitalne. Na szerokiej twarzy archeologa, po  
oranej licznymi bruzdy, osiadła jakaś niby po  
waga i szczerze, wyjątkowe zajęcie; głosem  
słodko zakradającym się chciał widocznie obu  
dzić do siebie zupełne zaufanie, jako najgorę  
szego wielbiciela cnoty panny i najwierniej  
szego przyjaciela. Pragnął zaspokoić przede  
wszystkiem ciekawość troskliwą o zdrowiu i  
spokoju pięknej pogorzeli cy przyjaciółki.

— Dziękuję serdecznie za pańską troskli  
wość — mówiła Bronisława z wdzięcznością  
nieudaną — niepotrzebnie tylko sobie głowę  
zaprzątacie tą moją przygodą... Powiem szcze  
rze, wypadek ten cały, wyszedł mi na dobre:  
zahartowałam się w ogniu... i zaśmiała się zna  
cząco.

— Masz pani złote serce, wesele cię ni  
gdy nie opuszcza, nawet na wspomnienie tak  
okropne... My jednak dotąd nie możemy ochłó

nać z pod wrażenia trwogi śmiertelnej, na myśl  
o tem niebezpieczeństwie, od którego cię łaska

Wszemogącego ustrzegła. Jeżeli to minęło, musimy nie mniej ubolewać nad stratami majątkowymi, spowodowanymi przez okrutny żywioł niszczący...

— Ktoby tam o tem myślał! Ocaliliśmy portret ojca, dzięki bohaterstwu pana Świętosława, — a o resztę, mniejsza o to...

— Pozostały zapewne i inne świętości po ś. p. pułkowniku, ojcu panny dobrodziejki, jak papiery, listy, pamiątki napoleońskie?

— Niestety, wszystko to pochłonął niego dziwy ogień. Prócz sukni, pieniędzy gotowych i portretu, resztę wszystkośmy stracili. Było z nami tak krucho, że gdyby nie bohaterskie poświęcenie pana Stanisława, tobyśmy zapewne nigdy z sobą więcej nie rozmawiali na tym świecie...

— Bardzo przyjemnie słyszeć to wyznanie o przyjacielu, ozdobie prawdziwej młodzieży naszej...

— Nazywasz go pan ozdobą naszej młodzieży?... Ale jabym go postawiła po nad wszelkie porównania z nią...

— Masz pani zupełną słuszność. On jeden wśród niej wygląda po bohatersku jak posąg z marmuru obok figur woskowych... Młodzież nasza szuka celów praktycznych, w przysporzeniu majątku, idzie z prądem wieku, i nie jest zdolną wzbijać się na idealne wyżyny doskonałości duchowej. To pewna... No, ale szkoda nie odżałowana papierów ś. p. pułkownika — może

DO

choć cokolwiek z nich ocalało, czy nie było czego złożonego u p. siewnika?

— Nic a nic zgoła, nawet dokumenta prawnicze i majątkowe poniszczone zostały; — wypadnie nowe sporządzać...

Radość, która błyska w oczach naśladowcy gończego, gdy odkryje trop prawdziwy, łysnęła ciemnym wężykiem po nastrojonej smutnie twarzy archeologa.

— Bolesna to prawdziwie strata — dodał westchnąwszy na zakończenie — ale dla takiej pieszczochy losu jak pani, musi być zapewne już gotowy rewanż na innym polu powodzenia i okiem powiódł w stronę Świętosława, zajętego rozmową nieopodal.

Ksawery zgięty ciągle, ostrożnie, acz z pewnego rodzaju kokieteryją, poniósł swój ciężki tułów w inną stronę. Do Bronisławy nachyliła się ciotka Kamilla, i zapytała ją na ucho:

— O co się on dopytywał ciebie?

A gdy otrzymała odpowiedź, dodała:

— Szkoda, moje dziecko, żeś mu o tem po wiedziała; — pamiętaj, wszak to przyjaciel te go Edwarda?..

— Masz zanadto podejrzliwą naturę, droga ciocieńko... Zresztą, co oni mnie tam zrobią ?! Ciotka robiła dalej swe uwagi, ale Broni sława przerwała je raptem, zamykając usta opiekunki pocałunkiem. Goniła wzrokiem i my śłami za chodzącym po salonie Świętosławem. Towarzystwo na wieczorku było dosy li czne, nie brakło w niem i okras, zastępu pa nien, uświetniających swą obecnością salony wi

leńskie. Bez swej królowej, Bronisławy, panny jak zwykle dobrały sobie wnet wodza, zdolnego sprowadzić do nich płochliwy na parkiecie ród mężki. Za przynętę służyła obecnie rozmowa, jeżeli nie konieczne smaku cukrowego, to za to wiele pieprzyku mięty pieprzowej posiada jąca... Wylatywały ztąd rady, uwagi i wiado mości, zaprawne tym ożywczym pierwiastkiem leczniczym; ale nikt się z młodzieży do nich nie garnał, pasąc wzrok na siedzącej na boku królowie...

Rej wodziła w panieńskim kole rezolutna szatynka, dosyć mięsista, ze strzelającym wzro kiem, panna Alicja Wendziaholska, córka adwo kata, exurzędnika, rodzaj bas bleu pewnych kół wileńskich. Górowała po nad rówieśnicami rzut kością i śmiałością umysłu, wykształconego nad mierną erudycją, w pojęciu naszych poczciwych kobiet, bo aż przeczytaniem „Listów z Krako wa”, „Biblioteki nauk przyrodniczych”, „Ency klopedji” Orgelbranda i t. d... Panny ją podzi wiały, a prawdę powiedziawszy, i bały się. Je żeli to ostatnie uczucie schlebiało dumie córki adwokata, to go wcale nie chciała widzieć u płci brzydkiej, na którą, przeciwnie, gotowa bjła zastawiać sidła Cyrcei, byle się zaplątał który na ostatku w węzeł matrymonjalny. Zło ści na prawdę miała zwykłą dozę kobiecą, ale chochlik matrymonjalny tak ją łechtał, że się nie wahała zostać zlekka kostychną, byle spro wadzić za pomocą tego estetycznego haczyka jakiegokolwiek z delfinków, pływających po oce anie małżeńskim. Wędkę swą zarzucała ze szcze

golną lubością w stronę Świętosława, choć jej się samej ten hazard zdawał być za śmiałym. Właśnie obecnie zmierzał do koła panieńskiego, mając przy boku przyjaciela Witolda Raudońskiego, malarza, przystojnego chłopca, mającego mir w świecie niewieścim, nie tylko jako artysta „przystojny”, ale nadewszystko z powodu prawdomowstwa zjadliwego. Byli braćmi po duchu, chociaż stającymi na dwóch przeciwnych krańcach pojęć towarzyskich. Szczególniejszy pociąg wzajemny do kasań się mieli Witold i Alicja; był to rodzaj turnieju na języki, który ich do siebie przykuwał całymi wieczorami. Tą razą Alicja zajęta rozmową z malarzem, nie spuszczała z oka Świętosława, co nie uszło naturalnie bacznego wzroku antagonisty. Wiecznie przeżuwany w kołach panieńskich temat o uczuciach, służył i obecnie za oś rozmowy.

— Podług mnie zupełna harmonja uczuć — mówiła Alicja — nie zależy bynajmniej na tożsamości zapatrywań, przeciwnie, szukałabym jej w kontrastach...

— Trafne to zupełnie — poparł Witold sarkastycznie — mamy tego dowód uderzający na kolorach: gumiguta zmieszana z indygo, daje barwę zieloną, symbol nadziei, najponętniejszy dla kobiet...

— Co pan doprawdy za kolory dobierasz?!— przerwała ponsowa panienka ze szklannemi oczami, tuż obok siedząca — nie mogłeś przy zwoitszych wybrać?...

— Jakto ? więc obraz szczęścia domowego

pani znajduje nieprzyzwoitym?... Ciasto szafra nowe, farbka do bielizny, nie jestże w stanie do głębi poruszyć serca niewieściego?...

— Doprawdy, pan, artysta a takie nieestetyczne porównania robi — i różowa panna za śmiała się, za nią reszta kółka.

— Gdyby panna Botwinkówna była łaskawa wcześniej udzielić swych poglądów, nie zawodnie miałbym apetyt do innych porównań... Śmiech ogólny pokrył słowa Witolda, a panna Botwinkówna, z różowej, nabrała koloru ćwikły. Rozmowa zawróciła na tory dawniejsze, analizy uczuć.

— Żarty na stronę — ciągnęła Alicja da-  
lej — mam to głębokie przeświadczenie, że szczę-  
ście w pożyciu może tylko powstać z kontra-  
stów. Sądziłabym, że np. taki charakter boha-  
terski, najlepiejby wyszedł w połączeniu z prak-  
tycznym...

— Przypuśćmy np. kogoś — i oczy Wi-  
tolda utkwily szyderczo w Alicji — dajmy so-  
bie panią... i... i... jego, — wskazała Świętosła-  
wa — jak Boga kocham! prawdziwe odkrycie  
Kolumba... Szkada tylko, że jedna z tych stron  
jest opancerzona wiekiustymi lodami...

Nowe parsknięcie śmiechem i żywe prote-  
stacje, zamknęły usta złośliwemu dowcipowi.  
Panna Alicja z ponsowej, powoli przerobiła się  
na cytrynową; wzrok zaś zastąpiły błyskawice  
i pioruny, ciskane na wszystkie strony, z ką-  
d tylko doleciał chichot lub parskanie. Przegrała  
partję, śmiechem sztucznym pokryła na razie  
porażkę a w ukryciu ostrzyła żądło odwetu.

— Choćby to mogło dopomódz panu Witol-  
dowi, do jego dalszych wycieczek — rzekła  
Alicja do Świętosława — uważam jednak za  
wielki zaszczyt, oświadczyć panu, że masz isto-  
tnie naturę bohaterską, stworzoną do obrony  
słabych i pokrzywdzonych, lecz nie dla ich wy-  
szczydania i gnębienia... Mając nieustannie do czy-  
nienia z kądzielą i płótnem, wiemy czego są  
warte... natomiast niepodobna nam powstrzy-  
mać się od hołdu, dla tych, co nas podnoszą  
duchowo żywym przykładem...

— Cha! cha! wszak i malarze mają do-  
czynienia z płótnem?! — wtrąciła różowa panna  
Botwinkówna — cóż pan Witold na to?..

— Zdumiewam się nad pani domyślnością —  
odciął się Witold — trafilibyśmy bez kompasu  
na księżyc, gdyby nie wieczna jutrzienka, bły-  
szcząca na jej obliczu, i niedopuszczająca do  
ogładania upragnionego celu?!

„Jutrzienki” panny Botwinkówny zamieniły  
się na zarzewie płonące, a towarzystwo wybu-  
chnęło jednogłośnie śmiechem. Świętosław jeden  
pozostawał spokojnym wśród ogólnego rozba-  
wienia, powaga łagodna i uprzejma na chwilę  
go nie opuszczała; blask nieco mocniejszy w oku  
zastępował u niego śmiech i wykrzykniki.

— Nie zasłużyłem na tyle pochwał — od-  
powiedział Alicji, zlekka dotykając podanej przez  
nią dłoni — zapewne wywołane one zostały wy-  
padkiem z pożaru; ależ czy każdy strażak w  
takim razie nie ma tej samej, a moje nawet

większej od mojej zasługi, gdy pełni codzienny swój obowiązek?

— Zapłacony czyn bohaterski podobny jest o tyle do bezinteresownego, o ile automat podobny do żywego człowieka — i Alicja wzrok zatopiła w Witoldzie — lub malarz malujący bohaterów, do prawdziwego bohatera...

— Litości, panno Alicjo! — wykrzyknął Witold — zmień karę śmierci dla twego potulnego sługi, zmiążdżenia maczugą na jakąś lżejszą, zgrabniejszym instrumentem dokonaną! Świątosław i tą raząnie podzielał ogólnego wesela, lekka tylko ironją przemknęła po jego obliczu.

— Rzecz dziwna, wszyscy się unoszą nad bohaterstwem — rzekł — a tymczasem jest ono udziałem osób wyjątkowych. Towarzystwo powinno nad jego rozwojem popracować. Gdy mężczyźni tego dobrze nie rozumieją, na was, panie, spada obowiązek, pouczenia ich o tem. Okryjcie wzdrganiem tchórzów i niewieściuchów, a będziecie miały niezaprzeczenie więcej przykładów wzniosłych charakterów i obrońców praw dziwych niż dotychczas.

— Nad bohaterami, mój drogi, trudno panna nować — wtrącił Witold — a bez tego cóż po zostanie naszym paniom?! My światem, a one nami rządzą — chyba zapomniałeś o tem?..

— Ale co pan mówi, doprawdy — powstały panny chichocząc.

— Przepraszam, bardzo przepraszam! Obiecuje poprawę, poprzebieram moich bohaterów w szlafroki, zamiast pancerzy, ażeby się na nich pantofelek pań nie obraził.

— Dostaniesz się pan z pewnością pod pan

tofel — odcięta się panna Botwinkówna, przy ogólnym aplauzie śmiechu.

Podczas gdy się tak bawiono w salonie, w bocznym pokoju zasiadły filary towarzyskie do zielonych stolików, zanurzając się w kombinacjach wistowych i preferansowych. Urywane, miarowewisty, pasy, proszę, jedne ożywiały po

ważne grono graczy, wyglądające jakby Bóg wie co obmyślało, a nie dziecinną rozrywkę odebrania bliźniemu kilku pieniążków. Nikt w tej świątyni powagi nie śmiał głosu podnieść o jeden ton wyżej; więcej obeznani ze zwyczajami towarzyskimi, nie tylko głośno nie mówili, ale chodzili nawet na palcach.

Do rzędu tych ostatnich widocznie należał i Ksawery, chodzący na palcach naokoło stołów, i obracający swym korpusem ważkim jak piórkiem. Zmierzał ku stołowi, za którym siedział gospodarz z samymi honoracjami wie czoru, najpoważniejszymi sztukami. Oczy jego niebawem spoczęły wyraziście na jegomości z krogulczym nosem, ozdobionym na nozdrzu ponosową jagódką, w peruczce, z ruchami przypominającymi podrygi ogona jaszczurczego, odwanego od tułowu; robił znaki, aby się do niego zbliżył. Gdy kolej zdawania przyszła, właściciel nosa z jagódką, wygięty w pałąk jakby się skradał, posunął żwawo do Ksawerego.

— A co tam słyhać dobrodziejaszku? — pytał Ksawerego, ściskając podaną sobie dłoń.

— Dobrze słyhać, panie mecenasie — odpowiedział Ksawery — podobno pocziwy ogień uprzętnął wszystkie dokumenta prawne. O ile

pamięć mię nie myli „papier,” nie został do tąd wniesiony, dla ostatecznego zaaktywowania intromisji.

— Mówisz dobrodziejaszku jak król Salomon Oj, oj, jakże teraz ślicznotkę gorąco przytulimy! ? Kto wie, może jeszcze wygramy stawkę, przecież rekurs zaniósłem? Gdyby tylko tak było, rajski balik zaraz wyprawiam; Mahomet sam pozazdrości nam.

— Gotówes rozplynać się w deklamacjach jak widzę, no, zostaw to nam lepiej, literatom. Twoją rzeczą, mój drogi, zbadać pocziwinę Pieślaka, lichy wie! może „papiereczki” zabłąkały się do jego kantorka? Rozumiecie? ..

— Mądrej głowie dość nę słowie.

— Panie mecenasie Wendziaholski — wykrzyknął gospodarz donośnie — kolej pańska zadawać!

Mecenas Wendziaholski, właściciel nosa z jagódką, a ojciec panny Alicji, jak kula bilardo wa potoczył się do swego stołu. Wesele i za kłopotanie poruszało dowcipnie jego wargami, niememi obecnie, przez wzgląd na dostojnych partnerów. Gospodarza to mocno intrygowało, nos długi wyciągnął w stronę mecenasa jakby



zawczasu obwąchiwał dowcip czy nowinę, mając strzelić z ust krasomownych, mecena sowskich. Właściciele długiego nosa jak wiadomo powszechnie, chorują na manję ciekawości; radca też robił nadludzkie wysilenia, by zapamiętać nad sobą podczas gry; gdy jednak przyszła kolej rozdawania kart, nie wytrzymał dłużej.

— Bałamucisz się mecenasie — rzekł fi glarnie — oj! ten kochany pan literat nie tylko pannom, ale i panu zawraca głowę... Gotów się zapomnieć o obowiązku...

— Bardzo przepraszam, panie sówietniku — odcinał się mecenas Wendziaholski — u mnie obowiązek na zielonym polu przede wszystkim; jeden po nad nim góruje; gdy dotyczy cierpiącej ludzkości, dla niej to właśnie opuściłem postawę. Proszę wierzyć.

— A to co innego. — Pas!

— Pas i ja. W rzeczach kart mam naturę siostry Antosi, która, świecąc Panie nad jej duszą, bywało o północy, wśród najgłębszego snu, niech tylko usłyszała — wist! wskakiwała na tychmiast na nogi z łóżka i pędziła do karcianego stołu w jednej bieliznie...

Salwa śmiechu partnerów odpowiedziała na anegdotkę mecenasa. Najwięcej nią był ubawiony najznakomitszy z partnerów, mózdzierzowej powierzchowności prezes Czerewin, świecący gwiazdą na piersiach szerokich.

— Nu, pan mecenas — mówił prezes — bałamutnik z siebie wielki... Majster ty do chwytania ludzi za serce, a pewnie i pańien — he ?...

— Ależ panie jenerale, ja żadnej w bieliznie nie chwytam!..

— Terefelki, kolor nie wielki — przerwał prozaicznie dalsze wylewy uczuć czwarty partner, dyrektor Botwinko, gatunek kaczkonosa australskiego, ornitorynxa, a ojciec różowej panny Botwinkówny.

Prezes odzyskując powagę, nie mógł od ra

zu zapanować nad sobą, klepnął na pożegnanie mecenasa po ramieniu, dodając:

— Niech cię szelmę! anatema bądź ja, je zeli ci nie dopomogę w pierwszej sprawie...

Ubawiłeś, boczki nadsadzam, lia! ha! ha!

— Chwileczkę cierpliwości, panie dyrektore, muszę resztę stanu służby ś. p. siostry do powiedzieć. Było to w r. ; do Wilna wjeżdżał Napoleon I., a my jak zwykle grali w karty. Miał przejeżdżać koło naszej kamienicy, mnóstwo znajomych i krewnych naszło i cisnęło się do okien. Gramy w najlepsze, a tu wołają:

— Napoleon! —My od stolika, a Antosia jak nie krzyknie: — „nie pozwalam!” „tur” skończyć, a potem Napoleon... Cóż państwo powiecie? — nie wstaliśmy od stołu, a Napoleon przejechał, i nigdy go potem nie widzieliśmy... Do takiej to starej gwardji karcianej należała nieboszczka, świeć Panie nad jej duszą!...

— Nu, panie Wendziaholski, dalibóg, równo tobie „krasnobaja” nie znalazł w „światie”. Aleście musieli chyba zacząć bardzo za młodu grać w karty?

— Nieboszczka matka, świeć Panie nad jej duszą, opowiadała, że w przeddzień mego przyścia na świat, widziała mię w łonie swem się dzącego jak Budę z nogami skrzyżowanymi i\* i grającego w karty. A ja, dalipan, pamiętam jak dziś, że grałem wtedy siedm kier i zabeciłem patryjarchę Notgo...

— Pamiętasz?... pamiętasz?... och! cho!

cho L. boczki, boczki — i prezesowi aż lzy się na rumiane policzki żyłką wysączyły.

Towarzystwo huczało wesołością. Pulka się niebawem skończyła. Zaproszono do stołu, zastawionego najsmaczniejszymi darami gastronomicznymi wileńskimi. Zanim przyszło do jedzenia, podano wódkę mężczyznom.

— Hora canonica! — wzniosł gospodarz, przypijając do prezesa.

— Starka? — pytał Czerewin.

— Dalipan, znaleziona w sklepie Rozen sztoka, przed stworzeniem świata — dodał Wendziaholski — zresztą to do historii należy, a o tem nas najlepiej pouczy pan dyrektor Bortwinko...

— W moim „sklepiku” (loszku) mam całą bibliotekę z „hlaczków” (kamionek) omszonych, ale dalbóg! jeszcze z nich nie wyczytałem waszego sekretu, panie mecenasie dobrodzieju?!. Obok Bronisławy siedział Świętosław, a

naprzeciwko Alicja z nieodłącznym Witoldem w sąsiedztwie. Słysząc było rozmowę pijących. — To rzecz dziwna — rzekła Bronisława do Świętosława — nie wiedziałem, że mecenas Wendziaholski jest tak znakomitym historykiem... — Alboż to można historję — wtrącił Witold — zetrzeć jak krede z czarnej tablicy dziejowej?... Bronisława nie mogła wytrzymać, i zaśmiała się głośno. Alicja raptem położyła, i utopiła swe oczy jak sztylety w twarzy szczęśliwej antagonistki i dowcipnisią złośliwego —

(Wendziaholski, sprawnik, aresztował był niegdys Szymona Konarskiego, a Rozensztok zdradził schadzki). Witold swym zwyczajem miał to sobie za nic, i szczywał dalej rozfurjowaną pannę, która podobnie drażnionemu kaameleonowi przybierała rozmaite barwy, aż na ostatku stanęła na żółtoburej. Siedzący po drugiej stronie Bronisławy, Artur, spoglądał na nią trwożliwie; pod wpływem jakiegoś złego przecucia, a nadewszystko obojętności przed miotu uwielbień, napadał go coraz gęstszy smutek. — Wszyscy milczeli, jedząc leniwie. — Jakiś urok niezawodnie padł na nas — zaczął Witold — widzę, że i ty szczęśliwy z najszczęśliwszych — i tu się zwrócił do Artura — też mój drogi skwaśniałeś?... Bronisławie przemknął uśmiech sarkastyczny po ustach. Artur, jak koń bojowy, po łechtany ostrogą, drgnął i wybuchnął. — Od zbytku szczęścia myślę uciekać za granicę... Może zapomnienie osłodzi me kwasy... — Prędko pan wyjeżdża? — zapytała Bronisława zabójczo obojętnie. — Za kilka dni najdalej... Chcę co najprędzej kochany kraj opuścić... — Bardzo słusznie — zakończyła Bronisława. Artur dotąd udawał mężnego, tu mu za brakło nie tylko słów, ale i apetytu do dalszego spożywania specjałów pani sówietnikowej. Niemordowana gospodyni w lot to dopatrzyła, i jak upostaciowana ziejąca gościnność, wpadła na zasmuconego kochanka.

Tytuł  
Szermierz przeznaczenia : powieść  
Autor instytucja sprawcza  
Wołodźko Walery

Nawigacja

Wszystkich stron:

Szukaj w utworze

Dodaj zakładkę

z komentarzem

Strona informacyjna

Informacja biblioteczna

DO

nia w jeziorze robią od pewnego czasu. Ciężką pracą odpędzę pokusy sentymentalności.

— Twoje jezioro nie ma w sobie wody letejskiej, a Grzymiłów zanadto poetycznie położony, wątpię tedy w skuteczność twych zamiarów. Pamiętaj i o psotniku przypadku, igrającym z najmocniejszymi postanowieniami w sercowych sprawach?!

Stanęli przed mieszkaniem Świętosława, oczekując otwarcia bramy; jednocześnie zbliżało się śródkiem ulicy towarzystwo wracających do siebie: Wendziaholskiego z córką Alicją i asystującym Ksawerym. Żywa rozmowa toczyła się między ostatnimi; nie widzieli stojących w ciemności, milczących obecnie przyjaciół.

— Dopóki nie zajmował miejsca w sercu ślicznotki — mówił Wendziaholski — był nie wygodnym, odtąd się staje niebezpiecznym. Czy tylko jesteś pewna?

— Papa musi przecie dobrze wiedzieć — odpowiedziała Alicja — że w podobnych sprawach, my, kobiety, jesteśmy nieomylni.

— Jesteśmy teraz na pozytywce, wedle pani sówietnikowej — dodał Ksawery przy ogólnym wybuchu wesela, wszyscy bowiem wiedzieli od niego o niefortunnym przypadku imci Kłotyldy — z nim żartów nie ma, trzeba go koniecznie odsunąć, uczynić nieszkodliwym,

— Łatwo powiedzieć — rzekł Wendziaholski — trudno mu dać rady, bo nie bawi się w politykę, a nadto jest waszym, Galicjaninem. Prezes go przy tem będzie bronił, bo jest prowincją zawojowaną kuchnią sówietnikowej. Wie

cie, „oni”, za kieliszek wódki i kawał pieczeni duszę sprzedadzą!..

— Szeroka słowiańska natura... Mam ja je dnać coś smaczniejszego, wydobędę to za pomocą mego szanownego protektora Głowackiego.... Nasza archeologiczna, tutejsza komisja, ma bardzo rozległe stosunki.... Znajdziemy coś i na niego....

— Dobrze, dobrze, ja tymczasem wyzyszczę, to, co poczciwy Pieślaczek w swej prostoduszności wygadał.... Jeżeli tu nie znajdziemy racji stanu, to może się ona znaleźć dla niego gdzieś indziej, n. p. w Galicji ? — he, co my ślicie ?

— Myślę, że to myśl genialna, i łatwa do przeprowadzenia, przy naszej znakomitej organizacji. Poskromienie powstania, w duchu, trwa dotąd.... Mój poczciwy c. k. rząd ciągle jest w słodkim złudzeniu, że my pracujemy dla niego wspólnie, „na durnyczki. . . che ! che ! A więc jazda !

Były to czasy teroru popowstańczego. Murowanie wieszaków dopiero co ustąpił, a czasy denuncjanckie szpiegowskie wisiły jak zmora nad świeżo posoką zbryzganą Polską. Jeżeli Witold nie całkiem zgadywał, o czym to mówiono, gdyż nie przyjmował, jako za młody, udziału w ruchu r., to Świętosław rozumiał, bo chociaż liczył wówczas siedemnasty rok, był z Platerem, a następnie w pojedynkę sprzątnął kilku Moskali; ale nikt o tem wiedział, gdyż mieszkał głębiej na Białejrusi, gdzie powstania wcale nie było.

— Co to za szarady układa szanowny mecenas ? Rodem kurki czubate . . . coś podejrzaniego....

— To sprawa Rysińskiego, ale ja nie ustąpię. Czyżby Hadziewicz był z nimi? Wprawdzie jest materialistą, ależ musi się szanować jako uczonego ?...

— Zaczynasz mówić jak Kumejska Sybilla, a ponieważ mistyka wywiera na mnie wpływ morfiny — bądź zdrów! dobranoc!

I podawszy sobie dłonie, przyjaciele, każdy wrócił do siebie.

Wiatr powiał od Ponar, z „dungusa” litewskiego Breksza, bogini snów, otulona w płaszcz

gwiazdzisty sprowadziła smutne cienie towarzy-  
szy Gedymina, wzdychające nad miastem, w  
mocy najezdniczych oprawców. Skrzyp szubienic  
Sierakowskich, Kalinowskich, Platerów, Koły-  
szków dotąd jeszcze zgrzytał i lodowacił dusze  
śpiących.... Zdrada usiadła na stolicy Litwy....  
IV.

Na jednej z uliczek Śródmieścia Lwowa, w  
półmroku i ciszy wieczornej — gazu jeszcze nie  
zapalono — ktoś od domu do domu chodził,  
pilnie odcyfrowując numer. Unikał widocznie  
zapytań, aby nie zwracać na siebie uwagi. Ta  
tajemniczość obudziła ciekawość przechodnia,  
dopiero co wchodzącego na uliczkę. Świeżo  
przybyły, poprawił złotych okularów, krząknął

znacząco i pośpieszył naprzeciwko badacza nu-  
merów.

— Servus ! cha! cha ! pod ziemią umiecie  
odnajdywać, a tymczasem nie poznajecie ulic  
własnego miasteczka ?

— Padam do nóg kochanego pana kapi-  
tana! Cóż chcecie, całkowicie przerobiłem się  
na Rusina litewskiego, zapomniałem o halickiej  
stolicy, gdzie cudzoziemskie rządy, nawet po  
rządnych numerów zaprowadzić nie umieją?!  
— Co mówić o tem! ?.. Pracujmy, żeby to  
licho co prędzej usunąć.... Polska zgnieciona,  
przychodzi kolej na naszą archeologiczną rzeszę...

Genjalny „kolos" jak dał rady z jedną,  
podobnież pokończy i z drugą. Robotę prowa-  
dzimy „korrekt": i Panu Bogu i djabłu świe-  
czkę regularnie codnia zapalamy.... Domyślam  
się, szukacie naszej redakcji — proszę za mną!  
Ksawery na zapytanie kiwnął głową twier-  
dząco, i wzięwszy pod rękę Zawadjakiewicza,  
wszedł z nim do narożnego domu. Zatrzymali  
się na pierwszym piętrze przed czarną tablicą  
z napisem białym hrazdanką: „Redakcja Wy-  
razu." Zawadjakiewicz zapukał szczególnie, i  
cofnął się z uszanowaniem, prosząc Ksawerego,  
aby pierwszy wszedł do środka, gdy drzwi re-  
dakcyjne zostały otwarte.

Na spotkanie przybyłych posunął od stołu  
z urzędową miną kosmaty jegomość w okularach  
z ponurym wyrazem niedźwiedzim; popatrzał  
najprzód uważnie, światła jeszcze nie było w  
pokoju, następnie z rozwartymi ramionami runął  
w objęcia Ksawerego.

— „Kak poziwajetie liubieznyj drug u — witał kosmaty po moskiewsku — kopę lat, a to niespodzianka.... Stary druhu przybywasz do nas....

— Maładec Deszczański — odpowiedział Ksawery — z tobą choć na koniec świata.

— Pracujemy dla wielkiej idei słowiańskiej, musimy iść razem... Byłem naprzód o waszym przyjeździe zawiadomiony. Razem z wami przyjechał i szanowny mecenas Wendziaholski z córką?...

— Razem, ale zamieszkaliśmy osobno; on w hotelu, na Marjackim placu, gdzie mieszka strona przeciwna, a ja w innym hoteliku, żeby uniknąć niepotrzebnych pozorów. Nauczyłem się od Litwinów ostrożności.

— Litewska przezorność jest nam dobrze znana — i po kosmatem obliczu redaktora przeleciał ponury ironiczny uśmiech — proszę rozgościć się, i być jak u siebie — następnie zwrócił się do zgromadzonych w redakcji kilku osób — rekomenduję panom znakomitego naszego współpracownika na Litwie, europejskiej sławy archeologa, pierwszorzędnego literata, niezrównanego badacza starożytności, a przyja ciela od serca tak znakomitych osób jak hr.

Tyszkiewicz, Kirkor, Głowacki i wielu innych w Petersburgu, Moskwie, Kijowie.

Nastąpiło wzajemne przedstawienie się, no szące na sobie wybitną cechę urzędową, daleką od swobody panującej po zwykłych redakcjach. Nie znać tu było ducha republikańskiego rzeszy

literackiej, zamiast niego panował jakiś ciężki poddańczy.

Tajemniczość rozlana tu w powietrzu, no siła na sobie piętno niewytłumaczone, przedstawiające rodzaj komedji, zaprawnej humorem szubienicznym. Szanowne zgromadzenia północne na Łysej górze lub Blocksbergu, niewiele by się wyróżniały od tej drużyny zbieranej, zasiadającej połamane stołki z wylażącymi pakułami, fascykuły zapyłonych druków, faszeczki od bryndzy dnem do góry i kanapę wysiedzianą. Ogólny charakter wyrazu miał w sobie coś dziwnie służalczego, a zarazem cynicznego i złośliwego;

była to niby galerja fotografij policyjnych zna komitszych zbrodniarzy. Co do powierzchowności, to zewnętrzne kształty głów wielce przypominały przysadkowate garnki starożytne z dużej odstawcami uszami i ustami od ucha do ucha; nosy perkate przeważały, chociaż nie brakło kabłąkowatych i haczkowatych, zakrzywionych jak dzioby krogulcze. Zaniedbane suknie, wykrzywione obuwie odpowiadało zupełnie wydobywającej się z ust woni piwnej i stanowiło całość „z pod maczugi.”

Z kolei Ksawery został przedstawiony opasłym księdzu z fizjognomią mopsa wypasionego\*

— Nasz najszanowniejszy protektor, dobroczyńca, kanonik Dereniowski — rekomendował redaktor — to wszystko nieznan ci „sotrudnikowi...”

— Oby Wszechmogący utrzymał przy zdrowiu i pomyślności! — kadził Ksawery.

— Czujesz?! Wszechmogący?! — raneż?

może rubły? — wtrącił jegomość z obrzękłą twarzą, pomrugując i wykrzywiając ustami.

— Ty! Karaluch, did'ko ci wyrwie kiedyś twój ozór bluźnierczy — odciął się jegomości o brzękłemu kanonik, nasrożony jowialnie.

— Nie wyrwie, dobrodzieju, bo niesmaczny — dworował Karaluch.

— Gębę na guzik! — huknął redaktor — choć mu sznaps ozór wysuszył, na chwileczkę nie może go utrzymać w spokoju — a następnie rekomendował zgromionego Karalucha — choć durny na pokaz, ale to nasza najmocniejsza głowa, humorysta europejskiej sławy, a przytem redaktor „Brechuna”.

— Każda broń jest dobra, byle porządek ustalony utrzymać — zauważył kanonik — i przysporzyć korzyści tym, kto nam dobrze życzy...

— Tak, tak, kto nam dobrze życzy — podchwycił ogół przytomnych.

— I broszy daje — dorzucił Karaluch.

Redaktor brwi zsunął, i ponuro spojrzął na dowcipnisi.

— Ty bo niepoczciwcze kpiłbyś z samego Pana Boga? — rzekł.

— Dlaczego nie?! zapłaćcie tylko...

Nieźródlny spokój, ożywiony automatycznym podnoszeniem brwi towarzyszył tym słowom Karalucha, co ostatecznie wywołało szalony wybuch śmiechu, nie wyjmując nawet kanonika. Rozmowę dalej prowadzono w języku nie



mieckim. Udzielano sobie rozmaitych wiadomości, rozpytywano o mecenasa, o Wilnie, dziewczę

tach, starce, miodach kowieńskich. Widocznie oczekiwano na kogoś najważniejszego, nie wszczymano nic o głównym celu zgromadzenia.

Dał się słyszeć głos za drzwiami, podobny do szypienia indyczego czy piwnego, z butelki. Przeplatały go jakieś wykrzykniki. Zapukano podobnie z przestankami jak Zawadjakiewicz; po otwarciu przez redaktora drzwi, zatoczyło się na środek dwóch nowych gości. Rodzaj łuny pijackiej jak od miedzi rozpalonej, płonęło nad ich czuprynami najeżonymi.

Ten, co szedł na przedzie, z twarzą zapiętego Mefistofelesa, o zwisłym nosie, oczach przy mrużonych, żółcią i cynizmem ziejącym wyrazem, zanim przywitał redaktora, szypiącym głosem zachrypniętym zadeklamował:

Kochana Anielka,

Dała mi z kufelka

Pilznerka

Tereferka!..

— Brawo! brawissimo! — zahuczało naokoło.

Idący z tyłu jegomość, również czerwony, z nosem kabłąkowato zwisłym, oczami jak w oliwie pływającymi, z sępiem pobrużdżeniem czoła pomiędzy brwiami, a wiecznym uśmiechem na ustach, — przypadł do ziemi, ujął towarzysza za kolana i wyjąkał miłośniczo:

— Władku! kochany Władku! och L.

— Ćwikło! daj pokój — zawołał Karaluch — to prawda, że robią z ciebie cukier, ale poco ty go chcesz jeszcze miodem smarować?!

Śmiechy głośnie odpowiedziały na ten doweip, a redaktor pospieszył przedstawić Ksaweremu nowoprzybyłych.

— Pan Władysław Draniecki, najznakomitszy publicysta lwowski — rzekł, wskazując na jegomości, co deklamował był przy wejściu — „nastajaszczy” russki literat...

— Całuję nóż — odpowiedział Draniecki —

a macieź wy tam w waszem Wilenku pilznerka? — i czkawka przerwała dalszą mowę — bo to widzi pan dobrodziej, to grunt a reszta zabawki...

— Pan Ćwikła, znakomite pióro, zdolność uniwersalna — rekomendował redaktor drugiego przybysza — stały współpracownik...

— Autor senników egipskich, babilońskich „und so weiter” — wtrącił Karaluch — jest zdolen w całym uniwersum zjeść polędwice wszystkie, wypić piwo...

— I po cóż ranić to serce zbolełe? — wy rzucił Ćwikła Karaluchowi, po uściśnieniu dłoni Ksawerego — wiesz jak ono kocha was wszystkich, jak tęskni za wami, jak pragnie waszego szczęścia?..

— Zmiłuj się antagonisto miodu! — zkąd ci to przyszło do głowy, że się dobieram do twego serca?!... Wiesz dobrze, słodczy nie znoszę, jakżebym mógł pragnąć znaleźć się wśród niej, i to w samym jej środku?! — Panie Ha dziewczycz! wy tam pono na Litwie jadacie boćwinę, zabierzcież sobie naszego Ćwikłę, to będziecie z niego mieli tak doskonałą, jakiejście jeszcze nigdy nie mieli?!

— Sza Kinder! — zawołał redaktor, uci szając śmiechy — proszę o należyłą powagę, kto jej nie zachowa, oberwie po „paty iey”, al bo znajdzie się za drzwiami. Radzić mamy serjo, rzecz jest ważna; polecona do wykonania tak znakomitej osobie jak mecenas z Wilna, nie zrównany nasz „zastupnyk” i dobrodziej. On nas przed głodem broni, pilnuje naszej karjery, musimy mu przeto wypłacić się z długu rzetelnie. Teraz do rzeczy. Chodzi o wypłoszenie ztąd ptaszka, raczej ubezwładnienie go w zapędach sądowych, w procesie przeciwko naszemu najlepszemu protektorowi, hr. Edwardowi Rysińskiemu. Musimy poruszyć niebo i piekło, by szkodliwe indywiduum ze Lwowa wyrzucić. — Trzebaby go czemś wystraszyć...

— Nie da się niczem zastraszyć — zauważył kapitan Zawadjakiewicz mrużąc — Don nerwetter! on sam jest wcielonym postrachem na wszystkich spokojnych obywateli, a wy go myślicie wystraszać... Did'ko z nim!... wodzić się z nim, to się brać za bary ze śmiercią...

— „Oś” prawdziwy wojak jaką subordynację czuje przed panią starszą z kosą... wtrącił Karaluch.

Kapitan z czerwonego stał się ponsowym,

podskoczył do humorysty i palnął go po karku aż klasnęło. Ten dowcip wojaka wywołał po wszechne wesele.

Ty oso przekłeta!?! — krzyknął kapitan.  
— Chciałeś zapewne powiedzieć — pszczoło?! — ciągnął Karaluch dalej — słuchaj, za raz cię pojaśnię. — Podobnyś do kudłatego

mieszkańca lasów kaukaskich, zawziętego amatora miodu. Czerkiesi, żeby obronić swe barcie, zawieszają przed oczkiem uia kłodę na łyk wym postronku. Niedźwiedź dobierając się do uia, odsuwa kłodę i sunie nos do oczka, a wtedy pszczoły go tną jedna po drugiej. Rozsierdzony marucha zaczyna coraz mocniej kłodę odpjchać, przypisując jej, że to ona jest przyczyną boiu ; aż na ostatku ta go tak palnie po łbie, że zleci na dół, do jamy z kołami. — Żebyś też sobie kiedy takiego licha nie napytał?! — „Ot ce tobi duła” za anegdote — i kapitan dał byka av łeb humorysty.

Nowe wybuchy wesołości przerwał tą razą Draniecki, biorąc stronę Karalucha.

— Terefelki, kufelki... Karaluszkowi dajcie pokój. Podziurawicie jedyny łeb jaki macie wśród siebie. Nie postępujcie jak ów sknera w bajce, co zarznął kurę, złote jajeczka niosącą. Chcecie z niego wydobyć odrazu cały dowcip— be? Pamiętajcież o bajce! A teraz szanowny rektorze, żeby sprawę honor o wie załatwić czy byś tego, tego... kufelka, pilznerka, na parlamentarkę nie wysłał?

Mruk zadowolenia przeciągnął po zgromadzeniu jak gdyby koniom owies do stajni wniesiono. Niebawem woźny w księdzowskiej rewendzie, kuso podciętej, postawił na stole re dakcyjnym makulaturą przykrytym: parę pół garncowych sztofów z anyżówką i kontuszówką, kilka łokci kielbasy z czosnkiem, laseczkę bryndzy, stos bułek i rogalków, osełkę masła w bi

bule. Brzęknęły szklanki, i stanęły dwa pół wiadrowe dzbany z przykrywami cynowemi.  
— „Mnohaja lita! mnohaja lita!” — zainto

nowało zgromadzenie pod przewodnictwem ka nonika.

— „Ruteńczyki to je fajny ujak zaczują ko rytko — zauważał Karaluch, gdy ucichło — todi tilko piznajesz”, co my za bohaterski „na cjonalytet” ?!.

— Ty! skukuć synu, stul pysk! — krzy knął Zawadjakiewicz na Karalucha — jak żyć nie będzie, to z kąd rozum przybędzie? Choć nas Rusinów jest milionów z górą, ale jakż e bez rozumu potrafimy wyrwać się z pod „hne tatt (ucisku) potrójnej siły?... Jak będziemy mieli rozum, to jednego, drugiego i trzeciego puścimy w trąbę.... Rozumiesz?

— I stanie Rutenia od Donu po Dunaj, od Skandynawskiego morza po limańskie oczere ty, gdzie się dzikie gęsi wywodzą — odpow iadał humorysta z niewzruszonym spokojem — i „todi” nad naszym „Vaterlandemtt „zrobymo nebo z solonyntt a morza z wódki; będziemy się kąpać w morzu, a potem latać w niebo, szukać ideałów..

— Proroku! dwadzieścia pięć cesarski w nagrodę.... A nu chłopci!

Na to hasło porwano Karalacha, rozciągnięto na stołku, i kapitan już zamierzał się laską odmierzyć liczbę fatalną, gdy Ksawery uznał za stosowne przeszkodzić wrażaniu przez konania, będącego zwykłym sposobem, uprzywilejowanym w kole przyjaciół politycznych

„Wyrazu”. Karaluch wyzwolony z rąk oprawczych, poczerwieniały od borykania się, usiadł na dawniejszem miejscu, i zawołał:

— Wy, rohe Bestien, dajcież przynajmniej papierosa, kiedy już „koryłki” nie można!... Widzę, że jeden brat Rusin z Litwy ma serce, a wy tylko dobrzy na posiepaków. A kiedyż zresztą do licha zbierze się W komplecie ten nasz „moczymordowski” klub, bo już mnie w gardle zaschło zupełnie ? !.

Karaluch miał w sobie widać coś rzeczywiście wieszczego, zaledwo bowiem wymówił ostatnie słowa, w progu ukazali się dwaj nowi goście, jeden cywilny, drugi wojskowy.

— Wywołałeś wilka z lasu, terefelki, ku felki — mruknął Draniecki możemy przy stąpić zresztą do rzeczy.

— Jesteśmy teraz „ganz korrekt”... Mamy szafliczek do odlewania i wilcze gardło do połykania... redaktorskiej uczty.

Gospodarz pospieszył na spotkanie nowo

przybyłych. Najprzód zarekomendował Ksawerego wojskowego austriackiego, ryżokudłatego, atletycznej budowy, z twarzą do wilczego pyska podobną, z wyfiksowanymi jak szydła wąsami Wuka de Mochowicza, rotmistrza oddziałów, do jeneralnej komendy przydzielonego. Cywilna okazał się być radcą policyjnym, Szafliczkiem po imieniu, a z powierzchowności wielce przypominającym hak szubieniczny, kudłami na strzępiony, z oczyskami porcelanowymi, ruszającymi się jak u figur zegarowych. Mówili obaj

O!

jakąś łamaniną czesko-polsko-niemiecką, w stylu czarno-żółtym, biurokratycznym.

— „Nu ja, „przechodził in der Gasse” z Rittmeistrem Wuk de Mochowicz — mówił Szafliczek — „sou, instinkt nam podiktował zejść do „lobliche Redaktion”.

— „Warhaftig sou pan dobrodzeu — po twierdził rotmistrz, witając wszystkich jakoś z góry, protekcyjnie — instinkt nam podiktował, odwiedzić braty Słowiany.

— Terefelki, pana radcy i rotmistrza istnie nam brakowało — wtrącił Draniecki — bo nie wiemy jak podwójną trudność pokonamy, nie tylko tych dwóch dzbanów, dwóch sztofów, ale i podwójnie delikatnej pozycji naszej sprawy, która jak się zdaje, bez podwójnej interwencji cesarsko-królewskiej policji i jeneralnej komendy niemożliwą do załatwienia godziwego okazuje się... „mifeńkich, krasneńkich...”

— „Harno, harno”, panie dobrodzeu — od powiedział Wuk de Mochowicz szeroko uśmiechnięty jako prawdziwy Kroat — już będziem to jakoś „abfertigen”...

Dalszym wynurzeniom uczuć i poglądów przeszkodziło łykanie napojów i czmakanie chleba, przy spożywaniu darów bożych. Jak w otchłanie lejącej gorącej gejzerów krainy Yellowstone zapadają wrzące strugi, również ni knęły w czarnych jamach ustnych spółbiedniaków gorące napoje, dobijane chroboczącymi bułkami w zębach i mlaskającymi o podniebienie kielbasami, masłem, bryndzą. Szczęki tak doskonale odbywały swą funkcję żucia, że pra

wdziwie aż trzeszczało za uszami. Te jądło  
zujne głosy był przerywane przeciągłemi: aaach!  
lub cliuuu! gdy przychodziła kolej na „kon-  
tuszkówkę, lub „anyżówkę”. Milczenie uroczy-  
ste panowało, dopokąd nie zapieniły się szklanki  
szlachetnym „pilznerem”, bawarem z Pilzna.  
Przy złotopłynnym piwie zakurzone cygara, pa-  
pierosy, a byli i legalisci jak radca Szafliczek,  
Deszczański i kanonik, którzy się lojalnej fajki  
na długim cybuchu trzymali. Niewymowna woń  
dymu, czosnku, anyżu, piwa, bryndzy, zamieniła  
przybytek redakcyjny na klasyczną świątynię  
z godłem wiechy... Coraz gwarniej i parniej by-  
ło, a dowcip ruteńskoczeskoniemiecki rósł jak  
na drożdżach; — ile razy wyleciały: „szwejn-  
kerl”, „hundeseele”, „skotyno” itp. metafory,  
natychmiast następowały po nich: klapsy po  
„patylicy”, „bykiu”, „kuksańcy”, „ślimaki”, po  
krywane w swą kolej wybuchami śmiechu nie-  
tłumionego.

Karaluch jadł i pił za wszystkich nie za-  
pominając obracać językiem w gębie, za co wiel-  
biciele jego dowcipu raz po raz darzyli go do-  
tykalnymi dowodami miłości, wyjętymi z chłopsko-  
żydowskiego katalogu okazywania sympatji.  
— Uwędzimy tylko i zaczadzimy jak zwy-  
kle gościa — rzekł napółserjo — i na tem się  
podobno wszystko skończy... Nasza trzódka  
przecie też jest galilejskiego pochodzenia i umie  
doskonale naśladować panów niedolaszków w  
sztuce robienia tak, aby nic nie zrobić?!  
— Terefelki, kufelki masz jeden za wszyst-  
kich głowę — dodał Draniecki, chłonąc dzie-

siatą czy jedynastą szklankę pilznera — podo-  
bno z przed nosa uleciał nam porządeczek  
dzienny...

Redaktor, choć się zwijał pomiędzy gośćmi,  
dobrze słyszał ostatnie słowa, zawrócił do Dra-  
nieckiego, i ująwszy go pod ramię, wyprowadził  
do sąsiedniego pokoiku, zarzuconego: stosami  
makulatury, próżnemi butelkami, próżnemi la-  
seczkami, umeblowanego stołem z desek i  
dwoma stołkami o kulawych nogach. Był to  
parloir redakcyjny.

— Wybaczcie panie Władysławie — rzekł  
redaktor — wiem, wam pilno, ależ pamiętajcie,  
że reszty bydła nie pociągniemy za sobą, do  
póki się to nie nazre i nie napije?... Liczę na

was przedewszystkiem... Wszak wiecie, o co chodzi nam?

— Wiem, nadesłano mi z boku o tem wia domość... Chciałbym wiedzieć tylko, co myśli cie poczynać ?

— Bardzo prosto, chcemy was prosić jako najlepiej zestosunkowanego z c. k. policją i je neralną komendą, abyście byli łaskawi pomówić, i nakłonić do spółdziałania Szafliczka i Wuka.— Wasze półoficjalne stanowisko w obec rządu...

— Terefelki... stanowisko stanowiskiem, ale trzeba je na nowo wzmocnić przez... posmarowa nie... he ! he ! he !... rubelkiem...

— Tożeście się obowiazali mieć każdą sprawę za wspólną z wielkoruteńską ?...

— Która dla mnie jest wtedy wielką, gdy daje wielkie korzyści... Zresztą, co tu „bajtło

wać" napróżno: „Geld auf Tisch, to będzie i Fisch" ....

— Alei ja, dalibóg! nic nie otrzymałem. Zarazbyśmy poszli do podziału... Znacie moją naturę... Wstyd gości łupić na wstępie, mogą się zrazić, i poszukać kogo innego...

— Niech szukają, terefelki, wieczorek sam będzie kosztował setkę... Rosja bogata.

— Zmiłujcie się! a na rany Chrystusa, co wy panie Władysławie ? Tu nie ma nic z Ro sją !...

— Nie inaczej, setkę, seteczkę, lubeczkę... Redaktor potarł czupryny i jednym susem stanął przy drzwiach.

— Ojcie Dereniowski, a ojcie! — wołał, a gdy kanonik wszedł do parloaru, dodał — za rznąć nas chce pan Władysław. Żąda za na mówienie tych dwóch... Szafliczka i Wuka; setkę!

— A miejcież Boga w sercu! — perswado wał kanonik — wszak to Sierockie narodowe pieniądze, a z kąd my do tego przychodzimy, żeby tak wielkimi sumami rozporządzać?... Zmiłuj się!...

— Terefelki, litanji nie potrzebuję — od powiedział Draniecki flegmatycznie — ale do kumentów, kurs w kraju mających, z dobrymi wodnemi cyferkami... Kompromitacja u rządu za przekupstwo urzędników cesarskich... Zastanów cie się?!

— Aj! aj! nie zarzynajcież?... Dziatki, że na, wydawnictwo — płąć i płąć, a z kąd tu wziąć ?

— Kamieniczki tymczasem wyrastają z ziemi jak grzybki po deszczu... Kufelka, pilznerka... jeden pracować nie może; dacie mi do pomocy Karalucha i kapitasia.

— A zmiłuj się! te wory nie napcliane, a do czego to potrzebne?... Radcy dwie setki, Wukowi tyleż, zkądże ja to wszystko wezmę? Jak się jeszcze wpiją te pijawki „moczymor dowskie”, zdierycy, duszę przyjdzie się oddać, skórę z żywego zedra... aj! aj L.

— Fundusiki wasze wystarczą, nie zban krutujecie... Terefelki... kufelki...

— Co za fundusiki? — golizna święta, za dnych dochodów, pustki jak u szczurów kościelnych!... Powstanie dawno się skończyło...

— Ruina, bankructwo... Nie dorzynajcież tępym nożem! — dorzucił kanonik.

— Nożyk, nożyczek?! tu walka o byt, prąd twarda, nie fantazyjki, fantazyjeczki... Wszak do warchołów — półgłówków nie należy, żebyśmy mieli wierzyć we wspaniałomyślność, hojność i temu podobne tromtadracje?... Terefelki, kufelki, karbonadelki, serdelki... seteczki potrzeba...

— Macie kamienne serce — mruknął redaktor, wydobywając setkę z pugilaresu i podając ją Dranieckiemu.

— Ale nie dla Anielki, Anieleczki — odpowiadał Draniecki, chowając banknot do kieszeni od kamizelki — dla tej szelmeczki mamy serdusieczko... A teraz dla przyjaciół — o Cwi Kielce nie zapominajcie, bo i on mi bardzo po

trzebny — po dziesiąteczce, na osóbeczkę... te refelki, kufelki...

Redaktor aż się zatrząsł, ręce załamał; stawy chrupnęły; kosmate oblicze nastroił jak by miał umierać i pożreć stojącego przed sobą Dranieckiego z uśmiechniętą miną, ćmiącego cygaro i popijającego „pilznerka”, parę razy przy noszonego przez woźnego w rewerendzie. Po za klęczkach i targach długich Draniecki dostał po „piątce”, zamiast „dziesiątki”, na każdego ze



swych współpracowników, które zaraz, wyszedłszy z parloaru, porozdawał komu należało. Zawadjakiewicz był wzburzony, biorąc do ręki tak skromny datek, ubliżający wedle niego jego exoficerskiej godności. Draniecki był z nim jednak bez ceremonji.

— Suum cuique... godelko to naszego państewka; honorowanym bywa każdy podług swej zdolności — kto za głowę, a kto za kark i pięści... Pójdzie dobrze, to dostaniecie na „pilznerka” — zresztą, to zadateczek. A obiecanka hrabiowska, za nic że ją macie?...

Zawadjakiewiczowi łysnęło w oczach jak wilkowi, ale zrobił potulną minę baranka wiedzionego na rzeź. Wkrótce stanęło, że towarzysstwo musi się wynieść na zwykłą wieczorną ucztę pod Raka. Zapraszał wszystkich Draniecki.

— Proszę łaskawców pod Raczka, Raczusia, na sznycelka i kufelka — mówił kiwając się na nogach.

— W raku nasz prawdziwy symbol — wtrącił Karaluch — bo jak nogi poszwankują, to poleziemy na raku...

Podochoczone towarzystwo gwarnie posunęło przez „szkarpy”, i niebawem znalazło się na wiekiście zapyłonej ulicy Łyczakowskiej, przy której mieści się znakomity zakład „pod Rakiem”. To ustronie ma ocieniony kilkunastu młodem drzewkami dziedzińczyk, szumny tytuł o gródka noszący, i jest ulubionym przybytkiem towarzystwa z rodzaju przyjaciół „Wyrazu”. AVkroczenie na dziedzińczyk ożywiło kółko. Za pewne do tego musiała się dużo przyczynić mowa germańska, hałaśliwie panująca za stołami, kuflami gęsto ustawionemi.

Ksawery szedł pod rękę z Dranieckim, i półgłosem odpowiadał na liczne zapytania, wcale trzeźwo zadawane przez znakomitego publicystę, ledwo nogami suwającego.

— Chce więc kochasia Edzia całkiem za dziobać? — mruzczał Draniecki — alez to nie łatwa sztuka, tu, u nas!? Śmiały, śmiałeczek, chciał bym go oglądać?

— Nie będzie to trudno — odpowiedział Ksawery — jestem z nim dobrze, i to nawet bardzo. Sprowadzę do obejrzenia na punkt oznaczony.

— He! he! cieszy mnie to bardzo poznać tak inteligentnego współpracownika na niwie prac pozytywnych... terefelki, kufelki.

Draniecki w roli amfitrjona zapraszał go

ści, którzy jakby nic dotąd nie mieli w ustach,  
wzięli się do wieczerzy, zaczynając od wódki.  
W miarę przybywania na stół rozbratli, bif  
sztyków, polędwic, rosło ożywienie, a od gło

śnego rozgwaru ai płomyki w chudych latar  
kach zaczęły podskakiwać.  
— Widzicie kochani współbracia — mówił  
Draniecki — jak się to nasza familijka trzyma  
kupki... terefelki, kufelki.  
— Epicuri de grege porcus — wtrącił Ko  
raluch — zawsze ma pociąg nieprzewycięiony  
do kupki... żeby świecić przykładem solidar  
ności.

Ta odpowiedź niezupełnie przypadła do  
smaku Dranieckiemu, który szypiał, krztusił się  
i udawał w ogóle wesołego, aby stać zawsze na  
wysokości cynizmu filozoficznego, choć go gnie  
wała poufalskość humorysty. Odwracał żądło dow  
cipnisią, strzelając wzrokiem wyraziście w stronę  
redaktora, który jadł i pił za dziesięciu. Wido  
cznie nie dając za wygrane popędowi odwetu,  
za wydartą setkę, Deszczański, postanowił zem  
stę wyrzucić na bifszytkach i rozbratlach Dra  
nieckiego. Szafliczek i Wuk z niemniejszą żar  
łocznością chłonęli mięsiwo, zakrapiając winem  
i pilznerem.

Do tych ostatnich Draniecki przysiadł się  
z kolei, i po cichu konferował. Żywa gestyku  
lacja, miny znaczące a na ostatku lekkie pota  
kiwanie głowami, dawały do zrozumienia, że za  
łatwienie sprawy odbywało się na korzyść ain  
fitrjona.

Uczta coraz się gwarniejszą stawała, pło  
myki coraz niespokojniej skakały w latarkach,  
gdy na progu ogródka ukazali się nowi goście,  
i wprost podążyli do stołu kółka „Wyrazu.”  
Ksawery osłupiał na ich widok.

Byli to Świętosław, Witold Raudoński i  
jakiś blondynek czupurny w kalabryjskim ka  
peluszu na bakier.  
— A co czy mam węż? — wołał ostatni,  
wskazując na stół współbiesiadników „Wyrazu.”

— ?e snycerz powinien być fizjognomistą, wiem o tem — odpowiedział Witold blondyno wi — ale że ty jesteś Lawaterem, o tem nie wiedziałem ?!

— Nie lubię stroić się w pawie piórka — odpowiedział blondyn — powiem ci otwarcie, widziałem z rana pana Ksawerego z Rysińskim, domyśliłem się więc od razu, że go wieczorem znajdę wśród jego przyjaciół politycznych...

— Kto są ci panowie ? — zapytał Świętośław blondyna.

— To jest prześwietne kółko „Wyrazu”.

— Jak to, i on przestaje z nimi? — i u Świętośława wystąpił mars na czole.

Nie miał czasu odpowiedzieć na to blondyn, snycerz Krasowski, kolega z akademii monachijskiej Witolda, wielce popularny we Lwowie, gdyż stanęli o krok od Ksawerego. Archeolog przyszedłszy do siebie, powstał z siedzenia i wyciągnął rękę do Świętośława.

— Wybaczcie kochany panie Świętośławie, bełkotał zakłopotany, że się nie stawilem na czas u naszych kochanych pań... Wycieczka moja naukowa zetknęła mię przy pośrednictwie hr. Edwarda z tutejszemi znakomitościami literackimi — i zwróciwszy się do współbiesiadników, wskazując na Świętośława, zawołał — pa

nowie! rekomenduję wam mego ziomka, pana Świętośława Chrobrskiego...

Wrażenie tych słów na biesiadujących może naby porównać do tego, jakiego doznaje zgraja hyjen gończych, ucztujących na trupie świeżo upolowanej antylopy, wobec lwa, wyskakującego z zarośli i stającego oko w oko.

— Pan Draniecki! — rekomendował Ksawery — najznakomitszy publicysta...

Lwi mars na czole Świętośława zamienił się na wyraz głębokiej wzdargy. Dalsze słowa zamarły na ustach Ksawerego. Podniesiona ręka w powietrze Dranieckiego opadła pod stół, nie doczekawszy się dotknięcia rekomendowanego.

— A to chyba nie wiecie — rzekł Świętośław wyraziście do Ksawerego — do jakiego wpadliście towarzystwa? Ostrzegam was, nikt z porządnych ludzi na lwowskim bruku z niem nie przestaje. Składa się ono z jadowitych szumowin literackich, trujących opinię publiczną, siejących waśń w rodzinie polskiej i demoralizację w społeczeństwie, za srebrniki Judaszowskie z gadzinowego funduszu moskiewskiego. Mruk groźny zaczepionych był protestem

na te obelgi w twarz rzucone; rósł on w miarę  
zuchwałej mowy przeciwnika, aż się na ostatku  
zamienił we wrzawę. Dosyć wszakże było spoj  
rzenia tego ostatniego, rzuconego w koło i ru  
chu ręką, aby całkiem ucichł jak u zwierzęcia  
na widok laski pogromcy. Wuk jeden pobrzęki  
wał pałaszem, ale i on nie miał odwagi prze  
mówić za pokrzywdzonymi, wobec wzroku wy  
zywającego, latającego przed oczyma jak ostrze

miecza karzącego. Nawet kelner lecący z miną  
tryumfatora, z trofeami artyzmu swego kunsztu,  
z pół tuzinem kufli musujących w każdym ręku,  
stracił zacięcie i szlachetne grona wstydliwie  
nieco opuścił.

— Panie zaciekawione listem przywiezio  
nym przez pana od państwa radcowstwa — mó  
wił Świętosław do Ksawerego wśród ciszy głę  
bokiej — upraszają, abyś zrobił im ten zaszczyt  
i jeszcze dzisiaj je odwiedzić zechciał...

— Ależ bardzo mi to miło — jękał Ksa  
wery — przepraszam, przepraszam szanownych  
panów — mówił do Dranieckiego, Deszczańskie  
go i reszty współbiesiadników — jak widzicie  
rzecz nagła, muszę nolens volens opuścić ich  
miłe towarzystwo... Służę moim kochanym  
panom.

I Ksawery jak zmyty, pomrugując znaczą  
co do towarzystwa „Wyrazu”, cofał się ku  
drzwiom, poprzedzony przez Świętosława z to  
warzyszami, ktuk i brzęk kufli, opuszczanych  
na stół przez kelnera, oprzytomnił dopiero  
współbiesiadników, pozostałych na polu walki.

— Nu, nu, „takoj frajdacji” dawno nie mie  
liśmy — wymówił Karaluch pierwszy.

— „Leaderek, leadereczek,” zdemaskował  
zuszka — dodał Draniecki, chłonąc pół kufła  
odrazu — czyż to nie doskonały egzemplarz  
„einen staatsgefährlichen Individuums?”.. Co  
pan radca na to?..

— Nu ja, będziemy wideli „bald” — od  
mruknął Szafliczek, ćmiąc zawzięcie fajkę.

— Nie zapominajcie wszakże o tem — sze

ptał Draniecki radcy — że protektorka syrena ma protektora w jaśnie oświeconym marszałku. — To jest bardzo serjorne, ale będę ja koś dawać radu... „Staatspolizei" i pan hofrat nie dadzą się długo wodzić za nos... Trzeba tylko dowody mieć dobre... Rozumiecie Herr von Draniecki ?..

— Terefelki. kufelki... pomagaj sobie, a Bóg ci pomoże... be! be! zdrowie pańskie!.. I Draniecki stuknął się kuflem o kufel Szafliczka; w ślad za nim pośpieszyła reszta to samo uczynić, i wrażenie przykre pierzchnęło z towarzystwa. Zaszumiał na dachach wicherek, zaszeleściały liście obwisłe, fale kurzu zaczęły spuszcząć się na głowy razem z kawałkami papieru, żdźbłami i strzępkami nie wiedzieć czego.

— A nie widzicież jak „didko" zaprasza nas na wesele do „Piełka ? !u — zawołał Karaluch dopijając kufła — abo co ?!.. taj tylko.

— Terefelki, do naszej Anielki, do „Jaskini", do jaskinieczki — przerwał Draniecki — będziemy u siebie jak w niebie...

Podczas gdy towarzystwo z pod "Raka" wybierało między dwoma kawiarniami. — Piełkiem i Jaskinią, Świętosław z towarzyszami prowa dził Ksawerego do hotelu na Marjackim placu, gdzie mieszkała Bronisława z ciotką Kamillą. Powodem przybycia do Lwowa Bronisławy stał się proces, wytoczony jej o sukcesję galicyjską po ciotce Rysińskiej przez hr. Edwarda, który w skutek dobroduszej łatwowierności radcy Pieślaka, dowiedziawszy się o tem, że metryka

ślubna rodziców sukcesorki spłonęła w pożarze, skorzystał natychmiast, by zapoznać sądownie sierotę. Świętosław towarzyszył jako prawny doradca i opiekun, legalnie zamianowany przez sądy wileńskie, na mocy plenipotencji radcy Pieślaka, ogólnego opiekuna Bronisławy. Sprawa była tego rodzaju, że Bronisława musiała stanąć osobiście przed sądem lwowskim. Interes zaś hr. Edwarda wziął na siebie Wenziaholski, w tym celu przybył obecnie z córką Alicją do Lwowa; traf niby zrządził, że stanął w jednym hotelu z Bronisławą i Świętosławem. Nikt sobie nie zadawał trudu zbadać, jaki to zbieg okoliczności spowodował jednocześnie przybycie z mecenasem Ksawerego?... Ochłonawszy od pierwszej konfuzji, Ksawery, usiłował widocznie zatrzeć złe wrażenie, jakie wywołało jego znalezienie się w tak po dejrzanem towarzystwie jak kółko „Wyrazu."

— Ten Edward zawsze mnie musi ładnie ubrać — mruczał półgębkiem do postępujących w milczeniu znajomych — prawdziwie, nieraz się gniewam na moją łatwowierność. Wpadłem teraz w jakieś towarzystwo, nic wspólnego nie mające z celami obecnej podróży. Szukam śladów prahistorycznych naszych wielkich przodków słowiańskich, a on mi, zamiast archeologów, jakichś dziennikarzy rekomenduje! Zaiste to smutne — dodał Krasowski.

— To prawda — potwierdził Witold — a dokądże to bogi prowadzą, szanowny poeciementarny? Na śmierć zapomnieliśmy cię o to na wstępie zapytać.

— Lekko traktujesz, bracie, jedną z najdonioślejszych gałęzi wiedzy pod względem naukowym. Tak jest, mój drogi przyjacielu. Pielgrzymka moja obecna odkryje nowe horyzonty etnograficzne... Jadę do Zmurszały, gdzie mamy rozkopywać kurhany, podobno z epoki kamiennej. Takiego odkrycia od czasów Czarneckiego nie pamiętają uczeni badacze prahistorycznych gnieździsk dzieci Słowa. Mamy za miar sprostować arskolecki rodowód Malinowskiemu, i zastąpić go fińskoturańskim, daleko prawdziwszym, dającym się dokładnie sprostować na głównych mitach altajskich...

— Podzielam zupełnie zapatrywanie pańskie — przerwał Krasowski — ośmieliłbym się jednak zrobić jedną uwagę.

— Proszę, proszę...

— Nie znasz pan dokładnie gruntu społecznego, nowego żywiołu galicyjskiego, jak tego świeżo mieliśmy dowody. Napotkasz u nas za paleńców archeologów, którzy z Herodotem i Tacytem pod poduszką marzą ciągle o światowej doniosłości odkryciach, a w każdym na ustroniu opuszczonym cygańskim koczowisku, po rozgrzebaniu śmietnika zarosłego, biorą stare hufnale za ostrza strzał a czerepki garnków, za łzawnice i popielnice. Możecie coś podobnego spotkać i w Zmurszałe...

Jak gdy kreta promień słoneczny porazi i zmusi do wyprężenia łapek na wieczne nieprzebudzenie, podobnież pobiegły i grubopłaskie dłoń archeologa w stronę dowcipnisiu snycerza. Wyraz zgrozy i oburzenia łyśkał na jego obli-

czu szerokiem, podobnem obecnie do glinianej babilońskiej tabliczki, okrytej bruzdami klinowego pisma, oświetlonej lampką maga, wyklinającego śmiałka, co się odważył powątpiewać o prawdziwości spisanych na niej losów ludzkości...

— Drwicie z najświętszych rzeczy — wy krzyknął zresztą — o! młodzi, wam się to w głowach nie może pomieścić, że wyobrażenia na sze im będą więcej ugruntowane na najstarszych pojęciach, tem bliżsi będziemy prawdy. W pamiątkach i mitach pierwotnych, raczej w ich czci religijnej, spoczywa potęga ideału, u trzymującego ład w ludzkości.

— Pozytywista przemawia językiem ideałów, a to zkąd?! — podchwycił Witold. Ucinkowa rozmowa trwała przez całą drogę, i ustała za ledwo, gdy stanęli w progach mieszkania Bronisławy, jednego z najparadniejszych. W salonie, oprócz Bronisławy i ciotki, było kilka dam i mężczyzn, należących „do towarzystwa” po galicyjsku, czyli wyższego świata. Archeolog z niezrównanem nabożeństwem wycmokał rękę ciotki, a następnie, gdy ją całował dłoń Bronisławy, zdało się przytomnym, że już uleciał w niebiosy, by doznać słodczy obcowania świętych...

— Zabrał się, voyez ma chere, comme un ours litewski do miodu — szepnęła najrezolutniejsza z panien sąsiadce na ucho — tamci dwaj, to muszą być nie rodowici Litwini, ale potomkowie Rzymian lub Hiszpanów, zwłaszcza ce beati

Świętosław, ach! — i panienska zachichotawszy przycisnęła rękę do serca.

Reszta panien, stosownie do zwyczajów salonów „galicyjskich”, też zachichotała, nie dając sobie nawet fatygi zasłonięcia ust chusteczkami. Za to kawalerowie byli daleko oględniejsi, zachowali się milcząco. Podczas recytowania przez Ksawerego całego szeregu imion znajomych wieleńskich jak również wiadomości o nich, panie i panny, nie zadając sobie najmniejszego przymusu, zaczęły poziewać. Brzęk sztućców w sąsiednim pokoju, widokami blizkiej wieczery za ledwo zdołał uspokoić te „salonowe” napady nudów płci delikatnej.

Nie brakło niczego na stole zamożnej Litwinki. Ciotka Kamilla, czego nie znalazła w „jadłospisie” hotelowym, resztę sama dodysponowała. Wystąpienie podobne nie odpowiadało wprawdzie pojęciom o gościnności „salonów” miejscowych, idealnym, bo bez jadła i napoju, niemniej przeto wpłynęło zbawiennie na spazmatyczne usposobienie ogółu. Suta kolacja Bronisławy nie tylko ożywiła spojrzenia mężczyzn, lecz i pańien, przyczajonych na smaczniejsze półmiski jak kotki na myszki. Burczenie coraz głośniejsze w żołądkach, przypomniało gospodyniom, że czas prosić do stołu. — Moja kochanieńka baronowo — mówiła ciotka do starszej pani, okazałej postawy, z obfitem „uwłosieniem” złotawem, profilem lisim, z oczami zachodzącymi się od rozkoszy używania — proszę przewodniczyć! — Allmrik nassfi.r la rmutć — wycedziła ba

roniowa Groid de Złocińska przez zęby, i mając statycznie posunęła na czele do stołu, wiedząc na przez Ksawerego, szeleszcząc olbrzymiej długości ogonem srebrzystej sukni, podobnym do rozigranej ławy śledzi, unoszonej prądem morskim.

Baronowa była kuzynką Bronisławy po wuju Rysińskim, pochodzącym z Galicji. Jako osoba zestosunkowana z „wyższą” warstwą towarzyską, natychmiast wprowadziła Litwinki do kół „galicyjskich” najdystyngowańszych. Znużenie i apatyczność, dotknięte widelcem i nożem, zamiast różyczki czarodziejskiej, pierzchnęły wnet od towarzystwa. Zastąpiły je werwa i dowcip, wprawdzie ujęte nieco w estetyczniej szej formy niż w redakcji „Wyrazu” i pod Rakiem, zawsze jednak spoczywające na tym samym substracie rodzimym. Podniosłość z wytwornością uczuć i zwyczajów staropolskich, zastąpiły tu praktyczne poglądy poziome germańskie i szyderstwo zimne, automatyczne. Ideały salonów „galicyjskich” wyrosły na niwie modniarek paryskich, powozów wiedeńskich, stajen angielskich, kazań Goljanów, Podolskich, kart, włóczęgi zagranicznej, table dlitów a zresztą „dzennetu” Proroka... Nieznana zakordonowo otwartość i sansfagon, zaprawne pierwo bytną manjerą kamiennej epoki, pożyczoną u Niemek i wschodnich dam, dziwnie odbijały od litewskiego towarzystwa, aż do przesady delikatnego, surowo miarkującego swe poruszenia do wymagań gościnności, przechowanej jak to



widać w ojczyźnie Mickiewicza z praprapodań

księgi Manu, o czym już na innym miejscu po  
wiedzieliśmy. Pod rąbkami daleko idealniejsze  
mi, poezji i religii, spoczywają też ideały Li  
twinek...

Rezolutne „galicjanki” szturm istny przy  
puszczały do półmisków, nakładając sobie tale  
rze z czubami, po angielsku ; nie wzdrygając  
się przytem odwilżać różanych usteczek różno  
rakiem winem. Szampan wprawił na ostatku  
wszystkich w złoty humor. Bronisława i ciotka  
jedne stanowiły wyjątek, nie piły wcale wina.  
— Ty bo Bronieczko, ma petite — cedziła  
baronowa przez zęby, acz mocno rozpalona trun  
kiem — strasznie idealne masz poglądy na  
świat, to nie dobrze. Nasze panienki lepiej poj  
mują sztukę życia. Patrz na moją Fincie, qvHclle  
est drôle? !

Baronówna Fińcia Gold de Złocińska, pul  
chna blondyna z perkatym noskiem i wydętymi  
usteczkami wiśniowemi , rozigrana zawzięcie,  
dopijała właśnie trzeci czy czwarty kielich szam  
pana, ku ucieście reszty świata panińskiego.  
Podczaszym baronówny był hrabia Gogocki,  
konceptspraktykant lwowskiego namiestnictwa,  
sposobiący się co najmniej na przyszłego tajne  
go radcę, jeżeli nie ministra lub ambasadora...,  
Hrabicz, również podochocony, chwycił co chwilę  
rękę baronówny, za co dostawał klapsa no  
żykiem deserowym po zuchwałej dłoni.  
— Maman niepotrzebnie zwraca na mnie u  
wagę — odparła Fińcia rezolutnie — go to wam  
przegawronić zrzeczność dania lekcji przyzwoi  
tości panu hrabiemu...

I nowy klaps spadł na dłoń uszczęśliwio  
nego hrabicza konceptspraktykanta, który coś  
wykrztusił z gardła nakształt beczenia kozy  
połaskotanej, i poprawiwszy szkiełka w oku,  
wycedził do dna swój kielich, a odsunawszy go  
na bok jak zacytowany paragraf, przemówił  
charczącym głosem:

— Dawne towarzystwo, ów mamut pruderji

idyllicznej, jest krzyżącym anachronizmem, w obec turniury i emancypacji kobiet... Przecho waliśmy zbyt wiele tego balastu w naszej nie fortunnej nawie narodowej, czego panna baro nówna niedwuznaczne ślady pozostawia na mej popuchniętej dłoni... Niemcy przecie gładzą w to warzystwach swe panienki, my tymczasem nie możemy rączki nawet dotknąć?!

— Polisson! fi clone ! — krzyknęła podo chocona płeć piękna, zalewając się śmiechem. Hrabicza dłoń znowu pobiegła do rączki Fińci, ułożonej z niewymowną gracją na ser wetce obok kielicha z szampanem.

— Podwójnie masz być za to ukaranym, comte i dwa klapsy klasnęły — najprzód za nieprzyzwoitość, a powtóre za porównanie nas, Polek, do Niemek.

— A czemu są gorsze Niemki od Polek ?— odpowiedział hrabicz — Makart przecie robi na nich studia?... Zresztą panowie artyści, tu obe cni, niech tę kwestję rozstrzygną; gdyż co do mnie, nie widzę najmniejszej różnicy?! Pytanie to dało powód do ożywienia roz mowy rozmaitemi przezroczytymi dowcipami i przymówkami ze strony mężczyzn, na co odpo

UU

wiadały damy parsaniem, przeplatanem uda nem oburzeniem. Wino odsłoniło prawdziwe skłonności płci pięknej, miejscowego chowu. Kwiatki „salonowe” pod wpływem gorącej tem peratury w żyłach, powoli zaczęły się przeista czać na pospolite, zaludniające grzędy ludowe.— Nie mówiąc o Świętosławie, ale nawet rezo lutny Witold, był jakoś tą zmianą wcale nie mile dotknięty. Wyręczał ich obu Krasowski, skuzynowany z baronową, a dobrze świadomy zwyczajów „salonów” lwowskich.

— Boję się tylko, żebyście panie nie po stąpiły ze mną jak z Akteonem bogini Olimpu— rzekł — nie mniej przeto sumienie artystyczne każe mi całkiem stanąć po stronie hrabiego conceptspraktykanta... Nasze panie, zwłaszcza tutejsze, wcale nie przewyższają okwitością i zaokrągleniem form Niemki, o czym nie jedno krotnie miałem zręczność przekonać się na mo delach w Niemczech...

— Modelach ?! chute! mauv#,ise langue... syknęła baronowa parsknawszy w chustkę.

— Smutne to, ale prawdziwe — zaczął hra bicz znowu — Niemcy i Niemki na każdym kro

ku nas prześcigają. Nawet „temperament” Nie  
mek jest daleko przyjemniejszy... Trzeba się  
pożegnać z ojczystym Barenlandem, i wynosić  
nad modry Dunaj...

— Sed lex dura lex — zakończył Ksawery,  
westchnąwszy głęboko — zachowajmyż przy  
najmniej pamiątki po ojcach...

Przekonanie o nieodwołalności wyroku lira  
biego, było przyjęte więcej niż z rezygnacją

widziałeś na niektórych obliczach rodzaj zado  
wolenia, że przecież raz zerwano z przesądem  
uciążliwym. Rezolutna fantazja, podniecona  
winem, wcale nie okazała zdolności do zapro  
testowania w imię godności osobistej, uległa  
przed wywodami logiki pozytywnej. Teorje do  
brobytu i pozytywizmu, rodzicielki pesymizmu,  
kierujące obecnie opinją publiczną w Galicji,  
wypisały przed nią głoski baltazarowe — Mane,  
Tekel, Ufarsin, potrzebę kapitulowania przed  
germanizmem, rozebrania się nawet z ciała do  
tychczasowego... Musiało jednak w tym pomy  
śle samograbarskim być coś bardzo strasznego  
na dnie, bo po chwilowem zapomnieniu, nastą  
piło wytrzeźwienie, i rozbawione towarzystwo  
umilkło jakby makiem posiał.

Bronisława rzuciła wzrokiem niespokojnie  
w stronę Świętosława, pogrążonego w smutnej  
zadumie.

Coś nakształt wężyków piorunowych nagle  
ożywiło jego twarz, gdy wzrokiem spotkał fijoł  
kowe źrenice strwożone; ironją, gniew i wzgar  
da wylatywały na przemian z jasnego oka. Spoj  
rzał parę razy na gwiazdę przez okno, i wnet  
jakiś smutek spokojny osiadł na jego obliczu.

— Kto życie pojmuje jako szal zapustny —  
zaczął wolno — skarbnicę niewyczerpaną uży  
wania uciech zmysłowych, zapewne przystanie  
na teorje samobójstwa narodowego. Kto oddaje  
w okowy materji ducha, ten o niczem innem  
nie będzie myślał, jak o niewoli, chociażby ta  
go miała zawieść na dno nędzy i poniżenia...

Na Galicję całą niepodobna odpowiedzialności

ściągać za to, co tu słyszymy; w każdym razie smutno coś podobnego słyszeć w kraju, mającym nibyto konstytucję...

Towarzystwo miejscowe poruszyło się na krzesłach, kobiety wyduły usta wzgardliwie, a hrabicz czerwony jak ogień z początku, wybuchnął na ostatku śmiechem.

— Cha! cha! cha! nie wiedziałem o tem — zawołał — że wśród nas mamy rewolucjonistę, głoszącego idee przewrotu...

Błękitne oko Świętosława spoczęło nieruchomie na twarzy hrabiego Gogockiego jak miecz, przystawiony do gardła, i zamknęło usta rozigrane. Nie tylko hrabia zamilkł i rumieniec mu znikł, lecz same mięśnie na twarzy obwisły jak u trupa, a oko stanęło słupem; drżenie ust zdradzało, że przecie jeszcze żyje...

— Prawdy szlachetne są niedostępne dla nikczemników — i Świętosław coraz nieubłaganiej zatapiał wzrok w Gogockim — ale ty tylko spotkałem jawnych popleczników niewoli dla niewoli... Słusznie też nazwałeś panie Gogocki idee moje przewrotowemi, tak jest, przewracają one sumienia zbrukane i umysły spodłone... Aristofanes i Molier wyśmiewali podłość i tchórzostwo, wy zaś jedni okazaliście, że potrafiście ośmieszyć szlachetność i bohaterstwo szczytne!

Hrabicz zamienił się w posąg milczenia, pobielał jak słup marmurowy, mówiąc artystycznie, a realistycznie stał się podobnym do łopaty zastygłej; zapomniał nawet ustami poruszać. Było coś niewymownie groźnego a zarazem

obrzydliwego w tem widowisku. Towarzystwo, gdy oprzytomniało, wnet doświadczyło tego uczucia, i niezwłocznie opuściło dom, gdzie doznało tego wrażenia. Pożegnania były nader czule, ale widocznie przebijają nas przez niezawziętość i pragnienie zemsty za doznane obojętne.

Schodzili wszyscy na dół w głębokim milczeniu, dopiero na ulicy humor powrócił. Gogocki pierwszy przerwał milczenie, podając wiadomość o projektowanych u namiestnika rautach, balach, piknikach, wyścigach, Fińcia spoglądała na niego zagadkowo, a następnie przytulona do matki, rzuciła mu w twarz:

— Ach! ten Litwin, to cały poemat bohaterski, owiany czarem poezji młodzieńczej...

— Typ, jakich nam brakuje — dodał Krausowski, zwrócony w stronę Gogockiego.

Baronówna zachychotała. Hrabicz bełkotał potem ani w pięć ani w dziewięć. Panie siadły do powozu i zniknęły zaśmiawszy się na pożegnaniu. Arystokrata konceptspraktykant, ścigany tym śmiechem, popędził do pierwszej lepszej knajpy nocnej, zatopił w hulatyce przykre wrażenia.

Pozostałe w salonie towarzystwo wileńskie ze smutkiem rozważało stosunki galicyjskie. Ksawery winnował i dziękował naprzemian Świętosławowi, że wypowiedział ostrą prawdę arystokracji, a wycalował rękę gospodyń, opuścił hotel. — Po nim wyszedł Witold, ale zanim opuścił mieszkanie rodaczek, zalecił im, aby odwoziły Świętosława od dalszych walk.

— Niech go panie dzisiaj ztąd nie wypuszczają — mówił — ma on mordercze usposobienie; po zabiciu tutaj tego prześlicznego „go gau, gotów raz jeszcze gdzieś spotkać się z jakim niedźwiedziem rakuskoruteńskim, co go naostatku rozszarpie, wprawdzie nie pazurami, ale daleko straszniejszą bronią — denuncjacją. Panno Bronisławo! proszę go aresztować, bo inaczej stracić możesz opiekuna i zastępcę sądownego.

Po wyjściu Witolda, gdy pozostali Bronisława, Świętosław i ciotka Kamilla, zaczęły się długie narady i wymiana wiadomości w sprawie procesowej, wchodzącej jakby na zupełnie dobrą drogę. Potrzeba było odczytywać pewne dokumenty, świecące wprawdzie dowcipem paragrafowym, niemniej przeto usypiające, które tak zmęczyły naostatku ciotkę, że ta przeprosiwszy udała się na spoczynek.

Było po północy, gdy się czytanie skończyło. Cisza zupełna panowała na ulicy. Przez otwarte drzwi balkonu załatywała fala woni akacji, kwitnących na Hetmańskich wałach; szemrała woda w studni z Matką Boską, bielejącą w półświatle wśród zieleni Marjackiego skweru i błogosławiącą, zdaje się, miastu uspijonemu, co ją niegdyś koroną ziemską ukoronowało.

Niewysłowiona rozkosz owładnęła istotą Bronisławy. Oko jej spotkało wzrok Świętosława, i dreszcz błogi piorunem wstrząsnął dzievicze przyrodzenie. Dusze delikatne mają wędzidło mocniejsze na zmysły od brutalnych; w upojeniu miłością, zamiast popuścić cugle popę

uuui mzym, wnet stają na stopniu uostwienia i troskliwości przedmiotu ukochanego. Niepokój o przyszłość Świętosława owładną sercem Bronisławy.

— Mam tyle do zawdzięczenia panu — mówiła drżąca — że daje mi to prawo poniekąd czuwania nad nim jak nad bratem rodzonym. Czy pozwolisz sobie zrobić pewną uwagę, co do bezpieczeństwa osoby ?..

— Piękniebym wyglądał, gdybyśmy się rolami zamienili? — i duma szlachetna z wdzięcznością, tryskająca dowcipem rycerskich załótów, zajaśniała w oku błękitnym mówiącego — chcesz pani być moim stróżem? dobrze, ależ ja nie mam prawa przyjmować tej posługi od nikogo na ziemi, chyba od anioła stróża?..

— Bierz pan to na serjo, co powiedziałam... Musisz oszczędzać się na przyszłość, omijaj starannie tutejsze towarzystwo, bo robisz w niem dla siebie samych wrogów, gotowych na wszystko, byle się pomścić za ciągle porażki moralne.

— Dziękuję za dobre serce — i ironją błysnęła w oku młodziana — chciej pani jednak wiedzieć, że na moją znarowioną naturę uwagi podobne wręcz przeciwny skutek wywierają. Nie upor, coś więcej, bo jakiś głos tajny nie daje mi spocząć na widok walki ze złem, wołając nieustannie — naprzód!... I nacóżbym zresztą innego był potrzebny na ziemi?!

W ostatnich słowach brzmiała owa łagodna ironją męzka, mocniej chwytająca za serce kobiety po nad wszelkie sentymentalne pieszczoty, zaklęcia i pochlebstwa, broń pospolitych

kochanków. Przez usta jego przemawiał niby zaklęty mieszkaniec stref nadziemskich, chwilo wo obleczonej we wspaniałą powłokę ziemską, będącą wszakże karykaturą w porównaniu do tajnej, ukrytej w przepaściach blasku, jasności, wdzięku, świeżości, uroku... Bronisławie dech zamarł jak przy oglądaniu świetnego meteoru, przerywnego ciemne sklepienie niebieskie. Przeczuli kobiecym instynktem wielką nowinę, co duszę jej olśni nieznanym dotąd blaskiem miłości.

— Chciałażbyś mię widzieć innym?!.. Czemu

że byłby miecz, gdyby go chciano obrócić za narzędzie do rąbania cukru lub krajania chleba?!  
Czyż lew i tygrys przychodzą po co innego na świat jak nie dla rozdzierania innych zwierząt?!  
Czemże innym jest człowiek przewrotu, wyzywający nieustannie nieprawdę i zło do walki?!  
— Nie chcę żadnej zmiany, chcę widzieć pana zawsze takim, bo twa dusza jest tysiąc kroć piękniejszą od tej, co umiłowiała spokój i ciszę — i śliczny rumieniec oblał marmurową twarz dziewicy.  
— Ta pochwała z ust twych, panno Bronisławo, jest dla mnie najwyższą nagrodą, je dyną jaką gotów jestem przyjąć na ziemi.... O żadnej innej nie śmiem marzyć.  
— Dla czego ?...  
— Bo gdzieżbym ją znalazł na ziemi ?...  
Chyba w sercu kochającym, coby stopniało w mej piersi rozpalonej, płonącej ogniem, co każe drzeć i blednąć słabszym, delikatniejszym na turom; gdyż przy blasku jego gasną rozkosze

pieszczot dzieciennych, tęcze obrazków sielankowych, słodyczą uciech niewinnych lub rozkoszą spokoju przeplatanych... Któż się odważy na takie ofiary? gdzie jest to serce, coby przyłgnęło do mego, gromami prawdy mówiącego, rozlubowanego w szale burzy, a niezdolnego do nie winnego pochlebstwa kochanka, wynurzania po etycznych łkań miłości rozmarzonej?... Spokój świata tego ucieka przedemną, a z nim razem i rozkosz używania...

Świętosław, mówiąc to, patrzył na niebo gwiaździste, a szklista powłoka lskniła w jego błękitnym oku. Bronisława wpatrzona w niego, drżąca, z powieką lekko przymrużoną, cisnęła rękę do rozkołysanego łona.

— Pomimo to wszystkie kobiety, panie, najszczęśliwszemi byłyby oddając ci swoje serca— wyszeptwała chociaż jest tyle strasznej prawdy, w tem co mówisz...

— Ciekawa rzecz, po co też przyszedłem na ziemię ? — Sługa panów nieznanych na ziemi, kapłan bez ołtarza, czciciel ideałów nie wcielonych — co ja tu znajdę ? — Praca to nie lada, a gdzież za nią nagroda ?! — Tu jej nie ma, — powiada głos ogromny. — To prawda, ależ i my ludźmi?... Trawiący nas ogień potrzebujemy na chwilę przytłumić, złagodzić pieszczotą, cichem weselem z zamiany uczuć, — by następnie mocniejszym stanąć znowu do szeregu walczących wiecznie... My jak burze ziem

skie, oczyszczające przestrzenie, uśmiechamy się.  
wprawdzie błyskawicami z pośród chmur, nie mniej  
przeto uśmiechamy się: do napojonego wonią po

wietrzą, do zroszonego kielicha konwalji, do  
kropelki brylantowej na listku, do drżącego ze  
wzruszenia dziewiczego łona, na widok groźnej  
walki żywiołów...

Łzy sypnęły się gradem z oczu Bronisławy,  
złożyła ręce na piersi jak do modlitwy.

— O! panie, każda jest gotową spłonąć w  
ogniu twych uczuć, — tobie się należą wszy  
stkie nagrody... Siła niebieska pociąga do cie  
bie nieprzewyciężenie...

Bronisława jak zmagnetyzowana przecią  
gnęła konwulsyjnie rękę i chwyciła za dłoń  
więtosława, wyciągniętą do niej. Jak w chwili  
dotknięcia, podczas ratowania z pożaru w Wil  
nie, również i teraz Świętosław wstrząśnięty  
został do głębi; z lwiego jego oblicza wyjrzała  
niby gwiazda zaranna, w głosie oz wała się ci  
cha nuta arfy eolskiej... Całował namiętnie  
śnieżyste ręce kochanki, a okiem wpijał się  
w jej fijołkowe źrenice, sypiące iskrami  
— Kochać cię muszę — wyszeptał cisnąc  
jej dłoń do swego łona.

Za drzwiami coś lekko szasnęło jakby  
mysz przebiegła. Bronisława drgnęła, spojrzała  
bystro av stronę szelestu. Cisza uroczysta na  
stała po chwili.

— Nie jestem ciebie godna, mój drogi...

Pocałunek zamknął usta na dalsze słowa.

Chwilę zaledwo trwało to upojenie; gdy try  
snawszy nagle łzami, Bronisława wyrwała się  
z objęć rozkochanego młodziana. Patrzała na  
niego wzrokiem spłoszonej gazeli, odskoczywszy  
na bok; nozdrza jej drżały, a na białych jago

dach, zamiast rumieńca, osiadła bladeść, śliczny  
warkocz lśniący spłynął falą jedwabistą na roz  
kołysane łono. Białe dłonie podniosła do góry  
jakby niemi przestoniła sobie wzrok.

— Tyś dla mnie za wielki, blask twój ol  
śniewa — szepnęła drząc.



I nie powiedziawszy nawet dobranoc, fru-  
nęła za drzwi do dalszych pokoi. Świętosław  
przytłoczony nawalem uczuć, odurzony szczę-  
ściem, zaledwo miał siły powrócić do siebie.  
Padł na krzesło przed oknem, i zapatrzył się  
w niebo; uśmiech, nigdy niewidomy u niego,  
biegał na ustach, a łza zlewała przyćmioną źre-  
nicę. Gwiazdy nagle mierzchnąć poczęły, zamiast  
woni akacyj, buchnęła do pokoju fala cuchnąca  
z Pełtwi, wiatr zaskowytał, błysnęło i wśród  
majestatycznej ciszy nocnej zagrzmiało głucho.  
Niewidzialny jakiś głos szepnął młodzia-  
nowi :

— Przyjaciel !...

Wzdrygnął się, odszedł od okna, i sam so-  
bie odpowiedział:

— Alboż jej nie opuścił? alboż mu kiedy  
oddała całkowicie swe serce? Zresztą miłość,  
gdy sama do nas przychodzi, jest najświętszą.  
Okropna błyskawica zalała potopem świa-  
tła, wężyk przedarł chmury, piorun z hukiem  
trzasnął, aż drgnęły ściany. Coraz więcej wy-  
tężonym wzrokiem pruł czarne chmury i czytał  
chciwie ogniste pismo niebios.

— Nie na ziemi...

Podpowiedział mu tajny głos duszy, mro-  
ząc tkliwe uczucia i marzenia. Straszna wróż-

no

ba przecucia nie opuszczała go, gdy padł na  
łóżko, by przechować w całej świeżości dopiero  
co rozkwitłe uczucie. Poezja i czar miłości, przy-  
kuwały młodzieńczego ducha więzami Armidy  
do rozkoszy ziemskich, usiłując go szczęściem  
znikomem obezwładnić. Walka była trudną, nie-  
jawną, tem straszniejszą. We śnie szukał bie-  
dny duch sposobu odzyskania utraconej równo-  
wagi, bez której musiałby zostać sługą grze-  
chu i trwogi, uderzyć czołem przed „księciem  
tej ziemi...” Wspaniałe widmo, z trzema sztyle-  
tami w łonie, z białym ptakiem królewskim u  
nóg, z wyrzutem skinęło w stronę uspiętego  
szermierza...

V.

W jednej z najwięcej uczęszczanych i naj-  
później zamykanych pokątnych kawiarni lwow-  
skich, w Jaskini, chociaż dzień zaczynało, pło-  
nęły światła i kilku spóźnionych habitues zale-  
gało kanapy w ostatnim pokoiku. Gawędzili le-  
niwie, zapijając gęstymi kielichami nudy zuży-  
cia. Parę dziewcząt nieszpetynych, ale okropnie  
wyniszczonych, poruszało się niechętnie koło

gości, za ledwo władzę w języku mających i nie mogących stać na nogach.

Byli to prawie sami znajomi z koła „Wy razu, rej, jak zwykle między nimi, wodził Draniecki, główny filar zakładu. Obrzękła twarz i język zkołowaciały, obok słodkiego uśmiechu mefistofelicznego, robił z niego coś szalenie dwu

znaczego. Pili pożegnalną herbatę z cytryną i czarną kawę, aby jako tako mózgi powrócić do domu. Pomimo widocznej niemocy, Draniecki usiłował uchwycić za kibić jedną z kelnerek, co mu się wszakże nie udawało, gdyż dziewczyna za każdym razem odskakiwała oburzona.

— Terefelki, kufelki... Anielciu, dusiuniu, dusiuniu, czegobo uciekasz? Czeka, czeka, dam ci za to!?

— Co mi tam!... Nic nie chcę od takiego...

— ofuknęła Anielka — niby literat?! — a pfe!

Co noc tak sobie pozwalają...

— Dusiuniu, dusiuneczko... nie gniewaj się, już ja cię za to wynagrodzę...

— At, co mi tam po waszych nagrodach...

— Taj tylko — podchwycił Karaluch, o party o stół głową.

— Milczałbyś przynajmniej pijaku! — odcięła się Anielka.

— Brawo! brawissimo! — krzyknęła reszta zachrypłymi głosami, a najgłośniej Ćwi kła, nosem, niby lakiem czerwonym do stołu przyrosły.

To wprawdzie niezbyt delikatnie traktowała gości przez dziewczęta Jaskini, było jedną z najgłośniejszych przynęt, która sprowadziła w jej progi największą ilość inteligencji miejscowej, wyższej, młodszej, starszej, orderowej; hrabiów, książąt, szlachciców, wiodących życie na urząd, podległe berłu pozytywizmu epiku rejskiego.... Rozmaite odcienie społeczne, polityczne, towarzyskie, zasiadały w zgodzie około ognisk ponczowych i ich stróżek niewestalskich.

Tytuł

Szermierz przeznaczenia : powieść

Autor instytucja sprawcza

Wołodźko Walery

Nawigacja

Wszystkich stron:

Szukaj w utworze

Dodaj zakładkę

z komentarzem

Strona informacyjna

Informacja biblioteczna

zółtkoworozolisowych kombinacji, trzęsianek, mieszanek, benedyktynek, lwowskich specjalności, pozostałych po dobrych czasach dawniejszych, lojalnych, przechowywanych w relikwiarzu bachicznym kapłanów antałka i kufla.

Wylazł gdzieś z kąta i żydek zaspany z loterją i kartami.

Pod wpływem alkoholycznego działania spleły się serca w jedno ognisko. Wrzawa i śmiechy przeplatane piskiem dziewczęcym, przybiewały coraz wspanialsze rozmiary. Werwy za bawie dodawał spór pomiędzy Zawadjakiewiczem, który niebawem przybył, odłączywszy się gdzieś na chwilę po drodze, a niezmiennym jego antagonistą Karaluchem i Ćwikłą.

Rysiński, pomimo wrzawy i nadrabiania miną, widocznie był mocno zafrasowany. Podszedł do Zawadjakiewicza.

— Cóż, czy przyjdzie? — pytał pocichu.

— Skończy tylko jakąś tam rewizję polityczną u byłego powstańca polskiego — odpowiedział kapitan chłonąc haustem poncz — i zaraz tu będzie.

— Mówiliście mu o co chodzi ?...

— Wie on dobrze; żadnego nie daje zapewnienia, dopóki nie usłyszy pozytywnego przyrzeczenia... Wtedy Draniecki resztę dokończy. Spoglądano na drzwi, a tymczasem, aby czasu nie tracić, rozpoczęto szermierkę językową. Karaluch zazdrośnym okiem spoglądający na bliższe stosunki kapitana Zawadjakiewicza z hrabią, nie ścierpiał, by nie przypiąć łatki

spółpracowników! na niwie słowiańskiego zjednoczenia, „objednienija.”

— Czujesz Zawadjakiewicz — zaczepił Karaluch — ty taki musisz być stworzony na hra

biego, że zawsze masz takie szczęście u jaśnie wielmożnych?! Carski demokratyzm wyznajesz?

— Ty „szwajnego” jeden, albo to któiy kolwiek z nas inny ? Udajemy wszyscy narodo lubców, chłopomanów, a na prawdę o cóż nam innego chodzi jak nie o karierę, o chlebuś ? Czy może być lepsze życie nad hrabskie, pańskie? Nie udawaj filozofa, bo i ty o niczem innym nie myślisz, ale niestety, nigdy do tego nie do pniesz, boś prawdziwy Ezop — takie mordy nieprzyzwoite, za nic nie mogą się ukazywać na salonach arystokratycznych!

— Mistrzu do łamania kości, uważam, że zasady swoje budujesz na niewzruszonych pod stawach hierarchji społecznej — nie należysz do Umsturtzpartei.

— Ty, hundeseele, u mnie zasada przede wszystkim, w wygodzie i mieszkui pełnym. Na głupie twoje jaszczurcze tyczki plwam. Należę do stronnictwa, co w palkę wierzy, a nie inte ligencję.

— Taj tylko; dowodzi to, żeś godzien zo stać dyplomowanym akademikiem smorgońskiej akademji...

Zawadjakiewicz jak ryś raniony, dał susa i palnął byka w łeb humoryście ruteńskiemu. Knajpa zatrzęsa się od homerycznego śmiechu; koncept był niezrównany wobec paniczów, nic

podobnego niespotykających w swych zwykłych towarzystwach.

Draniecki jakoś mruknął, nosem zwisłym pokręcił.

— Terefelki, kapitaś, masz istotnie za ja skrawe zasady, zasadeczki.

— Są to te same, które kiedyś głupią Ru tenię połączą w jedną całość nierozzerwalną, z naszą starszą siostrą z nad Wołgi, „pięstkami” dowodzącą gruntowniej od nas wszystkich swą żywotność.

— Zapewne, tak, to tak; ale tu o co innego chodziło — o teorję, teorijkę. Zasada jest duszą każdej instytucji, społeczeństwa.

— To dla panów literatów i jakichś tam polityków potrzebne: arystokracje i demokracje, autonomja i centralizm, narodowość i kosmopo polityzm, ale nie dla nas praktyków. Nasza zasada w stadniku ludzkim z tęgą palką w ręku, do zaganiania i trzymania w posłuchu bydła dwunogich. To nasza zasada!

— Kapitaś kapitalnie demonstruje — prze rwał Rysiński — wprowadzie nieco za szorstko,

ale... prawdziwie...

— Zasady są jednak trwalsze — dodał

Ćwikła — gdy są oparte na uczuciu, na popę  
dzie serca, przywiązaniu; wtedy są one zdolne  
poprowadzić naród do najwyższych ofiar...

— Ten wiecznie ze swem sercem... Tfy!

Najwyższe ofiary!! pokaż świni garść kukuru  
(lzy pójdzie za tobą do szlachtuza...

— Argument ad hominem I bravo! brawis

Ł J

simo! — zahuczało naokoło i stukano się szklan  
kami o szklankę Zawadjakiewicza.

Draniecki jednym łykiem przełknął pół  
szklanki, wyciągnął rękę do Anielki, rozlewa  
jącej napoje, ale dostawszy od niej klapsa, tyl  
ko się oblizał i pogładził po nosie.

— Terefelki, do jedności słowiańskiej tylko  
tak trzeźwym pojmowaniem sprawy publicznej—  
rzekł sentencjonalnie — dojść zdołamy... Pol  
skie romanse zbyt drogo nas kosztują, a nic nie  
dają. Unje po kapitański! pojęte, te, nie tylko  
kosztować nas nic nie będą, ale przysporzą  
guldenków...

— Czujesz ? — rubelków ? — to będzie wię  
cej patriotyczne, bo sporniejsze — wtrącił Ka  
raluch — za co upośledzacie ideę?!..

Rysiński nieco zmieszany zbytnią otwarto  
ścią zwolenników rubla, usiadł obok Draniec  
kiego, i zrobił go uważnym półgłosem, aby po  
wstrzymywał Karalucha w jego cynizmie.

— Che! che! panie hrabio — rzekł Dra  
niecki — alboż nie widzicie, że pocziwy rząd  
jest ciągle w słodkim omamieniu, wierzy, że  
my nietylko naszych rewolucjonistów utrzymu  
jemy na wodzy, ale jednamy całą Ruś zakordo  
nową? Musimy zresztą nieco wyraźniej manife  
stować się, tak bowiem przykazano z komisji  
archeograficznej... Hadziewicz powiada, że to po  
trzebne dla Prus, które mają być wynagrodzo  
ne obecnie za lojalne zachowanie się podczas  
powstania... Kto wie, co z Austrią będzie w tej  
przeprawie ?...

— Rozumiem, ależ może się spostrzedz, że coś na nią gotują?... Tego się trzeba strzedz, zwrócono moją uwagę na to z Petersburga... Ha dziewczowowi nie odmawiam talentu, ale trudno przejść odrazu z kolportera obrazów po wsiach na dyplomatę... Nie ma co, archeograficzna komisja wileńska z Głowackim oddaje znakomite usługi naszej sprawie: dobija unię za kordonem, rozbija Litwę, rusyfikując kościół katolicki i podnosząc narodowość białoruską i żmudzka — do tego zdolni tylko byli nasi, tutejsi, mający dokładniejsze pojęcie o posłannictwie Rosji od niej samej; ale na tutejszym gruncie musi być więcej ostrożną... Ależ oto zresztą i Szafliczek! Radca z wytrzeszczonemi oczyma robił przegląd uważnie, poczem uśmiechnięty i zgięty w pałąk przystąpił do hrabiego.

— Upadam do nóżek pana hrabia dobro dziej! — i dłoń wstydliwie wyciągnął do dwóch palców hrabiego.

— Pan komisarz, robisz nam zaszczyt swoją obecnością — odpowiedział Rysiński — proszę być pobłażliwym na wybryki młodości..... Krew nie woda.

— Nu ja, burszenszaftu ne majete, to dla teko.... Rząd lubi teho lepiej jak konspiracjon, to jest ganz korrekt i lojal. . . Herr von Draniecki guten Morgen!

Rysiński wnet się usunął, a pozostali zaczęli z sobą całkiem po cichu rozmowę.

— Cóż panie radco dobrodzieju, czy będzie co z naszej roboty? — pytał Draniecki przymrużywszy oka.

— Dla czego nie.... Tylko warunkuf dotrymać, bez tego nie może nic robie...

— Mielście mnie dzisiaj powiedzieć, ile potrzeba na wydatki, wydateczki? Nasz klient nie jest bogaty....

— Już my o tem wiedzal... Dawać czterdzieści półimperjal, a jak sukcesję otrzyma, drugie tyle... Herr Graf von Gogocki będzie musiał w łobliche namiestnictwie przygotować pana na radcę. Świadców od was dawać. Ale die Hauptsache, pan marszał Protection odsuwać od nculpant.

— Pieniądze dziś jeszcze złożymy na ręce Deszczańskiego, jako tego, z którym macie za wsze rachuneczki... W namiestnictwie interes jakby załatwiony. Świadców już mamy... A co

do księcia marszałeczka, to i do jego sumienia trafimy... Ale hrabiemu spieszno, kiedy możecie usunąć niebezpieczne indywiduum?

— Potrzebował z pare tygodni.

— Terefelki, ale to za długo!

— Trzeba czekać, nie można... Servus!

I komisarz Szafliczek jak wszedł ostrożnie tak wyszedł niepostrzeżenie wśród gwaru spółbiesiadników i uganiarki za dziewczętami. Zre szta jakby dla odwrócenia całkowitego uwagi spółbiesiadników, Gogocki, wpadł w zapał kra somówczy, tłómacząc kwestję zasad, powyżej podnoszoną.

— Zasady, zasady — mówił — to istotnie pustobrzmiące frazesa, nic więcej. Kto to o nich prawi V — głodni literaci i zwarjowani na patryjotyzmie... Zasady, programy, ideały, cha!

cha! cha! A do czego to one prowadzą? — do ofiar i prac bezowocnych lub wprost do zbrodni przewrotowych. Nie dopuścimy do tego, do syć tych więzów i powijków, któremi nas krępował jakiś sentymentalny patryjotyzm! Zaprowadźmy u siebie tolerancję bezgraniczną dla cudzego zdania politycznego, obiektywne, wyrozumiałe traktowanie sprawy pojednania z Rosją, słowem, wyrzućmy z porządku dziennego wszelkie szermierki o ideałach polskich i ckiej służbie dla nich, zjednajmy sobie przebaczenie u potężnej naszej siostrzycy słowiańskiej... Tego nam trzeba!

— Brawo! statysta! dyplomata skończony! — i wszyscy stukali szklankami o szklankę protoplasty późniejszych stańczyków.

Rzecz godna zastanowienia, gdy Słowo mo skalofilskie podniosło hasło wyraźne oderwania się Rusi od Austrii, jednocześnie prawie powstało w Krakowie stronnictwo stańczyków.

Nie uwierzemy temu nigdy, aby ta współczesność miała być wynikiem trafu ślepego...

Rysiński skinął ręką na Dranieckiego i obaj usunęli się do tajemniczego parloaru za bufetem.

— No i cóż, panie Władysławie? — zarwał Rysiński niecierpliwie.

— Przyrzeka wszystko, ale trzeba na to gotóweczki, kochaneczki..

— Dobrze, dobrze! a co więcej?

— Dużo, dużo rzeczy, ale to wszystko za pocziwe imperjaliki, a jeżeli chceć, to za dukaciki... che! che!

Grdy Draniecki opowiedział, o co chodziło

Szafliczki, Rysiński, przede wszystkim kładł nacisk na warunki bezpięniężne. Żądał wyszukania dobrych „świadców”; szeroko deklamował o delikatnej swej pozycji względem marszałka sejmowego, przed którym go ogadano niby; za pewniał, że namiestnictwo i jeneralna komenda będą oddane na jego usługi; że na apelację wpłynie przez Wiedeń, za pomocą wysokiej protekcji pewnego ambasadora — ale o pieniądzech jakoś wyraźnie, ani weź wykrztusić nie mógł.

— Bardzo dobrze, panie hrabio dobrodzieju — i mefistofeliczny uśmiech ożywił twarz literata moskalofilskiego — teraz pozostaje nam tylko uregulować sprawę pięniężną...

— To chyba nieco później, gdyż jestem obecnie obrzydliwie gołym.

— Niemożebne, Szafliczek jest człowiekiem akuratywnym. Przyrzekłem mu, że pięniężne na tychmiast zostaną złożone za ręce, i tak być musi.

— Ależ ja nic nie mam!

— To nie ma mowy o sprawie, spraweczce, terefelki, kufelki — i Draniecki obojętnie wstał do wyjścia z parloaru.

— Stój! niech będzie po twojemu. Ile potrzebujesz ?

— Tysiączkę.

Hrabia aż skoczył, szarpnął, wydobył pugilares, wytrząsł z niego wszystko na stół i zaczął liczyć przed oczyma Dranieckiego.

— Masz tu wszystko, co mi pozostało z całej fortuny — rzekł — bierz połowę, drugą część zostawić, abym z głodu nie zdechl...

— A kiedyż resztę?... kurem, outeiki — i z mefistofelicznym uśmiechem liczył powoli banknoty, wkładając do swego pugilaresu.

— Po skończeniu sprawy — sarknął hrabia niecierpliwie.

Było coś tak twardego i wyniosłego w tej odpowiedzi, że Draniecki nie miał odwagi dalej nalegać na termin. Rysiński potarł zachmurzonego czoła, oczy mu nagle złowrogo błysnęły, klasnął w dłoń...



— Na śmierć byłbym zapomniał — zawołał — przypomnieć o potrzebie ściągnięcia na ziemię z Olimpu naszej bogini. Czy jest już co uplanowanego ?

— O mej twórczości proszę nie wątpić... te refelki, kartofelki... boginice skrzydełek się przyśmiali, gdy ją trochę ośmieszy... Skandalik mały, ot i rzecz gotowa — wtedy herunter z limpu!... i koniec protekcji księcia marszałka... kufelczka, karafijołeczka... che! che!

— Że macie głowę na karku, to macie!... Polegam na was jak na Zawiszy — i uścisknąwszy mocno dłoń sprzymierzeńca, Rysiński, opuścił niepostrzeżenie Jaskinię.

Draniecki ożywiony nowym połowem pieśniędzy, chciał dalej ucztować, ale właścicielka za kładu, tłusta baba z wąsami, wręcz odmówiła dalszego goszczenia u siebie, potrzebując wypożyczenia dla siebie i posługi.

— Przepraszamy mamunię, nie gniewajcie się, „tyszkim” wynosimy się, spijcie „zdoro weńkijje!” — i Draniecki rejterował się ku drzwiom; na ulicy rzekł do swoich — dziate

czki chcą spateńki?... no, ale jeszcze musimy koniecznie na chwilkę zajść do Deszczańsia.

Proszę za mną do redakcji.

Spóźniona kompania znalazła się niebawem na progu redakcji „Wyrazu”, gdzie już zasiadał Deszczański, redagując swój przesławny narodo-woopozycyjny organ za pomocą nożyc i kłajstru. Wykrawywał okienka z rozmaitych gazet — petersburskich, moskiewskich i miejscowych, i wszystko to lepił w jedną ogromną płachtę papierową, mającą być następnie przeobrażoną w organ szanownego „nacjonalytetu” ruśkiego. Wtargnięcie obcych żywiołów za kułisy redakcyjne nieco skonfundowało redaktora, ale wobec wszechpotężnego Dranieckiego musiał skryć prawdziwe uczucie i udąć zadowolenie na widok tylu politycznych przyjaciół.

— Terefelki, kufelki — wołał Draniecki — kochasiu redaktorku, wybaczone zbyt ranną wizytę, lecz ten pocziwiec Rysiński przyłożył nóż do gardła: zmusza do działania natychmiastowego. Przyszedłem naradzić się z szanownym kolegą.

— Służę, z największą przyjemnością — odpowiedział redaktor, odprowadzając ślaniającego się gościa do parloaru z gratami.

Pomimo to, że Draniecki był mocno pijany, mózg jego pracował wyśmienicie. Żaden adwo

kat ani policjant nie byłby w stanie skombinować tak misternie sieci zasadzek jurydycznych i psychologicznych, przeprowadzenia świadectw i dobrania momentów, żeby uwikłać przeciwników procesowych Rysińskiego. Będąc jedną z

głównych sprężyn w korumpowaniu wyborców, był niesłuchanie biegłym nie tylko w przekupywaniu, ale i różnieniu stronnictwa przeciwnego. Obmyślił jak zastosować i tę ostatnią broń w obecnym wypadku. Potrzeba było kogoś swojego wprowadzić do Bronisławy, wybór padł na Alicję Wendziaholską. Pozostawało znaleźć jawnych denuncjantów, gotowych świadczyć przed urzędami. — Redaktor i Draniecki wrócili do towarzystwa, oświadczając, że ktoś jeden musi podjąć się tej ostatniej roli.

— A któż jest zdolniejszy od Ćwikły do tak delikatnej roboty?! — rzekł Karaluch — popatrzcie na jego łeb czyż nie napisano na nim: „stróż moralności publicznej ?!”

— Niektórzy przychodzą na świat z tak poważnym usposobieniem wtrącił Draniecki — do nich należy i nasz Ćwikielka. Możemy li czyć na ciebie przyjacielu?

— Władku, kochany Władku! — zawołał Ćwikła do łez rozczulony — ty jeden umiesz ocenić moje serce, wiesz o tych szlakach niedoścignętych cnoty i ofiarności, po których ono krwawiąc podąża...

Przyszło zresztą do targu z Ćwikłą, który przy całej swej sercowości zażądał dwieście reńskich, i po długich zaledwo certacjach zgodził się na dziewięćdziesiąt, z tem, że Deszczańskiemu podpisze kwit na dwieście. — Gdy targu dobijano, wszedł Zawadjakiewicz; krew mu się widocznie burzyła, a policzki wydymały ponuro. Z pod okularów łyskał wzrokiem jak byk cyrkowy, drażniony czerwoną płachtą bandę

rillosa; nozdrza mu drżały, a pięści się kurczowo ścisnęły.

— Kiedy my wam kasztany z ognia wyciągamy, szanowni koledzy, rzekł przytłumionym

głosem, to wy nam załujecie nawet okrucichów,  
co spadają z waszego obfitego stołu?! To nie  
uchodzi...

— Milcz durniu! — krzyknął Deszczański  
groźnie.

— To ty jakiś pokątny redaktorzino, mnie,  
kapitana, śmiesz w podobny sposób traktować?  
A niedoczekanie twoje łotrze L.

I Zawadjakiewicz skoczył do Deszczańskie  
go, ale ten ostatni, nie czekając, wlepił dwa  
potężne policzki kapitanowi, aż mu złote oku  
lary spadły na ziemię. Powstała bójka formal  
na, wodzili się za łby, leciały garście czarnych  
i rudych włosów, i nie wiedzieć jak długoby  
jeszcze potrwała, gdyby nie woźny w kusej re  
werendzie, który nadbiegł w porę, gdy już za  
paśnicy dusili jeden drugiego za gardło. Reszta  
patrzała z boku, nie myśląc wcale o sprawa  
dzenie rozejmu, podczas walki na pięście.

— Precz ztąd! — krzyknął Deszczański  
do Zawadjakiewicza — noga twoja niech tu ni  
gdy nie postanie!..

— Nie bądźcie tak zażarci, przyjaciele —  
odezwał się Draniecki — posuwać tak dalece  
zawziętość nie uchodzi ludziom, stojącym na tak  
ważnym stanowisku jak nasze. — Ważnem, czy  
to pojmujecie?.. Z kłótni waszej możemy  
wszyscy ucierpieć. — Któż będzie potem wie  
rzył w naszą gorliwość, dla wielkiej sprawy

jako sprawy, skoro my się czubić gotowi za  
lada grosik? — Ty, panie redaktorze, powstrzy  
muj twe zapędy w oszczędzaniu mamonki, a ty,  
kapitaniu, pohamuj twą popędliwość i chęć  
większego zarobku... Wodźcie się często za łby  
jak teraz, prawda, nikt tego nie podpatrzył z  
polskiego obozu; ależ przypuście, że kiedyś to  
nastąpi, — co będzie z nami? czy potrafimy za  
robić na kawałek chleba na innem polu? Kto  
nam zresztą zechce podać rękę? — Dostyc tego,  
pogódźcie się, bo kogo innego na wasze miej  
sca wynajdziemy...

Deszczański w swej redaktorskiej dumie,  
aczkolwiek na kierownika „nacyjtetu” wy  
płynął z pokątnego pisarstwa, bez najmniej  
szych kwalifikacyj literackich, czuł się nieskoń  
czenie wyższym od Zawadjakiewicza, ekskapi  
tana, „kwitowanego bez honorów” vulgo wypę  
dzonego ze służby wojskowej, i zasądzonego  
potem za oszustwa i kradzieże podstępne kilka  
krotnie na więzienie. Kapitan znowuż, żyjący  
dotąd w pojęciach swych wojskowych, za nic

nie chciał ugiąć się przed cywilem; poprawiał swe okulary, prostując pociętą oprawę i wycierając chustką szklę, i mruczał tylko groźnie jak brytan na drugiego brytana, wodą odegnany od zarcia się wzajemnego.

— Terefelki... podajcież sobie ręce — ciągnął Draniecki w tonie protekcyjnego safanulstwa.

— Co tu ręce! ? — fuknął Zawadjakiewicz. Żryć i pić trzeba; mam rodzinę, cóż po cznej?... Ja gotów zawsze do zgody, ale i u

mnie miarka się przebrać może; gdy temu wyzyskiwaniu nas końca nie położycie. Pamiętajcie, wiele ja wiem rzeczy, za które drogo mogą mi zapłacić wasi przeciwnicy!...

— Nie mów wasi, ale nasi... przecież wielka sprawa ruteńska jest nam wszystkim spoina? — Tfu! dalibyście pokój tym komedjom; bądźmy przynajmniej pomiędzy sobą otwarci — zarobek, pieniądze, oto nasza sprawa! Papu nam trzeba, a nie jakichś tam komedij narodowych, tromtadrackich ? !.. Chcecie zgody, do brze, ale zapłaćcie — to moje ostatnie słowo. I Zawadjakiewicz zrobił ruch nagły jakby chciał opuścić redakcję.

— Płacę zawsze — mruknął Deszczański przez zęby — ale gdy jest za co. Nie możesz pan skarżyć się na to, żebym ci kiedykolwiek za wiadomości „ważne” nie zapłacił. — Gotów jestem płacić, byle warto było.

— Mam i teraz wiadomość ważną — odburknął Zawadjakiewicz na pół zwrócony do drzwi — ale za obrazę honoru mego, nie zakomunikuję jej inaczej jak za podwójną cenę.

— Terefelki, butelki, niech i tak będzie — rzekł Draniecki jowialnie — to lubię! walka o byt sprzężona z honorem, tak jest, pojęcie to najprawdziwsze honoru, honoreczku.... A teraz prosimy o wiadomości, bo Deszczańsio, jestem pewny, zadość uczyni słusznemu waszemu, ka pitasiu, żądaniu — czy tak?

Z pod ociężałych powiek wzrok Dranieckiego padł ołowiem na Deszczańskiego, który mruknięciem objawił coś nakształt zgody, na

propozycję zapłacenia podwójnego honorarium donosicielowi.

Zawadź jakież usiadł na to hasło i opowiedział jako będąc dzisiaj u mecenasa Wędziakowskiego, dowiedział się od niego, że jego służąca słyszała od sługi Bronisławy, o tym, jako Świątosławoświadczył się o rękę tej ostatniej. Śmiechy zjadliwe i krzyki oburzenia powstały w zgromadzeniu.

— Terefelki... świętoszkowie, idealisci, pułki — cedził Draniecki przez zęby — zawsze muszą tak kończyć. Wydrzeć przyjacielowi na rzeszoną, to u nich niczem... kuf elki, Anielki... Szyderstwa wrzaskliwe towarzystwa zakończył Ćwikła płakliwą oracją, nad niemoralnością panującą w świecie. Redaktor tymczasem dalej preparował bruljon organu swego, i ani myślał jak widać wynagradzać Zawadźkiewicza za jego wiadomość. Kapitan jak cień Banka, wprawdzie całkiem pokornie, niemniej jednak natrętnie wodził oczyma za każdym poruszeniem redaktora.

— To żadna wiadomość — burknął ostatni po chwili oczekiwania — mielibyśmy ją i tak od mecenasa. Proszę postarać się o inną. Tymczasem dostaniesz pan zaliczkę, ale z Ćwikłą pójdziecie stanąć na czaty pod hotelem mecenas, aby mu dać znać, gdy Chrobrski wyjdzie z domu — dokąd właściwie pójdzie? Rozumiecie?

Redaktor wyjął banknota, odsunął go w stronę Zawadźkiewicza, a następnie zaczął wydawać po celi wskazówki obydwom wysyłanym na

czaty. Obaj podrzędni ajenci wyszli wkrótce, a Karaluch wychodząc za nimi, zawołał:

— O jakże nie być dumnymi z takiej dobranej sfory?! Zawarta w niej alfa i omega naszej „nacjonalitetPartei. Chodźmy spać! Odezwanie się Karalucha spowodowało i Dranieckiego do opuszczenia zresztą redakcji „Wyrazu”. Ująwszy jeden drugiego pod ramię, ślaniając się, szli wśród białego dnia i niepostrzeżli jak wyminieli Ćwikłę z Zawadźkiewiczem, manewrujących na placu.

— Patrz ich opojów — mruzczał ostatni — wszystko sobie zabierają, nam chyba kości ze swej uczty wyrzucają z łaski.

— Kochany kapitanie, prawdę mówisz — odpowiedział Ćwikła — serca nie mają, wyzy

skują nas podle gadziny... Najgorszy ten szatan,  
Władek, ta aksamitna kocia łapka...

— Po cóż zawsze robisz z niego anioła?

— Serdeczność we mnie zawsze przemaga...

Nie mogę, — o! to kochające serce....

— Ty, ty, faryzeuszu! stłumię ja kiedyś w  
twojej grdyce kłamliwej tę twoją serdeczność.

Słyszysz, legawcze, ty to psujesz ceny! Będę  
bił!...

Nos Ćwikły opadł zupełnie na dół, zsiniał  
jak jędeczy koral, a zmarszczki pomiędzy brwia-  
mi jeszcze więcej się splątały niż zwykle. Sa-  
pał ze złości i oburzenia, zaciskał pięści, zer-  
kał przesywająco, ale pomimo to drżał jak ga-  
laretą przed przemocą spółkolegi, i nie śmiał  
słówkiem pisnąć na jego brutalne wycieczki.

Zawadjakiewicz, ustawivszy na czatach  
spółtowarzysza wyprawy, kazał sobie dać znać  
o ukazaniu się na ulicy Świętosława, a sam po-  
brnął do pobliskiego szyneczku. Godzinę blisko  
czatował Ćwikła, aż nareszcie ujrzał tego, na  
kogo był zaczajony; wpadł do szynku, z ką-  
wymknął się Zawadjakiewicz, i omijając Świę-  
tosława, wszedł do hotelu, aby wstąpić do Wen-  
dziaholskiego.

Świętosław, ożywiony niezwykłą energią,  
świecił urodą i młodością wśród woniejącego  
ranka letniego jak brylant w koronie. Co żyło,  
spoglądało na jego wyniosłą śliczną postać, peł-  
ną mękości i powagi rycerskiej. Nieco odszedł  
szy, obrócił w tył głowę, spoglądając na okna  
Bronisławy, która jakby magnesem przyciągnę-  
ta, z lekka rąbek firanki uchylili, i zaszyła  
dzień dobry uśmiechem i gestami ręką. Rzewny  
wyraz przemknął po ustach zakochanego, a  
szczęście jeszcze mocniej opromieniło jego i tak  
świątelną postać. Poszedł zwolna, zdążając ku po-  
bliskiej katedrze. Gdy zniknął w podwojach ko-  
ścielnych, Ćwikła, co go jak cień na chwilę nie  
odstępował, spieszenie pomknął napowrót do ho-  
telu, i nadbiegł wkrótce pod jego bramę.

W katedrze było o tej godzinie pusto, tyl-  
ko przy bocznym ołtarzu odprawiała się cicha  
msza. Świętosław usiadł naprzeciwko ołtarza,  
przed którym dwa wieki temu Jan Kazimierz  
ofiarował był koronę polską Matce Boskiej.  
Wcale nienabożny, dziecko wieku XIX, nie  
mógł wszakże powstrzymać się od nabożnego  
rozrzewnienia, na myśl o tym nieszczęśliwym

królu, znajdującym tyle boskiego natchnienia w swym dziwnym pomyśle. Ten, dotykany ręką losu król, tkliwy, waleczny, choć nie zawsze szczęśliwy, podejrzany niesłusznie o ambicję a kończący na przywdzianiu habitu mniszego, — budził w nim głębokie spólcucie. Pomysł jego włożenia korony ziemskiej na, skronie niebieskie, uważał za pochodzący z wyższego natchnienia, rozkazującego pilnować na ziemi porządku bożego, opartego na sprawiedliwości i miłości bezgranicznej.

Te poważne rozmyślenia przerwał szelest sukni tuż koło ławki Świętosława. Jakaś wczesna rozmodlona elegantka, z bukietem róż w ręku, szumnie uklękła, opuszczając kornie głowę na płyty kamienne. Modliła się gorliwie, nie patrząc na nikogo. Świętosławowi zdało się, że poznaje kogoś dobrze znajomego, choć dotąd nie mógł rozpoznać twarzy, gęstą woalką zasłoniętej. Dopiero gdy oderwała czoło od zimnego głazu, i błysnęły na niem dwa guziczki rezolucyjności, oczy strzeliły w niebiosy, a mięsiste rączki podniosły się po nad wypięty gors, — poznał wysokouczoną pannę Alicję Wendziaholską. Nabożeństwo Alicji trwało tyle, ile na to dozwalał takt i dobre pojmowanie modlitwy. Niby nie poznając sąsiada, siadała w ławkę a rozpromieniony pogodą ducha wzrok zwróciła wyłącznie na obraz w ołtarzu. Obok futerałika od książki, oprawnej w perłową macicę, położyła bukiet, który jednak upadł zaraz pod ławkę, gdy zaczęła ponowne modły, z przyklękaniem i opuszczaniem czoła na pulpit.

Świętosławowi nic nie pozostawało jak pojąć bukiet i doręczyć go właścicielce. Po znawszy niby teraz tylko, kogo ma za sąsiada, Alicja, lekkim skinieniem głowy podziękowała, lecz modłów nie przerywała. Po skończonym nabożeństwie dopiero, ośmieliła się przywitać sąsiada i przemówić do niego kilka słów. Delikatność wzbraniała Świętosławowi znaleźć się oziębłe z córką swego antagonisty, a zapytany pierwszy, pospieszył z odpowiedzią, dalekim będąc od wszelkich podejrzeń o podstęp czy

zasadki.

— Szczęśliwa jestem, że mogłam pana spotkać — zaczęła Alicja — tak mi ciężko na sercu, że mieszkając pod jednym dachem, nie mogę z moimi najlepszymi znajomymi słówka zamienić... Czyż zresztą dzieci mają odpowiadać za rodziców ?...

— Zapewne, masz pani wielką słuszność. Co do mnie, niczym nie miał przeciwko temu; kobiety to jednak inaczej pojmują...

— Ależ ja ją, moją najukochańszą Bronię, tak serdecznie, tak szczerze zawsze kochałam jak i dawniej kochałam! Obraz jej cudowny ciągle stoi przedemną jakby jakiejś świętej czarodziejki...

— Najlepiej będzie, gdy się panie ze sobą porozumiecie. Panna Bronisława właśnie nadchodzi.

Bronisława występowała z półmroku kruchty na jaśniejszą przestrzeń nawy jak gwiazda zasnana z za obłoku. Wyniosła jej kibić, zwał się, ugiwała pod ciężarem pysznych wa-

koczy, a niezmierna delikatność wdzięków pociągała ku sobie oko nieprzyzwyczajone. Dwa ołtarze istnieją, przy których piękność niewieścia, zwłaszcza dziewicza, najwspanialej jaśnieje: miłości bożej i bohaterstwa. Kobieta wie o tem, dla tego biegnie najmilej do świątyń i w szranki, gdzie spotkać może prawdziwych bohaterów. — Piękna Litwinka, wchodząca obecnie do świątyni, była podobną do wschodzącej na niebie „Ślicznej Panienci” Murilla na sierpie księżycowym, ze spokojem boskim na licach białości lilij, z różami mistycznymi na jagodach.

Świętosławowi dech zamarł, wsiąkł w nią cały miłością, wzrok zatopił, zapominając o obecności kogoś trzeciego obok siebie. Alicja aż się wzdrygnęła, poznawszy moc uczucia, władającego sercem młodziana, tak jej nieobojętnego; położyła i świdrowała wzrokiem nieubłaganej rywalki nadchodzącą Bronisławę. Staczała z sobą wewnętrzną walkę, dopóki nie zapanała nad sobą. Gdy śliczna pułkownikówna stanęła przy ławce, mecenasówna wydała okrzyk radości i ręce złożyła na piersi jak do modlitwy.

— Istne bóstwo — szepnęła tak głośno, że ją Bronisława musiała usłyszeć — wypiękniała nie do poznania.



Widząc, że Świętosław nie zwraca na nią najmniejszej uwagi, zdradziła znowu prawdziwe usposobienie wewnętrzne łyśnięciem przesywającym oczu, rzucających na niego pocisk śmiertelnej wzgardy. Chwilę to zaledwie trwało, i

z załzawioną źrenicą rękę wyciągnęła do Bronisławy, która ją z razu nie poznała.

Poznawszy kogo miała przed sobą, Bronisława, wzdrygnęła się i stanęła jak skamieniała. Miękką jej natura nie zdołała długo opierać się tkliwym popędom, i niebawem w sercu dała za panować uczuciu dawnej przyjaźni. Kobiety wielkiej piękności mają to do siebie, że są skłonięjsze od brzydkich do wspaniałomyślności i dobroci, pochodzących ze słabości, rozpieszczęnia przez hołdy świata. Bronisława wyciągnęła rękę i uścisnęła mocno dłoń Alicji.

— Moja droga Alicjo! — mówiła z rozculeniem — jakże dobrze zrobiłaś, żeś zaufała sercu memu. Pamiętaj, ja do ciebie osobiście najmniejszego żalu nie mam, owszem, częstokroć tęsknię za twą rozumną i miłą rozmową.

— Tyś, moja Broniu, tyleż szlachetną ile piękną — i Alicja rzuciła się w objęcia Bronisławy.

Jednocześnie z po za filaru kruchty wysunęły się głowy Ćwikły i Zawadjakiewicza jak dwa łby mefistofeliczne; ostatni zwłaszcza przerażająco wyszczerzył się, zatarł ręce i szarpnąwszy towarzysza za rękaw, pomknął w kierunku redakcji „Wyrazu.” Odszedłszy parę kroków, Zawadjakiewicz syknął:

— Ten pocałunek dalibóg wart trzydzieści srebrników. Ty! mólu biblijny, wszak ty musisz dobrze znać się na judaszowskich manewrach?!

— Judasz syn Symeonów, zwany Iskarjotem, niesłusznie bywa posądzany o wydanie

\*

koczy, a niezmierna delikatność wdzięków pociągała ku sobie oko nieprzyzwyczajenie. Dwa ołtarze istnieją, przy których piękność niewie

ścia, zwłaszcza dziewicza, najwspanialej jaś nieje: miłości bożej i bohaterstwa. Kobieta wie o tem, dla tego biegnie najmilej do świątyń i w szranki, gdzie spotkać może prawdziwych bohaterów. — Piękna Litwinka, wchodząca obecnie do świątyni, była podobną do wschodzącej na niebie „Ślicznej Panienci” Murilla na sierpie księżycowym, ze spokojem boskim na licach białości lilij, z różami mistycznymi na jagodach.

Świętosławowi dech zamarł, wsiąkł w nią cały miłością, wzrok zatopił, zapominając o obecności kogoś trzeciego obok siebie. Alicja aż się wzdrygnęła, poznawszy moc uczucia, władającego sercem młodziana, tak jej nieobojętnego; poźółkła i świdrowała wzrokiem nieubłaganej rywalki nadchodzącą Bronisławę. Staczała z sobą wewnętrzną walkę, dopóki nie zapanowała nad sobą. Gdy śliczna pułkownikówna stanęła przy ławce, mecenasówna wydała okrzyk radości i ręce złożyła na piersi jak do modlitwy.

— Istne bóstwo — szepnęła tak głośno, że ją Bronisława musiała usłyszeć — wypiękniała nie do poznania.

Widząc, że Świętosław nie zwraca na nią najmniejszej uwagi, zdradziła znowu prawdziwe usposobienie wewnętrzne łysnięciem przesywaną oczu, rzucających na niego pocisk śmiertelnej wzgardy. Chwilę to zaledwie trwało, i

z zóławioną źrenicą rękę wyciągnęła do Bronisławy, która ją z razu nie poznała.

Poznawszy kogo miała przed sobą, Bronisława, wzdrygnęła się i stanęła jak skamieniała. Miękką jej naturą nie zdołała długo opierać się tkliwym popędom, i niebawem w sercu dała za panować uczuciu dawnej przyjaźni. Kobiety wielkiej piękności mają to do siebie, że są skłonniejsze od brzydkich do wspaniałomyślności i dobroci, pochodzących ze słabości, rozpieszczęnia przez hołdy świata. Bronisława wyciągnęła rękę i uściśnęła mocno dłoń Alicji.

— Moja droga Alicjo! — mówiła z rozczeniowaniem — jakże dobrze zrobiłaś, żeś zaufała sercu memu. Pamiętaj, ja do ciebie osobiście najmniejszego żalu nie mam, owszem, częstokroć tęsknię za twą rozumną i miłą rozmową.

— Tyś, moja Broniu, tyleż szlachetną ile piękną — i Alicja rzuciła się w objęcia Bronisławy.

Jednocześnie f z po za filaru kruchty wysu

nęły się głowy Ćwikły i Zawadjakiewicza jak dwa łby mefistofeliczne; ostatni zwłaszcza prze rażająco wyszczerzył się, zatarł ręce i szarp nąwszy towarzysza za rękaw, pomknął w kierunku redakcji „Wyrazu.” Odszedłszy parę kroków, Zawadjakiewicz syknął:

— Ten pocałunek dalibóg wart trzydzieści srebrników. Ty! mólu biblijny, wszak ty musisz dobrze znać się na judaszowskich manewrach?!

— Judasz syn Symeonów, zwany Iskarjotem, niesłusznie bywa posądzany o wydanie  
\*

Chrystusa. Święty Jan tłumaczy jego domnie maną zdradę tem, że mu sam Chrystus dał rozkaz wydania siebie. Podał mu „stuczkę” chleba omoczoną w sosie.

— He? w jakim?., w dzikim czy paprykowym?!

— Nie godzi się z podobnych rzeczy szydzić...

— Ty, ty! „szweiniklu”, szpikanardem namaszczona lukrecjo, bezbożny nabożnisiu, broń się sossu i Judasza, bo ty z nim jednego po chodzenia, ze smolnego sossu! ? „Hodi” tego „bajtlowania.” Wracajmy do smocznej jamy „Wyrazu”, ale pamiętaj, od „dziesiątki” nieodstępować! bo „Bik me”, choć ty Ćwikła, a nie śliwka, zrobię z ciebie powidła.

Kumowie pociągnęli w swoją stronę, a tuz koło nich przeszła ciotka Kamilla, dążąca do katedry, do siostrzenicy. Po krótkiej modlitwie stanęło, że Bronisława z ciotką i Świętosławem zrobią wycieczkę na Zamkową górę. Alicja nie śmiała przyłączać się do towarzystwa, i naga dawszy mnóstwo tłumaczeń z komplementami pod adresem ciotki Kamilli, wróciła do ojca. Zakochani, prawdziwi sylf i sylfida, uczyli potrzebę gwałtowną pobujania w szerszych przestrzeniach błękitu. Szli obok ciesząc się jak dzieci świeżym powietrzem, przesiąkniętym wonią akacji. Zapał do chodzenia nie ustawał u Bronisławy, nawet po wejściu na górę; zaproponowała pójść wyżej, na Kopic. Ciotka nie miała odwagi odmawiać swej pieszczosze; choć ledwo nogi wlokła, przystała na propozycję, ciesząc się w du

szy, że będzie cierpiała za tę, którą nade wszystko ukochała. Można coś podobnego spotkać w poświęceniu sióstr miłosierdzia, w ogóle kobiet miłosiernych, ale u ciotki uczucie to płynęło z daleko szlachetniejszego źródła, bo czci i miłości bezgranicznej dla zmarłych rodziców ślicznej sieroty.

Z początku szło jeszcze jako tako, ale gdy przyszło iść po kostki w piasku pod górę, ciotka przysiadła na ławeczce. Młodzi idąc na przedzie, o kilkadziesiąt dopiero kroków od szedłszy, to spostrzegli; wnet jednak stanęli, a Bronisława zawróciła wstecz.

— Idźcież sobie — wołała ciotka — tak mi tu dobrze pod temi świerkami, przypominają one nasze puszcze, muszę trochę posiedzieć pod niemi, — chcę sama pozostać. Dopędzę was powoli.

Staruszka kłamała, bo nie świerki stawały na przeszkodzie, ale nogi osłabione, odmawiające całkiem dalszej służby. Po niejakich tarzach, Bronisława zgodziła się zresztą iść na górę ze Świętosławem. Ciotka spoglądała za odchodzącymi, układając dla nich świetną przyszłość spoiną.

Dosyć silna jak na pannę, Bronisława, pnąc się dalej na górę po piasku, zaczęła ustawać, — musiała przyjąć ofiarowane przez kochanka ramie. Prąd życia, przy dotknięciu, ożywił młody dociany organizm; znowu poszli pędzej, i nie bawem, przebrnąwszy męczące piaski, stanęli na wierzchołku góry, z kądem rzucali radosny wzrok na grzebienie dachów gontowych łąta

nyck, blaszanych, ulic i placów drzewami okrytych, wież i wieżyczek kościelnych; turkot po wozów i dzwonienie dzwonów pod nogami ciężkiem echem wylatywały z mrowiska ludzkiego. W dali zieleniały lasy, a za niemi, na samym skraju widokregu lekkim rąbkim koronkowym występowały góry Stryjskie, odnoga Karpat.

— Prześlicznie, cudownie! — wołała Bronisława — cóżbym dała, gdyby tak można było zawsze na wszystko z góry spoglądać w twojem towarzystwie?...

Była cudownie piękną, gdy to wymawiała; anielski prawdziwie powab owiewał jej smukłą, gibką jak laska sitowia kibić, a mleczną bia

łoś policzków krasił rumieńczyk, otwierający przed zakochanym siódme niebo Proroka; — pół anioła, pół odaliski stało przed wzrokiem roznamiętnionym kochanka. Nikogo w pobliżu nie było.

— A jabyłm pragnął tylko na ciebie jedną spoglądać, anielska moja Broniu — szeptał Świętosław, okrywając pocałunkiem dłonie kochanki — niech to słońce złociste zgaśnie, noc wieczna zapadnie, znikną, barwy, świeżość woni nieba i ziemi — twa boska piękność nie przestanie dla mnie jaśnieć przepychem, olśnie wającym wzrok ducha, porywającym serce, unoszącym w najwyższe przybytki rozkoszy niebieskich...

Mówiąc to, tulił do łona rozkołysanego kochankę, obsypując pocałunkami jej usta rozkoszna

— A tyś podobny słońcu owemu, co to w

dniu ostatnim ma przyświecać zmartwychwstaniu żywych i umarłych, a które podźwignie ludzkość z ponizenia i słabości... O! miły mój, tyś poezją siły męskiej, wzorem niedościgłym a wiecznie upragnionym dla słabej kobiety... Czar boskiej zadumy przeleciał nad głowami kochanków, otwierając przed ich wzrokiem duchownym nieznaną odległą krainę, gdzie wątek myśli i pragnień ziemskich niknie bez śladu. Życie znowu przemówiło i pociągnęło usta do ust. — Dał się słyszeć chód na piasku ciotka nadchodziła, młodzi zeszli z pagórka i poszli z nią drogą po grzbiecie góry do podnóża Kopca. Byli blisko mostka, koło ruin starego zamczyska, gdy spostrzegli na wierzchołku Kopca liczne towarzystwo wojskowych, zajęte robieniem doświadczeń z połowem i optycznymi telegrafami.

— Może nas tam nie puszczą? — rzekła Bronisława płakawie — a jabyłm tak chciała widzieć zbliżać, co to oni robią?..

— Jest to spacer publiczny — zauważył Świętosław — mam nadzieję przy tem, że jako dobrze wychowani, wcale bronieć wstępu na wierzchołek nie będą.

Konia gorącego niebezpiecznie dotykać, a nie już ukłuć ostrogą; słowo kochanki jest nią dla każdego zakochanego, zwłaszcza tego ognia, co Świętosław. Choć nie lubił w ogóle wojskowych, postanowił bądź co bądź wejść na wierzchołek.

— Niesłuchanie mię bawia — mówiła Bro

niślawka chichocząc — ci Niemcy w mundurach

wojskowych. Zdaje mi się, że jestem na jakiejś maskaradzie czy turnerskim festynie; gdy widzę te ich zaokrąglone klasyczne ruchy, to koślenie długimi nogami, tak systematycznie wykrygowanymi...

— Broniu! tybyś mogła pisywać kroniki do dzienników — strofowała ciotka, sama nie mogąc powagi utrzymać — z kądem u ciebie tyle złośliwości naraz się wzięło ?

— Widzi ciocia Kamusia, — to nie ja właściwie temu winna, ale niemiecki smak; bo wszystko czego się tylko dotknął, jakby znie ruchomiło i pokryło warstwą omasty estetycznej, zbyt ciężkiej.... Klątwa piwa i słoniny prześlada go niemiłosiernie, choć biedaczko ze wszystkich sił, w pocie czoła, kroczy ku ideałowi...

Te uwagi coraz więcej rozweslały towarzysz, przed którym stanął na zakręcie ślimaka oficer tyłem obrócony.

— Ten jegomość — szepnęła Bronisława — przypomina mi wilka w baraniej skórze z Eejneke — lisa.

Dochodzili o parę kroków, gdy oficer zwróciwszy się z gracją na zapiętku, zgięty w pałąk i ironicznie uśmiechnięty, wycodził przez zęby: Verboten!

Świętosław, niezważając na to, szedł na przód. Oficer się osrożył, powtórzył zakaz. Oko w oko stanęli i zmierzili się wrogo. Nie wiedzieć, co by z tego wyszło, gdyby nie wdanie się reszty korpusu oficerskiego, w ogóle nader grzecznego w armji austriackiej.

— Practig! wunderschon! eine eclite Polin! gottlich! — wołano po cichu pomiędzy oficerami w górze.

— Niewolno! powtórzył groźnie oficer stojący przed Świętosławem.

— „Aber lassen Sie, Herr Rittmeister Wuk" — odezwał się pułkownik dyrygujący próbami — proszę panie, proszę bardzo, nic to

nam nie przeszkadza.

Wuk czyli nasz znajomy, Wuk de Mocko wicz, łysnął swym wilczym wzrokiem, i z gracją udaną skinął ręką w stronę kobiet, dając niby od siebie pozwolenie wstąpienia na górę. Świętosław z Bronisławą pod ramię mijał wyniośle Wuka; nie raczył mu skinąć nawet głową, dla dania chociażby powierzchownej satysfakcji. Błyskawice w oczach rotmistrza oświeciły demonicznym blaskiem raptem poczerwieśniałe rude oblicze jak sukno ponsowych jego szarawarów.

Bronisława odzyskała cały swój humor, i po wzruszeniu nagle, jeszcze piękniej wyglądała. Ciekawie przyglądała się sygnałowym znakom, co widząc, pułkownik, z nadzwyczajnym ugrzecznieniem zaczął jej objaśniać łamaną polszczyzną, do czego służy każda sztuka. Bronisława jak dziecko, niezmiernie była temu ucieszona, dziękowała serdecznie usłużnemu pułkownikowi. Świętosław, wmieszany pomimowolnie do rozmowy, też musiał być na pożegnaniu dziękować pułkownikowi, nader sympatycznie dla niego usposobionemu. Nabawiwszy się do woli, powracali wesoło do miasta; gdy oficerowie,

właśnie, zwłaszcza pułkownik, ciągle się jeszcze nimi zachwycali na Kopcu.

— Tak ślicznej, dobranej pary, nie zdarzyło mi się widzieć w tym kraju — mówił pułkownik uśmiechnięty dobrodusznie — prześliczna, znakomita, cudowna...

Reszta oficerów wtórowała pułkownikowi.

Wuk jeden nie podzielał tych zachwyty.

— Prawda, prześliczny to okaz z tego jęgomoci, ale... Eebellanta — i śmiał się sarkastycznie.

— Chyba buntowniczkę? — chychotał pułkownik — ja jej się nie boję... dalibóg!...

— Ależ nie o pannie mowa, tylko o tym „cywile"!... To ziółko zasługuje być natychmiast przeflancowanym do Kufsteinu; jest on najczystszej krwi buntownikiem...

— No, no, rotmistrzu, niepotrzebnie sobie krew psujesz... Gdy przyjdzie kiedy okazja, o biecuję ci dać rewanż za to, że cię zmusił do ustąpienia przed buntownikiem... Oddam ci nie tylko jego, ale wszystkich, ilu ich jest, pod twe rozkazy... che! che! che!

— Słowo?...

— Słowo! „servus", do usług — i odsalutowawszy, pułkownik, przy ogólnym śmiechu dał

hasło do powrotu do domu.

W górze słońce świeciło, a nad opustosza-  
łym Kopcem przeleciał kruk, kracząc ponuro.  
Krew i trupy widzą ptaki mięsożerne, gdzie tyl-  
ko gromadkę błyszczących mundurów w polu  
dopatrzą; lecą też natychmiast po ich odejściu  
czy nie pozostała jaka zdobycz na miejscu...

## VL

Miało się ku wieczorowi. Ruch wielki na  
ulicach panował, wszystko, co pracowało po  
biurach i zakładach, spieszyło do domu. Po  
upalnym dniu otwierano okna. Całe pierwsze  
piętro jednego z najokazalszych domów przy  
Bernardyńskim placu miało nietylko okna po-  
roztwierane, ale i drzwi parapetowe na balko-  
nie, obstawionym dużymi drzewami egzotycznymi.

Wśród tej zieleni, na ponsowych aksamitnych  
fotelach siedzieli obok siebie jak na wystawie,  
postrojeni podług ostatniej mody, jegomość siwy  
z długim cybuchem w ustach i imość podeszłego  
wieku, wachlująca się bogatym wachlarzem.  
Para na balkonie, choć dobrze podtatusiała, wy-  
glądała jakby była wykrojona z żurnalu i po-  
ruszana automatycznymi ruchami scenicznymi.  
Jegomość smukły, dosyć kształtnych rysów,  
przedstawiał sobą typ starego dandysa, a imość  
pełna, z perkatym nosem, modny magazyn dam-  
ski. — W cieniu, za drzwiami siedziała trzecia  
osoba w półpokornej postawie.

— Panie tego, tego — rzekł jegomość z  
fajką tonem poważnym — a coby to było, gdy  
by tego, słońce kiedy, aha, urwało się, taj na  
ziemię spadło?... strach coby to było!

— Najśłodszy Jezu Milatyński! — wy-  
krzyknęła pani, opuszczając wachlarz — co ty  
doprawdy Pafciu? Bóg z tobą, ta Lenderek  
powiada, że ziemia lata po powietrzu, to może  
i ucieknie przed słońcem ?

— Alia, Honorem, może i tego, panie  
dzieu — odpowiedział mąż z fajką.

— „Dni człowiecze są jako trawa” — ode-  
zwał się z tyłu siedzący — powiedziano jest:



„słońce zna zachód swój”....

— „Zna zachód swój” ? — zapytali siedzący na balkonie.

— Ale jest ci też powiedziano : „Ugrunto wałeś ziemię na słupach jej, tak, że się nie poruszy na wieki wieczne”....

— Nie poruszy na wieki wieczne? Chwała Bogu! chwała Bogu!

— Nasz Lwowian, Gaudencjusz Pikulski, Franciszkan, doktor teologii, mąż wielce pobożny i uczony powiada to samo w swej „Historji uniwersalnej”, napisanej roku pańskiego .

— Oho! r., panie dzieu — przerwał mąż z fajką — to książka bardzo stara, panie tego.... Franciszkan, Lwowian, to już musi być dobra ?

— Księżna pani powiada — dodała imość — że, co stare, to dobre.

— Nie wszystko co stare, to dobre, panie dzieu... ehi! ehi! — przerwał jegomość z fajką.

— Błogosławieni starość szanujący — ciągnął z tyłu siedzący — wielbny Gaudencjusz Pikulski dowodzi, że słońce na wiekuistej mocy jest jak na sznurze przytwierdzone do firmamentu; chodzi jak wahadło zegarowe, które się od wschodu do południa skraca a od południa do zachodu przedłuża; na noc zaś przyobleka się w kaptur i powraca na wschód. Objawienie św. powiada: „A gwiazdy niebieskie padały na

ziemię, tak jako drzewo figowe zrzuca z siebie figi niedostale”, ale o słońcu tak mówi: „a słońce zczerniało jak wór włosiany”. Toż samo powtarza i ewangelja: „i gwiazdy będą padać z nieba i mocy niebieskie poruszą się, — ale słońcu znowuż dodaje tylko, że — „po utrapieniu onych dni „słońce się zaćmi” — a więc nie spadnie!

— Panie tego, panie Ćwikła, to bardzo pięknie, bardzo moralnie, bardzo pocieszająco, tego, tego, co powiadasz — wołał jegomość z fajką, powstając z krzesła.

— Bardzo pięknie, to prawdziwa nauka — dodała pani, obracając się do Ćwikły, gdyż on to był w swej osobie z tyłu siedzącym — dziękuję t. j. dziękujemy oboje, jaiPamfilcio. Zkąd tyle umiecie, panie Ćwikło ?

— Dobroczyńcy wy moi, opiekunowie — odpowiadał Ćwikła słodko poważnie — wy je dni umiecie ocenić mnie, sierotę biednego. Strzegę ci ja bogobożności, moralności, prawdy Bożej, na pożytek i dla spokoju dobrych ludzi,

a za to Stwórca daje mi dar nauki, co ma świat zbawić...

— Świat zbawić?... doprawdy? — pytali pan pani.

— Tak jest, bo ja to biorę z samej ewangelii i pisma św.

— Panie dzieu, tego, stare książki, ewangelii i pismo św. umiecie, panie Ćwikła? to bardzo, bardzo mądrze.... A może tam, tego, może potrzeba? pytał pan Pamfil, Ćwikłę po

cichu — dla dzieciętek, dla robaczków, hm, ha?

— To serce, serce pałające wdzięcznością ku wam, moi dobroczyńcy, i te drobne robaczki, głodem przymierające, to mi nie pozwala nie przyjąć od ciebie szczodroliwy panie Pamfilu! — i Ćwikła obcierał oczy chustką.

Rozrzuwiony tą sceną, pan Pamfil sięgnął po pugilares, i wydobywszy z niego „papierka” guldenowego, wcisnął go w rękę Ćwikły rozplakanego, który go za to wnet w ramię pocałował. Wyprostowawszy się jednak, Ćwikła, za nim schował „papierka”, spojrzął z pod chustki, n. b. całkiem suchej, na niego, i jakoś nos swój kabłąkowaty obrzydliwie skrzywił, przy czem szyderstwo i oburzenie latało we wzroku, pomarszczyło kąciki ust i powiek. Gdy się państwo Pamfilowstwo odsunęli, wycedził przez zęby:

— Krawczyzna — a głośno dodał — Bóg niech ci płaci stokrotnie, dobroczyńco. Cnoty twej do niczego nie mogę porównać, chyba do owej, co zdobyła patrjarchów: Abrahama, Labana, Izmaela, lub owego króla Salomona, zwane go eklezjastą...

— Nie ma za co, panie dzieu... Ja, Salomon, powiadasz, hm, ha? — i pan Pamfil jakoś się zadumał — aha, czy to prawda, że król Salomon sennik egipski napisał?

— Wszak to duszko stoi wypisane na senniku — zauważała pani Honorata — pan Ćwikła sam bo majster do tłumaczenia snów jak nikt. A może i na loterję?

— Panie dzieu, panie tego, ehi! ehi! to je gomość umie tego? — krztusił pan Pamfil — możebyś wytłumaczył sen dzisiejszy, prawdziwie dziwny? — Zdało mi się, panie dzieu, że siedzę na kanapie, a potem jadę na ośle, i po drodze znajduję podwiązkę, a potem spotykam młodego żołnierza i zającą, po bokach zaś róże i lilje kwitnące; ale kiedy tego, tego, chciałem je zerwać, żołnierz strzelił i ja się przebudziłem... — Sen mara, Pan Bóg wiara — odpowie dział Ćwikła wymijająco — do snów nie ma się co bardzo przywiązywać. Lepiej czasami nie wiedzieć jak wiedzieć całą prawdę... — No, ale na ten raz, panie dzieu, proszę, kiedy łaska?... — Kiedy taka wasza wola, opowiem, com zrozumiał. — Będziecie mieli gości w domu, młodziana między nimi, co może wzniecić pogardę, wstyd, niepokój... — Niepokój? najsłodszy Milatyński! — wy krzyknęła pani Honorata. — Tak jest, żołnierz oznacza niepokój, a może coś gorszego... — Oj! joj! gorszego? zmiłuj się! — jękał pan Pamfil. — Żołnierz miał karabin; strzelił, a to znaczy kłótnię... — Strzelił, to prawda... A za co ma być kłótnia, panie dzieu? — Bo przy nim się ukáže dziewica cudnego lica, co może do domu zazdrość sprowadzić.. — Najsłodszy Jezu! zazdrość? — i pani

Honorata poźółkła — zazdrość? a czy i do małżeństwa statecznego, wiekowego?... — Owóż podwiązka, to szczęście w miłości, a zając biegnący, to wszelkie niebezpieczeństwo, trwogę śmiertelną... — Oj! joj! śmiertelną, tego, panie dzieu? — Trwogę i szczęście w miłości? Najsłodszy Milatyński! racz nas uchować przed niebezpieczeństwem nagłym i niespodziewanym. A czy nie możnaby to lichu odpędzić czy odzegnąć? — i usta pani Honoraty drżały pytając. — Najlepiej zrobicie, państwo, gdy tego młodziana i dziewicy cudnego lica nie przyjmiecie do domu... — A jakże ich poznać? Któryż to, panie dzieu?... — Na to mam daną sobie wiedzę z góry i rozumienie, abym ludziom dobrej wiary, bogo

bojnym, szczodrobliwym, w swoim czasie tajemnice snów objawiał... Będę uważał, i powiem w stosownym czasie — i Ćwikła sięgnął po kapelusz jakby miał zamiar opuścić dom.

— A dokądże to, panie dzieu? — wołał Pamfil — prosimy, panie Ćwikła, prosimy, na herbatkę pozostańcie.

— Bardzo prosimy, będą goście, krewniaki, baronowstwo — dodawała pani Honorata, kiwając głową — kanforują o jenteresie w kancelarji Lenderka...

Rozmowa w duchu sennikowoproroczym na nowo się rozpoczęła pomiędzy państwem Porcia kowstwem, gospodarzami, a Ćwikłą, odkładając kapelusz na bok, dla pozostania na her

bacie. — Pamfil Porciakowski recte Porciak, pan półmilionowej fortuny, kilku największych kamienic w mieście, radny miejski, członek wszelkich możebnych towarzystw dobroczynnych i finansowych, jedna z najwybitniejszych firm lwowskiego życia publicznego, — był największym dobroczyńcą tego rodzaju ludzi, co Ćwikła, i najmilej z nimi przestawał jako były krawiec, który na spodniach i surdutach dorobił się majątku; przywłaszczył sobie gustu żur nałowe w życiu, ale dalej iść na polu cywilizacyjnym ani mógł, ani chciał, zaledwo umiając podpisać się i będąc przeciwnym wszelkiemu postępowi. Był z niego typ skończony „mieszczana\* dorobkiewiczza, zwanego „kołtunem”, & mającego niezmierną inklinację do wszystkiego co urzędowe, pańskie i niemieckie. Choć majątku się dorobił nielitościwym zdzierstwem, zawsze podnosił, że przyszedł do znaczenia — „mozolnom pracom”, nad wszelki wyraz godność jego podnoszącą.

Rozmowa schodziła z torów religijnoproczych na biblijnobohaterskie, Ćwikła, oburzone na złe nurtujące społeczeństwo, na tych co niepokój i kłótnie wnoszą do domów przyzwoitych, zaczął opowieść o Samsonie i jak on za dopuszczeniem bożem oślą paszczką pobił krocie Filistynów. Nie miał wszakże czasu przejść do morału, gdyż do salonu wpadła młodzianka pani, i narobiła rejdachy, zajmując wszystkich swoją osobą. Miała ona przy nieszpetynych rysach twarzy, lecz bardzo pospolitych, jakiegoś djabełka w swych szarych oczach, co wszystko

do góry nogami przewracał. Namiętność zaba-  
wy i używania, za jaką bądź cenę, drgała w jej  
figlarnych poruszeniach i głosie rozbawionym.  
Wchodząc zdawała się nie uważać na Ćwikłę,  
choć ten jej niziutkie, po korniutkie ukłony skła-  
dał. Była zajęta rozpytywaniem półgłosem go-  
spodarzy i jakby wydawaniem pewnych dyspo-  
zycji pani Honoracie.

W trakcie tego kończył Ćwikła przed pa-  
nem Pamfilem swą opowieść o Samsonie. Na  
raz podskoczyła jednym susem do opowiadać za,  
młoda pani, klasnęła w dłonie i zalała się śmie-  
chem przeszywającym.

— Panie Ćwikło! z kąd masz ten gust do  
Samsona? — wołała — czy niechcesz przypad-  
kiem odegrać kiedy roli oślejszej paszczęki?

Gospodarze zmieszani nieco, przejęci prze-  
sądnym strachem przed wieszczbiarzem, wahali  
się, co mają z sobą począć, wobec wybryku we-  
sołej pani; stali z rozdziawionymi gębami.

— Upadam do nóżek! całuję rączki! pani  
Leandrowej dobrodziejki — bełkotał Ćwikła niby  
uśmiechnięty dowcipnie — dziękuję za wspra-  
niałomyślnie ofiarowany zaszczyt, wprawdzie  
niezasłużony, o ile sędzić mogę...

— Zapłacysz się, mój Ćwikielko, we wła-  
snych frazesach jak Absalon we własnych wło-  
sach. Pozbawić się możesz przy tem samego  
ślicznego owłosienia, przypominającego szczotkę  
do zamiatania...

— Wolne żarty... o powierzchowność nie  
stoję, mając wiecznie rozdarte to biedne serce,  
troskami i przygodami ciernistego żywota...

— To serce pańskie jest w swoim rodzaju  
unikatem... Czyby nie można było do niego do-  
brać parki? — i śmiała się coraz głośniej.

— Parki? a toż przecie mam żonę i dzie-  
teczki, drobne robaczki?...

— Głodne, nieokryte, zziębnięte wśród naj-  
większego upału?!... To stara piosnka, niecie-  
kawa, — świat byłby daleko ciekawszy, gdyby  
ujrzał w parze serce pańskie... cha! cha! cha!  
Podczas tej przemowy weszła a raczej wpa-  
dła baronowa Złocińska z Fińcią i wyciągnęła

z dała rękę do młodej pani.

— Przecież choć raz cię w domu znajduję Klarcu, przy tak poważnem zajęciu jak nau czanie — tu urwała, i wskazała ręką na star szych gospodarzy — imaginez — vous, ces gens, ile razy przyjdę do ciebie, nigdy nie umieją po wiedzieć czy jesteś lub niejesteś u siebie ?...

— Vous voila ma tante et ma bonne Fiń cia, witam was serdecznie — i Klara porzu ciwszy Ćwikłę, zawisła na szyi nowoprzyby łych, mlaskając niezliczonemi całusami i ściska jąc aż do uduszenia.

Porciakowscy też się pokwapili zbliżyć do gości i uśmiechami połączonemi z wykrzykni kami, dzielali radość młodej pani.

— Pani matko — raptem zwróciła się Klara do starej Porciakowskiej — dlaczego nie mówi cie prawdy ciotce, kiedy jestem lub nie jestem w domu ?

— Ależ Klarcu — podchwycili oboje Por cjakowstwo — my bo nie wiemy, kiedy jesteś lub nie jesteś w domu ?

— Widzę, że pani matka dobrze pojęła przepisy dobrego tonu; proszę jednak odtąd cioci mówić zawsze prawdę.

— A jakże, a jakże, panie dzie u — bełko tał Pamfil śmiejąc się i szargając nogami jak dzieciak rozmieszający uliczne błoto.

Dopiero teraz baronowa z córką uznały za stosowne przywitać gospodarzy protekcyjnalnem kiwnięciem głowami, chociaż ci skakali naokoło nich jakby dostali szału tanecznego św. Wita. Baronowa raczyła podać końce palców Pamfילו wi, ale pani Honoracie nie dała zakosztować tego zaszczytu; za matką powtórzyła to samo Fińcia. Ćwikła idąc w ślady gospodarzy, był też nad wyraz wszelki nadskakującym, ugiął karku raz po raz i wyszczerzał zęby do uśmie chu, oczekując, aż na niego spadnie łaska przy witania.

— Ten pan?... i baronowej palec wskazał rozpromienionego współpracownika „Wyrazu”.

— Taż to, panie dzie u, dobrze znajomy pani baronowej — mówił Pamfil — taż to nasz pan Medard Ćwikła, liberat, aha gazetnik... zaproszony na wieczorek....

Baronowa, Fińcia i Klara wybuchnęły śmie chem homerycznym.

— Panie Musztardo, przepraszam, Medar dzie — krzyknęła Klara, wzięwszy się w boki — to pan masz na drugie imię Liberat?

— Nie, pani dobrodziejko — Cyrjak.  
— Czyrak?... a to trafne — i nowy aplauz  
śmiechu zagłuszył wszelkie tłumaczenia Ćwikły.  
Po niejakiem uciszeniu się wrzawy, baro

nowa ujęła Klarę za głowę i z macierzyńską  
pieczołowitością popatrzała na nią, a potem  
złożyła długi pocałunek współuczucia:

— Ma „pauvre petite”! skazana wiecznie  
mieć „un entourage de charivariu... i oko baro  
nowej łysnęło.

— Dziękuję ma „tante\* — odpowiedziała  
Klara — przyznam się jednak otwarcie, że woję  
swobodę i wesele od nudów salonowych... zwła  
szcza, gdy one nie są suto pozłacane.... Woję  
ciepło, niegłodno, wygodnie, choć może nieco  
„ckocking\*....

— Zawsześ była wzorem praktyczność,  
moja ty filozof ko, po co masz sobie psuć życie ? —  
odcięła się ciotka baronowa, sypiąc złośliwie  
iskrami z ocz przymrużonych.

Wydana za syna Porci akowskiego, Leandra,  
adwokata krajowego, Klara Złocińska, kuzynka  
baronowej po mężu, która żyła u niej na łasce  
jako sierota uboga, bo nic prócz długów po ro  
dzicach nie dostała, — nie mogła nigdy zapo  
mnieć tego towarzystwa, że ją wypchnęło ze  
swoich szeregów i w dodatku darzyło szyder  
czem współuczuciem. Miała zresztą bardzo ła  
twy rewanż jako bogata pani, choć mieszczańka;  
dawała też to uczuć arystokracji nadpeł  
twiańskiej, zaprzątniętej wprawdzie badaniami  
czystości podań Paprockiego i Niesieckiego, ale  
niemniej przeto należącej do plutokracji i co  
najstraszniejsza, gołej do obrzydliwości. Klara  
bywała rzadkim gościem w domu, obiegając  
całe miasto i ciesząc się bez końca, gdy wyła  
pała kogo na gorącym uczynku ubóstwa, ma

skowanego wśród towarzystwa. Żeby mieć zu  
pełne zadośćuczynienie, potrzebowała dostać w  
swe ręce fortunę mężowską, spoczywającą obe  
cnie w kasach pana ojca, ekskrawca, ale głę  
bokiego znawcy następstw mogących ztąd wy

niknąć. Ten ostatni powód jako też igielnono  
życowe fatalne pochodzenie, zmuszało synowę  
do prowadzenia nieustannej głuchej wojny pod  
ziemnej przeciwko rodzicom mężowskim.

— Jakże szanownej krewniaczki, pani ba  
ronowej, zdrowieczko, panie dzieu? tam, tego—  
pytał baronową Pamfil.

— Nieszczególne, gotówki brakuje — od  
powiedziała baronowa skrzywiona.

Gospodarz już był usta otworzył, ale w tej  
chwili spotkał strwożony wzrok żony; stulił  
też je natychmiast jak ostryga od cytryny i  
krząknął kilkakrotnie, zamiast odpowiedzi,  
zamilkł.

— Och! och! dałby to Bóg, żeby się po  
prawiło — odpowiedziała Porciakowska matka,  
zamiast męża — a dawno też pani baronowa  
była u księżny marszałkowej? czy zdrowa, czy  
w dobrym humorze?

— Dopiero przed chwilą rozstałyśmy się—  
i baronowa ziewnęła — moi pocziwi, bezemnie  
ona tchnąć nie może; zawsze z sobą konferu  
jemy.

— To zupełnie jak ten biedny Lenderek,  
co cały boży dzień kanforuje, taj kanforuje...  
Szalony wybuch śmiechu zmroził resztę  
słów na ustach zmieszanej Porciakowskiej  
matki. Biedaczka wodziła swemi wylupiastemi

Oczyrna jak owca uchwycona za kark nieUości  
wą ręką rzeźnika.

— Pani Honorata taka zawsze dowcipna—  
mówiła Fińcia— tak wybornie nauczyła się je  
zyka towarzyskiego...

Wesele wzmagało się, podczas gdy niepe  
wna ofiara wyszydzań, nie wiedziała czy ma to  
brać serjo czy na żarty; śmiała się, poprawiała  
czepka i włosów, wachlując się przytem wspa  
niałym swym wachlarzem. Rzuciła wzrokiem  
błagalnym na synowę, prosząc instynktowo o  
zaprzestanie tej obławy towarzyskiej.

— Pani matka ma czasami niepospolity ta  
lent bawienia sobą — rzekła cynowa — inni  
też miewają podobną zdolność, ut choćby oka  
zały Litwin, plenipotent Brońci Narzeńskiej, tyl  
ko w odmiennym stosunku... Dalibóg! — i ude  
rzywszy się w piersi, Klara westchnęła głę  
boko.

— Ach! ma chbre — westchnęła Fińcia je  
szcze głośniej — ten może tak zabawić, że ca  
ły świat zniknie z przed oczu...

— Pan Medard Ćwikła nie gorszy się temi



naszemi zachwytaami?! — i Klara zrobiła minę świętoszka.

Wesele wybuchnęło z nowym zapalem.

— Zachwyty trzymają się osób obdarzonych łaską wyższą, którą Ojciec Niebieski wynagradza świętobliwych jeszcze za żywota ziemskie go — odpowiadał Ćwikła.

— Czy nie ten przypadkiem, co u oo. je zuitów namalowany na suficie?! — przerwała Klara — zstąp jegomość lepiej na ziemię i od

powiadaj, zamiast mglistą mistyką, językiem ludzkim.

— Całuję nóżce, pani dobrodziejki — i Ćwikła ucierał nosa, spuszczać oczy w dół — nie każda okazałość ziemiska powinna zachwycać nas, albowiem bywają powierzchownie okazali, a wewnątrz pełni jadu i ducha ciemności...

— Dajże pokój tej świętobliwej gadaninie!

?le, żeś na wstępie karjery ziemskiej nie został wielkim „kizlaragatt sultańskim...

Wybuch śmiechu tą razą był tyle gwałtowny, że Ćwikła istotnie tak poczerwieniał jak plasterek ćwikły do sztuki mięsa, wstydliwie rozplaskany na obrusie. Młoda gospodyni pod skoczyła do niego obces, i zanim się opamiętał, porwała go na ręce, a następnie zaczęła go obnosić na około pokoju, lulając jak dziecko. Klara słynęła ze swej siły herkulesowej; pomiędzy sportsmeńskimi tężyznami była za to wysoko cenioną.

— Biedny mój „kizlarku", lulajże, lulaj!...

Żał mnie ciebie, żał serdeczny; krzywdzą ciebie wszyscy, ale ja będę twoim Samsonem, a ty bądź moją oślą paszczeką... Zapróbujemy teraz potłuc Filistyny — i Klara wyniosłszy Ćwikłę na środek salonu, puściła go raptem, aż podłoga jęknęła.

Tą razą i starzy Porciakowscy nie mogli zapanować nad sobą. wybuchając szalonym śmiechem, aż piesek pokojowy i kot, faworyt pani Honoraty, uciekły pod kanapę. Wesele wzmogło si?? gdy Ćwikła wstawał z trudnością z ziemi

okropnie skrzywiony, i obmacujący potłuczone części ciała.

— Dlaczegoż nie dziękujesz panie „kizlar ago” za to, że cię tak dobrze spuściła na Fi listynów?! — krzyczała Klara tupiąc nogą.

— Całuję rączki — i męczennik salonowy posunął do ręki swej dręczycielki.

— Precz od ręki! całuj nogę! — i wysunęła koniec bucika z pod sukni.

\* Ćwikła padł na klęczki, już przybliżył usta do lakierowanego końca bucika, gdy niespodzianie Klara podeszwą maźnęła go po nosie. Prawdziwa burza śmiechu rozszalała, a piesek zaczął ujadać z całych sił.

Nowi widzowie ukazali się w tej chwili w progu salonu. Była to Bronisława z ciotką, a z tyłu za niemi postępował Świętosław z jakimś mężczyzną. Zabawka Klary, zbyt pierwotnego zakroju, zatrzymała wszystkich na progu zdumieniem oniemiałych.

Młoda gospodyni ze śmiechem pobiegła na spotkanie gości; rozczapierzyła ręce jakby wstydkich chciała zagarnąć w swe objęcia.

— Aniołku, Brońciu! wołała — tylko się nie gorsz ze sposobu naszego traktowania, naszych niezbyt gorących wielbicieli... ale zawziętych adoratorów naszych worków.... Wy to tam na Litwie nie macie wyobrażenia o „temperamencie”, którego od nas wymagają koniecznie tutejsi mężczyźni, niestety zdolni tylko do zgłębiania podobnych kwestyj....

— Nawet mężów nie wyklucasz ? ! — przebrwał krzykliwie mężczyzna obok Świętosława.

— Jeżeli są mazgajami....

— Mazgaje, duszko, nie zawsze są mazgajami ; częstokroć taki mazgaj kupi i sprzeda niejednego bohatera, że się ani spostrzeże.

— Ty bo Leandrze wiecznie nicujesz kałde zdanie jak skarpetkę do cerowania....

Praktyczność w oczach nas, kobiet, nie zawsze bywa praktyczną. Nam potrzeba, żeby najprościej proza, i ta była przystrojona \* kwiaty poezji; wtedy ją znosimy koło siebie.

— Mon cher Leandre, przegrałeś bitwę — wtrąciła baronowa — musisz rozpocząć rokowania pokojowe.

— Rokowania pokojowe, che! che! mrucał Pamfil — Lenderku, musisz tego, panie dzieu !

— Prawo zwyczajowe jest dla mnie „su prema lexx”.

I pan mecenas Leander Porciakowski, pul

chny brunecik, z głową jak na sprężynach, wąsikami wyfiksowanymi z węgierska, oczami skazącymi na wierzchu, w stroju jakby z żurawiną wyciętym — pomknął żwawo jak pijawka pływająca w słoju, przypadając nabożnie do rąk baronowej Fińci, matki a naostatku żony. Ćwikłę powitał wprawdzie protekcyjnie, ale z całą powagą i rodzajem współczucia, szacunkiem nacechowanego. Przybrał postawę adwokacką, surowo — poprawną, z ust krzykliwych, gotowych — do ferowania, demonstrowania, argumentowania, polemizowania, badania, kruczkowania, wydał coś nakształt śmiechu dobrodu

szego, zwracając się do świeżego pogromcy własnych Filistynów.

— Klijent szanowny, mam nadzieję, nie chce dalej ferować sprawy po nad instancję naszą? Mamy odszkodowanie na jego zawołanie— i Leander ścisnął znacząco dłoń niefortunnego pogromcy.

— To serce, dobroczyńco, panie mecenasie i Ćwikła machnął ręką patetycznie — ono nie zna, nie jest tak wyrodne, by nie umiało ocenić miłościwego żartu, dostojnej małżonki twej.

Gdy to wymawiał, Świętosław witał się z Klarą.

— Wybacz pan rzekła — że na wstępie wita cię podobna elokwencja. Komplementa u nas wychodzą jak z pod prasy, zupełnie jak u Niemców, wyduszone ze wszelkiej odrobiny serdeczności. Męstwo dla nas, to niewygodna suknia; nam potrzeba szlafroków ze szlafmycami i pantoflami. Uchowaj Boże, narazimy zdrowie lub spokój miły i wygodki!? Pławimy się w dobrobycie jak pączki w smalcu, i wy czekiwamy, aż ktoś nas spożyć łaskawie raczy.

— Z konfiturami zapewne, moja duszko ?! wtrącił Leander.

— Chociażby, ale i to nie obroni przed losem zwykłym strawy — i wzgardliwy wzrok posłała dowcipkującemu małżonkowi — pokorą, mój drogi, w katechizmie tylko można wojować...

— Pokora, moje życie, to najstraszniejsza broń, co kruszy najoporniejsze siły, chociażby te poczynęły nie wiedzieć jak po rycersku.

— Ale to nie po ludzku, a przede wszystkim po męzku, a co właściwie usposabia nas, Galicjanki, do żywota nieco ekscentrycznego czyli jak sądzą emancypowanego.

— Podzielałam w zupełności zdanie pani — wtrącił Świętosław — męskość, wobec kobiecości, musi odmierzać swe czyny skalą przechodzącą swą miarą powszedniość, nie pomnąc na wet niekiedy na szczęście doczesne. Zakres czynności ducha ginie w nieskończoności, wymagania jego i dążenia są nieuchwytnie jak jego natura. Nie rozumie ten praw wyższych, kto się do tego w życiu, zwłaszcza w zastosowaniu do kobiet, nie stosuje.

— Nieograniczone wymagania i pragnienia jednostki powinny ustąpić przed wszechwładnym prawem i godzeniem się z rzeczywistością — ciągnął Leander — lojalność i pozytywizm, to są prawdziwe probierze naszych postępów w ogóle.

— Podobnymi pojęciami mogą się rządzić bierne masy ludowe, ale nigdy społeczność ucywilizowana! — odpowiedział Świętosław — mówiąc zaś przede wszystkim o tutejszej lojalności, znajduję ją potworną, zwłaszcza, gdy się ją widzi połączoną z pozytywizmem, narzucającym społeczeństwu dziecinnie religijnemu... Wychodzi na to, że tu panuje idealizm materialny obok ateizmu katolickiego...

— Uważam, szanowny panie Świętosławie, że jesteś porządnym radykałem — i mecenas zachichotał — mocno czerwonym, „ein staats gefarlicher Schwarmer," a w dodatku ateistą.

— To i nas proszę zaliczyć do tejże samej kategorii — wtrąciła Klara — bo wolimy wolność nad wołową robocizną, kłającą lemieszem powszedniego życia skibę towarzyskich stosunków, ubraną w poważne jarzmo niewoli obowiązków... Te zawiesziste teorie w wieku pary, elektryczności, mody, są za ciężkie.

Towarzystwo było zajęte rozwiązywaniem zadania zbyt zwięźle wypowiedzianego, i nie uważało, jak Ćwikła wyniósł się na palcach do drugiego pokoju. Spółpracownik „Wyrazu" wy dobył szybko notatkę, i notował w niej skwapliwie zdania, dopiero co wygłoszone przez Świętosława. Zapisywanie skończył prędko i

zaraz pospieszył napowrót, manewrując koło ojca Porciakowskiego, któremu szepnął, że mu głos prawdy wyjawia znaczenie snu.

Klara dalej chciała mówić, ale baronowa ziewnęła raz i drugi, dając do zrozumienia, że nie jest zadowolona z rozmowy. Antypatyczny prąd zmroził zapał do rozpraw dotychczasowych; baronowa usiłowała zawrócić je na inną tory.

— Wyobraź sobie ma chere Brońciu — rzekła po chwili — co chciałam powiedzieć? aha! spotkałam w pewnym domu comme il faut twoją rodaczkę Litwinę, nawet przyjaciółkę, pannę Alice Wędzonkę, Wędzońską, ma foi, jakoś tam... Pomijając nazwisko, jest ona „bardzo do brze”. Rzadki takt, bystry umysł, wytrawny sąd, rodzaj un homme d'état w spódnicy.

— Razem z cicią poznałam ją u księżny marszałkowej — dodała Klara — zaintrygowa

ła nas bardzo. Widać w niej rasę, choć to niby plebejuszka. Zapowiedziała nam swoją wizytę na dzisiaj.

— Nie jest ona plebejuszka, pochodzi z u rzedniczego rodu — odpowiedziała Bronisława — co mnie jednak zastanawia, oto żeśmy widziały się dzisiaj, — zapytała mnie, gdzie będę w ciągu dnia? — a gdym jej odpowiedziała, że będę u was, nie odkryła wcale zamiaru swej bytności tutaj. Jest ona nadzwyczaj oczytaną, a jak my mówimy, uczoną. Można ją z prawdziwą przyjemnością słuchać całymi godzinami.

— Jak widzę, jesteś jej admiratorką ?

— Bo warta tego.

— Moja ty poczciwa bogini wdzięku — i Klara pocałowała Bronisławę. — Słyszałam, że i pan Świętosław uwielbia pannę Alicję? — do dała po cichu.

Dumny uśmiezek pewności przemknął po ustach Bronisławy, gdy jednocześnie wzrok nie co przymrużony utkwiała w suficie.

— Może i prawda, kto to wie?—i coś figlar nego zaświeciło w jej fijołkowych źrenicach.

— Powiadano mi, że chodzą z sobą po od ludnych spacerach.

— Nie chce się widać spotykać z jej ojcem, jak wiesz, adwokatem Rysińskiego. Zielone ogniki zaświeciły w szarych oczach młodej gospodyni, usta zadrżały kurczowo a twarz ściągnęła się na dół. Nieostrzeżony ten przez ogół epizod, popsuł harmonję dotychczasową w towarzystwie kobiecem. Była widocznie

jakaś próba, która się zawiści kobiecej nie udała. Rozmowa szła leniwo.

Nowi goście weszli. Był to kapitan Zawa djakiewicz z żoną i Alicją, za którymi postępował hrabicz Gogocki, poprawiający szkieleko i mankiety.

Starzy i młodzi gospodarstwo witali z nadzwyczajną uprzejmością przybyłych gości. Rodzice Perciakowscy czynili to jednak więcej mechanicznie niż dzieci, zwłaszcza Klara, nadska kująca Alicji. Połyskujące oblicze kapitana wyszczerzało się jak pysk charta na smyczy, co ujrzał zwierzyne, ale spogląda z szacunkiem na harap myśliwego, który zastępowała obecnie postać Świętosława. Hrabicz konceptspraktykant stapał impertynencko, ukryty za swą awangardą, jakby wcale nie widział Świętosława, swego pogromcy.

Spotkanie Bronisławy z Alicją było nader serdeczne, zwłaszcza ze strony ostatniej. Zmiękło zdawało się zupełnie serce Alicji, a jej twarde oliwkowe rysy oblała miękka jasność, coś w rodzaju szodonu na legominie. Zachwycała sprytem i trafnością spostrzeżeń, uzbieranych na bruku lwowskim.

Fińcia uszczęśliwiona przybyciem Gogockiego, miała mu jednak to za złe, że asystował Alicji, zaćmiewającej ją do reszty obecnie swym dowcipem i wiadomościami. Baronówna wpadła na koncept popsucia szyków rywalce, około zdo bycia serca hrabicza; zaproponowała śpiew, w którym celowała Bronisława.

## C

Świętosław, przy całej swej męskiej naturze, lubił muzykę i był dobrym śpiewakiem. Uproszono, aby stanął do duetu z Bronisławą. Gdy znaleźli się obok siebie, przy fortepianie, i złączyli w jedną całość swe głosy harmonijne, wszyscy zostali niemi zachwyceni. Wszelka za wiść i złość ustały jakby zakłętę dźwiękami orfeuszowskiej lutni. Jednogłośnie posypały się hołdy uznania i podziękowania, gdy skończyli

swój duet.

— Panie tego, tego — szeptał Pamfil do  
Ćwikły na ucho — widać w nim prawdziwego  
pana, panie dzieu.

— Przed oblicznością Pana Boga, wszyscy  
ludzie są równi; Jego wielkość tylko uznawaj  
my, Jemu chwałę dawajmy. Niezawsze powierz  
chowność czleka bywa wizerunkiem jego duszy,  
rzekłem to już pierwej.

Wzrok gospodarza błąkał się po twarzy  
mówiącego jak rączki niemowlęcia, szukającego  
łona macierzyńskiego. Pochwały brzmiały na\*  
około, trudno było podstępowi przedrzeć się  
przez ich świetne szyki.

W czasie śpiewu, Alicja, miała też czas  
zbliżyć się do Perciakowskiego syna i szepnąć  
mu na ucho:

— Ojciec zasyła ukłony, panu dobrodziejo  
wi, prosi przytem o naznaczenie miejsca spot  
kania i godziny.

— Około południa, jutro, w biurze hrabie  
go Gogockiego; miejsce najmniej niebezpieczne—  
odpowiedział Leander również cicho, potrząsa

jąc sprężynowo głową, starannie rozczesaną z  
tyłu i z przodu.

Jeżeli Świętosław i Bronisława nie wi  
dzieli tego, za to oko milczącej ciotki Kamilli  
dopilnowało dobrze. Staruszka mocno się zanie  
pokoila; przecucie kobiece coś podpowiedziało  
jej, rzecz dziwna, nie ostrzegało jednak przed  
niebezpieczeństwem dla Bronisławy, lecz Świe  
tosława. Drżała teraz o niego jak o własnego  
syna, gdyż upatrując w nim ideał mężki, całym  
sercem pragnęła połączyć go związkiem małżeń  
skim z najukochańszą siostrzenicą. Kobiety da  
leko zręczniejszemu rozplątywać umieją węzły zaga  
dek małżeńskich; ocena ich serca jest daleko  
trafniejszą, choć wychodzi z pobudek daleko  
szlachetniejszych od męskich. Sobkowstwo nie  
jest zdolne do tylu je przytłoczyć, aby zatraci  
ły całkiem tę zdolność, jak to u mężczyzn mo  
żna spotykać na każdym kroku. Sumienie nieo  
balamueone doktrynami jak ptaszę dzikie, cią  
gnie je nieomylnymi drogami w szlaki najdalsze  
uczucia, i bardzo rzadko kiedy omyli.

Zaledwo Bronisława wstała od fortepjanu,  
ciotka podeszła do niej i szepnęła:

— Dziecko moje, staraj się wpłynąć na  
pana Świętosława, żeby się nie unosił tego wie  
czora. Mam jakieś niedobre przecucie. ,

— Niechże ciocia kochana powie co zaszło ?

bo wiesz dobrze, że zamiast powstrzymać, ła  
twojej go rozdrażnić lub pobudzić do zbytnej  
zuchwałości...

— Trudno, żeby ci moje podejrzenia ko  
li

munikowała. Jedno powtórzę, miej go ciągle na  
oku, a jeżeli można, nie puszczaj od siebie...

Bronisława zgodziła się z wolą ciotki, i  
nieznacznie zaczęła krążyć w rozmowie ze Świę  
tosławem, aż wpadłszy na temat porywczosci,  
uprosiła go, aby przyrzekł nie zaczepiać niko  
go. Świętosławowi coś naksztąpił uśmiechu iro  
nicznego przemknęło po obliczu.

— Alboż to odemnie zależy? — mówił jak  
by do siebie — nie wiem, z kąd to pochodzi,  
dostyc, że ciągle muszę kroczyć w życiu droga  
mi, na których spotykam złe i przewrotne ży  
wioły; ciągną one na mnie jak słomki na my  
śliwego.

Podano wieczerzę. Stół Krezusa krawieckie  
go pochodzenia, choć zastawiony pretensjonalnie,  
tracił jednak restauracją, ztąd zapewne, że pa  
ni Klara całe gospodarstwo zdała na matkę,  
nie wiedząc nawet, w którym końcu mieszka  
nia była kuchnia. Półmiski z zawieszonymi por  
cjami, zawierały powszechnie znane potrawy  
„z karty”: rozbratle, kurczęta pieczone, galare  
ty od rzeźników, tort od cukiernika. Prócz wi  
na, ku zbudowaniu pewnych „Idealistów”, stał na  
boku i dzban pękaty z cynową przykrywą, na  
pełniony piwrem; były i kufle napodorędziu.  
Zmęczony torturami etykiety i niezrozumia  
łej rozmowy, gospodarz ojciec aż odżył, gdy uj  
rzał stół zastawiony. Śmiał się łykając ślinkę  
i strzelając wzrokiem po półmiskach. Ćwikłę  
usadowił obok siebie. Wzrok jego jak jastrząb  
krążył uparcie nad jednym rozbratlem, szczegól  
nie ponętnie wyglądającym; nie wytrzymał zre

szta, sięgnął ręką, aby sprowadzić do siebie u  
patrzoną porcję. Traf zrządził, że w teje chwili  
Świętosław zabrał półmisek, i położył upatrzo



ny przez ojca gospodarza rozbratel sobie na talerz.

Zgroza, oburzenie, żal po straconym łąkowym kąsku odmalowały się w tragikomiczny sposób na twarzy ojca Porciakowskiego. Oczywiście zatopił w rozbratlu, ale już było za późno.

Po rozbratlach przyszła kolej na kurczęta; pan Pamfil znowu upatrył najokazalszą sztukę, i już sięgał ręką, gdy Świętosław znowu zabrał półmisek, i upatrzona sztuka znalazła się na talerzu Bronisławy.

Pan Pamfil uczuł się być śmiertelnie obrażonym, gdyż nie pojmował jak mu własność jego z przed nosa można było w taki sposób sprzątnąć? Nie byłże on tu gospodarzem, nie powinniż byli goście uważać na jego majątek, znaczenie, dostojęństwo? Jak śmiał jakiś obcy młodzik być tak nieuważnym, i nie widzieć tego, co on upatrył?... Uczucia te to barwiły, to bielily całkiem jego posągowe oblicze; usta zaś rozwierał znany już ruch ostrygowy, a ręce chwytaly za brzeg stołu.

Ćwikła, śnać świadomy zwyczajów i obyczajów domu Porciakowskich, od razu zgadł, co poruszało duszę pana Pamfila.

— Usłyszałem głos wewnętrzny — szepnął nachylony do gospodarza — oto mi powiada on: ten ci jest młodzian urodziwy ze snu — i skinął w stronę Świętosława.

— Masz racjom, panie dzieu — odpowie dział Pamfil — niepokój wniósł do domu...

Ale nie dosyć na rozbratlu i kurczaku, trzebaż było, że i z tortem coś podobnego zaśzło. Ciosy nie mogły być boleńszymi dla ambicji kołtuńskiej. Gościnność kołtuńska, to nie owa, wzięta żywcem z przepisów Manu; ma ona w sobie dużo sklepowego, z pod wagi i miary, jako wyrosła na klasycznym polu „walki byt” i „doboru przyrodniczego”... Własność tu jako sacrosanctum występuje, i nadaje sobie charakter kapłaństwa.

Wyniosłe czoło Świętosława świeciło dumą pogodą; nie bez tego żeby się nie czuł być obcym w tem towarzystwie; przez wzgląd jednak na Bronisławę patrzył na ten cały świat pobłażliwie, nie podejrzewając wcale obudzonej nienawiści dla siebie. Chociaż nie poznał Cwikły, a starego Porciakowskiego zaledwo znał z widzenia, całe to zgromadzenie w oczach jego miało jednaki koloryt lokalny, bardzo daleki od

idealnego. Baronowa obok krawcowej, kapitan obok hrabiego, była to pyszna mozaika towarzyska, żywa kolekcja do teki ś. p. autora „Ramo i Ramo tek.” Przenikliwość bystra, dar duchów wyniosłych, odkrywa mu w tym drobiazgu jak w gnieździe octowem, zaród kwasu rdzawiego społeczeństwo i wylęgalię wymoczków paśożytnych. — Nie wiedząc całej prawdy, więdział tylko śmieszną stronę; ale tego wcale nie objawił na zewnątrz, zachowując jak zwykle surową powagę na obliczu, nie pomarszczonem ani na chwilę wesołości bruzdami uśmiechu.

Jednak ta obojętna na pozór postawa, tem mocniej drażniła stronę przeciwną. Knuła ona cały szereg planów odwetowych, sądząc, że na jednym poprzestawać byłoby to za mało. Porciakowski ojciec był zajęty nalewaniem kieliszków kiepskim „zieleniakiem”, krztusił się mocno, co miało oznaczać śmiech, i zapraszał każdego ze szczególnem wylaniem na swe wino. Gdy przyszła kolej na Świętosława, szyjką od butelki poprowadził po nad jego kieliszkiem; nie doławszy, ominął go, i zaczął sobie nalewać. Nalał następnie Ćwikle, postawił butelkę i poklepał go po ramieniu, dodał w rodzaju sentencji zbyt przezroczyściej: — Panie tego, panie dzieu, kto nie płaci, musi być grzecznym... Jesteś pan, panie Ćwikła, panie dzieu... he! he! Świętosław domyślając się w lot, że to do niego pito, ostro spojrzął na gospodarza, badając, coby to mogło wszystko znaczyć? Stary Porciakowski jakby czekał na to, wyszczerzył się do niego, mało tego, kiwnął parę razy głową w stronę nienawistnego gościa. Z oczu błękitnych Świętosława strzelił jakiś blask zimny, przytłaczający woię; odsunął talerz od siebie, i pełen wyniosłej dumy, zapytał go gospodarza ojca: — Można więc być i niegrzecznym, skoro się płaci?... — Kto płaci, ma prawo rozkazywać, panie dzieu; może postępować wedle swojej, nie oglądając się na gospodarską wygodę... panie tego... Świętosław zbladł, czoło zmarszczył, po

wstał powoli i oparty na swych żylastych dłońiach, zawołał surowo:

— Odtąd proszę mnie nie uważać za gościa, za to, co jadłem i wypilem, płacę. Co się należy ?

Siła wzroku i warczenie głucho w gardle, towarzyszące tym słowom, oniemiły nietylko Porciakowskiego ojca, ale i resztę towarzystwa, wcale nieoswojonego z podobną drażliwością charakteru.

— Co się należy za wieczrę i herbatę ? — pytał Świętosław nieubłaganie.

— Ależ panie tego, panie dzieu... tu nie restauracja ? — zdobył się nareszcie Porciakowski ojciec, ośmielony, że jest na własnym śmieciisku.

Za nim i reszta mężczyzn zaczęła pomrukiwać. Dostyc jednak było, aby zimny wzrok Świętosława przeszedł po nich z kolei, by wszyscy zamilkli.

— Czy wystarczy pięćdziesiąt reńskich?

— Ja nie potrzebuję, panie tego...

Ale było już za późno, Świętosław bystro wydobyl banknot pięćdziesięcioreński, położył go przed sobą na stole, i pokłoniwszy się grzecznie damom, wyszedł z pokoju. Na wycho-  
dnem szepnął do Bronisławy:

— Proszę wybaczyć, że nie mogę towarzyszyć paniom do końca wieczora. Czy za powrotem do domu przyjmiecie mię dzisiaj u siebie ?

— Ależ prosimy najserdeczniej — i Bronisława spoglądała na kochanka okiem pełnym dumy i zachwytu.

Nagle rozwiązanie niedostrzeżonego przez towarzystwo ubliżenia gościowi, przez starszego gospodarza, wprawilo w osłupienie wszystkich. Potracili głowy, jeden stary Porciakowski nie stracił równowagi umysłowej i złośliwie wyszczerzony, sięgnął po banknot bawosława, aby go schować. To zbudziło z odrętwienia Klarę, która skoczywszy do teściu, wyrwała mu z garści banknot, i strzałą wyleciała za drzwi; ale już było znowu zapóźno, — Świętosław z niezrównanym pośpiechem opuścił dom niegościny. Błada jak ściana powróciła do jadalni; drżąc cała od wstydu i gniewu, cisnąwszy banknot na środek stołu, przemówiła do męża:

— Mówiłam ci tyle razy, że oni są niemo

żebni w „towarzystwie” — i wyciągnęła rękę  
wzgardliwie w stronę rodziców — nie rozu-  
mieją oni jak się traktuje ludzi naszych; to co  
uchodzi pomiędzy prostakami, zabija osoby do-  
brze wychowane.... „Comprenez — vous?”  
Domówiwszy te słowa, załapała się łzami i  
załamała ręce, padając na piersi ciotki barono-  
wej. Porciakowscy starzy zapomnieli języka w  
gębie. Cisza głucha nastąpiła, podczas której Bro-  
nislawa z ciotką Kamillą wstały od stołu i po-  
żegnały towarzystwo. Klara zapłakana ścisnęła  
je, przepaszając za afront uczyniony człowie-  
kowi wprowadzonemu przez nie, i błagała, aby  
oddały mu banknot, który wcisnęła do rąk Bro-  
nislawy. Po żonie przystąpił Leander i w sło-  
wach najdobroszyszych przepaszając panie, pro-  
sząc je zarazem, aby przebłagały Świętosława,

choć on sobie zanadto porywczo i bez wyrozu  
miałości należytej postąpił.

Gogocki' w tym czasie szeptał na ucho

Fińci i chichotał, mówiąc:

— Nie jestże to typ doskonały DonKiszota,  
zakonserwowanego w borach litewskich?! Czyż  
taki pan Pamfil jest w stanie kogo obrazić?!..  
To śmieszność L.

Nie próżnował i Ćwikła.

— Sen się sprawdził w zupełności — sze-  
ptał na ucho Porciakowskiemu ojcu — chciał  
was widocznie Najwyższy doświadczyć za wasze  
zbyt dobre serce, zbyt szlachetną gościnność,  
zbyt delikatne postępowanie z ludźmi, niezła  
sługującymi na to.

— Dajże pokój tym szeptom! — krzyknęła  
raptem Klara zirytowana, że ktoś starego po-  
ciesza — pozbawiasz go reszty oleju w głowie.

— A, Klarcu, panie dzieu — podchwycił  
teśc urażony — nie godzi się tak żałować ka-  
walera. Abo to nie mamy za co innych naspro-  
wadzać do siebie na wieczory? Chwała Bogu,  
jest za co, panie dzieu.

Ten naiwny sarkazm rozweselił towarzy-  
stwo, a najwięcej męża Klary, który aż par-  
sknął. Żon i p stała mu przeszywające spojrze-  
nie : j Inocześnie zawezwała do narady najbli-  
szych, jakby skandal odwrócić od ich domu? —  
Leander doradzał, aby zwykłym trybem lwow-  
skim zignorować afront jako wymierzony prze-  
ciwko tak niepoczytalnej osobie jak jego ojciec.  
Baronowa z córką to samo doradzały, przyrze-  
kając, że najuroczyściej będą zaprzeczały po sa-

łonach, gdyby ktoś rozniósł plotkę po mieście o niemiłej przeprawie.

Inaczej tymczasem radzili kapitan z Porciakowskim ojcem. Ćwikła dorzucił, że widać tu znamiona zbrodni zakłócenia spokoju publicznego, a Gogocki, że teraz ma w ręku dowody przewrotnych tendencji obcokrajowca.

— To ja nie wiedział, panie tego, panie dzieu — wykrzyknął pan Pamfil — że miałem do czynienia z tak niebezpiecznym człowiekiem?... A może, panie dzieu, tego?...

— Oczywiście — podchwycił kapitan — to jest „staatsgefahrlisches Individuum”... Lepszych daleko gnojono w Szpilbergu...

— W kremenale, panie dzieu?...

— „In Festung”...

— W festunku, aha, prawdziwie zasługuje, bo jest prawdziwy rebeliant...

Nie byłoby końca dalszemu rozwodzeniu się nad przyszłymi losami znieważyciela powagi do mu Porciakowskich, gdyby nie nagła potrzeba opuszczenia miejsca, gdzie zaszedł tak niemiły wypadek. Jakkolwiek wszyscy zapewniali o nie zachwianym tym wypadkiem szacunku dla gospodarzy, nie mniej przeto pospieszali opuścić salony ekstrawca, zapowietrzony moralnie znie wagą.

Gogocki z Ćwikłą towarzyszyli państwu Zawadjakiewiczom, z tem jednak, że panią, spowinowacaną przez tyranię mężowską sprzęt do mowy, puszczono naprzód z Alicją, aby tę ostatnią do ojca zaprowadziła, a sami dobrze w tyle pozostali. Hrabicz w tem otoczeniu przybrał

niezwykły, arogancki ton zwierzchnika, wydającego dyspozycję podwładnym.

— Proszę pamiętać — mówił z przyciskiem — że musicie złożyć świadectwa całkiem jednobrzmiące; pan radca nie przyjmie innych, "choćby one nie wiedzieć jak były upozorowane. Pan Ćwikła ma spisana rozmowę; powinniście ją poświadczyć obaj, nie zważając na to, że nie byliście razem przy jej wypowiedzeniu...

Wiedźcie o tem, że sprawa cała stoi na gruncie międzynarodowym. Proszę uważać — międzyna-rodowym; nie wolno przeto narażać lekkomyślnym traktowaniem majestatu wysokiego ministerjum... Zrozumieliście ?

Obaj niżnicy przepaścistej tajnopolicyjnej hierarchji mruknęli potakująco i z lekka, jakby na dowód głębokiego szacunku dla instytucji rządowej, uchylili kapeluszy, zgiąwszy się pokornie przed reprezentantem władzy urzędowej. Uczucie dumy niewolniczej ponuro chmurzyło oblicza półurzędowych narzędzi do zacierania trudów rządowych. Tajny agent policyjny, w Austrii, choćby nieetatowy jak obecni dwaj, czuje się być najistotniejszą częścią państwa! w nim się skrytalizowała polityka, co rządziła angi cesarstwem, w którym „nigdy słońce nie zachodziło”. Z grobowej urny, tej sławy mioniej, padają na niego promyki ze światłokrę- gów promienistych Torquemady, Piotra Arbueza, Karola V., Filipa II, Metternicha, Chomińskiego, Windischgratza, Hajnana — i są jego duma naj- większą, uspokojeniem sumienia przytępionego teorjami lojalnemi dobrobytu i bojaźni bożej...

Po chwili milczenia, hrabia konceptsprakty- kant żegnał swych towarzyszy, dodając wysoko protekcyjnym tonem:

— Jutro więc panowie do dzieła, punkt o- . macie być u pana radcy. Dobranoc! — i nie podając ręki, zniknął na zakręcie ulicy. Obaj spółnicy, pozostawszy sami, szli pe- wien czas milczący, jakby zamagnetyzowani na niemość. Potrzeba porozumienia się bliższego rozwiązała zresztą języki; na pożegnanie Cwi- kła błagał Zawadjakiewicza:

— Kacze, szanowny kapitanie, nie zapo- minać o mnie, żeby pan hrabia stosownie do u- mowy wypłacił resztę do ręki... Bo te pany pol- skie, „eine schlaue Gesindel”, zapominają pręd- ko dane obietnice... moralność jest im obcą...

— Ty, ćwikielniku moralności, ani na- chwile nie możesz być prawdziwym?! Procent- dasz, zrobię, a nie, to idź, dochodź drogą pra- wa, aż się znajdziesz... w kryminale... He! he! he!

Rozstali się i temi słowami, a duch ciemno- ści, zacierając po nich ślady, z radością i trwo- gą spoglądał na narzędzie kary, jakie sobie go- tują w przyszłości...

VII.

Proces Bronisławy z hr. Rysińskim postę

pował naprzód, zawdzięczając jedynie niezwykłej energii i bystrości Świętosława, bo co do szanownego mecenasa Leandra Porciakowskiej,

ten, prócz podejrzanej manipulacji ugodowej ze stroną przeciwną, idąc trybem swych kolegów lwowskich, był więcej zajęty wynajdywaniem „ogólnych punktów prawnych”, niż szczegółami, mogącymi zdecydować o wygranej lub przegranej. Świętosław raz po raz pędził do Wilna, i zawsze na termin powrócił z żądanym dokumentem, co wszystko nie dawało ustrzegnąć sprawie.

Pochopu do wytoczenia procesu Bronisława, dała jak wiadomo spalona metryka ślubna rodziców, niezaciągnięta, niestety, w swoim czasie do żadnej księgi urzędowej. Wszyscy wiedzieli o rabulistycznym pochodzeniu pretensji Rysińskiego, a „sąd krajowy, potępiając go z góry, nakierował był wszystkie kartaczo wnice paragrafowe, aby go z kretesem pobić i ukarać najsurowiej. — Ale hrabia Edward nie był tak płochliwego serca, w obec najeżonego surowością prawa urzędowego i wielce szanownych jego stróży. Wiedział on o tem, że urzędowa Themis ma zawsze tak zwolnioną przepaskę na oczach, że z łatwością może z niej podglądać skinienia silnych tej ziemi... Bał się nie surowości nieprzekupnego prawa, ale pewnych koneksji jakie wiązały Bronisławę z księciem marszałkiem sejmu krajowego. — Książę był kolegą ojca Bronisławy z legionów napoleońskich, i miał go w wysokiej estymie. — Z innej strony Rysiński był jak najgorzej widziany jako należący do obozu rządowego i jedną z najczynniejszych sprężyn machinacji za kulisowych „szwarzgelberskiego” stronnictwa,

wrogiemu autonomicznemu, reprezentowanemu przez księcia marszałka. — Te to zawady postawił sobie za zadanie usunąć z drogi za jaką bądź cenę.

Ludzie tego rodzaju, co Rysiński, mają dziwnie bystre oko, w dobieraniu sobie pomo

cników. Uznał za najstosowniejszą pomocniczkę baronową Złocińską, która jako członek wszech miłosiernych instytucji, była prawą ręką księżny marszałkowej, uprawiającej niezmiernie cnotę niesienia ulgi cierpiącej ludzkości. Baronowa stała się konieczną dla księżny przez Klarę, dzierżącą w swoim ręku rządy nad najznakomitszymi mieszczańkami, z rodzaju najskorszych do dawania składek. — Raz ukartowawszy plan, Rysiński, nie lubił stawać na pół drogi; u niego pomyślane, było i zrobione. Choć niby to na bakier z baronową, jako należąca do obozu przeciwnego, wnet dopatrzył punkt styczny, na którym ich interesa zjednoczą się zupełnie. Postanowił zarzucić sieci widoków małżeńskich na nadobną Fińcę. — Na zwiady wyprawił Gogockiego; żeby zaś wyglądał przyzwoicie, dał mu sto reńskich w złocie, by imieniem jego złożył do rąk baronowej datki na „cierpiącą ludzkość”. Hrabież nieco bliżej wtajemniczony w stosunki zakulisowe baronowej, gdy ujrzał na niej lub córce coś nowego zawsze robił taką uwagę :  
— Widocznie lży „cierpiącej ludzkości; zo stały otarte...  
Nazajutrz po nadesłaniu miłosiernego datku, elegancki kabriolet hrabiego Rysińskiego zatrzy

mał się przed oryginalnym zabudowaniem na Zielonem, przypominającym pałac „hrabiego na Wątorach”. Z powozu wyskoczyli dwaj hrabowie, Eysiński i Gogocki; pospieszyli przez dziedziniec zarosły gęsią paszą z suchotniczem widmem rabatów kwiatowych, zasadzonych kusemi grzebieniami koguciami, szczyrem, z nasturcjami i rezedą po brzegach. Na schodach kilka tyk z paru liśćmi oleandrowymi lub pomarańczowymi, przedstawiać miały westybul, udekorowany egzotycznymi krzewami. W przedpokoju przyjął zwierchnie okrycie lokaja, rodzaj starego orangutana w dziurawych bawełnianych rękawiczkach i połatanym surducie liberyjnym. Idąc, przekonali się, że właściwie pod nogami mają nie posadzkę, lecz klawisze, tylko nie brzękające, ale skrzypiące przeraźliwie...  
Baronowa omal nie zemdląła z radości, ujrawszy najsłynniejszego sportsmena i donżuanę lwowskiego, zmierzającego w jej progi. Fińca jak szpica szturmowej kolumny, dla niestracenia serca i skrzeszenia nacierającego zapaśnika, skoczyła co żywo do fortepianu i huknęła jak kasa „brawurę Lisztowską. aż zadrżały szyby



z poodpadanym kitem i pokoszlawionemi ramami. Ten strzał wiwatowy głęboko obmyślany, di wał do zrozumienia przybylcowi, że nie jest to zabawka wejść w stosunki z tak wypróbowanymi siłami światowemi...

Baronowa z niemniejszą znajomością świata witała gościa.

— Najgorętszym mojem pragnieniem — mówił hr. Edward Rysiński zgięty arystokratycz

nie przed gospodynią — było poznać „bliżej” jej dom — na słowie „bliżej” położył przycisk — zamilowany jestem w towarzystwie trzeźwym, patrzącem na świat bez uprzedzeń i bez złu dzień.

I dobrze wytresowane tułów na arenie modnych wyścigów, opięty w najmodniejszy frak, zgiął w pałąk wysoce pokornego kształtu. Za barwienie samo jego nosa kabłąkowatego i twarzy nabrało jakiegoś dziwnie oficjalnego charakteru, zostającego w zupełnej harmonii z kołnierzykami dyplomatycznie wyglądającymi z pod czarnego, bez skazy okrycia zwierchniego, produktu krawcy następcy, co objął firmę po nieśmiertelnym w dziejach sportu Porciakowskim. Baronowa jak szesnastoletnia panienczka raczka upiekła i sztucznie szepleniąc z przydecbem gardlanym wypaplała:

— Zaszczyt oglądania u siebie pana hrabiego, jest dla mnie „podwójnie” przyjemnym — na „podwójnie” zrobiła przycisk — raz, że mam zaszczyt poznać jednego z najdystyngowańszych członków towarzystwa, a powtóre, że widzę w nim człowieka praktykującego cnotę nad cnotami — miłosierdzie ewangeliczne...

Tu nastąpiło więcej szczegółowe podziękowanie za nadesłany datek „dla cierpiącej ludzkości” i przedstawienie córki, która z całą powagą królowej zaledwo parę słów precedziła przez zęby, zajęta więcej Grogockim, poufale witany. Cała wizyta trwała kwadrans i miała charakter oględzin matki, dla założyć się mającego stada folblutów. Pomimo wyniosłego to

nu, Rysiński, potrafił jednak „lansować” kilka strzelistych spojrzeń swych czarnych oczu ognistych i dać uczuć „temperament” pannie. Były to owe spojrzenia treściwe, zamykające w „wielkim” świecie bilans matrymonialny. Stawka była grubą ze stron obydwóch, chociaż wprawdzie żadna nie w gotowiznie nie miała do stracenia. Tu pora wyznać, że pozycja baronowej pod względem finansowym ani na włos się nie różniła od Rysińskiego; żyła kapaniną, nie pojętą dla ogółu śmiertelników, wiedzącego do skonała, że prócz długów, i to grubych, nie w dziedzinie pieniężnej nie posiadała. Wiedział o tem doskonale hrabia konkurent jak również był przekonany, że i o jego kieszeni muszą tu być dobrze poinformowani; pojmował, iż gonić mu trzeba na ostre, stając przeciwko zapaśnicy bojującej więcej jak o życie, bo o zdobycz fortuny.— Każdy ruch, każde spojrzenie miało tu głębokie swe znaczenie.

Pożegnanie było nader wyraziste, chociaż skąpiono słów jak i przy przywitaniu. Gdy ustało szarganie nogami, i obaj hrabiowie zniknęli za progiem rezydencji Złocińskiej, Fińcia nie mogła dłużej wytrzymać, rzuciła się w objęcia macierzyńskie.

— Ach! mammo, mammo — wołała mdlejącym głosem cóż to za dystynkcja upersonifikowana! i schowała główkę na łonie matczynem.

Baronowa gładziła jedynaczkę, nie przepomniując wszakże wygderać za parafijańskie wynurzenie uczuć.

— Ty bo, ma petite, masz trop de coeur, zostaw to Porciakowskiemu — i tu ucięła, a po pauzie dodała — ale, trzeba ma chere, żebyś natychmiast odwiedziła Klarcie, i o niczem nie mówiąc, wybadała, jak też tam u nich rzeczy stoją po wczorajszej awanturze?... Musimy pilnować towarzystwa, „ii donc”! ten ludek, żeby się do niego nie wcisnęły idee przewrotowe, co bardzo i bardzo jest „possible”, gdy się namnoży takich ekscentryków jak Świętosław. Fińcia nie słuchała, co matka mówiła, ale czytała w jej oczach i jak piesek pojętny wie działa, co się ukrywało prawdziwego po za tą siecią słów. Kobieca przenikliwość jak mikroskop lub mikrofon psychiczny w lot pochwytuje i obnaża najzręczniejszemu obwinętemu w bawełnę frazesa. Paniutki niewinne, przy całym swym anielstwie, z biegłością rachmistrza egzaminu

wanego lub inkwizytora sądowego, umieją zbadać środki i plan postępowania. Gdy mężczyzna potrzebuje całych godzin, żeby zbadać sytuację, panny w ciągu paru minut tworzą kombinacje, mogące zaszachować choćby jakiego króla matactw. — Hrabska korona z należytymi apantami — to nie żarty! było też czemu podnieść gorliwość domyślności baronówny Fińci. Strzała pędziła do kuzynki adwokatowej. Znalazła Klarę nie tyle przybitą, ile raczej oburzoną i rozdrażnioną, z przyczyny widocznie kilku pchnięć żądł światowych, spowodowanych wiadomością, plotkarską naturalnie, o wczorajszym skandalu. Nadzwyczaj też skwapliwie powitała Fińcę, badając ją o tem,

gdzie była sama lub matka tego ranka i czy nie miały kogo u siebie? Przekonawszy się, że kuzynka niewinna zdrady, zaczęła ją obsypywać serdecznościami, aż od słowa do słowa, dowiedziała się o wszystkim, co spotkało dzisiaj uszczęśliwioną Fincie. Sama oświadczyła się być spółniczką planów baronówny. Klaskała w dłonie, biegała, ścisnęła ją a przede wszystkim układała kroki przedwstępne, do zarzucenia siebie matrymonjalnej na podejrzaną wierność kawalera.

Spyt kartowania planów strategicznych ma być wyłącznością męskiego umysłu; kto jednak bliżej badał naturę kobiecych zabiegów, około wygrania kampanji matrymonjalnej, ten musi im przyznać nieskończoną wyższość, nawet nad genialnymi kombinacjami Napoleonów, Cezarów, Aleksandrów Macedońskich. System zasadzek i kontrmarszów, zanim uderzą rdzeniem naporem na front nieprzyjaciela, jest u nich tak dokładnym i sprytnym, że niepodobnieństwem prawie wymknąć się z ich pajęczej na pozór, a w rzeczywistości stalowej siatki. Najcierpliwsze poszukiwania i badania są dla nich najulubieńszymi w tym wypadku.

Z narad wypadło zbadać przedewszystkiem kieszeń Rysińskiego, czego się natychmiast podjęła Klara, najprzód przez dowiedzenie się od męża, a gdy ten nie umiał na tyle poinformować, ile potrzeba było, zawezwała Ćwikłę do pomocy jako zestosunkowanego z najbliższymi przyjaciółmi politycznymi hrabiego.

Nos duchowy Ćwikły w lot odkrył kopal

nię złotą, mogącego być wydobytem przy tym interesie. Podwoił też zwykłą gorliwość i zdolność tropiciela, co mu dało możność wyrwać tajemnicę w najkrótszym czasie. Padł na klęczki przed Dranieckim; tyle nacałował mu butów, kolan i rąk, aż na ostatku zbadał do dna stan worka Rysińskiego. Upozorował zaś przed do broczyńcą swą ciekawością tem, że chcąc zażywać za swe służby datku od hrabiego, był w obawie przeholowania w swych wymaganiach, coby mogło zachwiać dotychczasową harmonję, obiecującą nie wiedzieć jak daleko zaprowadzić. Dowiedział się na pewne, że Rysiński nic a nic nie ma w worku, — może jakie kilkaset guldenów, stanowiących cały obecny majątek; co gorsza, że kredyt jego zupełnie jest wyczerpany i nie ma nadziei polepszenia.

Znając tę słabą stronę konkurenta, Klara, genialnym ruchem skrzydłowym, za pomocą Alicji, postanowiła rzucić go bez powstania pod nogi swej protegowanej. Ćwikła obdarzony dwoma „dziesiątkami” (reńskich) został użyty do ułatwienia spotkania mecenasowej z mecenasówną. Nastąpiło to w kilka godzin później, a Alicja z niemałym zdumieniem dowiedziała się o bardzo przykrych dla ojca nowinie, — niewyplacalności najkompletniejszej hrabskiego klienta. Pospieszyła natychmiast zawiadomić go o tej zatrważającej nowinie.

Wendziaholski jakkolwiek obdarzony prawniczym wężem mecenasowskim, był jednak przez wyznawców politycznych jednego obozu w błąd wprowadzony, co do majątkowego sta

nu Rysińskiego. Wiedział o tem, że miał za szargane interesa, ale się nigdy nie domyślał, żeby tak źle było z szansami klienta, któremu z własnej kieszeni już zaliczył był parę tysięcy. Bolało go przy tem ogromnie, że jako adwokat został w pole wyprowadzony, on, co mistrzem być winien w tej sztuce. Nie wiedział o tem, że Rysiński, dzięki Gaboriau, Bomowi i innym kryminalnym powieściopisarzom, rozdarł zasłonę kryjącą Izy de advokacką. Klął teraz Hadziewiczza i swą porywczosć na wieczorku

radcowstwa Pieślaków, a raczej mściwość Alicji, która go ostatecznie namówiła do podjęcia się prowadzenia procesu tak niepewnego. Gdy więc obecnie usłyszał od córki o niefortunnej nowinie, sfukał ją najokropniej, o mało że nie obił, i natychmiast przesłał rachuneczek kiijenowi, wzywający do zwrotu natychmiastowego zaliczonych kosztów.

Hrabia aż zgrzytnął; nie było co jednak robić, zrzucił pychę z serca i napół wyżebrał kredyt u żydów lichwiarzy. Poczul raz wprawna ręką zadany, nie czekał jego powtórzenia i przyznał się przed hrabiczem konceptspraktykantem, że czuł niepohamowany popęd do zawarcia związku wiekuistego z baronówną Złocińską; jeżeli na razie nie oświadcza się, to jedynie temu stoi na przeszkodzie nieukończony proces, którego wygrana zależała od księcia marszałka. To warunkowe oświadczenie było bodźcem, rozgrzewającym do stopnia gorączki gorliwość baronowej w zabiegach około księżny, wszecliwładnej pani swego małżonka.

Gorączkowy zapal kobiecy, to niezrówna na potęgą twórcza i niszcząca. Przed niczem się nie zatrzymuje ona. Popchnęła ona obecnie delikatne rączki obsypane klejnotami, zdawałoby się, zdolne tylko do plecienia równianek z kwiatów lub koronek brabanckich, — do wiązania grubej sieci intryg, dla wyłowienia cudzego majątku w matnię rabulistyczną. Przyjaźń, powinowactwo, wdzięczność za chwile mile wspólnie spędzone i mnóstwo drobnych przysług ze strony bogatej Litwinki kuzyny, — wszystko to musiało zginąć w jej ogniu niszczącym. Przed kobietą rozna miętnią widokami małżeństwa, znęconą próżnością i chęcią używania, widmo ołtarza zasłania całą przepaść zbrodni i niegodziwości z kluczem grzechu pierworodnego na dnie. Prawo doboru płciowego nie uchroni przed skażeniem ducha, a reprodukcja, zamiast przybytku sił, przeciwnie, większe osłabienie i rozprężenie sprowadzi w społeczeństwie. „Walka o bytu pożarłaby wtedy wszystko, co żyje jak nowożytny Saturn; gladiatorowie nie są bowiem w stanie zastąpić szermierzy cnoty, a praca „altruizmu”, tego nowożytnego Ormuzda z pod prasy drukarskiej, chyba tylko na chwilę utrzymałaby deptak życiowy w ruchu... W wieku panowania teorii o „dobrorze przyrodniczym”, odrabiającym swe ideały na maszynach, zapo

mniano o tej tak prostej, namacalnej prawdzie;  
to dziwne!...  
Baronowa przy pomocy Klary, jej męża,  
Alicji i wyznawców wiary politycznej hrabiego

Edwarda, skombinowała plan skierowania opinii „towarzystwa” w zamierzonym kierunku. Działała z wyrachowaniem i przezornością wytrawnego stratega.

Klarę wyprawiła z rewizytą niby do Alicji, a jednocześnie posługacz publiczny, „expressu” zaniósł list do Świętosława od mecenasa Leandra. Za posługaczem szedł nieznacznie Ćwikła, który, gdy ujrzał Świętosława wychodzącego z hotelu, dał o tem znać baronowej, czekającej z Fińcia u Porciakowskich.

Baronowa z córką udała się do Bronisławy, by ją zabrać z sobą, dla obejrzenia świątecznego jarmarku, do czego dniem przedtem namówiła najukochańszą kuzynkę. Ciotka Kamilla niedomagająca, nie mogła towarzyszyć wyprawie; Bronisława sama poszła, i to piechotą, z kuzynkami.

Szumne nazwisko jarmarku, nadawane sprędaży perjodycznej wyrobów garncarskich, bednarskich i piernikarskich na placu św. Jura, zupełnie jest obecnie niestosowne, a jeżeli się dotąd utrzymuje, zawdzięcza to konserwatyzmowi lwowianek. Kobiety ciepłym sercem odgrzewają wszystko, co tylko przeszłość przypomina, aby utrzymać konieczną w ludzkości łączność pomiędzy światem, co ziemię opuścił, przeszłością i tym co żyje, teraźniejszością. Bronisława choć królowa mody i elegancji, po mimo swe idealne poglądy, była pod tym względem podobną do wszystkich kobiet; miała prócz tego inną wspólną kobietom skłonność, słabość rzecz można, do garnków, faszerek, pierników...

Niepodobna sobie wystawić rajy ziemskiego bez tych pierwobytnych wynalazków geniuszu ko biecego, — zapewne stanęłyby one w nim w rodzaju piramid, obelisków, kolumn trymfatorskich...  
Dzień był prześliczny, słońce w całym

blasku świeciło nad miejskim, dawniej Jezucim ogrodem, leżącym na drodze do czarującej siedziby jarmarku. Cień pod wspaniałymi konarami wabił do siebie ponętnie jak tajemnica, wyglądająca z niejasnego obrazu pożądanej przyszłości. Fińcia była niesłychanie ożywioną, coraz miała coś nowego do oświadczenia. Zwyczajły a nigdy nieużyty temat, zastanawiania się nad sercem mężkiem, był przedmiotem rozmowy. Matka i córka w swych rozumowaniach były to niby wcielone określenia zaimkowe, do pełniące się wzajem, dopowiedzenia do rzeczownika, dopełniacze niewyczerpane...

Wątek do rozprawy szczegółowej dostarczył domniemany upór Leandra do osłodzenia żywota biednej Klary, srodze udręczonej kompromitującym otoczeniem rodzicielskim, które pragnęła koniecznie, i to zaraz, odesłać na tyły kuchenne.

— Upór, to najstraszniejsza przywara mężka — mówiła baronowa — rodzaj kamienia grobowego na wszelkie najlepsze popędy serca kobiecego...

Bronisława zdziwiona spojrzała na ciotkę, zmarszczka sarkazmu piorunem przemknęła po jej cudownych usteczkach. Kuzynki wcale tego nie dopatrzyły.

— Powiadam ci, ma petite — ciągnęła ba

ronowa dalej — najszlachetniejsze nasze pomysły przez to bywają jakby zakute w kajdany... Ilekiedyś nie dokazały na polu miłosierdzia, niesienia ulgi cierpiącej ludzkości, ożywienia ruchu społecznego, rozweselenia wszystkich i nadania dobrego tonu — gdyby nie ten upór, twarda nieużytość serca mężkiego? Doświadczyłam tego sama na sobie... och! och!

— Maman ma rację — dodała Fińcia — mężki upór to największy nieprzyjaciel szczęścia domowego. Im który z panów mężów ma go większy, tem w familji mniej wesela, swobody, enfin de Tamour vrai. Zaobserwowałam, że praktyka życia przedstawia w sobie dziwne anomalie... Najczęściej niepocześni, ba, komiczni nawet małżonkowie, bywają jednak au fond znośniejszymi i zasługującymi na przywiązanie, niż tak zwani samodzielni, wspaniali, poetyczni, ale bardzo „niedobrze” w pożyciu małżeńskim...

— Nie bierzcie życia z jego strony poziomej — zauważała Bronisława — a zobaczycie, że wyższe mężkie natury są prawdziwie wyższymi pod każdym względem. Dają one tyle tre

ści głębszej do życia, jak tego nigdy nie jest w stanie zapewnić żaden najpocziwszy pocziwiec, pospolitego zakroju. Trzeba szukać głębszych pobudek w uczuciu, wtedy dopiero można odkryć prawdziwe sprężyny, poruszające życiem ludzkim. Pobudki te, według mnie, złożone są w świecie idealnym, źródle jedynem wzniosłej miłości, niedającej się ani podkopać, ani wygładzić z pamięci, gdy ją umieścimy wysoko...  
— Wysoko?! Tylkoż ty, ma mie — prze

rwała Fińcia, całując Bronisławę — nie filozo fuj tak; ktośby z boku patrzący pomyślał, że należysz do owych pocziwizn, niemających wstępu do towarzystwa.. C est beau, c' est su blime ! ale powiadam ci, że to strasznie nieprak tyczne, a jako takie i śmieszne.. Oui, oui, stra sznie ridicule — strasznie, strasznie... Wierzyć w miłość mężczyzn „wysoko, to znaczy żyć w wiecznym zawrocie głowy... cha! cha! cha!... czyż jest prawdziwie co „wysokiego na ziemi pour nous?...

— Bywają wyjątki, moja droga... Niektóre natury męskie, zwłaszcza dumne i nieprzystę pne, mają to do siebie, że skoro się raz do ko go zbliża, nikogo potem już kochać nie mogą... Klucz to do wielu zagadek, stałej potrzeby dla serca kobiecego wzniosłych ideałów męzkich...

— Oh! ma chere, mocno się łudzisz. Napo leon I., bohater nad bohaterami, on to właśnie powiedział: kuropatwy i kuropatwy zawsze „to nie dobrze"!... cha! cha! cha!... Tacy oni wszy scy, a co najzabawniejsza, że mają szczególną predylekcję do koczkodanów, gustując w nich więcej, niż w najcudniejszych aniołach... Przy pomnij tylko sobie Jean Jacquesa?

— Zkąd ty, ma filie — wtrąciła barono wa — nabrałaś tyle praktyczność ? Fi, to nie dobrze, dla tak młodej panienki. Oducz się od tego!

— A to na co? Chyba na to, żebym była gęsią przez całe życie?!

— Nie każdą prawdę wypada wywlekać na wierzch. Chociaż to, co mówisz, jest niezaprze



czoną prawdą — i baronowa położyła przycisk na słowie — nie trzeba jednak z nią paradować bez celu.

Rozmowa utknęła na chwilę po tem strofowaniu. Doszły teraz główną aleją na wysokość restauracji ogrodowej. Baronowa raptem przystanąła jakby znużona, i wzrok zatopiła w gąszczu liści; niepostrzeżenie szukała czegoś po za niemi bardzo ciekawie; ciało jej naraz się pochyliło, jakby odkryło coś bardzo upragnionego; cień na twarzy i iskry we wzroku stworzyły całość złowróżbnej radości.

— Po co mamy wspinać się na tę montagne? — zawołała — chodźmy lepiej przez restauracyjny ogródek; nie ma tam zwykle w tej porze żywej duszy, chyba jaka para zakochana.

— To moja passja przechodzić przez podobnego rodzaju miejsca — dodała Fińcia — za raz sobie przypominam zagranicę, cette adorable zagranica, gdzie na każdym kroku, jak w „Trzech muszkietierach”, czy „Montechristo” spotykasz tajemnicze przygody... Ach! mammo, chodźmy przez ogródek.

Paplanina Fińci ustała dopiero, gdy weszły do ogródka, rzeczywiście wyludnionego o tej porze dnia jak zwykle. Na środku tylko siedziała jakaś para samotna, mężczyzna i kobieta, zajęta tajemniczą rozmową, prowadzoną półgłosem. Fińcia na ten widok podskoczyła i parsknęła.

— Maman! jesteś widocznie un oracie... Un couple... oh! oh! cudowne...

— Mais taisez vous polissonne! — strofowała baronowa.

Zrównawszy się ze stolikiem, gdzie siedziała para, Bronisława drgnęła, ledwo od wykrzyknika powstrzymać się zdołała, bladość śmiertelna okryła jej twarz. Mężczyzna głowę obrócił i raptem powstał. Bronisława zrobiła lekkie poruszenie naprzód, wydając słaby wykrzyknik, przyczem kolory znowu ożywiły jej śliczną twarzyczkę.

— Dzień dobry! paniom — wołał Świętosław, gdyż to on był mężczyzną z tajemniczej pary — jakież to traf szczęśliwy was tu sprwadza?... Właśnie kończę konferencję z panną Alicją; szukałem kogoś, ktoby ją mógł zaprowadzić na jarmark św. jurski; — gwiazda wi docznie moja was tu sprwadziła, moje panie — i zwróciwszy się do Alicji, dodał — wybacz pani, że nawet tą drobnostką nie jestem w sta

nie odplacić za jej nadzwyczajną dobroć...  
— Było to dla mnie najmilszym obowiązkiem — odpowiadała Alicja, spuszczać wzrok w ziemię, czyli panna z tajemniczej pary — szczęśliwa jestem, że mogła choć tę małą przy usługę oddać mym przyjaciołom od serca... Pragnę wyrównać niektóre pomiędzy nami rachunki. Sercem pragnę serca na nowo zdobyć... Ojciec miał nadejść, tymczasem nie widać go; nie porzucacież mnie samej L.  
Pomimo dwuznacznego języka mecenasówny, Bronisławy podejrzliwość od razu znikła, gdy spojrzała na Świętosława pogodny i pełen we sela wzrok, zatopiony w niej w przepelnieniu miłości. Nasiona podejrzliwości, mogące wyrosnąć szybko u innej natury w prawdziwą za

zdrosć, z powodu rozmowy toczony tuż przed samem spotkaniem, jakby opatrnościowo, — wcale nie wzeszły, padając na posągową postać kochanka, obraz cnotliwej wierności i szczerości. Spojrzawszy na niego, znowu się uczuła być pod ową „skałą lekkości” Słowackiego, pozbywającą zupełnej samowiedzy wprawdzie, ale jednocześnie oślepiającą zachwytem, zatapiającą wroskoszy. — Przeszła zwycięzko próbę zazdrości.  
Na odchodnym Świętosław szepnął Bronisławie, że otrzymał naglący list Leandra w bardzo ważnej sprawie, wskutek którego musi go tu oczekiwać; gdyż mecenas, będąc mocno zajęty cały ranek, dopiero tu, po drodze, miał mu zakomunikować swoją nowinę. Wyglądała ta cała propozycja bardzo niepodejrzanie, zważywszy przejście Świętosława w domu Porciakowskich, powiązane z rzeczywistą jakąś nagłą potrzebą. Wszelkie wezwania i namowy pań nie mogły oderwać Świętosława od miejsca, przynajmniej dopóki termin naznaczony nie minie. Szczegółnie nakłaniała Bronisława do złamania postanowienia, czując się być poniekąd w prawie do magać tej nagrody od kochanka, co ją tak nie baczenie nastraszył. Wszelkie namowy pozostały bez skutku. Fińcia nazwała go kilkakrotnie u partym Litwinem.  
— Już to panowie — mówiła Bronisława, grożąc palcem — zawsze coś wymyślcie, żeby nam czas przyjemności skrócić.  
— Tylko dziesięć minut — odpowiedział Świętosław; — gdy nie przybędzie, przybywam natychmiast do św. Jura.

— Ależ w tych dziesięciu minutach może być cała wieczność ?!

— Zniszczona?!

— Kto to wie... — i Bronisława raz jeszcze pogroziła palcem, robiąc minę nadąsanej. Pozostałe kobiety nie przyjmowały żadnego udziału w rozmowie, przesyłając tylko sobie nawzajem badawczo spojrzenia, i notując skwapliwie każde słowo zakochanych. Żaden steno graf nie nastawia tak pilnie ucha, jak one słu chały. U Alicji zwłaszcza latały ciągle błyskawice we wzroku, strzałą przesywającą czarny cień, przechadzający się po obliczu. Baronowa z córką podobne były do dwóch kotek, zacza jonych na ptaszka; każde słowo to powiększa ło, to zmniejszało blask ich oczu. Serdecznymi słowami i uśmiechem pożegnały zresztą Święto sława, ruszając w pochód ku św. Jurowi. Piae św.jurski, podobnie jak i ogród miej ski, świecił pustkami, t. j. brakło mu publicz ności kupującej; bo] co do przekupniów obojej płci i towarów, ci jaśniali monumentalnie sto icyzmem niewzruszonym.... Przechodniów nawet nie było; ktoś tylko ciekawy gapił się w bra mie kościelnej św. Jura, ale i ten zniknął, za nadejściem pań.

— Mnie się zdaje, że to p. Ksawery um knął przed nami? — zauważyła Bronisława.

— Ale gdzież tam, to ktoś inny zape wniała Alicja — mam wzrok jak u rysia, tak grubą zwierzynę natychmiastbym dopatrzyła.... Panie zaśmiały się na ten zjadliwy kon cept mecenasówny.

— Cha! cha! ależ to znakomity jarmark— wykrzyknęła Bronisława wesoło — przypomina mi on dziecinne stroje lalek, obiady w zabaw kach, szeregi rycerzy ołowianych.... Ciocia wi docznie postanowiła zmystyfikować biedną para fijkę z miasteczka litewskiego?

— Nie, ma petite; wcale nie myślałam mi styfikować — odpowiedziała baronowa skwa pliwie jakby zarzut miał prawdziwie zna czenie serjo — tylko teraz nikogo nie ma, dlatego to właśnie wybrałam tę chwilę, aby

nikt nam nie przeszkadzał zrobić tej wycieczki instructi ve. Szczęście kraju, ma chere, zależy od rozwoju drobnego przemysłu czyli jak po wiada nasz świątobliwy redaktor „Trąby Jery chońskiej”, katolickiej pracy organicznej. „Quel que chose\*... coś podobnego.... Będę wam cice ronowała na poczekaniu.

I baronowa wodząc pomiędzy zielonemi, czarnemi, brązowemi piramidami, — glinianych, farfurowych, kamiennych, drewnianych wyrobów, — objaśniała panny o ich użytku i za letach. Uszczęśliwione siedziarki, że mogły prze rwać posiedzenie „akademji milczenia”, przeci wnej z gruntu ich naturze, rozpuściły wodze swej wymowie, dopomagając baronowej w jej ciceronowaniu. Przechadzkę po słońcu baronowa przedłużała z dziwną wytrwałością, kiedy nie kiedy spoglądając zyzem w bramę św.jurską. Zaprzestała jej, gdy Fińcia zrobiła nagły ruch ręką i wyraziście spojrziała.

— Po trudach, mes petites, należy się słuszne wynagrodzenie słodkie — rzekła barono

wa — je vous invite, na nasze przysmaki pa trjotyczne, „quelque chose a la Tortoni”.... Chodźmy na pierniczki! Trzeba historję swoją kociołać.

— Świat historyczny — dodała Alicja — cóż to za rozkosz?! Zaraz przychodzi mi na myśl poczciwy pan Ksawery... On i pierniki... dalibóg, Brońcin, toś ty winna, że mi się ciągle plącze na języku?!

Tę uszczypliwość mecenasówny pokrył śmiech ogólny pań. Alicja mówiła dalej:

— Czegóż to zresztą nie dokazał ten miód w dziejach naszych? Ileż to serc bohaterów naszych nie zagrzał on do czynów światobaw czych?! A i miłości wspomnienia mogłyby nie jedną kartę zapisać miodowemi zgłoskami. Moralność niemniejszą z niego ciągnie korzyść, gdy bierze za porównanie pracowitości jego twórczynię, pszczołkę. Owad ten winien być godłem ludzkości.

— Gdyby nie miał żądla — dodała Broni sława przymrużając oczu.

Alicja łysnęła na tę uwagę oczami, ale się zaraz głośno zaśmiała i pogroziła żartobliwie, tej, co jej przerwała. Była gotowa do dalszych dowcipów, gdy ujrzały się pod monumentalnym namiotem białym z narożnikami zielonoam rantowemi, na którym świecił napis nieśmier telnej firmy Czyńskiego, sławnej ze swych wy

robów piernikarskich, nawet za granicą.  
Panie zaczęły wybierać przysmaki, a jed  
nocześnie od bramy św.jurskiej ruszyło towa  
rzystwo męskie, zdążające wprost do tegoż sa

tów samego siebie kazać ściąć dla jakieś mary  
wolności i sprawiedliwości, tyle w rzeczywisto  
ści prawdziwych, co rojenia poetów i marzycieli  
na papierze!?

— Woję ich, moja droga — odpowiedziała  
Bronisława sucho — niż twoich praktycznych  
ichmościów; woję gonić za piękną mara, ani  
żeli za rzeczywistością brudną.

Ton surowy i stanowczy Bronisławy, niepo  
dobny w niczem do jej zwykłego, mocno podra  
żnił spółtowarzyszki, które na razie uznały je  
dnak za stosowne uczucia swe prawdziwe utaić  
wewnątrz jak parę w parniku do działania. Na  
milczących twarzach przelatywały czarne cie  
nie, a w oczach łyskało złowrogo; kąciki ust  
były pomarszczone złośliwie, ale zato całe u  
śmiechały się niby pobłaźliwie. Rozsypywały  
się w grzecznościach przed bogatą kochanką lo  
su, przepaszając skwapliwie za wyrządzoną  
bezwiednie przykrość. Wszystko to wyglądało  
tak ładząco prawdziwie, że fjołkowe źrenice  
Bronisławy zaszyły wilgocią; żal prawdziwy po  
ruszał ustami, i spędził owe mocne rumieńce,  
wywołane głębszem przecuciem ostrzegającego  
ducha.

Z cynizmem wytrawnych myśliwych na pię  
kności, weszli wszyscy czterej pod namiot „Czyn  
skiego”. Nie dochodząc o parę kroków, Draniec  
ki, zwrócił się w tył, mianowicie do podtarsia  
łego kolegi Karalucha.

— Nieprawdaż, dyrektorze... terefelki.  
pantofelki... że to chyba sama chyba Afrodytę

(J  
zstąpiła z Olimpu, aby nas na wieki zaprzędz  
do swego wozu?...

— Jak gołąbki?! Cóż ty dyrektorku na  
to ? — pytał Karaluch — ja nicht rozumiju, to  
za uczone dla mnie ; wytłumacz, co redaktor,

czy jak tam, „bajtluje”?... Herszte, co to jest Afrodyta?

— Ty sobie wiecznie podkpiwało lubisz — i dyrektor zaśmiał się szeroko — cóż ty myślisz, że ja nie wiem, co Olimp i że Afrodytę to Danae?

— Brawo!... terefelki, kartofelki... co to znaczy być finansistą?!

Wszystkie te uwagi były robione głośno, a kobiety słyszały każde słowo.

— Mniejsza oto, wyznawco Plutusa — cię gnął Karaluch — czy zostaniesz dyrektorem jakiej szkoły starożytności, ale powiedz czyś wiódział kiedy taką ciacię pannuńcicę?

— „Auf meine Seele”, boginią!... Nie wiódziałem nigdzie nic podobnego, nawet w Pa-ryżu... Bóstwo prawdziwe L.

Uwagi i pochwały były robione tuż przed Bronisławą, jakby przy oględzinach konia. Co najwięcej ją przerażało, oto że towarzyszki za-jadały pierniki jak nic, i od czasu do czasu ci- skały w jej stronę zjadliwe półśmieszki.

— Zaszliśmy podziwiać wystawę pani ku-pcowej — mówił Draniecki do siedziarki — tak cudownie piękną — i oczyma wodził uśmiech nięty po twarzy Bronisławy.

— A musi być i fajno smaczna — dodał

Karaluch zerkając na Bronisławę — t. j. nie wystawa, ale panienska...

— Bóstwo! klękać przed tobą — dodał seladon.

— Ostrożnie! tylko, abyś starych patyków sobie nie połamał — zakończył Karaluch, przy ogólnym wybuchu śmiechu.

Oczy Bronisławy łysnęły niewymowną wzdardą i gniewem; powiodła niemi po zu- chwalcach, zrywając się jednocześnie z sie- dzienia. Baronowa jednak jakby tego nie dostrze- gła, siedziała nieruchomie, śmiała się i szeptała coś na ucho Alicji; robiła tylko jakieś znaki poskramiające wesołość Fińci, gotowej wtó- wać nikczemnym zaczepkom donżuanów.

— Jeżeli przyklękaniem hołdu złożyć nie możesz, to starajże się przynajmniej Krezusie nadpeltwiański piernikami to wyrazić — wołał Karaluch — Bih me!

Seladon wybrał paczkę najokazalszą i cały wygięty, w lansadach podskoczył z nią do Bro- nisławy.

— Wychodźmy ztąd! — krzyknęła Broni- sława, dotknięta do żywego; raptem jednak

stanęła, uśmiech złośliwy przemknął po jej ustach.

Trzech ludzi zbliżało się plaśnie do namiotu, nie byli dalej niż kilkadziesiąt kroków. Byli to Świętosław, Witold i Krasowski. Mając tego dnia odjeżdżać do Bzumu, Witold chciał złożyć wizytę pożegnalną Bronisławie i ciotce; a nie znalazłszy jej w domu, przy pomocy Krasowskiego, szedł odszukiwać przez o

a. y s

gród miejski na placu ś. jurskim i spotkał tam Świętosława, który go doprowadził do samego miejsca, nie doczekawszy się przybycia mecenasa Leandra Porciakowskiego. — Widok tłumu pod namiotem obudził ciekawość nadchodzących, zwłaszcza, gdy zobaczyli jakieś dziwne poruszenia i śmiechy. Za ledwo jednak ozwał się głos Bronisławy, Świętosław jak koń bojowy, co trąbkę zasłyszał, szarpnął naprzód, dodawszy urywanym głosem:

— Przyspieszmy kroku! Co to za jedni?...

— A toż to przezacna klika „Wyrazu” — odpowiedział Krasowski.

— Żwawo, naprzód! — i Świętosław niemal biegiem dopadł namiotu.

Oburzenie Bronisławy wprowadziło w złoty humor napastników, wcale nie spostrzegających nadciągającej groźnej odsieczy. Draniecki idąc w ślady seladona, też się zwrócił z komplemентами do zagniewanej Bronisławy.

— Ofiarujemy pannie dobrodziejce, to co mamy w Lwim — grodzie najlepszego... tereferki, pierniczki...

— Najfajniejsza z fajnych pannunciu — do dał Karaluch, przymilony jak piesek pokojowy — „meine Seele”, zakosztuj naszych słodkich afektów ....

— Co to jest? — wykrzyknęła Bronisława — jak śmiecie napastować kobiety, wcale wam nieznane? Korzystacie, że są bezbronne?

— Bezbronne? przy tych cudnych oczkach. co są zdolne nie czterech, ale miliony rzucić pod stopeczki panienci... pantofelki, lubeczki?...

a. y s

gród miejski na placu ś. jurskim i spotkał tam Świętosława, który go doprowadził do samego miejsca, nie doczekawszy się przybycia mece nasa Leandra Porciakowskiego. — Widok tłumu pod namiotem obudził ciekawość nadchodzących, zwłaszcza, gdy zobaczyli jakieś dziwne poruszenia i śmiechy. Zaledwo jednak ozwał się głos Bronisławy, Świętosław jak koń bojowy, co trąbkę zasłyszał, szarpnął naprzód, dodawszy urywanym głosem:

— Przyspieszmy kroku! Co to za jedni?...

— A toż to przezacna klika „Wyrazu” — odpowiedział Krasowski.

— Żwawo, naprzód! — i Świętosław nie mał biegiem dopadł namiotu.

Oburzenie Bronisławy wprawiło w złoty humor napastników, wcale nie spostrzegających nadciągającej groźnej odsieczy. Draniecki idąc w ślady seladona, też się zwrócił z komplemентами do zagniewanej Bronisławy.

— Ofiarujemy pannie dobrodziejce, to co mamy w Lwim — grodzie najlepszego... tereferki, pierniczki...

— Najfajniejsza z fajnych pannunciu — dał Karaluch, przymilony jak piesek pokojowy — „meine Seele”, zakosztuj naszych słodkich afektów ....

— Co to jest? — wykrzyknęła Bronisława — jak śmiecie napastować kobiety, wcale wam nieznanne? Korzystacie, że są bezbronne?

— Bezbronne? przy tych cudnych oczkach. co są zdolne nie czterech, ale miliony rzucić pod stopeczki panienki... pantofelki, lubeczki?...

— Wydko jakijś DonKiszot prowincjonalny — dodał Karaluch.

Słowa ostatnie jeszcze całkiem nie przebrzmiały, gdy lewa dłoń Świętosława porwała za kark dowcipnisia i przy kopnięciu nogą, ułatwiła wyrzucenie za namiot, na piasek, na pastnika. Nie zdołał opamiętać się Draniecki, gdy to samo z nim uczyniła prawica obrońcy. Dwaj pozostali, Deszczański i seladon, zamiast ratować kolegów, chcieli uciec; ale Witold z Krasowskim nastawili swe laski jak bagnety do ataku i nie wypuścili ich z namiotu; obaj na pastnicy, pehnięci w brzuch odskoczyli jak piłki na środek, a ztamtąd pod ladę najbliższą. —\* Świętosław jednego po drugim wydo był z ukrycia, i jak króliki, machających no



gami po powietrzu, powyrzucał na piasek. Olbrzymia siła a ramienia Świętosława, mogącego w pędzie powstrzymać powóz lub giąć w palcach podkowy, sprawiała to, że wszyscy delinkwenci wylatywali do góry i padali twarzą, nosami, w piasek jak kluski. Widok ten pobudził do szalonego śmiechu kilkunastu uliczników, niewiedzieć z jakiej pod ziemi wyrosłych, wyrzucających za znak uznania to panofle z bosych nóg, to czapki do góry, przy wrzawie niepomiernej.

Siedziarki i przekupnie piszczeły co niemiara, śmiejąc się lub współczując na widok tak molestowanych boleśnie panów w eleganckim ubraniu.

— Oj! joj! Jezuniaczku najśrodszy. Bij! gwałtu! policaj! — krzyczano naokoło.

Wrzawa ta sprowadziła kilka osób do bramy św. Jura, a ktoś pomknął do kordegardy policyjnej, tuż obok stojącej. Ćwikła z Zajączkiem stali na czele zebranych w bramie, za nimi kryli się kanonik i hr. Rysiński. Ostatni zbladł najprzód na widok pobitych, leżących na piasku, ale wnet przyszedł do siebie; gdy ujrzał wszystkich powstających z ziemi i cało kroczących, tylko bez kapeluszy, do bramy jako do portu ocalenia. Ulicznicy biegli za nimi, ofiarując pozbierane kapelusze i żądając wynagrodzenia.

Hrabia, na widok tej arcykomicznej sceny, poprawił ówkiernika w oku i wycedził do Hadziwiczy:

— Chcieliśmy węzeł zawiązać psychologicznie, a on się tymczasem rozwiązał gimnastycznie...

— Jest to atentat, rozbój, napad — za to kryminał! — krzyczał kanonik zacierając ręce.

— Raz przynajmniej dojdziemy do ładu z waszą kalamancją konstytucyjną — dodał Hadziwicz żółciowo.

Podczas gdy się pobici kryli za bramą, zwycięzcy również opuszczali piasek niegościnnie.

Starszy policjant podszedł do Świętosława i grzecznie zażądał od niego, aby wymienił swe nazwisko i adres mieszkania; poczem odsalutowawszy, cofnął się w tył. Siedziarki i tłum, wyrastający jak grzyby po deszczu, śmieli się do rozpuku, i oddawali pochwały zwycięzcy, przejęci więcej czią dla potężnego ramienia niż wartości moralnej pobudki, co sprowadziła

skarzenie zuchwalców niegodziwych. Baby zwła  
szcza były zachwycone.

— A cóż to za brawuj zuch I slicznyj ka  
walir, szkoda tylko, że bez wafenroku! cudne  
oblicze, ale tylko za prędkij — szeptały uśmie  
chnięte jedna do drugiej — pięknyj, ale za gwał  
towny na męża... gwałtowny!

Nie wiedzieć czy baronowa z Fińcia po  
działały zapatrywania tłumu, dosyć, że i one  
admirując głośno czyn Świętosława, półgłosem  
dodawały, tak, że Bronisława słyszała:

— Rycerski, ale za gwałtowny na męża,...  
dobry na kochanka, ale nie na męża... bohater.  
Bronisława tymczasem nie mogła ochłonąć  
z pod wrażenia, drżała, zbladła i od czasu do  
czasu rzucała trwożliwe spojrzenie pomieszane  
z zachwytem na Świętosława, zachmurzonego i  
milcząco postępującego obok. Śladu najmniej  
szego tryumfu nie dostrzedz było na bohaterze ;  
krew mu tylko od czasu do czasu buchała do  
twarzy, a wzrok łyskał w stronę bramy św.  
Jura. Witold i Krasowski jedni nie tracili hu  
moru jako artyści, ozdabiając po swojemu całą  
przeprawę.

— Walka nasza była podobną do owej —  
mówił Krasowski — którą dzielny Rugier sto  
czył z zastępem: o psich, wilczych, nieroga  
tych główach na wyspie Alcyny, dowodzonym  
przez dzielnego rotmistrza z „jednym świńskim  
uchem.

tłustą twarzą, z bardzo wielkim brzuchem,  
„Pijanym, że o świecie nic a nic nie wiedział

jak to powiada poczciwy Piotr Kochanowski  
za Arjostem, a co było wypisane na twarzy  
baltazarowemi głoskami u szanownego pana  
Dranieckiego.

— Mnie oni również przypominają — do  
dał Witold — ową czeredę z „WalpurgoWej  
nocyu w Fauście; tesame rysy, spojrzenia oble  
śne, sprośna pożądlivość, pełna dzikiego jadu.  
Muszę zapróbować ulepić z nich paczkę faunów  
i satyrów rozigranych, raptem ściśniętych w  
garści Herkulesa.

— Doskonale, doskonale — wołała Fińcia zalewając się śmiechem, a następnie rzuciła się w objęcia Bronisławy — tyś nie wesoła, ale jabym na twym miejscu śmiała się za wszystkich. Zostałaś, ma chore, 'heroine du jour... Jakby od przytknięcia się ręką do padalca, wzdrygnęła Bronisława i wzrok ciekawie zato piła w twarzy kuzynki. Jako dobrze wychowana, zrozumiała całą doniosłość swego nowego tytułu. Cnota nie zrobiła jej próżną, pomimo piękności, dlatego widziała jasno rzeczy.

— Podobne bohaterstwo, moja droga, nie przynosi zaszczytu pannie przyzwoitej — odpowiedziała nieco urażona i smutna — bodajbyś nigdy na podobną arenę nie występowała.

— Za wielka z ciebie purytanka — trzpio tać się niby Fińcia — przy dzielnym obrońcy jak twój, nic się na wartości nie traci.

— I owszem — podchwyciła Alicja — podnosi się wartość, jak owyci kasztelanek z wież gotyckich, bronionych przez błędnych rycerzy...

Na ten raz Świętosław uczuł się być do tkniętym, chociaż nie przypuszczał, żeby mece nasówna ukrywała po za tym luźnym wykrzyknikiem jakiś cel ukryty. Mars mu wystąpił na czole a warga dolna drgnęła.

— Pani zapewne przypomniała epitet nadany mnie przez tego, co pierwszy opuścił na miot?! — i smutny sarkazm skurczył mu usta. Co panu jest? ależ ja bym nigdy ani pomyślała o podobnej złośliwości? ... Nie spodziewałam się być tak źle uważaną!...

— Wierzę zupełnie w szczerą pani. Przepraszam najmocniej za prędkość moją. Świat tutejszy jest pełen zasadzek, trudno nie zostać podejrzliwym.

— Względem mnie jednak byłoby to zbyt niesprawiedliwym — i ciszej dodała, choć ją słyszeli wszyscy — zwłaszcza po tem, co pomiędzy nami świeżo zaszło...

Bronisława pochmurnie spojrzała z pogardą na mecenasównę, i nie mówiąc słowa, nadąsana szła milcząca do samego mieszkania, gdzie się z kuzynkami i Alicją zimno pożegnała. Ostatnia, w bramie rzuciła była jeszcze kilka półsłówek tajemnicznych do Świętosława, który przez całą drogę z nią wyłącznie rozmawiał. Żegnając Bronisławę, Alicja, nadawała sobie wyraz tryuinfatorki, nie oddając zwykłych hołdów pańskiejskiej przyjaźni, wyciskanej niezliczoną ilością buziaków pożegnalnych.

Na Świętosława jakby padł jakiś urok, był prawie milczący, przeprowadzając kochankę do jej progu. Pożegnał spiesźnie, przeprasząc, że

chyba wieczorem zagładnie do niej, mając mnóstwo interesów do załatwienia w mieście, wskutek nowych napaści sądowych. Ponadchodziły nowe denuncjacje z Litwy, o których mu właśnie donosiła Alicja, poddające całkiem w podejrzanie tożsamość osoby Bronisławy, nie mówiąc już o prawowitości jej pochodzenia rodzowego. Trzeba było te niegodziwe oszczerstwa zbijać, co znowuż groziło dłuższą przewłoką czasu, dla uzyskania wyroku pomyślnego. Te wszystkie tłumaczenia, jak zwykle, nie wystarczały dla kochanki, która smutnie wyglądała wieczora, coraz niecierpliwiej. Świat ciemny przeczuć i niepokoju oplatał niby pajęczyną królowę piękności.

Roje domysłów jakby otoczenie ze złych duchów, trapiły ją nudami i boleścią zranionego podejrzeniem serca. Wszystkie owe tajne knowania wrogów w ciągu dnia, bezwiednie zaczęły działać na duszę znękaną jak trucizna po wolna, lecz pewna, podstępna ręka zadana. — Wyszedł na scenę upór mężki, tak zręcznie wywleczony przez baronową z Fińcia. Po nim wyszczerzył się ohydnie skandal i obmowa, mające wyrugować z łaski księcia marszałka, raczej marszałkowej, niecierpiącej nikogo w domu, zwłaszcza panien dotkniętych choćby najniewinniej obmową lub złośliwością. Towarzystwo naturalnie pójdzie za swymi wodzami, tem bardziej, że skandal nosił na sobie cechę podwójnego zgorzenia, z powodu doraźnej sprawiedliwości, wymierzonej przez Świętosława na osobach dobrze uważanych w namiestnictwie i

w Wiedniu. Bronisława rozważając z ciotką, powoli poodkrywała te wszystkie straszne rzeczy, dlatego ze smutkiem przybywającym, była coraz niespokojniejszą. Pragnęła ujrzeć co najrychlej Świętosława, a ten tymczasem nie nadchodził.

Zresztą powrócił i pobiegł skwapliwie, jak by spiesząc korzystać z czasu. Widok kochanka, spragnionego jej widzenia, rozjaśnił sliczne oblicze Bronisławy. Pod wpływem rannych wypadków, rozmowa wszakże jakoś nieładko poszła. Przejęta troskliwością i niepokojem, nie mogła utaić niektórych obaw z postępowania wprawdzie słusznego, lecz zanadto doraźnego. Niby żartując, utknęła na uporze męzkim traktującym częstokroć tak bezwzględnie zdanie kobiece. Nie obeszło się i bez lekkich uwag, co do zachowywania się oględnie, zwłaszcza mając na względzie spokój trzecich osób. Świętosława natura była zbyt czystą i prostą, aby nie uczuła głęboko robionych sobie wyrzutów. Widział w nich rodzaj naiwnego samolubstwa, poświęcającego wszystko, co ma najdroższego mężczyzna. Nie znając półśrodków, a przytem pewnym będąc, że żaden z ichmości ukaranych nie posiada odwagi, żądania satysfakcji horowej, nie widział innej drogi właściwej do wyjścia z napastnikami tego rodzaju, co wyznawcy zasad „Wyrazu.” Praktyczność kobieca zrobiła na nim przytłaczające wrażenie, coś w rodzaju widoku pantofla rozklapanego, chociażby na nóżce samej Wenus Afrodyty. Podobnie zwykłym zakochanym, miał jednak więcej pobrażli

wości w sercu niż w głowie dla przedmiotu ubóstwianego; powstrzymał w sobie wybuchy dumy obrażonej. Byli sami w pokoju; ciotka nie domagając, poszła na spoczynek.

— Wierzę, że nie chcesz widzieć nikogo skrzywdzonego — mówił smutnie — chociażby tak złe istoty jak ci napastnicy. Tego jednak mnie jako mężczyźnie uwzględniać nie wolno; muszę być surowym, stając w czyjejś obronie. Chcą, mogą żądać odemnie satysfakcji honorowej; chociaż jestem pewny, że nie mają odwagi nastawiać piersi na razy śmiertelne w obronie honoru. Przebaczać, powtarzam, w podobnym wypadku, ani mogłem, ani powinienem być. Ustąpić lub wejść na drogę słownej rozprawy, byłoby to dla mnie więcej niż poniżeniem. To przekonanie góruje we mnie po nad wszelkimi innymi.

— Czyż niepodobna zapanować nad niem, chociażby nieco? radząc się więcej ducha miłości serca chrześcijańskiego, niż surowego honoru?

— Ależ tu nie o zapanowanie chodziło, lecz o prawdę spotwarzoną, dla której obrony człowiek serca i honoru powinien zawsze skła

dać z całej swej istoty ofiarę? Uważałbym się  
bie za niegodnego szacunku, za wstrętnego i ma-  
łodusznego, gdybym od tej zasady przewodniej  
kiedy odstąpił. Nie pragnę cudzy eli łez ani krwi,  
lecz za nic nie pozostanę obojętnym na obrazę  
prawdy i moralności! Wyzywać na „sąd boży,”  
każdego, co przestąpił to prawo, jest zadaniem  
mego życia.

— Takie życie jest ponad wszelki wyraz

niebezpiecznym; pociąga ono prócz tego nie-  
skończony szereg niepokojów i strat, dla tych  
co z niem będą zostawali w styczności sym-  
patycznej... Ludzie uciekają od podobnych cha-  
rakterów.

— Tyle praktyczność!?, to niepojęte?!.. Te  
praktyczne formułki, to ulubione tarany, któ-  
remi jak młotami ozdobnemi rozbijacie panie  
nasze postanowienia w pancerz stałości zakute,  
a uważane za marzycielstwo niepraktyczne... Nie,  
nie! Słyszę głos cheruba nad sobą, oddającego  
pochwałę wiekuistą tym teorjom marzycieli; są  
one prawdziwsze od doczesnej rzeczywistości,  
szczęście ludzkości całe na° nich polega; z nich  
jak z poczwarki wylatują cudne wynalazki i  
odkrycia; za ich tarczą bezpiecznie spoczywają  
ideały powszechnego zbratania ludzkości, wol-  
ności nieśmiertelnej ducha w harmonję ujętej.—  
Wobec tak wzniosłego celu, czemże jest miłość  
tej większości płochliwej, niewyrobionej, samo-  
lubnej, miłującej po nad wszystko spokój chło-  
dem grobu nieużytego więcej?!

— Obraz zachwycający, ale prowadzący za  
sobą życie w zbyt uciążliwych warunkach, mo-  
gących złamać nie jedną pospolitą naturę. Cie-  
sząc się w spokoju, używając rozkoszy umiar-  
kowanie, można również dzielnie rozwijać du-  
cha; a czego niekoniecznie dopnie ten, kto ob-  
cych i drażliwych spraw dotyka...

— Świat dzisiejszy widzi cel życia ostate-  
czny w przyjemności, w używaniu i uciechach,  
zapominając, że przez to oddaje się na łaskę i  
niełaskę przemocy fizycznej, zmysłowości... Choć

młody, wyrosłem po nad tę miarę praktyczną ;  
patrzac na świat, szukam przede wszystkim  
harmonji powszechnej, a życie uważam jak dług  
zaciągnięty u przyrody, dla ustalenia panowa  
nia na ziemi — dobrego, rozumnego, pożyte  
cznego, we wszechmiłości poczętego, co by dało  
wsparcie i otuchę słabym w zwodniczej piel  
grzymce ziemskiej.

— To skala zanadto idealna, mierzona nią  
miłość jednostki, ginie całkowicie.

— Nie ginie, lecz oczyszcza się tylko.

— Dla osób zwykłych jest ona niezmiernie  
trudną. O! nie, nie; przestańmy raczej zaglądać  
w te bezdenne wiry brylantowe uczucia wszech  
światowego, bo od nich można dostać zawrotu  
głowy...

Świętosław westchnął, spojrział smutnie na  
oblicze ukochane, szepnął kilka słów czułych,  
uściskał dłonie czarodziejki i pobrnął znużony  
do siebie. Zmora przeczucia, wprawdzie nieja  
snego, usiadła mu na sercu. Niewiedzieć z kąd,  
zaczął robić rachunek sumienia, oglądając sie  
bie samego, jak to piękność czyni w zwiercia  
dle. Spojrział bystrym wzrokiem duchowym na  
swe zasady, oglądał je wszechstronnie, lecz nic  
w nich zdrożnego dopatrzeć nie mógł; taksamo  
postąpił i z uczynkami własnymi. Jęczał wpraw  
dzie w oddali, z najprzepastniejszych głębin  
ducha, głos zalu za rozkoszami czystymi, czara  
mi życia uroczemi, ale coś jeszcze czystsze go i  
wspanialsze wnet go tłumilo. Prawo miłości  
powszechnej jak słońce gasiło miłość jednostki,  
podobną przy niej do gwiazdki samotnej.

Nieubłagany poganiacz prozy życia ludz  
kiego, brzask, poprzednik pochodni dnia, na  
glącej do znoonej pracy, zaczął szarzyć nad  
Lwowem. Konający śpiew słowika zastąpił  
wrzask, przeciągających nad uspieniem jeszcze  
miastem wron i kawek, a w ślad za niemi za  
turkotał i wóz śmieciarski. Powoli wychodzili  
na chodniki stróże kamieniczni, zażywali ta  
baczki, oglądali filozoficznie piae działania mio  
teł, spoczywających w ich wiernych dłoniach  
jako godła porządku gminnego.

Krakanie i ciochanie ptaków jeszcze nie  
umilkło, gdy jakiś znaczniejszy tajemniczy ruch  
zaczęło się odbywać na placu, zwłaszcza w po  
bliżu hotelu. „Policaje" w swych kaszkiekach,  
kształtu form do wypiekania babek wielkanoc  
nych, z minami kotów zaczajonych, czołgają  
cych się na brzuchach, zajmowali parami wy

loty przyległych ulic, i stawali niby od niechcienia koło bramy hotelowej. Wrony i kawki jakby instynktami pociągnięte, wrzasnęły jeszcze głośniejsze i zawinęły nowe koło nad placem Marjackim.

W pokoju Świętosława jak zwykle było okno otwarte, a on sam nękanym przecuciem usnął dopiero nad ranem. Spał twardo, a sny, zwykle rzadkie u niego, jedne cisnęły się przed drugimi. Śniło mu się, że był na jakimś balu, miał śliczne białe rękawiczki i bukiet mirtowy,

stawał już do tańca z Bronisławą, gdy Alicja raptem wpadła pomiędzy nich zgrzytając zębami. Zbudził się. Któs zawzięcie kręcił rączką od zamku, próbując otworzyć drzwi, zasunięte ze środka.

— Kto tam? — zapytał Świętosław.

Nie było odpowiedzi; kręcenie tylko rączką i napieranie na drzwi stawało się coraz gwałtowniejsze. Świętosław raz jeszcze powtórzył zapytanie.

— Ależ kto tam?

— Przyjechali — odpowiedział głos z za drzwi, przy nieustającym kręceniu rączką. Sądząc, że to być może ktoś ze znajomych nadjechał, Świętosław, zapominając o podejrzeniu natręctwie, odsunął zasówkę. Zaledwo to skutecznił, gdy z całą siłą naporu wpadli a raczej zatoczyli się do pokoju dwaj ichmoście po cywilnemu ubrani: jeden grubopłaski kuc w kusym kubraczku wyszarzanym, a drugi, długi, chudy jak tyka krzywa od chmielu, w za sadlonym surducie, kroju rewerendy księżej.

— Co to jest? — pytał Świętosław zdumiony, i wyciągał potężną dłoń dla ujęcia zu chwałych złodziei czy rabusi jak się zdawało.

— Przyjechali — powtórzył jowialnie kuczompsią fizjognomią, przypadając do ziemi pod ręką jak żabka, i wyskakując za plecyma Świętosława — przyjechali!

Drugi, rodzaj ożoga osmolonego, milcząc zagroził drogę przede drzwiami, wyszczerzwszy przytem dwa szeregi białych jak u goryla zębów, na znak zadowolenia z dowcipnych pry



siudów kolegi kuca. Świętosław jednym susem był przy łóżku, porwał za rewolwer. Na progu ukazała się nowa figura, był to komisarz Szafliczek w mundurze z wiśniowemi aksamitnemi belkami, w kepi z różyczką złotą, przy szpadzie cywilnej.

— W imieniu prawa! rewizjon mamy tu zrobić — rzekł wyniośle.

— Kto pan jesteś? — pytał Świętosław.

— Jestem komiser od policaj — mruknął groźnie Szafliczek.

— Sądziłem, że to złodzieje wdzierają się do mego mieszkania... Masz pan upoważnienie na piśmie?

— A jużci musil meć kedy whożu... Oddać broń!

— Pokażcie rozkaz, albo wszystkich trzech wyrzucę za drzwi! — i bwiętosław śmiało pod stąpił do Szafliczka.

Na ten ruch twarz kudłata Szafliczka za drżała galaretowato, a koniec ponsowego nosa zsiniał; obejrzał się w tył i cofnął za plecy długiego szpicla. Z tej dopiero obronnej pozycji podał pismo z sądu, rozkazujące wykonać rewizję u Chrobrskiego.

— O cóż jestem podejrzany? — pytał spokojnie Świętosław.

— Halo! oddać broń — mruknął komisarz zamiast odpowiedzi.

Oddając broń urzędnikowi, Świętosław po nowił zapytanie. Będąc jednak w posiadaniu broni, Szafliczek stał się jeszcze groźniejszym i zuchwalszym.

, y\*

Co mi on będzie tam pkał?! Zrewidu jemy, a potem wir werden schon sehen...

Świętosław zadrzał z oburzenia, gotów był zgnieść zuchwalca; gdy błyskawicą przemknęła mu przed oczyma postać Bronisławy, błagającej o umiarkowanie. Zmienił postanowienie.

— Ależ ja jestem cudzoziemiec! Mam prawo pytać. Proszę powiedzieć!

— Jesteś pan staatsverdachtig... Nie rezo nowal on, dopóki protokoll nie spisujemy...

Brutalstwo szanownego organu bezpieczeństwa publicznego zrobiło na rewidowanym wrażenie jak owa woń, wydawana przez owad najniewygodniejszy do pojedynku według Hejnego.

Potańczał czoła, oparł wzrok wyniosły pełen po gardy na policjancie, którego oczy wnet pomknęły bojaźliwie ku podłodze. Zwolna ubierał się, nie patrząc na myszkowanie policjantów po wszystkich zakątkach, nie czujących ponizającej godność uczciwego człowieka czynności. Komisarz czytał i sortował papiery; nie ukryła się przed Świętosławem radość jego złośliwa, gdy dostał listy Bronisławy do ręki. Po skończonej rewizji zażądał zwrotu tych listów jako całkiem do spraw politycznych nie należących.

— Proszę być spokojny... o! ja, my umiemy ocenić delikatne stosunki kawalerskie — i uśmiech złośliwy błysnął z pod kopiastych wąsisków na jeżonych do góry a koniec haka szubienicznego czyli nosa, zajrzał do gęby wykrzywionej. — Bitte! jeszcze mali formalności...

I bezwstydną dłoń komisarską zaczęła za nurzać się po wszystkich kieszeniach dumnego

młodzieńca cnotliwego. Krew o mało go nie załała ze wstydu, na widok tej nikczemności ludzkiej. Gorączka paliła go, gdy ręka nikczemnego jurgieltnika dotykała jego osoby. Po rewizji nastąpił rozkaz, żeby Świętosław szedł na policję razem z policjantami; był więc aresztowany.

— Służę — odpowiedział Świętosław — tylko zabiorę nieco tytoniu, poduszkę i pieńki...

— O! to za wiele wygódek. Trzeba miody człowiek być gotów do hartownego życia... So — Aresztujecie bez winy, i tej nawet drobnostki nie pozwalacie?!...

— Będziemy widział czy winien... Marsz! Schodzili po schodach, gdy z góry wysunęła się głowa mecenasa Wendziaholskiego, robiącego przyjacielskie skinienia i ukłony. Na ulicy Świętosław podniósł oczy do góry, ujrzał w oknie stojącą gronislawę z chustką przy oczach, z tyłu za nią stała ciotka Kamilla; obie żegnały go gestami i słowami, obiecując zaraz skargę zanieść, gdzie wypadało. Służba hotelowa tak skwapliwa na odjeździe podróżnego z nastawianiem łap, tą razą, pomimo niezmiernej hojności Świętosława, jak pod ziemię zapadła się, ani jeden nosa nie pokazał. Ga wiedź zwykle na widok rewizji policyjnej do staje nie wysłowionej, przesądnej bojaźni, podobnej do strachu żab, zmiatających na dno błotka, gdy ktoś czy coś pluśnie po wodzie. Żabnec ludzki tak gwarliwy i wrzaskliwy, tak liczny a tak ruchliwy pozornie — jest w grun

cie niczem wobec jednostki silniejszym duchem obdarzonej.... Słusznie rzekł o nim Arjost:  
„Ale mdłemu pospólstwu słabemu, marnemu,  
Pierwej umrzeć, niżli się urodzić godnemu...  
Świętosław nie dojrzał jednak tego smutnego faktu zajęty ściganiem oczyma i myślami łzawego wzroku kochanki. Coś nakształt grobu otwierało się przed nim, a choć człowiek go tów był w nim zapłakać, duch mocny i wyniosły nie dawał tego poznać nikomu, zwłaszcza tym, co prawem przemocy chwilowo zapanowali nad jego ciałem.

Na policji długo nie bawił, uchwalono oddać go zaraz do kryminału. W więzieniu klucznik, brat Słowianin Czech, powtórzył plugawy proces rewidowania kieszeni, a nadmiar oburzenia, zwyczajem austriackim, chociaż niby więźnia politycznego, zamknięto go razem z rozbójnikiem. Obok kubła cuchnącego to sadzanie więźniów politycznych ze zbrodniarzami pospolitymi, jest czemś wołającym o pomstę do cywilizacji XIX wieku. Sądownictwo austriackie i w ogóle niemieckie, w swym zaśniedziałym pedantyzmie, trzymające się zmurzałych powag jurydycznych, nie widzi tego, że zbrodni politycznej jako zbrodni nie ma, zastępuje ją raczej zbyt gorliwość służenia dobru ludzkości, mogąca bardzo wiele złego zrobić; — ale przynigdy nie mogąca być uważaną za zbrodnię, w pospolitem znaczeniu tego słowa, i jako taka karana! Dla domniemyanych zbrodni politycznych kara być winna dwójaką: albo zasądzenie do domu

warjatów lub pobicie na głowę przez opinię większości, — wszelka inna jest nielogiczną i nieludzką.

Podczas gdy szlachetna ofiara podstępnej zdrady znosiła męki niezastuzone, Szafliczek zacierał ręce pędząc do redakcji „Wyrazu”. Wpadł do Deszczańskiego i odraportował, że dzięki jego zręczności, dowody, przedstawione przez skarżących prokuratorowi, znalazły uwzględnienie, a ptaszek siedzi pod kluczem; — teraz

oczekuje „wyrównania” rachunku, należnego za jego sprawną gorliwość. Redaktor się w głowę poskrobał, mruknął zgryźliwie, obejrzał wszystkie kąty i sufit, poczem ostrożnie wydobyl rułon złota, rozłamał go i odliczył dwadzieścia sztuk półimperjałów.

— Co to ma znaczyć?... tego nie rozumiał... to chyba żartem jest ? !—burknął Szafliczek, odpychając wzgardliwie złoto od siebie.

— Dalibóg! ostatki — jęczał redaktor.

— No, co mi tam! to nie wasze, dawać rest L.

Drobny pot kroplisty operlił nos Deszczańskiego, wzrok straszny utkwiał w przeciwniku jakby spychany w przepaść, warknął złowrogo, westchnął i następnie doliczył jeszcze pięć sztuk.

— Drugie tyle! ani grosza mniej — ja! — fuknął Szafliczek zaperzony.

Deszczańskiego oddech ciężkim się zrobił, przytulił do siebie złoto, nakrywając je oboma garściami; przybrał wyraz błagającego łapkami

czarnego pudła i bystro oczami mierzył przez ciwnika.

— Dawać rest, donnerwetter! — burknął Szafliczek, stuknąwszy pięścią po stole.

— Ależ przynajmniej podpiszecie kwit?...

Są wydatki, których pokazać nie mogę, — Bihme!... Nie dobijajcież przynajmniej...

Doliczywszy resztę żądanego złota, podsunął kwit z białym okienkiem do podpisu odbiorcy. Komisarz uśmiechnął się złośliwie i podpisał jakieś zagadkowe, nie własne nazwisko, ustrzone mnóstwem wywijasów kaligraficznych. Koniec tu był zawziętości, obaj zerknęli sobie w oczy wesoło. Deszczański cmoknął językiem, dał szcztka sobie po kołnierzu, i mrucząc radośnie, wydobyl gąsiorek zasuty pajęczyną i obrosły mchem; była to stuletnia śliwowica, na desłana z Uhorszczyzny dla dzielnego obrońcy praw ruteńskich...

— Na pohybel rebeliantom! — syknął kierochnik opinji judaszowskiej.

— Nasz wielki ideał slawiszera, soli leben, slawa! — odpowiedział komisarz, stukając w kieliszek spółnika amfitrjona.

Szlachetny trunek zaledwo znikł w garściach spółbiesiadników, gdy się ozwało za drzwiami krechtanie, śmiechy i stąpanie przez płatane szczękaniem szabli.

— Idą ci... nasi; trzeba przed nimi cho

wać to, co mamy dobrego— i Deszczański ze zwinnością kocią schował napowrót kamionkę, a natomiast wydobył sztof szpagatówki.

Czynność była ukończoną, gdy w progi redakcyjne wstąpili Draniecki, Mocbowicz i Karaluch z Ćwikłą pod ramię. Śmiechy i wzajemne powinszowania ożywiły towarzystwo, ?przy pominające sobą głosy zwierząt drapieżnych w menażerji, gdy godzina karmienia nastaje. Szpagatówka, zakasywana dymem tytoniowym, urozi maicała humor towarzystwa w ogóle, by tem lżej poszły układy z każdym pojedynczo, brany przez redaktora do znanego parloaru „Wyrazu”, dla otrzymania stosownej do swej roli zapłaty. Powtórzyły się sceny jak z Szafliczkiem, tylko że były daleko surowiej i nieubłaganej prowadzone przez redaktora. Ostatnim, biorącym na tortury miłość złota redaktora, był Ćwikła, który nie mogąc zmiękczyć serca płacąc wymową, jękami, płaczem — padł na kolana i pocałował w but rozdawcę marnony... W tej chwili jak cień Banka stanął Zawadjakiewicz, z nienacka wchodzący do redakcji, i warknął groźnie, chrupnąwszy kośćmi od palców załamywanych. Niedźwiedzia redaktora twarz okryła się zmarszczkami jak na pysku drapieżnika, na widok nadchodzącego drugiego towarzysza rasowego, gotowego wydrzeć zdo bycz. Walka o byt rozwarła swe szranki pouczające...

Po Ćwikle, który skoczył przerażony na nogi, gdy ujrzał nieubłaganego towarzysza rzeźmiosa, dogmatyka socjalistę, niewzruszonego w zastosowaniu do własnej kieszeni, — przyszła kolej wypłaty i na tego ostatniego. Podczas rozliczania się redaktora z Zawadjakiewiczem,

zawisło coś w powietrzu, jakby obłok tłustego potu, przesiąkniętego zjadliwą skisłością — był to rodzaj spektra duchowego walki o byt... Zapach wódki i dym tytoniowy wypłoszyły to widmo pozytywizmu nowoczesnego...

Przed rozstaniem się, Szafliczek, wziął na

stronę Mochowicza i oświadczył mu, że w pa pierach urzędowych jest pewnik jako lata uwię zionego nie uwalniają go bynajmniej od popisu wojskowego. Ojciec i dziad Chrobrskiego po chodzili z województwa ruskiego, odeszłego do Austrii, a choć mając posiadłość na Litwie, po podziale mieszkali w tej ostatniej, byli zawsze obywatelami austriackimi; dopiero syn zanie chał tej procedury, i zaprzestał starań zwykłych około wydobywania paszportu obcokrajowego. Za pomniął Świętosław dopełnić pewnej formalno ści, a ta posłużyła Szafliczkiowi do zadenuncjo wania go jako poddanego austriackiego, unika jącego poboru wojskowego. Gdy wszelkie akta, co do domniemanego charakteru politycznego więźnia zostały odrzucone przez sąd jako nie wystarczające do wytoczenia procesu karnego, władza wojskowa zareklamowała go, dzięki czuj ności Wuka de Mochowicza.

Nie wiadomo tylko na podstawie jakiego pa ragrafu, władza wojskowa, od razu za stosowne uznała rekruta wziąć pod klucz, do więzienia. Poniewierany w areszcie przez kilka dni, został zresztą stawiony przed audytora, i usły szał oskarżenie siebie o rozmyślne unikanie słu żby wojskowej. Na nic się nie zdało wykazy wanie paszportem, jako jest cudzoziemcem; wła

dza twierdziła uporczywie, że nic nie wie, gdyż nie została o tem nigdy drogą urzędową za wiadomioną. Z postępowania z sobą poznał na ostatku, że jest ofiarą jakichś ciemnych machi nacyj swych osobistych nieprzyjaciół, popiera nych przez urzęda. Dał pokój nareszcie obronie, widząc że ma do czynienia z frantami naduży wającymi władzy.

Naturalnym obrońcą, zdawało się, musiałby być książę marszałek w tym wypadku; stało się wszakże inaczej. Zaniechano wskutek fałszywych rad Leandra, wezwania księcia na ra zie, i dopiero uskuteczniło to po kilku dniach ; gdy skandal na placu św. Jurskim przybrał monstrualne rozmiary, wobec aresztowania Świę toslawa nazajutrz. Kuźnia „Wyrazu" porozpu szczała najpotworniejsze komentarze, co do osób i wypadku. Suchej nitki nie zostawiono na prze ciwnikach hr. Edwarda Rysińskiego, który se kundowany przez baronową z Fińnią, rozwozili po salonach te echa brukowe, dodając do nich co niemiara innych.

Dosyć, że gdy Bronisława z ciotką udała się z prośbą o pomoc dla Świętosława, książę

marszałek, wykręcił się od tego jak piskorz;  
co zaś do księżny pani, ta je przyjęła tak wy  
niośle i oziębłe, iż nie było po co do niej wra  
cać. — Nigdzie sprawiedliwości, nigdzie pomocy  
biedna zakochana znaleźć nie mogła.

To samo stosowało się i do Wilna, gdzie  
porobiono jakieś straszne donosy ze Lwowa na  
Świętosława jako zakamieniałego burzyciela  
tronów i ołtarzy.... Władze wileńskie musiały

---

odmówić swej interwencji, zwłaszcza, że fakt  
nielegalności opuszczenia poddaństwa, przeszką  
dzał wszystkiemu. Daremnymi były zabiegi rad  
cy Pieślaka, prezesa Czerewina, siła złego prze  
mogła wszelkie ich starania, a to wskutek nie  
zwykłej surowości ze strony rządu austrjackie  
go, zwykle bardzo pobłażliwego w podobnego  
rodzaju wypadkach. Wpływy zakulisowe roz  
maitych potentatów, obezwładniły na dłuższy  
czas Świętosława. — Dźwignia główna walki  
o byt w nowożytnym społeczeństwie, złoto, za  
pisała jedno więcej zwycięstwo w swych ro  
cznikach...

Po kilku tygodniach korowodów sądowo  
prawniczych, zapadł wyrok, skazujący Święto  
sława na wdzianie „kamaszów" austrjackich,  
munduru wojskowego, a prócz tego na wysie  
dzenie w więzieniu za tak zwaue „Falschmel  
dung". Sąd atoli uwzględniając okoliczności ła  
godzące, zaliczył mu dotąd odsiedziane więzie  
nie i uwalniał od dalszego wysiadywania. Wszelkie  
przedstawienia Świętosława, że on nie chce słu  
żyć wojskowo nie mając żadnego pociągu do  
tego rodzaju zajęcia, chociażby w niezwyczę  
nych szeregach rakuzkich, — były głosem wo  
łającego na puszczy, owszem, w srogi gniew  
wprawiały pana audytora, przed którego był  
stawionym.

Nazajutrz po wysłuchaniu wyroku, sprawa  
dzono Świętosława do urzędu wojskowego. Za  
stał audytora, obok niego księdza w półwoj  
skowym stroju, kapelana pułkowego i stół za  
stawiony pozapalanemi świecami z krucyfiksem

na środku. Wezwany został do złożenia przy sięgi na wierność sztandarowi, pod który przez mocą zaciągnięty został.

— Użyliście przemocy, do wcielenia mnie do waszych szeregów — rzekł Świętosław ironicznie — zgwałciliście moją wolną woję, a teraz chcecie, abym dobrowolnie zatwierdził waszą samowolę, abym kłamał wobec własnego sumienia — zastanówcie się panowie, gdzie tu logika, gdzie uczciwość? Kłamacą nigdy nie byłem i nie będę. Inną przeszkodą do wykonania przysięgi jest to, że moje pojęcia religijne wcale są odmiennie od urzędowych — świętości nasze wielce się różnią. Najważniejszą jednak dźwignią mego postępowania — to uczucie honoru, broniące podać się temu, kto silniejszy. Cóżby ze mnie był za żołnierz, gdybym najświętsze uczucia nagiął pod jarzmo strachu ? !

— Ależ synu mój — zaczął ksiądz — gwałcić sumienia zabrania kościół nasz święty; przysięgą zaś nie łamiemy cudzego przekonania, ale mu tylko dopomagamy...

— Najprzód nie jestem synem księdza do brodzieja, a następnie żadnej cudzej pomocy nie potrzebuję w rzeczy mych przekonań.

— W takim razie nic nie pozostaje jak po zostawić pana bez tej pociechy religijnej — i ksiądz podpisawszy protokół, pożegnał uprzejmie tak audytora, jak i rekruta upornego. Gdy duchowny zniknął za drzwiami, podszedł audytor do Świętosława.

— Widocznie musisz być pan bezwyzna

niowym? Proszę więc złożyć przysięgę wedle roty bezwyznaniowej.

— Przysięga, podług mnie, żadnego związku nie ma z wyznaniem... Składamy ją przed własnym sumieniem, a nie tym lub owym kdeksem religijnym.

— Ależ mnie pana szkoda, narażasz się na nowe nieprzyjemności, będziemy cię musieli znowu więzić...

— Postanowienia mego nie cofnę, gdybym nawet miał zgnieć w więzieniu.

Urzędnik uważnie spojrzął na upartego rekruta, i jako znawca serca ludzkiego poznał w nim od razu naturę niezłomną, szlachetną.

— Namawiać pana dłużej nie będę, bo widzę, że mam do czynienia z człowiekiem wyższego wykształcenia — tu zbliżył się i pógło



sem dodał — nie zaliczaj tego wszystkiego na karb rządu naszego; nigdyby on gwałtu tego nie popełnił, gdyby nie został popchnięty do niego przez rząd moskiewski, którego ajenci do nieśli tutejszej policji, że jesteś emisariuszem, mającym wzniecić rewolucję w Galicji, i wskrzesić powstanie w całej Polsce, przy okazji możebnego konfliktu z Prusami, z dniem każdym coraz pewniejszego... My nie chcemy wierzyć temu, bo widzimy, że nie masz wcale politycznego usposobienia; ale w Wiedniu trudno o tem przekonać, gdy ambasador moskiewski z naciśkiem twierdzi, jakoby był najpewniejszy prawdziwości pańskich rewolucyjnych zamiarów. Jest domysł, że w tej całej sprawie kryje się jakaś sprawa prywatna... Osobiście mam szacu

nek dla pana, przykro mi, lecz nieubłagany pan ragraf każe go zamknąć do więzienia. Proszę wybaczyć!

I audytor wyciągnął dłoń do więźnia, dla uściśnienia jego ręki. Warta w ślad zatem od prowadziła Świętosława do więzienia. Wbrew twierdzeniu wszelkiego rodzaju anarchistów, budujących swe teorie przewrotowe na żywiołach wrogich społeczeństwu, stawiamy jako pewnik, że każdy pospolity zbrodniarz, to typ skończony lojalisty; każdy z nich despota doskonały w gruncie, instynktowo broni zasadę zgodną z tą, która drzemie na dnie jego mętów duchowych. — Doznał tego zaraz na sobie, Świętosław, po przestąpieniu progu więziennego. Zaledwo się spółwięźniowie dowiedzieli, że Świętosław odmówił złożenia przysięgi, z przesądną trwogą i złością zaczęli spoglądać na niego. Wyszczególniali się pod tym względem bracia Słowianie — Czesi, Serbowie i Kroaci. Wśród tych ostatnich był niejaki Stefo Smerdowicz, więziony za liczne kradzieże, pijatykę, rozpustę, szulerkę, poszlaki nawet o morderstwa, słowem, kawał urwiszą z pod szubienicy — otoż ten, pomimo że posługiwał Świętosławowi, żył z jego hojności, — był najzawziętym, nieprześląganym przeciwnikiem rebelianta, co nie złożył lojalnej przysięgi. Stefo, typ skończony gladiatora z wyfiksowanemi z węgierską wąsiskami, powziął nie tylko zawziętość, ale nawet wzdarcę dla spółwięźnia. Dotąd w rowo sprawiał swój obowiązek, mając pasję do glancowania butów i poprawiania nieustannie

„sztrucaka” z „kapustrakiem”; gdy jednak do szła go wieść o postępku obsługiwanego, ostygł w zapale lokajskim; jedynie okazał gorliwość przy sprzątanu resztek obiadu, dostarczanego więźniowi z najpierwszej restauracji. Nietylko współwięźniowie, ale sam profos czuł pewien respekt przed niepospolitym swym więźniem, — uwolnił go był od poniżających posług więziennych, przeznaczonych według regulaminu austriackiego, dla wszystkich bez wyjątku więźniów. Straż nietylko go nie zmuszała do niczego, ale była z nadzwyczajną dlań grzecznością. Wszystko to się jednak zmieniło po odmówieniu złożenia przysięgi. Zamknięto go do „separatki”, cztery wzdłuż a trzy wszerz kroków mającej ciupy, nic prócz gołego tapczanu i stawy więziennej nie dając. Waserzupka żołnierska, urzędownie rosołem zwana, rodzaj płynu na przeczyszczenie a nie odżywienie ciała, i chleb „komiśny” gatunek produktu piekarskiego z odrobiny żyta, domieszanej do dwóch trzecich kąkolu, wyki, posładów wszelkich, niepodobny do jedzenia, dla ludzi nawykłych do chleba lepszego — było to wszystko, czem zaraz nazajutrz po odmowie przysięgi uraczono więźnia upartego. Więzień znosił to wszystko cierpliwie, odmawiając wszakże przyjęcia wszelkiego pokarmu; gdy mu oświadczone, że nie ma prawa do własnego stołu. — Pił wodę i przechadzał się po separacie, marząc o kochance a zapominając o reszcie. Za grube pieniądze, płacone przez Broni sławę, straż codziennie prawie dostarczała mu

kartek od niej, i nawzajem zabierała od niego listy pełne bezgranicznego wylania i troskliwości, wcale nie wymieniające jednak o zmianom na gorsze własnem położeniu w więzieniu. Była to jedyna pociecha, właściwie, dźwignia, co duchowi nie dawała upaść, świecąc nadzieją.

Post dobrowolny trwał od kilku dni; profos i straż cała była widocznie zaniepokojona stałością więźnia, w postanowieniu niedotykania pokarmu skarbowego; bo ta właśnie osta

tnia przyczyna odpychała go od jedzenia, lecz nie smakoszostwo. Niepojęta dla lojalnych areztantów delikatność ducha, upartego według nich, oburzała do reszty te męty społeczne; zawrzeli wszyscy zawziętością do tej nieuchwytej dla nich natury, panka dumnego. — Stefo najwięcej się odgrażał.

W parę dni po zamknięciu do „separatki”, z rana, wypadło odbyć pewną funkcję, zwaną technicznie „kiblowaniem”; otoż gdy drzwi odemknięto i nakazano to uczynić Stefowi jako posługującemu Świętosławowi, za nic nie chciał tego skutecznie

— Ja nie chcę służyć rebeliantowi sakramenckiemu! — wrzasnął Kroat dziko i odwrócił się tyłem.

Skoczyć na brutala, porwać go za gardło było dziełem jednej sekundy dla Świętosława.

— Wiesz ty, że porządni ludzie za brutalne słowo życiem przyplacają? Pamiętaj o tem! I z ostatnimi słowami, tak pchnął o scia Stefa, że ten dziawknąwszy jak szczeniak

upuszczony na ziemię, zemdlął ogłuszony. Mu siano go wodą oblewać. Władza więzienna każała okuć za to Świętosława, mając nadzieję, złamać tą razą ostatecznie jego upor. Kajdany tak przeraziły straż więzienną, że przestała nosić korespondencję.

Bronisława mocno zaniepokojona, starała się odkryć prawdziwą przyczynę tej przerwy; dostawszy wiadomość o wszystkim jak rzeczy stoją, wpadła w rozpacz. Fińcia jakby dla dolewania ognia do oliwy, coraz to smutniejsze wiadomości przynosiła o więźniu, otrzymując takowe przez Rysińskiego, a ten od Wuka de Mochowicza. Mało było tego utrapienia, Szafliczek wynalazł pretekst, na mocy niby procesu sądowego, do wezwania szlachetnej dziewczyny do policji, dla okazania „dokumentu podróży”, paszportu i zaczął ściągać z niej jakiś zagadkowy protokół. Nie koniec był na jednym wezwaniu, powtarzał je gorliwy policjant niemal codnia, tak, że obie kobiety przejrzały naostanku, jaki był ich cel. Bronisława zasłabła ze smutku i wstydu, będąc tak poniewieraną podstępnie.

Klara uczuła litość nad swemi bezwiednymi ofiarami, gdyż w swej lekkomyślności nie przypuszczała, że je w ten stan pogrąży; — zawia domiła radcę Pieslaka, aby przybywał co naj

rychlej, dla wyrwania ich z tego odmetu; same bowiem za nic nie opuszczą Świętosława, choć go chwilowo wypada uważać za bezpowrotnie zgubionego.

Tydzień nie upłynął, zjawił się poczciwy

radca a z nim razem Artur Dziewicki we Lwowie. Pan Piotr płakał na widok cierpień najukochańszej siostrzenicy, tak sponiewieranej w nadziejach i na zdrowiu, Artur szalał z bóleści, gdy się dowiedział, co przecierpiały kobiety i co cierpi obecnie Świętosław; starał się widzieć z ostatnim, lecz mu tego nie dozwolono. Podobne postępowanie nie jest nowem wcale w Galicji; trzeba tu jednak oddać sprawiedliwość rządowi wiedeńskiemu, że nie on sprawcą takowego, lecz miejscowe ruteńsko „czarnożółte” a głównie mo skalofilskie żywiły, łapiące ruble i urzędy w rozmyślnie utrzymywanym zamęcie, a dla za markowania się zręczniejszego, krzyczące w niebo olosy na domniemany „hnetu i „honenije” La chów. Nie zawsze jest prawdziwym panem, kto panuje...

Radca, po odbytej naradzie z adwokatem „krajowym” Leandrem Porciakowskim, przy szedł do przekonania, że sprawa na razie jest przegrana; — dopóki nie będzie odnalezioną ślubna metryka rodziców Bronisławy, nie ma najmniejszej nadziei, aby sądy austriackie od sądziły od sukcesji swego poddanego na korzyść obcego. Pozapłacał wszelkie możebne honoraria adwokackie, z kosztami od kosztów i do datkami do kosztów, co wynosiło z parę tysięcy, chociaż prześwietny Leander, prócz „prawnych punktów”, nic nie wynalazł w procesie, a co ważniejsza, nic nie zrobił. Za przegraną z krete sem, t. j. ze stratami, trzeba było zapłacić, i to grubo — tej sztuki umieją tylko dokazywać pp. adwokaci i lekarze...

Słabość Bronisławy wymagała wejść w styczność i z tymi ostatnimi. Nie obeszło się naturalnie bez konsyljum, które orzekło, że na razie nie jest w stanie zawyrokować czy chora

może odbyć dalszą podróż, bez narażenia na szwank zdrowia. Usłyszawszy ten wyrok esku lapów lwowskich, Artur, siadł, i napisał list do Jednej ze znakomitości lekarskich w Wilnie ze nadeszła odpowiedź, dająca upoważnienie do wywiezienia biednej Litwinki z Lwigołu. Nie czekając dłużej, postanowili wrócić do Wilna. — Dalibóg ! słowo honoru! — wołał radca— ja już chyba tego... ale, dalibóg! coś tak dziwnego jak tutaj nie spotkałem nigdzie ? Gdy bym miał choć sto worków złota, dalibóg! w jednym dniu tu by rozebrali na swe stemple, podatki, dodatki od podatków i podatki od do datków, ordynarja, extraordynarja, honorarja... dalibóg! słowo honoru!...

— To prawo widocznie jest święcie wykonywane przez wszystkich tutejszych mieszkańców — dodał Artur nigdzie na całym obszarze Polski nie spotykałem rodaków tak głęboko zagląających do kieszeni bratniej...

— No, a proszę, co to za „obcokrajowiec”? Jeżeli oni Polacy, to i my Polacy a nie jakieś tam obcokrajowcy!... Fe! wstyd, uciekajmy ztąd co prędzej. Szkoda tylko biednego Świętosława. Nadszedł dzień odjazdu. Pożegnania odbyły się w sposób najczulszy. Nie tylko baronowa kuzyna, Porciakowscy en masse, ale sama Alicja z ojcem ze łzami w oczach ich żegnali.

i Porcjanki, a niebawem

Jeden Hadziewicz Ksawery nie stawiał się, zajęty gruntownymi poszukiwaniami w Zmurszale, wcale pomyślnymi jak o tem głosiły dzienniki, zwłaszcza, że odkrycia te robił przy zmurszających, omszonych butelkach pewnego moskalofila mecenasa archeologii z granatowym nosem i piwnicą pełną owych omszonych butelek z węgrzynem... Obeszło się jakoś bez niego, radca z kobietami i Arturem szczęśliwi byli, gdy dobili do portu, t. j. peronu dworca kolejowego i mogli wsiąść do wagonu.

Baronowa, baronówna i Klara odprowadziły kuzynki na peron ; choć instynkt rzucił pomiędzy nie zarzewie podejrzliwości, najmiej jednak sympatji i zaufania miała Bronisława do Klary. Gdy już siedziała w wagonie, Bronisława ujęła ręką Klary, położyła ją na zbołę piersi.

— Nie mam potrzeby ci mówić, co cię pieczę? — mówiła Bronisława po cichu — pozostawiam tu u was wszystko, co miałam najdroż

szego w życiu... Olśniona, oczarowana uczu  
ciem bogów, raptem spadam na ziemię daleko  
od niego, bez nadziei ujrzenia go kiedykolwiek... Jakaś nieubłagana, mściwa ręka po  
targała mi w sercu najdroższe nadzieje i pra  
gnienia — za cóż to ?.. i z fiołkowych ocz  
spłynęły gradem łzy.

Klarę coś kolnęło pod serce, przytknęła  
chusteczkę do twarzy i zakryła przerażającą  
bładość raptownie występującą; wzdychając  
ciężko, szeptała:

— O! nie mów o tem... żądaj raczej, czego  
chcesz, wszystko uczynię, by ułatwić wam dal  
szy stosunek...

— Godzisz mnie ze Lwowem, moja droga.  
Wiem, że prócz ciebie nikt nie trafi do niego;  
odeszlij mu więc ten list i pakiecik z medaljo  
nem. Pozostanę mu wierną do końca życia...  
Baronowa z Fińcią napróżno podsłuchiwały  
tajemniczej rozmowy, postanowiły przynajmniej  
ją przerwać.

— Oh! ma chere petite, mon ange — wołała  
baronowa poprawiając złotych warkoczy — tyleś  
tu u nas przecierpiała, moja ty śliczna męczen  
niczko!... Nie przyszłoby nigdy do tego, gdyby  
nie ta jego gorliwość zbyt uczynna, zapominająca  
nawet o sercu najdroższych osób...

Czoło Bronisławy spochmurniało a oczy  
srogo łysnęły w stronę mówiącej.

— To jest, mon ange — ciągnęła baronowa,  
pomimo tej oznaki niezadowolenia — dowodem,  
że bohaterstwo jest bardzo i bardzo „nie do  
brze." Niestety, przepadać trzeba pour le mon  
de... Mogą go ci wojskowi zadrzeć, oh! mon  
Dieu... Był to błyszczący meteor, wolno było  
na niego tylko chwileczkę spoglądać, bo nie jest  
stworzony dla ziemi... Oh! oh! iuel chagrin...

Bronisławę, przy jej stanie rozdrażnienia  
nerwowego, cała ta rozmowa do głębi duszy  
wstrząsnęła. Uczuła dopiero żądło jadu, poznała  
wartość moralną kuzyny z połączonym warko  
czem. Trzeci dzwonek uwolnił ją zresztą od tego  
nikczemnego pastwienia się jadowitych chwa  
stów lwowskich salonów... Żebracy, zwłaszcza

salonowi, to najlepszy materiał na zbrodniarzy; byłiby nimi niezawodnie, gdyby nie dostawali zawrotu głowy, spoglądając w przepaści kodeksu karnego...

Nie upłynęło paru tygodni od wyjazdu Bronisławy, gdy sądy krajowe „orzekły” jako hr. Edward Rysiński wchodzi w prawne władanie sukcesji po ś. p. hr. Rysińskim. Gaudjum po wszechne zapanowało w wyższych sferach towarzyskich i półtowaryskich, czołem zmiatających prochy przed bałwanem „Cielca złotego”. Wielu, i to bardzo wielu, zwłaszcza wśród „poważnych”, winszując wygranej, dziękowało razem szczęśliwemu zwycięzcy, że usunął z kraju, niebezpiecznego wicherzyciela, burzyciela moralności towarzyskiej, nowatora, mogącego tradycje lojalności obalić... Wielu z tej ostatniej kategorji robiło przytem miny jak gdyby byli, jeżeli nie samym mieczem nieubłaganym Temidy, to przynajmniej „kawałkiem” urzędowym do wycierania z prochu jej szali... Paniom na wspomnienie wspaniałego warchoła jakoś oczy mgłą zachodziły a usta składały się w serduszka za wieszane jako exvota przed obrazem Bolesławiwej. — Ah! qu'il etait beau — wołały przyciskając swe obrylantowane rączki do alabastrowych gorsów, czy z sercem Galatei?... tego nie wiemy...

Wypadek uznano jako fait accompli, niemiłe przejścia puszczono w niepamięć; zaczęto wyzyskiwać jego pozytywną, realną stronę, zaliczając nowego fortunata do liczby zapaśników z „wywrotowemi” żywiołami, podporę „morał

nych rządów”, zdolnego uciąć łeb hydrze, czy hającej na tarcze dziewięciopalkowe, mitry, ko rony, zamknięte w „Roczniku szlachty” Łukaszewicza i jakimś innym trybularzu herbowym fabrykacji T. Życklińskiego...

Błogosławiony posiadacz byłby zupełnie uwierzył swemu szczęściu i wysokiemu przeznaczeniu na ziemi, gdyby nie pewien cyrograf, dany wprawdzie nie strasznej Hekacie, ale pani baronowej de GoldZłocińskiej, zawierający przyrzeczenie pojęcia w małżeństwo wesołej Fińci. Trudna była rada, zwłaszcza gdy sama księżna marszałkowa akt ten własnym słowem przypieczętowała. Chcąc niechcąc musiał przystąpić serjo do formalnych oświadczeń i dania na zaowiedzi do jezuitów, pojęcia w dozgonne po

siadanie baronówny Fińci.

Podczas gdy się cieszone jedną zdobyczą,  
były też dusze, co oplakiwały los Świętosława,  
uważając go za zbłąkaną ofiarę podstępnych  
trucicieli dusz ludzkich.

— Szkoda zbłąkanego młodzieńca, zwi-  
chnięta karjera — i machnąwszy ręką, zatapia-  
ły wzrok w niebiosach.

Prawdziwie szkoda było Świętosława, że  
musiał rozsypywać skarby swego ducha przy  
warunkach najniewdzięczniejszych. Nawet gdy  
mu chciano robić jakieś przysługi, jak to uczy-  
niła Klara, oznajmująca o wyjeździe Bronisła-  
wy, odbierano mu siły do walczenia z tak nie-  
równym przeciwnikiem. Wiadomość ta niezwy-  
kle przytłumiająco na niego podziałała, zwa-  
szcza gdy się dowiedział o przybyciu Artura i

odprowadzaniu przez niego Bronisławy napo-  
wrót do Wilna. Spadł nań miecz Damoklesa, i  
jak po odcięciu głowy, uczuł niewysłowiony za-  
męt w duszy; zmiękł jak kryształowy posąg,  
wystawiony na działanie ognia; że całkiem nie-  
stopniał, zawdzięczał to swej rycerskiej naturze  
hardej. Zwątpienie i boleść jak węże Laookona  
ściskały mu piersi zranione, zasłaniały wzrok,  
gasiły urok słońca i gwiazd, jedynych pocie-  
szycielek, zagląających do jego separatki przez  
kosz z desek, nałożony na kratę więzienną. Ła-  
twiej teraz znosił głodową próbę; nte skarbo-  
wego nie brał do ust, a jedynie spożywał buł-  
kę, którą mu jeden ze stróżów więziennych  
przynosił pokryjomo. Próżne były z innej stro-  
ny próby nakłonienia go do złożenia przysięgi,  
na wszelkie uwagi i perswazje pozostawał głu-  
chym jak ściana, i milczącym jak głaz.

Ta wytrwałość, przy niezwykłym poście,  
nikt bowiem nie wiedział o bułkach przemyc-  
nych, zaczęła nawracać współwięźniów i jednać  
mu serca. Nie wiedzieć czy tajna sympatja ludz-  
ka, czy zwykła kolej inspekcjonowania więzień,  
bodaj że ta ostatnia sprowadziła do więzienia  
znanego nam z uprzejmości pułkownika sztabo-  
wego, co się na Kopcu poznał ze Świętosławem.  
Wyprowadzono go skutego ze „separatki”.

— Zaco jesteście skazani? — pytał pułko-  
wnik.

— Za to, że nie chciałem uznać gwałtu,  
za czyn dobrowolny...

— Ależ za to kuć w kajdany nie mamy  
zwyczaju?...



zoo

— Ukaralem nikczemnika, co się targnął na mój honor...

Pułkownik byстрыm wzrokiem przypatrywał się więźniowi, uśmiech łagodny ożywił mu twarz.

— Odpowiadasz pan jak filozof, a nie więzień wojskowy... Proszę,, a no, gdzieś to my z sobą spotykali się na świecie?...

Świętosław był okropnie zmieniony, nic dziwnego, że go pułkownik nie poznawał. Uplłynął spory kawał czasu, gdy sobie przypomnieli wzajem spotkanie na Kopcu, i znajomość tam za wartą. Pułkownik, wzruszony do żywego opowiadaniem więźnia, ofiarował się zakończyć tę smutną komedię, uwolnieniem od potrzeby składaną przysięgi, byle zaprzestał okrutnego tyranizowania siebie, o czym był już zawiadomiony przez profosa. Natychmiast zdjęto z niego kajdany i odprowadzono do zwykłego więzienia. W kilka dni został przeprowadzony do koszar ułańskich i zaliczony do pułku kroackiego. Nie zbieg okoliczności, ale zabiegi Wuka de Mochowicza sprawiły, że dostał nowego rekruta do swego szwadronu. Miała się rozpocząć wyższa męczarnia krnąbrnego ducha, ale ten się okazał tak punktualnym, tak pojętnym, tak nie przystępnie dumnym, że wszelkie próby rotmistrzowskie spełzły na niczem. Przewaga moralna była po stronie podwładnego, powaga na czelnika, jak świeczka łojowa wobec słońca elektrycznego, musiała przeto zgasnąć...

Potworny spisek moskalofilów, prześcigających najbujniejszy wykwit jezuityzmu, wylęgły

ua bagnach najpodlejszego egoizmu i cuchnącego materializmu, ideał przewrotności z hajdamactwem sprzężonej, ubóstwienie zbydlęcenia szatańskiego — uwikłał w swe matnie zdradzieckie szlachetną ofiarę. Sieć tego demonicznego związku, rozciągnięta na całą Słowian szczyzną, nadużywając ramienia Austrii, odsunęła niebezpiecznego pomocnika sukcesorki fortuny, przeznaczonej dla jednego z najznakomitszych

jej członków. Złe zwyciężyło dobre.

IX.

Nad śliczną ojczyzną Danta, Rafaela, Rien zego przeleciał anioł dziejowy, dmąc pobudkę w surmę wolności. Ziemia Auzonów miała zrzucić resztki kajdan niewoli, wtłoczonych na nią podstępami traktatami. Mrowiska małości ludzkich, gnane ręką olbrzymów przeszłości, miały po raz ostatni przejść próbę krwi i żelaza, by stać się godnymi bytu niepodległego. Rozlechtany arcyzmem i znarkotyzowany rządami klerykalno arystokratycznymi, naród włoski, przebudzony zagnała przez karbonarów i Młodą Italję, owe „machiny cudowne”, poruszające wszechwładnie sercem narodu wśród płytkości życia codziennego, wyteńczył wszelkie siły, by pod egidą potomka wielkiego Korsykanina i nowej wschodzącej gwiazdy Hohenzollernów, rozpocząć w r. ostatnie zapasy z panowaniem rakuzkiem w Wenecji i Tyrolu

Ozwał się głos lwa z Kaprery, maluczcy poczuli w sobie lwią naturę... Królszlachcic do

był miecza z pochwy, a całe Włochy porwały za broń. Niebo wzięło w opiekę dzieło wyzwolenia. — Gdy męstwo, bitność, nawet tradycje Irycerskie zniknęły ze zwyczajów potomków Rzymian starożytnych, nuta zemsty wysnuta z piersi wieszczów i patrijotów dźwignęła do czynu, zbawiła ziemię Auzonów. Rzym starożytny, ów gcnjalny potwór, co cnotę w zbrodnię ubrał, ducha w materji zatopił, wychylił z ich pieśni jak Irydjon twarz swą boską, napiętnowaną wie kuistą zemstą za podeptany majestat narodu. W odmętach nienawiści znalazły się źródła miłości, moc nieznaną opanowała zniewieściałe dusze. Naród Łazarz chwytając za żelazo śmiercionośne, dał świadectwo światu o swej prawdziwej żywotności; bo godni życia nie boją się krwi przelewać ani swojej, ani cudzej... Pułk Świętosława, jako sformowany z najbitniejszego żywiołu słowiańskiego, odgrywającego, niestety, rolę srogiego stróża więziennego w monarchji, największy postrach na Włochów, ruszył forsownymi marszami na lombardzkie równiny. Jeździec, szermierz, strzelec doskonały, Świętosław, nie potrzebował przechodzić szkoły rekruta, by od razu zostać skończonym szeregowcem. Sam rotmistrz Wuk widział, że jego miejsce nie w szeregach; ale Świętosław ani myślał dać do zrozumienia, że pożąda awansu na szarżę. Bogaty szeregowiec, skromny dla siebie,

hojny po królewsku dla kolegów z musu, milczący wobec gawiedzi szamerowanej, pilny przestrzegacz honoru w najmniejszych drobiazgach, z piękną mężką twarzą, nieznającą uśmiechu, im

ponował niepospolicie wszystkim, nie wyjmując nawet Sruła Ganefowicza, wachmistrza szwadronowego. Sruł, przechrzczony na Alfreda, miał po części respekt dla posiadacza „młinów” i „karczmowtt z pachtem, choć powinien go być wedle instrukcji ostro trzymać. Szeregowi zaś przepadali za nim, małpując każdy jego ruch, powtarzając jak papugi każde słowo najpospolitsze. Szczególną jednak miłość i ślepe przywiązanie okazywali do niego Polacy, których było kilku w szwadronie. W „cugu”, plutonie, do którego należał, miał nieodstępnych towarzyszy w kapralu, synie oficjalisty ze Lwowa i „gemajnerze”, chłopie z pod Krakowa ze Świątnik.

Kapral Orlikowski, smukły blondyn, iście lechickiej rasy, żywy, wymowny, miał wiele polom światowego jako ukończony dublańczyk i elew na większych gospodarstwach magnackich; tego jeździł i niezrównanie strzelał, przymiot pospolity pomiędzy Galicjaninami ze wsi, ale po nad to wszystko posiadał szaloną odwagę, z którą w parze chodziło prawdomowstwo nieokielznane. W czambuł potępiał wszystko, krytykował, wyszydzał całe swe wojskowe otoczenie, nie wyjmując starszyzny, nikt mu jednak za to słowem pisać nie śmiał. Świętosława uważał za ideał niedościgniony i dałby się za niego w kawałki porąbać.

Powierzchniowie zachodziła niby pewna różnica pomiędzy kapralem paniczem a chłopem „gemeinerem” Głowackim, kowalem cugowym. Zapewne wyglądał jak prawdziwy parobczak

krakowski, któremu się dusza wyrywa z pod kierzji i krakuski z pióreczkiem, miał jednak w sobie więcej szlacheckości w obejściu się z ludźmi, coś góralskiego i miejskiego, jako ukończony uczeń szkoły ludowej. Syn gospodarza

setnego, z ojca i z dziada, jak każdy Świętociżanin, był ślusarzem z fachu, a ztąd musiał zostać kowalem w wojsku. W gruncie wszakże niczem się nie różnił od Orlikowskiego jako należącego do owego pięknego okazu Galicjan, z duszą i twarzą czysto polską, gorącego serca i umysłu, niespaczonego ani gusłami zabobonnemi, ani nauką niemiecką, ani lojalizmem austrijackim. Podobnie koledze starszemu, ubóstwiał Świętosława i gotów był każdej chwili oddać za niego życie.

Reszta Polaków i kilku prawdziwych Węgrodów, „ember Magiar”, należało, jak wyżej powiedziano, do ciała, duszą którego był Świętosława. W tem kółku wyrabiały się opinie i sądy, które następnie nurtowały ciężki żywioł kroacki, nawskróś serwilizmu duchem przesiąkły. Oddziaływanie wyższego cywilizacyjnie żywiołu słowiańskiego na niższy, postępowało według nieprzepartych praw logiki, niepodobnych do zatamowania środkami administracyjnymi. Gorszyli się, gniewali, srożyli, ale byli jakby olśnieni i nie śmieli posunąć się do wydania pobratymców.

Coś tam przewąchiwała starszyzna szwadronowa, ale wobec faktu, że Polacy i z nimi ci, co należeli do kółka, przestali pić, grać w karty, pilnie chodzili koło siebie i koni, służby

pilnowali, w żadne kłótnie ani zwady nie wdawali się — Srul uważał za stosowniejsze patrzeć przez palce, nie przeszkadzać schadzkom i pogadankom. Wachmistrz używał nawet tego postępowania wzorowego kółka przyjaciół Świętosława jako bodźca, do budzenia współzawodnictwa w Kroatach, zwykle namiętnych, mściwych, skorych do hulatyki i zwad.

— Wy, slavische Schweinkerle! patrzcie na Polaków — wołał Srul często do podkomendnych — nie są to tacy nicponie jak wy, Lumpengesindel....

Mruczeli Kroaci szeregowcy za podobne wymyślanie żydka galicyjskiego, wprawdzie ochrzczonego, ale Srul czyli Alfred ze Sruła, niewiele na to zważał, bo oficerowie, choć sami Słowianie, nic mu za to nie mówili.

Kółko dalejby istniało niepostrzeżenie, gdyby nie pewien młody oficer, Niemiec, Wiedeńczyk, z kadetów, który przyłgął do niego całą duszą. Było dosyć skandalu, że oficer pospoli tuje się z żołnierzami, a cóż dopiero gdy komendant na własne uszy posłyszał jak ten o

lepsze ubiegał się z Orlikowskim w wysmiewaniu i nicowaniu „Haudegenów” i „Komiskno pówu!?!.. z pustymi mózgownicami i zbydłocem sumieniami, niezdolnych ludzi prowadzi w bój, ale chyba nierogaciznę do szlachtuzi ... Wuk de Mochowicz aż się wściekał, widząc w tem przezroczytą alluzję do siebie; zapalał też najszczerzą chęcią, rozbicia kółka. Im bliżej granicy, tem częściej schodzili się Polacy i Węgrzy, zwłaszcza, że ci ostatni po

słyszeli jako jenerał Klapka formuje legiony węgierskie przeciwko Austrii. Wuka nietylko to złościło, ale i niepokoiło. Postanowił rzecz zbadać bliżej. Na jednym z noclegów przed przejściem granicy, nadarzyła się wyborna zręczność po temu. W restauracji miasteczka, gdzie noclegowali, jakby na pożegnanie ze światem, obok stołu oficerskiego, zasiadło kółko Świętosława, więcej wylane jak kiedykolwiek, chociaż trunki były bardzo umiarkowanie zażywane. Niemczyk oficer, Wiedeńczyk, jakoś więcej pociągał wina; rozgrzany trunkiem, nie wytrzymał na ostatku; porzucił oficerski stół i przemiósł się do kółka Świętosława,  
— Oryginalny to ten nasz zawód wojskowy — mówił sarkastycznie — dalibóg, niech mię zabiją, ale nie mogę się dowiedzieć, za co ja mam zabijać tych biedaków Włochów? Po wiadają obowiązek honor... honor?! proszę tylko uważać honorrr!... nakazuje mi mordować tych niewinnych „salamuczich”,.. Tak, tak... A jakież twoje zdanie pod tym względem panie Świętosławie?  
— Nie jestem do zabijania, ale do zabicia chyba — odpowiedział Świętosław, ironicznie łysnąwszy wzrokiem — złych bić, to smutna konieczność; niewinnych zas, a tembardziej obrońców prawdy narodowej, jest to według mnie zbrodnią, i to bez przebaczenia nawet w niebie. Orlikowski aż podskoczył na swem siedzeniu.  
— Zaborczość teutońską, pycha germańska, zarozumiałość zbrodnicza — mrucał głośno

— ciągle nam, Słowianom, każe za nich pławić się w cudzej krwi niewinnej...

— Kochany przyjacielu, u ciebie bo zawsze i we wszystkim, my, Niemcy winni — odpowiedział Niemiec oficer — daj pokój, my tylko winni, co i wy Słowianie; ale oto te „Haudegeny, te „Komisknopfy", krwi chciwa trzódka chlewna, reakcyjne graty zużyte, one wyprawiają te bratobójcze walki l..

Słyszając słowa oficerka wiedeńczyka, rotmistrz i cała starszyzna aż się zachnęła ze złości. Z wrzaskliwej jak to zwykle bywa w kołach wojskowych raptownie, uczta stała się milcząca i pochmurna. Rotmistrz jeszcze tej nocy wydał rozkaz, aby całe kółko Świętosława było rozmieszczone po rozmaitych plutonach i nie miało z sobą najmniejszej styczności. Dało to nazajutrz przed wymarszem pochop do rozmów pomiędzy żołnierzami. Znalazło się zaraz kilku koło kowala Głowackiego; jakiś Rusin z pod Kołomyi rozpytywał, za co ich rozesłali po innych „cugach", kiedy tak zgodnie z sobą żyli ?

— Nie wiem, panie kamrat, odpowiedział kowal — my bo powiadamy, że niewinnego wojować, to grzech....

— Ta już ci, dobre howoryt — odpowiedział Rusin uśmiechnięty znacząco — no, ale kiedy wuni choćut wykiną nas ze swego kraju ?....

— Kto z nas ma słusność, to Pan Bóg na ostatku rozsądzi... Włosi nam, Polakom, nigdy nic złego nie zrobili...

io

— Czyż to je prawda? — pytali otaczający — abo to kiedy wuni co dobrego nam zrobiły ?

Do mówiących podszedł Świętosław i oparty na szabli, wodził wzrokiem błyszczącym po zgromadzonych.

— Na ich ziemi wiele dobrego nasi doświadczyli — rzekł krótko — dawniej najwięksi nasi ludzie pobierali u nich, w Bononji, nauki. Wielu było takich, co się od nich rozmaitych pożytecznych rzeczy po nauczali..

Nieznacznie podsuwał się, bokiem, Stefo Smerdowicz, który po wypuszczeniu z więzienia też się znalazł w jednym szwadronie, chociaż dawniej był w innym. Łyskał dziko wzrokiem i natężał ucha, ale rozumiejąc piąte przez dzie

siąte po polsku, nie rozumiał wszystkiego. Przy  
stąpił do niego niebawem wachmistrz Srul, po  
patrzył i półgłosem o coś pytał, nastawiając  
pilnie ucha w stronę mówiących, którzy wobec  
tego uznali za stosowne, przejść na obojętniej  
szy przedmiot. — Orlikowski nie wytrzymał  
jednak, by nie posłać prawdy jako gościńca  
niezbyt smacznego w ślad za wachmistrzem.  
— Szpiegostwo zrosło się z żydowską na  
turą jak złodziejstwo i oszustwo — mówił z  
szyderstwem głośno — żyd gotów nietylko in  
nych, ale siebie samego szpiegować, byle nie  
zapomnieć szlachetnego rzemiosła....  
Nietylko Polacy, ale i Kroaci, którym wnet  
wy tłumaczono, co pan kapral „powiedzieli”, wy  
buchnęli homerycznym śmiechem w ślad za pa

nem Alfredem ze Srula. Wiadomo jak wszelka  
starszyzna spuszcza z tonu, wobec rozwierają  
cej się czeluści śmierci, przypominającej fatal  
nie równość absolutną; o toż cały ten wybuch  
zjadliwości uszedł i tą razą na sucho Orlikow  
skiemu. Polacy i Węgrzy zhardzieli, odniósłszy  
to zwycięstwo moralne nad przeciwnikiem ich  
zasad, jakim był wachmistrz; rozbudziło to w  
nich otuchę i wiarę w samych siebie.

— To ci Niemcy... mrucał kowal, tak że  
go swoi tylko słyszeli — a za co to mamy kar  
ku za nich nastawiać?! Niech sobie biją Wło  
chów, a my za co ich mamy bić?..

— Prawda, to je rechtl—pomrukiwała re  
szta, łyskając wzrokiem ponuro.

Dobę maszerowała krajem nieprzyjaciel  
skim awangarda, do której należał i pułk Świę  
tosława. Nigdzie nie napotkano dotąd nieprzy  
jaciela. Kraj był górzysty, służba patrolującej  
kawalerji była niezmiernie uciążliwą i niebez  
pieczną, gdyż pojedyncze szwadrony musiały  
zagłębiać się daleko, odbiegając po parę mil od  
swych kolumn głównych.

Szwadron Świętosława, dostał właśnie taką  
służbę na prawem skrzydle armji operującej.  
O zachodzie słońca sunął wązka doliną, dobie  
gając końca mety swej ekspedycji. Miał tylko  
do zrekognoskowania niewielki las, po za któ  
rym błyszczało jezioro malutkie, przypierające  
jednym bokiem do pionowych skał.

Spokój panował w powietrzu. Prychanie  
koni i rzadkie szczęknięcie broni, przerywało mo  
notonny tupot koński wśród ciszy w przyrodzie.

W górze na poczerwieniałym niebie, od zachodzącego słońca, pławiły się orły alpejskie po krakujące złowrogo; na bokach skał ciemna zieleń bukszpanów i krzewów dębowych jakby oblana krwią ponuro świeciła. Woń ożywcza kwiatów polnych z leśną zmieszana, orzeźwiająca znużonych ułanów od świtu na koniu. — Zanim dotarli do lasu, zanurzyli się w głęboką kotlinę, porośłą wysokimi zaroślami, splecionymi w kołtun czołgającymi się roślinami.

— Orły latają — mówił Stefo do jednego z kolegów — znak to dobry, że pobijemy rebeliantów.

— Milczałbyś ty, kryminalny wróżbito! — ofuknął go Orlikowski, naczelnik sekcji — je szcze licha napytasz... Patrz, wszak to nie nad nami, ale nad tym lasem latają orły?... Komuż ty wróżysz, chyba temu lasowi?!

Śmiech pokrył te słowa, gdy raptem dał się słyszeć tentent koński, pomykającego czwalem ku szwadronowi jeźdźca ze szpiczy; martwa cisza zastąpiła gwar a trwożliwa ciekawość, wesele.

Raport szpiczy krótko brzmiał — przed zaroślami na polu spostrzegła mały oddziałek konny nieprzyjacielski, postępujący bez wszelkich ostrożności. Wukowi aż się oczy zaśmiały, na myśl łatwego zwycięstwa, zwłaszcza, że z opisu poznał w nieprzyjacielu ochotników garybaldczyków.

— Dostaniemy wszystkich tych bękartów szatańskich! — wykrzyknął i gorączkowo półgłosem wydawał rozkazy, aby szwadron ruszył

klusem ostrożnie przytrzymując pałasze i karabinki, by nie brzęczały, i nie spłoszyły nieostrożnego nieprzyjaciela; do Srula zaś mruknął — dodasz po cichu, że mamy mieć do czynienia nie z żołnierzami regularnymi, ale z tą hołotą Garybaldego, przeklętego oberrebellanta... Zaledwo wiadomość szeregi obiegła, twarze kroackie ożywiła jakaś dzika zawziętość. Klęli, oczami łyskali jak wilki w nocy, pochylali się niecierpliwie na siodłach, muskularni poruszali na twarzy, wyglądając jak charty na smyczy,



co już zoczyły kota pomykającego w krzakach. Widok łatwego zwycięstwa odpędził nawet od trwożliwych strach śmierci. Grarybaldczycy tymczasem jakby niczego nie spodziewali się, śpiewali i hałasowali, sunąc spokojnie na zasadzkę. Byli blisko zarośli; na raz dwóch z nich przesadziło rów koło drogi i pomknęło na bok, podczas gdy reszta stanęła. W dwójkę, co się oddzieliła, odróżnić można było jednego, z siwą po pas brodą, jadącego na dzielnym „hunterze”, co sadił przez rowy i krzaki z lekkością sarny. Brodacz poprawiał tylko kołpaczka barankowego, pokrywającego mu głowę, zamiast zwykłego kapelusza gary baldowskiego, i schylony do siodła jak wiatr pomykał dalej; zawiął raptem koło i o jakie sto kroków wpadł do zarośli, gdzie stała szpica austriacka, oczekująca na szwadron, który stukając w klusie podkowami po skalistym gruncie, warczał jak potok górski wartko płynący po kamieniach. Nie zdołali obejrzeć się Austriacy, gdy obaj garybaldczycy dali do nich ognia ze

swych dubeltowych sztucerków, waląc dwóch z koni, i jak jaskółki pomknęli napowrót w pole do czekających. Brodacz zanim dopadł do swoich, wydobyl cygaro i zapalił, następnie już nabijał broń.

— Stójcie — zawołał po polsku, przypadając do frontu — zaraz wyjdą z zarośli, damy ognia i klusem w tył. Zanim dacie znać reszcie, ja z Witoldem będę ich zabawiał...

Ćmił dalej cygaro, nabijając powoli sztućce i zerkając z podelba na zarosłe.

Wrzawa piekielna powstała w szwadronie austriackim; po strzałach domyślano się, że garybaldczycy udawali tylko nieostrożnych. Krzyk komendy przenikliwy zlewał się w unisono z grzechotem podków, szczękaniem szabel, wrzaskiem jeźdźców z powodu spierania się koni, prychaniem z wzbijającym się obłokiem kurza wygęstej jak błotnista woda potoku przy wezbraniu. Kilkanaście sekund nie upłynęło, szwadron jak owa chmura szarańczy apokaliptycznej, kształtu, co „podobny był koniom zgotowanym do bitwy” — zaczął debuszować z krzaków na pole.

Zaledwo czoło szwadronu wyskoczyło na pole, garybaldczycy dali ognia i zawrócili w tył, uchodząc klusem ku lasowi. Padło paru ułanów. Wuk de Mochowicz jakby zdrętwiał, stanął nieruchomo z koniem. Brodacz w tej

chwili zmierzył, strzelił i zwałił rotmistrza,  
który runął na ziemię jak ciężki wór piasku.  
Wuk de Mochowicz dostał postrzał w same  
czoło ; koń jego po skoczył naprzód spłoszony,

potem luzem zawrócił i wyciągnawszy szyję,  
obwąchiwał chrapiąc leżącego na ziemi pana.  
Srul krzyknął i skoczywszy z konia, zaczął  
podnosić rotmistrza; ale już trupa podniósł z

ziemi. Ua miejsce zabitego poskoczył drugi rot  
mistrz, a ułani z szeregów zaczęli strzelać z  
rewolwerów i karabinków do brodacza garybald  
czyka, zawijającego inochodem koło na miejscu  
i nabijającego sztuciec, zawsze z cygarem w  
ustach.

— Basama! sakramentski! przeklęty! —  
huczeli ułani, chybiając do nieustraszonego bro  
dacza.

— Przeklęty dziad djabelski! — krzyczał  
Srul, oddawszy ciało ordynansom — przysięgnę,  
że to nie „salamuczi”, nie śpiewak, nie pajac  
włoski, ale jakiś szatański rebeliant... Herr  
Gott! dostać go trzeba.

— Flankierzy naprzód! — zabrzmiała ko  
menda.

Zanim jednak do tego przyszło, brodacz  
wziął znowu na cel drugiego kapitana i zwałił  
go z konia, trafiając i tą razą w głowę. Flan  
kierzy lecieli na niego, a on inochodem, ku  
rząc cygaro, polem zaczął zdążać do lasu i na  
bijał jak przed tem sztuciec. Trąbki zagrały,  
lance do ataku opuściły się jak kłosa zżęte u  
Austrjaków, cały szwadron zarżał i rozwinięty  
pełnym kłusem, a następnie w galop pogonił  
za uchodzącymi Garybaldczykami. Ziemia za  
dudniała, orły coraz głośniejsze pokrakiwały i  
szybciej kołowały; Austrjacy puścili się nare  
szcie czwałem.

Tymczasem z boku czwałującego szwadronu  
przed flankierami pomykał na swym „hunterze”  
brodacz a przy nim dwóch innych Garybaldczy  
ków, strzelających raz po raz do goniących.

Cofający się z towarzyszami brodaczy Garybaldczyk, gdy już dobrze od szwadronu odprowadził flankierów, sięgnął do torby olstrowej i sypnął po polu papierami; arkusiki leciały na ziemię, gdy ten, co je rzucił, raptem spał swego „huntera” i jak jaskółka wyskoczył na nie wielki pagóreczek czy mogiłę wśród pola.

— Hej! ułani! — krzyknął po polsku po tężnym głosem starzec — a nie wstydzę wam walczyć przeciwko swoim ?

— Ta to Kroaci, a nie Polacy — krzyknął kowal Głowacki w odpowiedzi, jako znajdujący się we flankierach — nas tu kilku za ledwo.

— A z kąd bracie jesteście? — zapytał Świętosław z drugiego skrzydła flankierów.

— Z Litwy, rodaku — odpowiedział brodaczy — zabierzcie proklamacje Garybaldego do wojska austriackiego.

— Świętosławie! — krzyknął drugi Garybaldczyk w tożde aksamitnej na ramieniu.

— Witoldzie drogi! — odezwał się Świętosław, poznawszy w wymawiającym jego imię Raudońskiego — Bóg cię tu zesłał umyślnie... Dalsza rozmowa została przerwana przez wachmistrza Sruła, który dopatrzwszy, że ułani zaczynają złażyć i zbierać po polu odezwę, zamiast gonić dalej, — wpadł na łańcuch tyraljerski, wymyślając okropnie na podoficerów,

którzy zastąpili oficera, po zabiciu dwóch rotmistrzów.

— Sie Schweinkerle ! głupcy, co słuchacie ? taż to buntownik — bijcie go! — i Sruł spał konia, pędząc przeciwko brodaczy i Witoldowi.

Flankierzy wrzasnęli dziko i dalej w skok pomknęli naprzód. Sruł dopadł pagórka prawie, a brodaczy ciągle jeszcze stał na nim z Witoldem; trzeci Garybaldczyk nie wytrzymał i puścił się sam ku lasowi. Błysnął strzał z pagórka i sławny wachmistrz Alfred ze Sruła Ganefowicz, obdarzony krzyżami i medalami wszelkiego rodzaju, wydałszy — „aj waj!u — runął jak długi na ziemię. Ułani podrętwieli na widok padającego wachmistrza; znowuż za trzymali konie, co dało możność zniknąć niepostrzeżenie Witoldowi z brodaczem. Austriacy opamiętali się, sypnęli gradem kul, ale kiedy już było za późno ; bo obaj nieprzyjaciele wpadli do jakichś zarośli, zniknęli im z przed oczu. Gdy się to stało na środku, uciekający w prawo, ku lasowi, Garybaldczyk, był odcięty i

obskoczony ze wszystkich stron; po krótkiej przerwie padł z konia, ciężko płunięty po głowie pałaszem. Powstała piekielna radość i wrzawa, gdy pokonali choć jednego przeciwnika. Ułani zeskakiwali z koni i klnąc okrutnie, rąbali na ziemi leżącego. Na raz wyskoczył z szeregu Stefo, dopadł dobijanego, z okrucieństwem dzikiego rozpruł mu brzuch i zaczął wyciągać trzewia, przy szatańskim śmiechu kołęgów.

Okropny śmiech załaskotywanego na śmierć rozległ się po polu, głusząc nawet strzały i trąbkę. Ludzka natura przez krew zagadała, o burzyli się Polacy i Węgrzy.

Ezekłbyś archanioł pomsty bożej, sadił Świątosław do miejsca okrucieństwa. Wpadł na Stefa, grzmotnął go płazem po głowie, aż zgłuszony padł na ziemię, i wypuścił z krwawej ręki jelita drgające. Po chwili okrutnik przyszedł do siebie i z krzykiem:

— Przeklęty rebeliancie! — porwał za karabinek na bandolerze, i strzelił w piersi Świątosława.

Koń postrzelonego stanął dęba, a jeździec padł bez duszy na ziemię. Dwa okrzyki okropne jednocześnie rozległy się w szeregach. Z jednego końca pędził kowal, a z drugiego Orlikowski; wpadli w sam środek ułanów, którzy w dzikiej zawziętości niewolniczej chcieli byli dobijać ранego Świątosława.

— Nie wolno! — krzyknął kowal pierwszy.

— Przeklętego rebelianta bronisz?... to i ty buntownik? — hej! kamraty, wziąć go na szablę — krzyknęli Kroaty, rzucając się na kowala. ;M

Kowal z natury sprytny, nauczył się sztuki krzyżowej od Świątosława; zanim go kto drasnął żelazem, już zwałił kilku z konia. To powiększyło dziką zawziętość Kroatów; tłoczyli się jeden przez drugiego, zapominając o nieprzyjacieli, znikłym w lesie. Zgrzytały i świstały szablę, bo lanc zbliska nie można było użyć w ciasnocie, a Głowackiego cięcia ciągle go bro

niły skutecznie. Jakiś zdrajca, z tyłu, chciał go przebić, ale mu się to nie powiodło, — sam spadł z konia, płaśnięty przez łeb szablą Orlikowskiego z boku dopadającego. Stefo co po strzale z zaju szonemi rękami godził był na Świętosława, wskoczył na konia i leciał pomiędzy kowala i Orlikowskiego, zasłaniających leżącego na ziemi; spuścił lancę i chciał przebić rannego, ale w tejże chwili Orlikowski płaśnął na odlew, i przeciął zawziętemu niewolnikowi szczękę. Padł okrutny oprawca.

W szwadronie powstała wrzawa nie do opisania, Kroaci kłęli Polaków i rzucili się na tych ostatnich. Do Polaków niespodzianie przyłączyli się Węgrzy; pomimo gróźb, krzyków oficerów i podoficerów, rozpoczęła się jedna ze zwykłych bójek wojskowych w armji austriackiej, różna chyba tem tylko od innych, że widownią jej było świeże pobojuwisko z nieprzyjacielem, dopiero co znikłym.

Zakłęcia i basowania z końskim tupotem i szczękami oręża doszły do najwyższego stopnia, gdy z lasu, o paręset zaledwo kroków, wyskoczył piorunem brodac na hunterze, a za nim cały szwadron „gidów” Garybaldego.

— Avanti! — krzyknął brodac, a podskoczywszy na kilkadziesiąt kroków, dodał — Polacy i Węgrzy! chustki białe do ręki!...

— Graj apel! — krzyknął komendant austrjacki do swego trębacza — brońcie sztandaru, brońcie honoru pułkowego! — wołał na rozjezdzonych ułanów.

Nie pomogła trąbka, a tem mniej słowa niefortunego komendanta, nikt z Austrjaków nie słuchał: jedni dalej się potykali, inni pierzchli przed nieprzyjacielem, pociągnawszy za sobą zrozpaczoną i zawstydzoną starszyznę.

— Brawo Polacy! brawo Madjarzy! — krzyczeli „gidzi”, pędząc za brodaczem.

Padło kilkanaście strzałów za uciekającymi Austrjakami; dopiero rozjuszeni Kroaci odskoczyli od swych przeciwników z jednych szeregów i pierzchnęli w ślad za innymi.

— Stać w miejscu! — zakomenderował Orlikowski do garstki swoich — niech żyją Włosi Garstka ocalonych z całych piersi powtórzyla okrzyk; „gidzi” również okrzykiem odpowiadali.

— Evviva Polacy i Węgrzy! evviva la liberta ....

Część „gidów” popędziła z brodaczem za u  
chodzącymi Austrjakami, dając gęsto ognia z  
karabinków i rewolwerów; więcej dla popłochu  
niż żeby mogli nimi szkodzić, tak bowiem  
zmiatali szybko ułani. Grzmiało na dolinie,  
wśród kurzawy i dymu błyskały strzały, rzenie  
koni raz po raz urozmaicało głosy bitwy; w tem  
z lasku wyjechał powozik parokonny, otoczony  
kilku konnymi i pieszymi w czerwonych koszu  
lach. Orszak posunął w kierunku stojących „gi  
dów” i przeszłych dopiero co ułanów.  
— Evviva Garibaldi! — zagrzmiało jak  
grzmot wśród wojska.  
Narodowy bohater, oswobodziciel Włoch,

pomimo słabości, żwawo powstał i odkrywszy  
głowę, machnął kapelusikiem w górę.

— Evviva Italia! brawo „gidzi!” — okrzy  
knął silnym głosem.

Niby morski huk z szumem zabrzmiało e  
cho, powtarzając głos wodza ukochanego. Nie  
śmiertelny Józef, homeryczny jenerał, kiwał cią  
gle głową na wszystkie strony; gdyż pusta do  
tąd dolinka, raptem zamrowiła się ludem.  
Echa ludzkie chwilami milkły, to znowuż  
wrzały z napływającymi masami ludności oko  
licznej.

— Evviva Garibaldi! Evviva Italia!

I tłumy niby na scenie teatralnej pędziły roja  
mi jak szalone ze stoków doliny, pomachując ka  
peluszami i chustkami. Jak pszczoły obsiadające  
matkę, otaczały swego legendowego bohatera z  
błogosławieństwem na ustach, ze łzami w o  
czach. Śliczna jak anioł dziewczyna z pękiem  
przepysznych róż lotem jaskółki dopadła jene  
rała i przypadłszy na jedno kolano, podała mu  
bukiet.

— Weź to kochany jenerale od Włoszek—  
wołała promieniejąc zachwytem— weź te kwia  
ty, zamiast serc naszych, które gotoweśmy wszy  
stkie złożyć u podnóżka stóp twoich — i łzy  
zrosiły śliczną twarzyczkę dziewczyny.

Jenerał przyjąwszy bukiet, ujął za głowę  
klęczącą i złożywszy na niej pocałunek, dodał  
z zapalem:

— Odnieś to, carissima, wszystkim siostrom  
Włoszkom. Niech żyją nasze kobiety!

Nowe okrzyki zbudziły spokój ucichającej  
ze zmierzchem doliny i z nią razem przyrody  
zasypiającej. Pędziły kobiety młode i stare,  
dziewczęta i dzieciaki, dźwigając na plecach i na  
głowach, co kto miał najsmaczniejszego z ja  
dła, napoju i owoców; wpadały do szeregów wa  
lecnych, coraz debusujących z lasu, powiększa  
jących zastęp obrońców ojczyzny; prosiły; wpy  
chały do rąk, do kieszeni, do torb swe dary.  
Garybaldczycy, sam prawie kwiat młodzieży  
włoskiej, przyjmując poczęstunek, ściskali i cał  
wali stare i młode jakby to siostry ich były  
a nie proste chłopki. — Nie było wśród nich  
owych rozsądnych i przezornych, strojnych w bire  
ty nieomyślności, bezczelnych i pysznych w obec ma  
luczkich, a pokornych aż do poniżenia przed  
silniejszymi, — dla których wiecznie za późno  
lub za wcześnie, owych „spokojnych” grobów  
pobielanych; — ale byli to sami prostaczkowie  
i prostaczki, dźwigający na swych spracowanych  
barkach państwa i narody, pszczoły ludzkie,  
pracujące dla rozkoszy wyższych w narodzie;  
pokorni czciciele tego, co sumienie niezgwałcone  
podawało za nieomyślne, ożywieni promieniami wia  
ry i nadziei, poczerpniętymi z krain ideału plato  
nicznego: reprezentantów „walki o byt” tutaj  
byś nie dopatrzył, pomimo że o byt walczono...  
Na boku stali uszykowani ułani austriacy,  
obecnie Garybaldczycy. Orlikowskiego okrzy  
knęli swym dowodzą. Oczekując na Garybal  
dego, troskliwym okiem z żywym współczuciem  
patrzali jak Witold z innym Garybaldczykiem  
i kowalem rozpinali mundur na Świętosławie,

zabierając się do ratowania go, jeśli można. Wi  
told zbryzgiwał twarz rannego, gdy z boku  
przyskoczył brodac, powracający z pościgu.  
— Witajcie rodacy ! — zawołał na uła  
nów — a no, Bogu chwała, że widzę was na  
właściwym miejscu...  
Rozpytywał pojedynczo każdego, następnie  
ujrzawszy Witolda schylonego nad Świętosła  
wrem, podjechał do niego.  
— Braciszku, artysto — pytał — a tenże  
to jest ów cudowny ziomek nasz, o którym ty  
le mi pięknych rzeczy naopowiadałeś?  
— Tak jest, kapitanie — odpowiedział Wi  
told — oto masz go tu, mego najdroższego

Świętosława Chrobrskiego, — żeby tych łotrów  
szatani pożarli L. Kula przeszła mu bok, zdru  
zgotąła żebro... Nie mogę go dotrzeć się...  
— Szkoda go, znałem jego ojca, był ró  
wnież dzielny jak syn, tylko zamiast szabli,  
do pługa, zwyczajem Białorusinów... Zaraz ci,  
lekarza przysze.  
Brodacz zawrócił i wmieszał się do orsza  
ku Garybaldego.  
— Ty, caro mio, Rokosiński — wołał je  
nerał na brodacza — zawsze mi jakiegoś figła  
spłatasz... Chciałem przepędzić Austrjaków, a ty  
mi ich tymczasem do obozu naprowadzasz !?...  
Brawo! stary druha, Polak u mnie, to kit, co  
spaja nasze szeregi zaimprovizowane. Prowadź  
że do nich !  
Powozik zabrał generała i niebawTem, pro  
wadzony przez brodacza czyli kapitana Roko

sińskiego, stanął przed exulantami austriacki mi,  
którzy go powitali okrzykiem.  
— Niech żyje Garybaldi!  
Generał klaniał się kapelusikiem i zaiskrzo  
nem okiem robił przegląd nowoprzybyłych to  
warzyszy broni. Śmiał się i zacierał ręce.  
— Witam was, drodzy Polacy! i was dro  
dzy Madjarzy! — wołał generał — rad jestem,  
żeście przeszli do przyjaciół, walczących za wa  
szą i naszą wolność. Brawo! moi drodzy, zuch  
w zucha...  
Ludność i wojsko okrzykiwało radośnie  
przeszłych na stronę włoską ułanów, gdy wzrok  
generała padł na Witolda i leżącego na ziemi  
Świętosława.  
— E poverino! cóż to za śliczny młodzian—  
rzekł Garybaldi — zapewne to twój rodak ar  
tysto?... ratuj go, ratuj; wołajcie chirurga, obce  
go trzeba pierwaj przed swoimi biedakami o  
patrzeć.  
Rokosiński tymczasem opowiadał generało  
wi o czynach cuconego, a jednocześnie Orli  
kowski świadczył jako Świętosław jeden był  
zdolny natchnąć ich wszystkich do śmiałego  
kroku, przejścia na stronę sprawy wolności.  
— Per Dio! to mi charakter — wykrzy  
knął Garybaldi, klasnąwszy w dłonie — ratuj  
cież mi go koniecznie, bo to mój brat po duchu  
jak widzę.  
Sprowadzony doktor sztabowy oznajmił, że  
niepodobna dotrzeć się rannego na polu;  
trzeba go zanieść natychmiast do ambulansu.  
Świętosława wzięli na ręce Witold i kowal Głó



wacki, a generał powiódłszy wzrokiem po wierzchołkach drzew, różowo oświetlonych zorzą za chodu, podniósł ręką i giestykulując z włoska, zwrócił się do wojska.

— Pora i wam waleczni podziękować. —  
Żołnierze ! imieniem Włoch i wolności — dziękuję wam, dzielnieście się spisali. A tobie „caro mio\*“, mój stary druhu, najwięcej zawdzięczam dzisiejsze zwycięstwo — i Garybaldi zwrócił się do kapitana Rokosińskiego — muszę wbrew zwyczajowi memu udekorować cię, tylko dekoracją wolnych...

I uśmiechnięty wódz, wyjął najpiękniejszą różę z bukietu, stanął w powozie, i chciał wsadzić kwiat w pętlicę bluzy kapitana Rokosińskiego.

— Daj pokój Józefie — wołał kapitan, ścisnąc dłoń generała — a bo to my baby, żeby się komplementami nawzajem raczyć?!... Za serce, sercem ci dziękuję, a co do twej dekoracji, to ją daj najgodniejszemu — i skinąwszy w stronę Świętosława, dodał — oto właściwy bohater dnia dzisiejszego! bez niego ułani roznieśli by nas... Cześć mu!

— Brawo! brawo! niech żyje cichy pracownik wolności — dodał generał.

Stary wódz, pomimo boleści w nodze, z włoską żywością wylazł z powozu, i zbliżywszy się do Świętosława, przypiął mu do munduru różę, a następnie złożył pocałunek na białym czole zemdlącego. Ostatnie promienie słoneczne świeciły nad tem, martwym spokojem oblanem i;

obliczem jak światłokrąg nad głową męczennika, wynoszonego z areny rzymskiej.  
Spokój i słodycz połączone z uśmiechem dziecięcym, niewinnym, oświecały twarz nieprzytomnego. Na sąsiednim krzewie usiadła ptaszyna z karmazynowem podgardlem, zaśpiewała dzwięcznie a rzewliwie na pożegnanie dnia.  
Garybaldi stał ciągle, dopóki Świętosława nie włożono na nosze i nie odesłano do ambulansu.

Na pożegnanie skinął za odnoszonym kapelusikiem.

— Tacy, to wieczni obrońcy ludzkości; oni torują drogę postępowi i wolności.

— Evviva Garibaldi! evviva la liberta! — huknęli obecni, a od nich znowuż podchwyciły tłumy radosne, bijąc w niebiosa głosami jak w dzwon olbrzymi z lazuru, punkcikami gwiazdek usiany.

— Dio e popolo! — odpowiedział generał. Okrzykiem na cześć wodza i ojczyzny od powiedziały tłumy włoskie, a jednocześnie wy stąpił chór śpiewaków doborowy i zanucił mar szał Garybaldego. Zapał jak nitka prochowa przeleciał po wszystkich sercach. W jeden głos zanucili wszyscy żołnierze i cywilni, starzy i młodzi, kobiety, mężczyźni i dzieci, a echa gór pieśń rozmnażały jakby na to, by nigdy nie umilkąły, była nieśmiertelną...

X.

Łatwy tryumf nie dał spocząć Rysińskiemu; wydarłszy spadek w Galicji, głównie przy po mocy Wendziaholskiego i Hadziewiczza, znowuż

przez nich odebrał i część drugą na Litwie. Piesio, Klosia ani sam Czerewin nie zdołali za słonić najdroższej dla nich Bronisławy, wobec podstępnie podsuniętej przez niecny związek ra cji stanu. Odebrano całą sukcesję pułkownikó wnie, córce legionisty. L'appetit vient en man geant, zagarnąwszy sukcesję, zwycięzki piniacz, na podstawie metryki ślubnej, zaczął zarzucać sieci intryg i na spadkowy sieroty majątek. Hydra moskalofilska, zatruwając swym oddechem Litwę sposoczoną, resztki jej mienia pochłonać zamie rzała.

Pomimo tego wszystkiego, Bronisława, po zostawała całkiem obojętną na knowania wroga, dybiącego na jej mienie. Nic jej nie nęciło do życia, rozstanie z miłym wprawiło ducha znę kanego w rodzaj śpiączki letargicznej. Dziewiń ski otaczał ją najwyszukańszą troskliwością bawił, poświęcał całego siebie na jej usługi; ale nie chciała tego zrozumieć czy nie mogła, po zostając w stanie znieczulenia i obojętności. Dobry i ładny, nie mógł zastąpić bohatera; smutno świecił gaz temu, kto przywykł do świa tła elektrycznego... Obie ciotki i wuj kiwali głowami, wzdychali, oczekując zmiłowania bo żego, dla tej, co się stała jedynym przedmiotem ich pragnień.

— Zanim słońce wszędzie, rosa oczy wyje... szeptała Klosia do Piesia, ocierając łzy.

Tajne pragnienia zastąpienia Świętosława  
Arturem spełzły na niczem. Panna żyła tylko  
nadzieją, że jej sokół wkrótce powróci; miewała

bowieiu ciągle od niego listy i wiedziała o  
wszystkich kolejach, jakie przebywał dotąd.  
Po długiej, przeszło półrocznej słabości,  
pielęgnowany przez Witolda i dwóch exulantów  
austriackich, Orlikowskiego i Głowackiego, Świę-  
tosław, powstał z łoża boleści, choć ranę uwa-  
żali wszyscy za śmiertelną. Kula zdradzieckie  
go pobratymca, przesywszy piersi, pogruchotała  
kości żebra i wpędziła je do środka; nadzwy-  
czajnej tylko sile swego organizmu zawdzięczał,  
że się płuca zasklepiły. Zaledwo na nogach,  
żywo się zajął myślą powrotu na Litwę. Nie  
upajały go tryumfy zjednoczenia Włoch, zrzu-  
cenia ohydneho jarzma najezdniczego, błogosławił  
nieba, że mu dozwoliły być świadkiem tego  
wspaniałego dziejowego czynu, ale ani na  
chwilę nie zapominał o obowiązku względem  
sieroty a pani jego serca. Pomimo zabiegów  
Witolda, od podróżnych z kraju, dowiedział się  
nietylko o przegraniu procesu, lecz i o grożą-  
cych innych niebezpieczeństwach, uknutych  
przez hrabiego galicyjskiego.  
Przeszkodą do powrotu były pewne polity-  
czne względy, których usunięcie czasu potrze-  
bowało, w skutek podziemnej działalności przy-  
jaciół „Wyrazu” i ich wileńskich mecenasów...  
Prawda powoli wypływała na powierzchnię  
urzędową, prawdziwie żółtym krokiem; znu-  
dzony tem jak również ciągłymi owacjami, nie  
zasłużonemi wedle niego, Włochów i Włoszek  
jako rannemu garybaldczykowi, postanowił opu-  
ścić Włochy, przenosząc się do Paryża, dopóki  
nie otrzyma pozwolenia na powrót do kraju.

Były i inne powody, dla których postanowił za-  
mieszkać Francję, mianowicie, jakieś niejasne  
przeczcucie, że będzie mógł być użytecznym dla  
Bronisławy; drugie zaś pochodziły, ztąd, iż obaj  
przyjaciele, byli koledzy broni, zamierzili opuścić  
Włochy, dla wynalezienia sposobu do życia, aby

przestać ciężyc na włoskim budzecie jako gary baldczycy. — Wszyscy razem podazyli do Paryza. Swietoslawa wybral sobie skromne pomieszkowanie na Batignolles, by miedz uczesczacz do biblioteki polskiej, jedynej pociechy podczas męczacego wyczekiwania. Wieczorami lubil zagladac do knajpki przy uliczce Nollet, gdzie starszowie emigranci Polacy byli stalymi gośćmi. Kilku z nich upodobalo sobie Swietoslawa niezmiernie, widzac w mlodziencu swa przeszlosc, sny mlodości. Surowy rycerski obyczaj, pozbowiony czulostkowości, powazny i praktyczny jak u Mohorta Polowskiego, a przytem duma szlachetna, niepotrzebujaca niczego i od nikogo, owszem, gotowa spieszyc z pomocą na pierwsze wezwanie, byly u niego polaczone w harmonijna calosc wielkich charakterow staroswieckiej Polski. Tu byl klucz zagadki, slepego prawie przywiazania i uznania dla mlodziana przez tych hardych starcow, jakimi niezawodnie byli goście knajpki. Starszowie zwykle zasiadali do marjasy, grajac polskimi, wlasciwie węgierskimi kartami, wielce zbliżonemi z powierzchownosci do łazanek dobrze omaszczonych. Jeden z partnerow, Litwin, zwany kapitanem, zaczepil Swietoslawa po zwyczajuj o jego parantele i

koligacje, co sie powtarzalo niemal kazdego wieczora. Choc to dzialo sie w Paryzu, kapitan kurzyl lulke na dlugim cybuchu, oprawnym w paciorkowy futeral, i pociagajac cieple winko, puszczal od czasu do czasu kolk dymu. Wyprostowany, krótko ostrzyżony, szpakowaty, z oczami błękitnymi, zdrowy jak rydz, czerstwy na twarzy, w dlugim surducie z dekoracją w pętlicy i podstrzyżonemi wásami, byl uosobie niem typu z czasow napoleońskich.

Tuz! — A co bracie — rzekl kapitan do Swietoslawa jednoczesnie — jakze tam idzie z tem twojem wywiadywaniem sie? Susz\* łeb, ale ani rusz nie moge przypomniec. Wiem do skonale, ze jest ktos z pewnościa, co pamietala.... Musze go, musze wynalezec. — Ze dwudziestu marjaszy! — To juz rzecz kapitanska mociudzieju — dodal drugi partner — nikt lepiej od niego nie zna naszej kolekcji antyków....

Inni Polacy odpowiedzieli smiechem na koncept drugiego partnera, z Korony, porucznikiem tytulowanym, bialego jak gołab z czerwona twarzą jowialna i ruszajacemi sie sumiastemi

wąsami. Kapitan poważnie chlipnął ze szklan-  
ki, puścił kłąb dymu, plasnął kartą zadając i  
mruknął:

— Wolne zarty poruczniku, ale co prawda,  
rzadkie to są antyki jakich w innym narodzie  
nie znajdziesz, gdybyś nawet był Diogenesem i  
chodził w dzień ze świecą...

— Święta prawda — podchwycił Święto-  
sław — na tych żywych wzorach cnoty staro

świeckiej nowe pokolenie urobiło sobie ideały,  
łączące terażniejszość dziejową z przeszłością.  
Zastęp to niby błędnych rycerzy, których syno-  
wie z dumą oglądają. Dopóki was, najazdy nie  
spożyją nas!

— Kadzisz zbytecznie koleżko — judził po  
ręcznik — ot starokawalerska gwardja, zuchy  
do ciepłego winka, flaneli, „basynowanego" łó-  
żeczka, gotowy pognój dla pani matki ziemi...  
Ze czterdziestu marjaszy! Areszt L.

Świętosław protestował delikatnie i pocie-  
szał starców, upewniając, że zanadto mało sie-  
bie cenią i to niesłusznie; podobnie do niego,  
rzekł na końcu, zapatruje się i całe młode po-  
kolenie cnotliwe, szanujące starość po dawniej-  
szemu. Słuchaczom aż się oczy iskrzyły, a zwy-  
kła gorycz i ironją ustępowały miejsca cichemu  
weselu i rozrzewnieniu. Zaczęto nową partje  
marjasza.

Podczas przemowy Świętosława wszedł nie-  
postrzeżony nowy słuchacz, przystanął na pro-  
gu, i z wytężeniem słuchał mowy młodzieńca.  
Spostrzeżono go wreszcie, wrzawa radosna po-  
wstała pomiędzy obcymi.

— A witaj że nam miły hospodynie! — wy-  
krzyknął porucznik, targnąwszy się za wąsa —  
niech żyje nieśmiertelny kapitan Rokosiński!  
— Rokosiński! Rokosiński! — wołano na  
około, chwytając rękę starca, który jak dąb stał  
wśród przyjaciół, ściskając mocno każdą sobie  
podaną dłoń.

Świętosław z dziwnym natężeniem przypa-  
trywał się tej nowej ciekawej postaci, a tak mu

zdaje się znajomej i miłej. Typ kopalnego wielkoluda ze swą ogromną brodą, z twarzą Czarneckiego, pooraną bruzdami, wyglądał nawet wśród tych starców jak dąb kilka wieczny, pod którym płonął Znicz litewski; wiek spóźniony owiewał niewysłowionym urokiem wyraz słodkiej nadziei, błyszczącej jak gwiazda betleemska na czole rycerza apostoła.

— A zkadże to tatko? — Pytał porucznik — z tego czy tamtego świata, z jakiego południka, z którego kraju? Biłeś się zapewne po zwyczaju, ale gdzie, kiedy, jak, z kim?... — Daj odpocząć braciszku — odpowiedział Eokosiński łagodnie uśmiechnięty — prąysz we mnie pytaniami gorzej niż padyszachowscy zbóje, co mi tydkę przestrelili... Na ten raz krótką odbyłem pielgrzymkę. Dajcie niech usiądę, bo się jeszcze nie zupełnie wylizało...

Eokosiński, zanim usiadł, bystro spojrział na Świętosława; orli wzrok swój natężył — to sypał z niego iskrami ciekawość, to gonił jak promień światła w nieskończoności. Nie uszło to bacznego wzroku kapitana Litwina.

— Rekomenduję — rzekł prezentując — Świętosław Chrobrski, akurat sobowtór jego mości dobrodzieja, tylko w młodzieńczym ciele... he! he! he!... jesteście jakby z jednej sztuki stali wykuci...

— Brata, a przy tem młodego spotkać — odpowiedział Eokosiński — dla tego co zstępuje już do grobu, wielka to pociecha: będę miał przynajmniej komu zostawić po sobie su

kcesję, wprawdzie taką, po którą nikt się do tąd zgłaszać nie chce...

— A no, bo komuż do smaku wasze żełazne orzechy i ołowiane rodzenki?! — wtrącił porucznik — mało być strusiem, ale trzeba w niebie zaasekurować się na kilkadziesiąt żywotów odrazu... Opowiadajcież tatku, gdzie was bogi nosiły?

— Nie wielki e rzeczy, nie wielkie; dzieciństwa same. Kruk krukowi oka nie wykołę, Niemiec Niemcowi wielkiej szk ody nie zrobi... Skończywszy tyrolski spacer z Garybaldim, nie miałem co robić; ale nie na to przyszedłem na świat, bym próżnował. Słyszę, roje tureckich Słowian i Greków brzęczą kulkami jak pszczołki do odlotu, pośpieszyłem do nich w imię Przenajświętszej Matki wolności. Dostałem się na Kretę. Zaklinali mię rodacy, bym się nie mieszał w tę rewolucję grecką, gdyż Turcy, to

nasi przyjaciele. Ale ja, mości dobrodzieju, pamiętam jak przykazanie boskie, nasze staroświeckie przysłowie: „miły ojciec, miła matka; ale prawda najmiłsza”, i pomimo żalu szerego za Turkami, spróbowałem na ich karkach mej szabli i sztucerkę dubeltowego, jedynych doradców nieomylnych w kwestji sumienia międzynarodowego... Nie darowali mi tego paktu z prawdą Turcy, i chcąc napowrót nawrócić do sojuszu z sobą, poczęstowali kulką w nogę. Jestem obecnie na kuracji, ale podobno nie wrócę na Kreteńc bo pominąwszy grecką niechęć do nas, po wstaniu już upada czy nawet upadło. — Złożyłem wam raport najdokładniejszy, czyście zadowoleni?

— Hej! kapitanie — wykrzyknął kapitan Litwin — bez zmiany ordynansie boży, zawstydzasz nas, ocli! och! odpuść nam Panie Boże, — ale cóż poczniemy? — duch silny, lecz cielsko słabe... Kości przyjdzie się złożyć na obcej ziemi... Pracuj ty za nas i żyj długo!  
— Niech żyje! — podchwycili obecni trącając się szklankami w szklankę Rokosińskiego, któremu garson podał ją właśnie.  
— Pokój, pokój znowu — i porucznik kiwał głową — cóż teraz zamysławacie robić?  
— Pokończywszy na razie ze złemi dwunogami, pójdę na złe czworonogi. Jadę z pewnym paniczem z kraju na lwy do Afryki. Mam w Oranie starych kolegów, wydobędą mnie z kłopotu; zresztą odszukam dawnych znajomych Kabyłów, i jakoś tam damy rady z tymi czworonogimi monarchami... Będę się tłukł po pustyniach i po górach, dopóki nowa trąbka bojowa nie zatrąbi na apel do szeregu...  
— Co daj Boże najprędzej! — dokończyli starcy, prostując się i łyskając wzrokiem.  
— Słomiany ogień, mociudzieju — dworował porucznik — odgrazacie się jak nieboszczyk furtjanowi... Terefere! co innego Rokosiński, prawdziwy wieczny tułacz, ale nie my od flanelki, ciepłego łóżeczka, morysona!?! Co innego on, dawno zgubił metrykę, i zapomniano o nim w niebie... A powiedzcież nam naprawdę, tatku, ile to sobie wiosenek liczyście?  
— Bez mała ośmdziesiąt pięć — odpowiedział Rokosiński — w roku miałem akurat dwadzieścia siedm lat.

— Przeszliście więc i Berezynę z Korsy kaninem? Oko! kapitasiu — i porucznik zwrócił do swego partnera marjaszowego — braciasku, a może nasz tatko coś nam powie o pułkowniku Narzeńskim?

— Dlaczegoż nie miałbym wiedzieć o własnym pułkowniku? — odpowiedział Rokosiński.

— A na miły Bóg, na rany Chrystusowe, gadajże nam jegomość! — zapraszał kapitan Litwin — jakiego rodzaju łączyły was stosunki?

— Ależ najbliższe, gdyż byłem synem jego najbliższego sąsiada z kraju, ergo tandem staro szlacheckim obyczajem uważał mnie za własnego syna. Zrobił ze mnie ordynansa bojowego i jako faworyta, zawsze puszczał pierwszego na harcownika, albo gdzie był największy ogień...

— Piękna opieka rodzicielska, od takiej Panie Boże uchowaj nas! — i porucznik ścianał wąsy u dół — gdyby to młódź dzisiaj szła coś podobnego spotkała, taby swym krytycznym rozumem doszła do czegoś wręcz przeciwnego; nazwałaby po prostu pocziwego opiekuna — rzeźnikiem, przelewaczem krwi niewinnej, okrutnikiem aj! wa; !...

Świętosławowi oczy się zaiskrzyły, poczem spochmurniał.

— Ej! braciszku, czego się chmurzysz? — pytał kapitan Litwin uśmiechnięty — ty na niego nie zwracaj uwagi, bo to nasz kłapacz u rzędowy; jemu wolno wszystko mówić, żeby po tem żółci na dnie duszy nie zostawiało.

— Ani myślę się gniewać na szanownego porucznika — odpowiedział Świętosław — bo

jestem z nim jednego zdania. Młodzież nasza choć wypiękniała po niewieściemu i w naukę przystroiła sobie głowy, ale dziwnie jakoś skarlłowaciałana duchu i zbrzydła moralnie... Szkoda, że ludzie nie dość często zaglądnają do grobów, nie odwiedzają sal anatomicznych, szpitalów — o! wówczas poznaliby wartość prawdziwego ciała; na ile udrczeń i boleści jest ono skazane, jak nie warto troszczyć się o jego przechowanie... Uczucie strachu jest mi obce, nie mogę o niem mówić, ale zdaje mi się, że ono jest właśnie źródłem wszelkich boleści. udrczeń, omdlewań (ri



duszy, a jednocześnie zdziwienia serca i umysłu.  
To zbyt przyklejanie ducha do ciała jest pono  
źródłem wszego złego u naszej młodzieży...

— Daj rękę bracie młody! — i Rokosiń  
ski ścisnął dłoń Świętosława — jeżeli jest je  
szcze jedenastu takich jak ty, to możecie stwo  
rzyć towarzystwo nowych apostołów i poprawić  
wszelkie zło. Mam nadzieję, że byle poszukać,  
to i więcej ich znajdziesz..

— Od innego wziąłbym to za komplement,  
ale od was przyjmuję jako wskazówkę do dzia  
łania na przyszłość... Tchórzostwo wyplenić z  
serc ludzkich, to robić z bydła ludzi prawdzi  
wych..

Śmiech zadowolenia pokrył ostatnie słowa  
Świętosława, który zaczął rozpytywać się  
Rokosińskiego o szczegóły zawarcia związku  
małżeńskiego pułkownika Narzeńskiego. Dowie  
dział się, że pułkownik wziął ślub na marszu,,  
i metrykę ślubną woził w furgonie pułkowym,  
który przy przeprawie przez Berezynę został

zabrany przez kozaków, a następnie papiery z  
niego wszelkie oddano do archiwum sztabu je  
neralnego w Petersburgu. Po powrocie do kra  
ju, pułkownik, w sprawie spadkowej potrzebo  
wał był raz tej metryki, — lecz na próżno szu  
kano jej w sztabie petersburskim; miało ją za  
brać ministerium spraw wewnętrznych, ale nie  
podobna było nigdzie odszukać po kilkudziesię  
ciu latach. Pułkownik wkrótce zmarł, wdowa  
ułożyła się polubownie z familją i dalej nie  
szukano zarzuconej metryki.

Rozmowa miała się ku końcowi, gdy do za  
kładu weszli Orlikowski z Głowackim, by od  
począć wśród swoich, po całodziennej ciężkiej  
pracy paryzkiej. Nowoprzybyli za ledwo stanęli  
w progu, wydali okrzyk, spostrzegłszy Rokosiń  
skiego, dawnego swego komendanta z pod Gary  
baldego.

— Witam, witam, kochanych kolegów —  
mówił starzec — gdy którego z was spotkam,  
to zupełnie jakby kogoś z własnego rodzeństwa  
witał...

— Które tatko gotów każdej minuty wy  
prawić na tamten świat — podchwycił poru  
cznik.

— Bo to widzisz, mój drogi poruczniczeńku,  
dla nas nie obce są oba światy — ziemski i po  
zaziemski, a tak jesteśmy zawsze z sobą razem —  
ciągnął Rokosiński — choćbyśmy się rozlecieli  
na przeciwne końce świata; jest magnes, ro

dzimy jeżeli chcesz, co znowu nas zbiera w ra  
zie wielkich uroczystości do jednej kupy...

Tytuł

Szermierz przeznaczenia : powieść

Autor instytucja sprawcza

Wołodźko Walery

Nawigacja

Wszystkich stron:

Szukaj w utworze

Dodaj zakładkę

z komentarzem

Strona informacyjna

Informacja biblioteczna

stawszy obywatelami włoskimi, nie mieli jednak  
żadnego majątku lub specjalnego wykształcenia,  
zapewniającego możliwość istnienia wśród obcych.  
Świętosław nie lubił namyślać się długo, w kil  
ku słowach cała sprawa została załatwioną —  
Orlikowskiemu i Głowackiemu ofiarował posady  
w swych dobrach.

— Twardy żywot znajdziecie u mnie — mó  
wił do uściskających go towarzyszy broni — ale  
uchronicie się przez to od zniewieściałości fran  
cuzkiej, prowadzącej do skarłowacenia na duchu.  
Nazajutrz, odprowadzeni przez staruszków  
na kolej, pomknęli na wschód, niecierpliwie wy  
czekując chwili, gdy ujrzą poważne bory i zwier  
ciadlane jeziora Litwy. W Wilnie niedługo za  
bawili, pomimo, że Bronisława od zmysłów od  
chodziła z radości, a państwo Pieślakowstwo  
przeszli samych siebie w podejmowaniu i racze  
niu gości najwyszukańszymi specjałami. Artur  
przez łyzy ściskał i całował przyjaciela, choć mu  
się serce krajało na widok namiętności, z jaką  
witała Bronisława jego rywala. Tydzień przele  
ciał jak jeden dzień. Świętosław zabrał z sobą  
Artura i exkolegów z wojska; wyjechał na Bia  
łoruś, do swego Grzymiłowa. Po zainstalowa  
niu nowych oficjalistów, samowtór, z Arturem,  
ruszył do Petersburga.

W stolicy nadnewskiej znalazł ogromną po  
moc w prezesie, obecnie dyrektorze w ministe  
rjum spraw wewnętrznych, Czerewinie, który  
dokładał wszelkich starań, aby wyszukać dro  
gocenny dokument. Tygodnie, miesiące upływały

a metryki nie było, i nie było. Gdy potrzeba

zmuszała Świętosława opuszczać chwilowo Petersburg, pozostawał Artur, by deptać po piętach archiwistów; jeden lub drugi ciągle byli obecni na miejscu, by nie dać usnąć sprawie. Mieli na ten cel najęte stałe mieszkanie, gdzieś na Wasilewskiej wyspie, z widokiem na morze, żeby mózgi swobodniej bujać myślami pod ołowianym niebem Północy. — Wpatrując się w wód przepiękny, marzyli o kochance — jeden kąpiąc w blaskach czarującą nadzieję, drugi to piąc czarne zwątpienie w ożywczej jasności światła. Rozbijała wyobraźnia Świętosława doznał jednak pewnego wzruszenia, patrząc na białe grzywy bałwanów potężnych, wsiąkających bez huku nawet w mieliznę. Ni ztąd ni zowąd stawał mu wtedy, choćby był nieobecny, Artur, przybity do reszty jego powrotem, z zakrwawionym sercem. Gdy zaś był obecny, Artur, — skwapliwy, gorący, niezmordowany w chodzeniu koło sprawy Bronisławy — budził u Świętosława dla siebie głęboki szacunek i spólcucie; — coś na kształt wyrzutu sumienia czuł na dnie duszy. Ten stan wyjątkowy obezwładniał zwykłą energję i stanowczość; z dnia na dzień, Świętosław pomimo namiętnego przywiązania do Bronisławy, zwlekał z urzędowymi oświadczeniami, choć ciotka Kamilka, a więcej jeszcze Klotylda, nagliły do tego kroku. Oświadczał na to, że nie godzien jest ręki Bronisławy, dopóki nie odbierze za grabionę sukcesji, i zmuszał do milczenia obie. Świętosław już drugie lato przepędzał w Petersburgu. Wyszukiwano ślady po archiwistach, tak ze sztabu jak i ministerjum, zmar

łych lub przeniesionych na drugi koniec cesarstwa. Bawił obecnie od kilku dni, gdy niespodzianie zjawił się do pomocy Artur. Dziewicki świeżoprzybyły, poruszał się żwawiej od Świętosława, ale to go bardzo prędko zużyło. Właśnie pod wieczór wrócił z miasta zmordowany, znalazłszy Świętosława zajętego przy biurku pisanem listów; w kilku słowach opowiedział o no

wych krokach, poczynionych u Czerewina i wskazywanych do dalszych poszukiwań. Opowiedziawszy, wyszedł do saloniku, usiadł na szeszlągu i wpatrywał się w połyskującą jaskrawo od za chodzącego słońca powierzchnię morza.

Wzrokiem ścigał lskniącą toń morską, wyteżając go coraz mocniej; nieskończoność w różową szatę obleczona, wabiła ku sobie. Natęzał wszelkie władze duszy, pragnąc zbadać drogi postępowania na przyszłość. Marzenia, któremi żył dotąd, przyskały jedne po drugich jak bańki mydlane. Chciał przynajmniej stać się użytecznym, dla tej co go swemi wdziękami podbiła i przykuła do swego rydwanu tryumfalnego jak niewolnika. Podobny do szulera, stawiającego ostatnią koszulę na kartę rozbierał się ze wszelkiej ambicji, byle lada niteczką sympatji być do niej przywiązany.

Zmysły jego tonęły w jakichś wirach i otchłaniach bezdennych. Coś na mózg naciskało, lenność niezwykła opanowała go, pot gorący oblał całe ciało, ręka zwisła i zasnął głęboko. Zmierzchało prawie. Ciszę przed domkiem przerwał przyjazd powozu z wygalonowanym stangretem i lokajem. Świętosław zajęty kore

spendencją, nie spostrzegł wchodzącego Czerewina, znałogowanego do odwiedzania dawnych znajomych z Wilna. Największą dla niego rozrywką było przepędzić choć godzinę czasu z tymi, co mu przypominali miejsce, w którym kilkadziesiąt lat przeżył. — Dyrektor szedł na palcach, i gdy był już blisko biurka, klasnął w dłoń.

— Nu, a czy to się godzi tak oczy psut — wykrzyknął — zapiszecie się na śmierć!...

Świętosław pospieszył powitać gościa.

— Ja wam przeszkadzam — ciągnął dyrektor — ale widicie, ja stary; wybaczenie, na wycieczkę, ot, bez was żyć nie mogę...

— Rad jestem nieskończenie z waszej wizyty, panie dyrektorze, bo współczucie jest nie tylko jednym z najszlachetniejszych objawów duszy, ale ono to właściwie kiedyś doprowadzi ludzkość do powszechnego zbratania.

— Nu, i ja to tak rozumiem, ale kiedy?...

ach! — i dyrektor westchnąwszy, machnął ręką po desperacku. — Ot, co tu gadać, przyszedłem z czemś dobrym do was. Udało się mnie nareszcie wyszukać wnuczkę archiwisty ministerstwa wojny z r. , jest ona obecnie za naszym urzędnikiem w Jakucku. Posłałem roz

kaz, aby zdjęto z niej protokolarne zeznanie o jej dziadku archiwście.

— Dziękuję ślicznie za gorliwość — i coś nakształt wesołego uśmiechu ożywiło twarz Świętosława — proszę dalej, będzie nam tam wygodniej. Artur nas poprzedził. Ale coś cicho?

widać się zagłębił w marzeniach, zdrzemnął po bieganiu dziennej.

— Ckodziemyż, ale po cichu ... che! che I che!..

Dyrektor na palcach podszedł do drzwi, a uchylwszy je, promieniejąc figlarnym uśmiechem, spojrzął znacząco na Świętosława. Artur nieprzebudzał się, szeptał coś przez sen.

— Mówi, mówi; powiadają, że we śnie wielkie prawdy ludzie mówią — szeptał dyrektor, idąc na palcach do szeszlangu.

Stanęli obaj ze Świętosławem nad uśpionym, który ciągle jak się zdawało przez sen bredził. Z plątaniny słów nic zgoła zrozumieć nie można było. Świętosław wyciągnął rękę i z lekka dotknął ramienia przyjaciela, chcąc go nareszcie przebudzić \*).

— Trzymaj rękę nad głową — odezwał się wyraźniej Artur śpiący.

Świętosław usłuchał i podniósł rękę nad ciemieniem uśpionego.

— Tak, dobrze — mówił Artur dalej przez sen — teraz zapytaj, na wszystko odpowiem...

— Ojczulkowie! zmiłujcie się — szeptał dyrektor — nu, dalibóg, to jest magnetyzm... Pytajcie, pytajcież o metrykę...

— Powiedz mi, gdzie jest metryka ślubna rodziców Bronisławy Narzeńskiej? — pytał Świętosław.

\*) Zupełnie podobny wypadek zdarzył się rzeczywście natenczas w Petersburgu w kółku akademików z Litwy. (Przyp. autora.)

— W ministerstwie spraw wewnętrznych, w archiwach na strychu, w pace na prawo ode drzwi, w rzędzie pak, w warstwie, w odbrzegu fascykule. Przeniesione tam zostały w

r. ze sztabu głównego — odpowiedział u  
śpiony głosem jakby nie swoim.  
— Może jeszcze masz co do powiedzenia? —  
ciągnął Świętosław dalej.  
— Czekaj, czekaj — szeptał Czerewin, wy  
dobywając notatkę z zanadru i notując słowa  
uśpionego — my szukamy Bóg wie gdzie, a tu  
tymczasem pod ręką L.  
— Czekaj cię wielkie niebezpieczeństwo nad  
jeziorem — mówił Artur przez sen — miej się  
na bacności. Pochodzisz z tych, co muszą wie  
cznie walczyć. Patrz! na tem morzu obecnie  
świeci cała twa przyszłość...  
Dalsze pytania były nadaremne jak i żą  
danie wytłumaczenia. Świętosław próbował go  
przebudzić wstrząsając za ramię; lecz i to było  
nadaremne.  
— Czy spisz? — zapytał zresztą.  
— Spieć; dmuchnij na oczy, to się prze  
budzę — odpowiedział Artur przez sen.  
Świętosław dmuchnął i Artur rzeczywiście  
wnet się przebudził; zanim to jednak nastąpiło,  
przytomni postanowili nie odkrywać stanu pra  
wdziwego, w jakim pozostawał we śnie. Żarto  
wano z niego, dopytując, — co widział we śnie? —  
Nieco zmieszany, odpowiedział jako pamięta, że  
latał po jakichś strychach i morzach. Dare  
mne jednak były rozpytywania o szczegóły, —  
nic zgoła ich nie pamiętał.

— Do jutra moi przyjaciele — zegnał dy  
rektor, pędząc do domu.  
Nazajutrz około południa, o niezwyklej po  
rze, stanął powóz dyrektora z zapienionemi  
końmi od szybkiej widocznie jazdy. Zapo  
mniawszy powagi, jak kula działowa, Czerwień,  
wpadł do Świętosława, trzymając w rękę po  
żółkły arkusz papieru we czworo złożony.  
Obaj gospodarze, obecni w domu, pospie  
szyli na spotkanie niezwyklego o tej porze  
gościa.  
— Nu ojczulkowie, cuda, cuda dalibóg! —  
wołał dyrektor — wierzę, wierzę teraz... Pra  
wda, nu, cuda tak cuda...  
— Ależ, excellencjo, nic nie mówisz a mi  
styfikujesz tylko? — wołał Artur uśmiechnięty  
i zdziwiony zarazem.  
— Ej! ty, cudotwórco, żartownisiu, udajesz,  
udajesz... Przysięgnij, że nie udajesz?...  
— Przysięgnę, tylko że nie wiem, o co  
chodzi?...  
— Nu, ot tobie krzyż Św., nie udaję, patrz!

oto metryka naszej gołąbki, panny Bronisławy.  
Drugi rok jej szukamy, a ty wiedząc, że ona na  
strychu, ani słówkiem nie pisałeś?!... Cha!  
cha! cha!

Radość i zdumienie tak żywo wystąpiły na  
twarzy Artura, że dyrektor aż klasnął w dłonie.  
— Ta, Bóg z tobą, alboż ja prawdu mówię ?  
Ja tylko żartuję... Cchwała Bogu, chwała i to  
bie, żeś do tego odkrycia doprowadził — tu dy  
rektor opowiedział ku niemałemu zdumieniu Ar  
tura całe wczorajsze zdarzenie i odkrycie me

tryki w temże miejscu, co do joty, jak to przez  
sen wyjawiał.

Podczas gdy się Artur dziwował, dyrektor  
ściskał za rękę Świętosława, doręczając mu me  
trykę. Dopytywał następnie o dniu wyjazdu do  
Wilna, o drogę, którą powracają, słowem o naj  
mniejsze drobiazgi, tak mu bowiem drodzy byli  
obaj po ostatnim wypadku; patrzył, na nich jak  
na tajemnicze istoty, zasługujące na szczególną  
miłość i cześć. Gdy wysłuchał wszystkiego, łzy  
mu popłynęły z ocz, ściskając dłonie młodych  
przyjaciół, mówił wzruszony:

— Pokłońcież się wszystkim starszym zna  
jomym, a ślicznej gołąbce, Broni, do samych nó  
żek... Radcowstwu Pieślakom też bardzo i bar  
dzo serdecznie... Ot, dalibóg, przywykł ja do was,  
bo gdzież znajdę takie kołduny, cietrzewie z bu  
raczkami, szparagi, chłodniki?... Do ostatniej  
chwili życia nie zapomnę.

I uściskawszy obydwóch, Czerewin, jak  
wpadł prędko, tak prędko się wyniósł, aby  
ukryć łzy rzęsiście płynące po policzkach czer  
wonych.

Pozostali młodzieńcy spoglądali na siebie  
zdumionym wzrokiem, następnie zaczęli się ści  
skać jakby dopiero spotkali się po długim nie  
widzeniu.

— Widzę jasno, co mam dalej począć —  
rzekł Świętosław w pierwszym zapale, ale za  
raz wpadł w głębokie zamyślenie i urwał dal  
szą rozmowę.

Nazajutrz kolej Warszawskopetersburgska  
uwoziła obydwóch szczęśliwców, na razie. Wieść

o cudownem odszukaniu metryki błyskawicą obleciała Petersburg. W kilka godzin po wypadku, przybył do dyrektora departamentu znany z Wilna Botwinko, który zdumiewając się, wypytywał o najdrobniejsze szczegóły, dotyczące wyjazdu i podróży obydwóch młodych przyjaciół z Wilna. Po rozstaniu się z Czerewinem, Botwinko wpadł na telegraf i długo telegrafował do Edwarda hr. Rysińskiego.

Czerewin wiedział, że Botwinko był tajnym agentem politycznym, z szajki Głowackiego, Hadziewiczza, Rysińskiego, moskalofilów bijających do reszty Litwę; czuł, iż wydaje przyjaciela i sprawę ukochaną przez siebie, ale jako carski sługa, Moskał, nie miał tyle mocy ducha, by ukryć prawdę przed szpiegiem. Chciał zawiadomić przyjaciół, lecz i na to zabrakło mu odwagi. Moskał ojca rodzzonego zabije, jeżeli tego racja stanu będzie wymagała...

XI.

Północ minęła dawno. Letnia noc cicha za rzuciła namiot gwiazdzisty nad ogromnym jeziorem, z przegładającym się w niem dworem o ośmiu kolumnach doryckich, z jodłami i topolami na froncie. Spokój panował zupełny, terkotał tylko młyn, żaby skrzeczały jednostajnie, huknął bąk w trzcinie, lub szczupak łokciowy plusnął, robiąc koła na wygładzonej jak zwierciadło toni, obramowanej gdzieś sitowiem z trzcina i nasadzonej liśćmi okrągłymi wodnych lilij. Z borów i łąk okolicznych falą pa-

chnącą buchało cieplejsze powietrze. W czarnych oknach zabudowań dworskich nigdzie najmniejszego śladu nie widać było światła.

Na najwyższej wyniosłości dziedzińca stuletnie lipy tworzyły altanę z widokiem na jezioro; bokami, pod same okna domu mieszkalnego, rosły od niej krzewy pachnące. Na jednej z ławek altany siedział mężczyzna wpatrzony w zwierciadło wód; ciche westchnienia wrywały mu się z piersi, a łzy spływały po obliczu. Wstawał, przykładając rękę do czoła, podchodził do najbliższego pnia i opierał o niego głowę.

— O! Boże, dla czegoż nie jestem tak obojętny jak to drzewo, głuchy na wszystko?...

szeptał.  
Czoło niebawem odrywał od drzewa jak od rozpalonego żelaza i jęk cichy, podobny do nu-



ty urywanej, wylatywał z jego piersi. Westchnienia jak z pod cmentarnego głazu poruszały ciężko jego piersią, a w kroplach łez odzwierciedlały się gwiazdy wesoło mrugające na niebie. Usiadł znowu na ławeczce, z kądem wstał przed chwilą. Poczł zapach jaśminu.

— To jej kwiat, zapach ten najwięcej lubiła... szeptał, patrząc na niebo.

Rozpamiętywanie to Tłalo powód do wylewu nowych łez. Cisza zewnętrzna dopomagała do spotęgowania uczucia żalu i nadmiaru tkliwości. Coś stuknęło na jeziorze, tuż koło brzegu, jakby uderzenie wiosła o burt łodzi. Na drugim końcu dziedzińca warknął pies i szczeknąwszy parę razy, poskoczył ku jezioru, gdzie zaczął

ujadać; umilkł jednak niebawem, wydawszy urwane szczeknięcie przeraźliwe, zmieszane z wyciem półgłosem. Dzikie głosy obudziły czujność człowieka rozpaczającego w altanie; łzy zaraz mu oschły, zamiast nich oczy badały pilnie przestrzeń w kierunku jeziora. — Po chwili cisza znowu nastala. Opar lekki jak gaza ben galska rozścielał się nad dziedzińcem, coraz gęstniejący przybytkiem mgły z kotliny jeziornej.

Dwa cienie skulone do ziemi przerzynały szybko zamglony dziedziniec, podążając do domu mieszkalnego.

Człowiek w altanie stawał się coraz bardziej czniejszym. Cienie pomykały od niego o kilka dziesiąt kroków, poznał w nich dwóch ludzi. Przypadłszy najprzód do pnia, z altany krzaka niepostrzeżenie dobiegł skulony pod okna domu mieszkalnego. Zakradający się od jeziora dopadli do krzewów klombu środkowego, od dzielonego drogą podjazdową od krzaków pod oknami, gdzie siedział człowiek z altany zaczajony. Cisza znowu nastala jakby anioł śmierci przeleciał.

W klombie środkowym zaszeleściło, ostro nie wychyliła się głowa ludzka z zarostem na twarzy i w okularach; szkła łyskały jak ślepie u wilka. Po śledzeniu przeszło minuty, głowa cofnęła się i gałęzie krzaka lekko zaszeleściły, drgając przez chwilę. Do uszu zaczajonego z pod lip wyraźnie dolatywało każde słowo szepotu ożywionego, prowadzonego w krzakach klombu środkowego.

— W ostatnim oknie? dobrze to wiesz?.,  
— Doskonale, w ostatnim — odpowiedział drugi szeptem — w przedostatnim kancelarja. ,  
— Dawaj plaster i kłaki; idź za róg, w trzecim oknie podłóż. Ja tu podłożę.... No, idzie !...  
— Ja, ja... dobrze nie widzę...  
— Ty skurczypałko! tysiące umiałeś brać a teraz tchórzysz? Metryki nie zniszczymy, ko niec naszego panowania...  
— Robaczki, nędza, miej litość !...  
— Paszo! ja ci skrzesezę światło, zadżgam jak kabana.... Marsz!  
Z rozkazem jednocześnie wypełznął szybko na czworaku człowiek i ominął zaczajonego z pod lip o parę kroków, nie postrzegszy go wcale. Zaledwie zniknął pierwszy, wyskoczył z klombu drugi przybysz tajemniczy i skulony pomknął pod okno, obok narożnego. Zalepił szybę, chrupnęło szkło po cichu; przez dziurę otworzył okno z wewnątrz. Wyskoczył na przymurek okienny, przyczem stuknął z lekka kordelasem zawieszonym u pasa. Po chwili już był w pokoju, w którym łysnęło i kłęb dymu buchnął przez rozwarte okno.  
Człowiek z pod lip skoczył, szarpnął za barjerkę od klombu, wyrwał ją z trzaskiem i tak uzbrojony, skoczył do okna, krzyknąwszy doniosłe:  
— Rozbójnicy! świętosławie ! warta L.  
Krzycząc dopadł okna, które starał się na powrót zamknąć. Jeszcze nie zdołał skutecznie

zamiaru, gdy podpalacz, jak ryś poskoczył na powrót do okna i pchnął go kordelasem w bok.  
— Ratujcie!—krzyknął przebity, padając na wznak.  
Morderca wyskoczył z okna i popędził co tchu na brzeg jeziora ; tuż za nim biegł drugi podpalacz.  
Czerwone światło łysnęło po obydwóch bokach rogu domu. Do pokoju, z kądem morderca uciekł, wpadł człowiek w bieliznie ze strzelbą w rękę.  
— Arturze! gdzie ty?—krzyknął człowiek w bieliznie czyli Świętosław.

Porzucając tlejący ogień podłożony, Świętosław, przesadził przez okno i dopadł leżącego na ziemi Artura.

— Hej! ludzie, do mnie — krzyknął, przy padłszy na jedno kolano nad ciałem przyjaciela broczącego we krwi.

Przyłożył rękę do serca Artura nieprzytomnego, skoczył, i popędził za uchodzącymi zbrodniarzami. Był na środku dziedzińca, gdy do patrzył biegnących na pomoc.

— Zachodźcie od jeziora — krzyczał Świętosław na swoich — zabierajcie wiosła.

Jeden z odsieczki zmierzył do brzegu.

— Nie rusz wiosła, bo zabiję! — wrzasnął [ morderca, tuż nadbiegający.

— Będę cię słuchał zbój szelmowski — odpowiedział człowiek z odsieczki, porywając za \* wiosła i biegnąc wstecz.

I Morderca wyrwał z pasa pistolet du

[ beltowy i raz po raz dał ognia, ale chybił oba

razy. To samo powtórzył z drugiego pistoletu, również atoli bez skutku. Obaj zbrodniarze zbiegli się razem i poskoczyli do czółna, które stało odepchnięte od brzegu, przez tego co chwycił wiosła. Woda nie była głęboka, pobrnęli po szyję i niebawem znaleźli się w czółnie, do pomógłszy sobie wzajemnie do wy leżenia.

— No wiosłuj, durniu! — mruknął ten, co pchnął Artura.

— Nie mam wiosła....

— Żywo tylko drańcio, ty, ty, smrodzie tchórzliwy!... Zamorduję — i kordelas błysnął nad karkiem wymawiającego się.

— Aj! aj!... Zbójce, złodzieje wpakowali w nieszczęście — bredził nieprzytomnie towarzysz przypadłszy do dna łodzi.

— Wstawaj drabie!., przebiję... ławkę z pod siebie!...

Wkrótce trzasło i ławka znalazła się, za miast wiosła w ręku podpalacza tchórzliwego. Kilka machnięć silnych i już byli o kilkanaście sążni dalej odpłynęli.

— Wracajcie, albo pozabijam! — krzyknął Świętosław, dopadłszy brzegu.

— Psiakrewski dezserterze, niedoczekanie twoje! — ryknął morderca i jął gorączkowo nabijać pistolety; gdyż zachował suche ładunki, niosąc patronasz nad głową przy przeprawie do łodzi.

— Słyszycie łotry, wracajcie!...

— Nie żałuj rąk, bisów synu! — krzyknął

morderca na towarzysza, dalej nabijając — cza-  
szkę roztrzaskam, jeżeli zwolnisz na chwilę

Łódź jeszcze z parę sążni odpłynęła na śro-  
dek, gdy z brzegu łysnęło, huknął strzał i wio-  
ślarz upuściwszy zaimprovizowane wiosło, padł  
na kolana towarzysza zbrodni.

— Bądź przeklęty szatanie!... robaczki...  
serce... i Ćwikła, gdyż to on był wiosłarzem,  
zamilkł na wieki.

Padający trupem wytrącił ładownicę z rąk  
towarzysza, który nachylił się, szukając jej go-  
rączkowo. Odnalazszy zgubę, morderca porwał  
postrzelonego Ćwikłę i wrzucił go do wody z  
jakąś demoniczną złośliwością.

— Przecież go djabli wzięli — szeptał,  
wpatrując się bystro w wodę, aby odnaleźć de-  
skę, co za wiosło służyła.

Czółno płynęło z razu powoli, niepostrzeże-  
nie; było na prądzie od upustu. Brzegiem bie-  
gli ludzie zmierzając do młyna. Zbrodniarz na  
próżno szukał deski, w nocy niepodobna było  
ją odkryć; poznawszy atoli, że jest na prądzie,  
zaczął ramionami silnie wiosłować, aby dopaść  
upustu. Podpłynawszy pod belkę upustu, chwy-  
cił się silnymi ramionami, i już kolano zakładał,  
żeby powstać, gdy raptem skoczył do niego z  
ogromnym drągiem w rękę, zaczajony o parę  
kroków dworski człowiek.

— Ani z miejsca, panie komisarzu! — wrza-  
snał człowiek z drągiem — bo ci łeb twój szel-  
mowski rozwalę...

— Ty, kowalu, Lachu przeklęty, zmykaj,  
albo jak psa zabiję! — i morderca wyrwał pi-  
stolet.

— A do ryb smoku, zawedyjo! — i kowal  
Głowacki, gdyż to on był, spuścił drąg na gło-  
wę mordercy.

Uderzony w ciemność, ani słówkiem nie pisnął;  
runął plusnąwszy w wodę. Mordercą Artura był  
komisarz hrabiego Edwarda Rysińskiego, ekska-  
pitan Zawadjakiewicz, który rządził dobrami, wy-  
dartymi Bronisławie, leżącymi na drugim końcu

jeziora Rozdy, a sąsiadującymi z Grzymiłowem Świętosława, obecnie widownią strasznej zbrodni. Czółno próżne, i ciało dostawszy się pod koła młyńskie, narobiły trzasku, zatrzymały ruch chwilowo, budząc młynarzy, którzy pośpieszyli zaraz na pomoc. Od dworu biegł Świętosław na czele czeladzi bosej i w bieliznie, jak on sam. Głowacki, oparty na drągu, spoglądał na robotę młynarzy.

— A co? złapaliście którego? — pytał Świętosław ostatniego.

— Już złapały ich ryby — odpowiedział kowal zawzięcie.

Świętosław spojrział uważnie na kowala i kiwnął głową.

— Niepotrzebnieście to zrobili, mój Głowacki — rzekł po cichu.

— A bo to, proszę pana, to był ten łotr komisarz hrabiego, co łżył ciągle naszą wiarę i naród. Chciała bestyja strzelić do mnie, ale ja go pierwej lunąłem po łbie. Pora mu dawno stanąć przed sądem Najwyższego... Ciało Zawadjakiewicza prędko wydobyto, Ćwikły nazajutrz. Nie było wątpliwości, że cała ta zbrodnia została ukartowana przez Rysiń

skiego na wiadomość od Botwinki, o odszukaniu metryki Bronisławy. Ćwikła był kontrolerem u hrabiego, a Zawadjakiewicz komisarzem; pomimo jednak tych poszlak, Świętosław, nie chciał rozpoczynać dochodzenia sądowego. Ogień podłożony w zarodzie stłumiono. Artur miał cały bok przeszyty, trudno było krew zatamować. Schylony nad ciałem przyjaciela, po powrocie z pościgu do pokojów, Świętosław, natężył umysł, przypominając środki do zapobieżenia katastrofie zbyt szybkiego upływu krwi. — Jakaś zmiana nagle zaczęła zachodzić w rannym. Na twarzy począł występować rumieniec, z początku lekki, potem coraz mocniejszy. Zdawaćby się mogło, że przychodzi do przytomności, chociaż oczy miał ciągle zamknięte. Poruszył ustami i po cichu wymówił:

— Rękami wódz w powietrzu nad raną, dopóki krwi nie zatamujesz. Potem zostaw w spokoju, dopóki doktor nie nadjedzie.

Po doświadczeniu onegdajszym w Petersburgu, Świętosław wierzył mocno w skuteczność przepisu; niezwłocznie zaczął robić, co mu nakazano. Parę minut zaledwo trwała operacja i krew przestała płynąć. Chory pogrążył się w sen głęboki jakby zapadł w letarg.

Ludzie dworscy, patrząc na magnetyczne doświadczenie, szeptali:

— Panicz umie krew zamawiać.

Nad rankiem zjawił się doktor, opatrzył ranę, niezmiernie głęboką, i żadnej nadziei nie robił, widząc nieprzytomność zupełną chorego; miał go poniekąd za konającego. Gdy doktor

odjechał, Świętosław, stroskany o życie przyjaciela; wpatrywał się w niego z głębokim wzruszeniem.

— Doktor zwątpił o życiu mojem — wyszeptał Artur nagle — ale ty się o to nie trwóż.... Boli mię coś mocniej niż ta rana...

— Cóż cię boli? pytał Świętosław, wyciągając rękę nad głowę chorego.

— Mam serce zranione, tem boleśniej, że zranił je najbliższy przyjaciel — tu nastąpił nieco dłuższy przestanek, poczem mówił dalej. Niewieście pieszczoty nie przystoją silnym, mity Omfali i Dalili dawno wypowiedziały tę prawdę. Jedne obezwładniają, inne zdradzają silnych \*koro się do nich zbliżą — tu znowu umilkł, a po pauzie długiej ciągnął tak: — Miłość nie wieścia, z daleka, jest zbawienną dla silnych: Beatryxa i Marylla, to wzory ideałów nie wieścich dla rycerzy bożych... Wszelka inna od biera im święcenie niebieskie... Prawda przed pięknem powinna być ich przewodniczką w życiu, aby mogli skutecznie walczyć ze złem, broń słabych, utrwać przewagę ducha nad materją w ludzkości — mowę przerwał na dłuższą chwilę, po czem kończył: — Przyszedłeś na świat nie dla rozkoszy, lecz dla ofiar; trudu krwawego. Pamiętaj o tem. — Zbudź teraz Artura!

Dmuchięcie na oczy rannego, — odjęło członkom jego sztywność kataleptyczną, w którą był pogrążony, podczas tej długiej przemowy nużącej. Rana się wcale nie otworzyła, chory powoli zaczął oczy otwierać; był jednak

tak mocno jeszcze osłabiony, że słówka przemówić nie mógł, uśmiechem tylko powitał przy

jaciela. Dziwna siła, co mu dopomagała do mówienia w czasie snu magnetycznego, gdy go opuściła, nie pozostawiła po sobie najmniejszego śladu znużenia, owszem, pokrzepiła zbolące ciało i robiła nadzieję wyzdrowienia.

Po paru dniach, gdy stan chorego widocznie się poprawił, Świętosław, ruszył do Wilna po lepszego doktora, a zarazem dla doręczenia metryki, dziwnymi kolejami losu odnalazł jej. Przewidując nowe zasadzki Rysińskiego, wziął z sobą Orlikowskiego, pozostawiając pieczy Głowackiego rannego i swój Grzymiłów. Dojechał bez przygód do Wilna, gdzie go poprzedziła wieść napadu na dwór i cudownego odnalezienia metryki.

Bronisława z ciotką Kamillą stale mieszkają obecnie przy radcowstwie Pieślakach. Wujostwo za nic jej od siebie puszczać nie chcieli. Każdy przyjazd Świętosława do Wilna, był prawdziwą uroczystością w domu „sowieckiego stwa” — nie dopiero obecny! Podwójnie warzono, smarowano, mrożono, pieczono niezliczoną ilość przysmaków i łakoci. — Ciocia Klosia w swych wiecznych solferynach i fioletach jak fuksja cetnarowa, raz po raz zawisała na szyi najukochańszej siostrzenicy.

— Och! ty moja sierocinko, serce boli — wołała puszczać obficie łzy ze swych żabich oczek — on, nasz cherubinek, biały kędziorek, zraniony przez twych „prześladowaciel”... O! och! boli go, boli bardzo a serduszko najbar

dziej. Ej! ślicznotko, a wszystko to za ciebie... Gina chłopcy jak muchy a ty na nich ani spojrzysz?!...

— Żałuję serdecznie pana Artura — odpowiedziała Bronisława westchnąwszy — dobry z niego i uczciwy człowiek... Pragnęłabym go doglądać sama w chorobie.

— Tak gołębeczko, tak aniołeczku; i serduszeczko mamy cudowne — i w miarę pochwał, łzy coraz obficiejsze skrapiały baniaste policzki mówiącej — on bo to widzisz, nasz biały kędzioreczek, prawdziwy cukierek bohaterski, co się sam rozplynie w gębie...

Wszedł radca i słuchał z wilgotnymi oczami przemowy małżonki.

— Ty bo to tak dobrze Kłoseczko — rzekł rozczulony — umiesz nazywać rzeczy po nazwisku, tak ci jest na prawdę: nasz kochany Arturek, to prawdziwy cukiereczek... Ależ po

co te łezki, moje wy koteczki?...

Kobiety z objęć się uwolniły, a „sowiec” zaczął głową i nosem potężnym kiwać, zmieniając coraz głoś i przysiadając do ziemi jak gołąb gruchający.

— Tak dziateczki, tak aniołeczki, to do brze, to ładnie, dalibóg! słowo honoru! — i „sowiec” wziąwszy się za poły rękami jak baletnica, zrobił dyga do samej ziemi i poprawił order na szyi.

— Tymczasem Bronieczko — ciągnęła radczyni dalej — trzeba, żebyś „przygołąbiła” tve go sokoła... Bo to on wszystko do góry nogami przewraca a na swoim postawi, gdy o ciebie

bidzie”. Lubię go ogromnie, bohater to prawdziwy, zuch! Nagotowała ja dla niego dzisiaj i cieciorczkę, i jarząbeczka, i auszpiczek, i ma jonezik i i i...

— Ti, ti, ti; ma, ma, ma; bu, bu... mamusi busi, busieczki — i radca najędyczony, trzymając się za poły surduta, zrobił pirueta na miejscu, tupnął nogą, mlasnął językiem, pstryknął palcami i zgięty w pałąk, robiąc chasse en avant utonął w uścisku żony jak trzmiel w ponsowym kwiecie pełnej malwy...

Niewidzialny świadek tej pantalonady do mowej stał w progu; — był nim Świętosław z pysznym bukietem kamelij w ręku. Stał w połowie pierwszego pokoju, widział całe przejście w salonie. Niewymowne uczucie owładnęło całą jego istotą.

Bronisława, która była zaląła się srebrzystym śmiechem na widok pustoty wuja — drgnęła, zbladła, wykrzyknęła wstydliwie, gdy ujrzała kochanka. Stąpanie pewne, poważne Świętosława i jego uścisk mocny dłoni, wyglądały obecnie dla niej, jakby pochodziły od „kamienego gościa”. Po chwili przysła do siebie, uczuwszy pociąg nieprzewyciężony zakochanej. Radcowstwo poskakawszy chwilkę i nagadawszy mnóstwo komplementów, opuścili niebawem salony, zostawując samych kochanków.

Świętosław opowiadał Bronisławie, o tem, co słyśzał po urzędach; obiecywano wszędzie natychmiastowy zwrot wydartej sukcesji, zwała szcza przy nadzwyczajnej protekcji Czerewina. Musiał powtórzyć z wszelkimi szczegółami za\*



sługi Artura, nie mogąc się powstrzymać od zachwyty nad jego niezwykłą delikatnością i stałością uczuć.

Bronisława, słuchająca z początku dosyć obojętnie, bladła coraz mocniej ku końcowi, na ostatku zapłakała rzewnymi łzami. Łkania jej nabierały coraz wyraźniejszego charakteru nerwowego, przechodzącego miarę zwykłego płaczu. Zrobiło to ciężkie wrażenie na umyśle Świętosława. Spostrzegłszy tę zmianę wszechwidzącym okiem kobiety, pohamowała siebie i pięknnością jak słońko skąpane w majowym deszczu, zajaśniała przed kochankiem.

Chciała rozlać na około nektar bogów, szal miłości, aby się mogli wzajem poić barwą i wonią kwiatu dobrego i pięknego, — ale ten do nich nie przychodził. Niewidoma nic duchowa, zaplątująca węzły sympatyczne w sercach zakochanych, jakby się urwała. Piękność nieogrzana sympatią ducha, jest bezsilną do rozniecenia w sercu ognia miłości, mogącego nawet z brzydoty cielesnej stworzyć odwrotnie coś uroczonego, nie potrzebując przeobrazić formy powierzchniowej, zmysłowej. Czuli się jak nieswoi. Z rozmową szło niegładko, stracili takt i rytm słowa miłosnego, pieśni nad pieśniami w poezji życia; powszedniość nietoperzem skrzydłem zasłoniła im światło, dające możliwość odczytania hieroglifów serca, podsuwanych przez roztkliwioną wyobraźnię i wydelikaczone zmysły, do stanu niemal duchowego.

Wypadek zewnętrzny daje w podobnym nastroju wątku do rozmowy. W pobliskim ko-

ściele św. Anny ozwały się dzwony pogrzebowe.

Bronisława znowu kilka łez uroniła, które zostały się na bukiet kamelij, przyniesiony przez Świętosława a trzymany jakby dla zasłonięcia om. jej fioletowych, przed twarzą zasmuconą. — Łza pani zrosiła mój bukiet — zaczął Świętosław żartobliwie, nie bez pewnej jednak ironji w głosie — a dzwony pogrzebowe wtórują naszej rozmowie...

— Nie mogę powstrzymać się na wspomnienie pocziwego postępu i cierpienia pana Artura — odpowiedziała naiwnie, roniąc coraz gęstsze łzy.

— Temi łzami obmywasz naszą względem niego niewdzięczność. Instynkt lepiej ci doradza od namysłu i woli. Głową prawdziwej miłości nie sposób sprowadzić.... Uczucie nie znosi przy musu skrzydlaty ten twór buja tam tylko, gdzie mu swobodnie, swojsko. Próżno kusić się przerabiać to, co powstało przed nami i po za nami! ?..

— Ach! co mówisz?., zimno mi — i zbła dłej raptem ręka opadła bezwładnie, upuszczając bukiet na posadzkę.

Świętosław nachylił się, podniósł z wolna kwiaty; na zasępionem obliczu gorycz i boleść izarnemi wężykami przelatywały. Gdy podawał bukiet, Bronisława, drżała całym ciałem. Dzwony pogrzebowe ciągle dzwoniły.

— To darmo, słyszysz pani jak ten spiż nieubłaganie wtóruje naszej rozmowie?!..

Nowe łzy trysnęły z ocz Bronisławy, a zanim Świętosław mógł się obejrzeć, ujęła jego

dłoń i złożyła na niej pocałunek pełen czci trwo zliwej.

— O! panie, tyś moim ideałem, wiecznie bym czciła ciebie.

— Ale nie pokochasz mnie ową ciepłą, nie przymuszoną miłością, co nie czci, lecz ciągłego obcowania szuka w miłym — i podniósłszy ko chanke, przyklęknął przed nią, tuląc usta do jej dłoni — co się kąpie w rozkoszy codziennej jak kwiat w swej woni i barwie, dziecko wśród motyli i róż, prostak wśród dostatku i uciechy L

— Jam twa służebnica... Blask twój, padając na mnie, robi mnie inną, większą, wspa nialszą...

— To nie daje szczęścia pełnego, a miłość bez niego, to kwiat wspaniały — lecz w wieńcu grobowym, ogień bez ciepła...

— Wielkość mego uczucia dla ciebie jest hymnem, modlitwą nieustającą do Boga; słaba, z rozkoszą pnę się koło ciebie jak powój koło dębu niebotycznego...

— A ja w tobie widzę sny me wcielone, nutę pieśni ulubionej, źródło rozkoszy nad roz koszami, rajskie wspomnienie ideału. Piękność twa pobudza mię do wielkich czynów, których dokończenie nastąpi, gdzieś w innym świecie... Ale ja burzyć przychodzę, to prawda — złe, zawsze jednak burzyć — a ty tak delikatna, tak burz nie znosisz?... Jegoż krzywda czy nie jestże z ujmą czci i honoru, mych godeł naj wyższych ?...

U Świętosława wydobył się z piersi jęk  
głuchy jakby łkanie tłumione. Zerwał się nagle

na nogi, powiódł ręką po czole i drżącymi usta  
mi wyszeptał:

— Cieniem mym nawet nie chcę wam za  
wadzać... Bądź szczęśliwa!...

I okrywszy gorącymi pocałunkami dłonie  
kochanki, rzucił się do drzwi.

— Co ci jest? — wykrzyknęła Bronisława,  
wyciągając dłonie za uchodzącym.

— A dokądże to sokoliku, gołąbeczku? —  
wołała radczyni, wpadając niespodzianie — cze  
kamy na kolacyjkę, na cieciorczkę, na jarzą  
beczka, czekamy, czekamy, ale to koniecznie.  
Słyszysz kochanieńki panie?

Świętosława te proste słowa opamiętały i  
uczuł wnet pod sobą ziemię; odpędziwszy wy  
egzaltowaną mare uczucia, przyjął zaprosiny na  
wieczere. Radczyni szpilkowała go aluzjami,  
tak pochlebnemu dla ogółu zakochanych, a ga  
szącemi na razie u niego wybujałość serca. Prze  
pędziwszy dzień cały na zatrudnieniu koło inte  
resów Bronisławy, i mając pewność odebrania  
wkrótce spadku zagrabionego, zmiękł w swych  
ranniejszych postanowieniach. Wpływało niepo  
mału na to usposobienie i krzątanie się obok nie  
go radcy, który jak kogut na własnym śmietni  
ku, okazywał namiętne przywiązanie do życia  
jako życia. W zetknięciu z uosobioną prakty  
cznością, przytępiającą zbytnią wybujałość uczu  
cia, zdawało się, zmieniał zapatrywanie na swój  
stosunek do Bronisławy.

Wracając wieczorem do radcowstwa, wsty  
dził się niemal swych ranniejszych wynurzeń.  
Do reszty został rozzbrojony uprzejmością Bro

nisławy, spieszącej do niego na spotkanie z gło  
śnym krzykiem, z duszą wylaną na obliczu.  
Drżący, ze wzrokiem zawstydzonego, złamany,  
dotykał ustami dłoni kochanki. Więcej liczył  
na możność opanowania siebie, niż miał istotnej  
mocy; zanadto prawdziwy i szczery, nie posia  
dał praktycznej mądrości udawania. Przybity,

krył się pomiędzy masą gości, pospraszanych przez radcowstwo w największej liczbie, dla na dania rozgłosu zwycięztwu niespodziewanemu. To co się zwie po miastach „lepszenr towarzy stwem, było zgromadzone w gościnnych pro gach radcowstwa, niezawodnie dla stwierdzenia znanej prawdy, że balast w niem, „od jedzenia i picia, o ile jest nijakim umysłowo i moral nie, o tyleż uważa siebie za coś równego , ba, nawet lepszego od prawdziwych przewodzców towarzystwa...

Na tym szarym końcu jak zwykle, przewo dniczył Wendziaholski, umyślnie zaproszony przez zemstę niewinną; tłustemi konceptami jak mógł, reperował swą zabawną obecność wśród zwycięzców. Węszył na wszystkie strony czy mu się nie uda, co podsłuchać lub zaplątać na nowo. Bystre oko jego niebawem odkryło, że coś musiało zajść pomiędzy zakochanymi. Nie próżnował, zasiadał po zwyczajowi przy zielonym stole. Trzej partnerzy — jeden podobny do grzyba rozlazłego; drugi do pęcherza czerwone go z kawałkiem kiszki krwawej, zamiast nosa; trzeci, do kręgu łoju ze ślipkami tonącemi w poduszkach tłuszczu, z gębusią rybią, z głowami spoczywającemi w olbrzymich fatermorderach

jak kapuściane główki w dolnych liściach — potakiwali lub wybuchali śmiechem na pale stranckie koncepta mecenasa.

— Grę w karty potępiają — mówił Wen\* dziaholski — tymczasem, słowo honoru, jest ona poczciwszą od najpoczciwszych... panien — i zerknął w stronę Świętosława, w pobliżu stoją cego.

Coś pośredniego pomiędzy prychaniem kon ikiem a krztuszeniem się odezwało przy stole karcianym\*, grzyb rozlazł się jeszcze więcej, ka wał kiszki zagrzmiął trąbą jerychońską w kra ciasty fular a z gębusi rybiej wyleciał rodzaj beczenia owczego ze skrzekiem zajęczym. Me „, enas, chcąc dać poznać jeszcze wyraźniej, kogo miał na celu, ze zwykłą jaszczurczą zwinno iścią zawrócił haczykowaty swój nos z jagódką i drgającemi nozdrzami w stronę Bronisławy.

— Proszę moich dobrodziejów — ciągnął mecenas dalej — w kartach, partner, po spaso waniu, raz zaproszony, musi pomagać... Panienki radzą sobie jednak nieco inaczej: odsuną na razie konkurenta, spasują, ale niech tylko im posagu przybędzie, zaraz go zaproszą nanowo, dając odkosza każdemu nowemu, jeżeli nie jest

dla nich całkiem dogodnym na męża...  
Śmiechy jeszcze głośniej rozbrzmiały. Świętosław rzucił wzrok wzdarty na partnerów wesołych; przeszedł na drugą stronę pokoju, gdzie siedziały kobiety. Ujrawszy w pobliżu niedościgniony swój ideał, Alicja, choć przysadkowata, (odziedziczywszy jednak po rodzicu żywość ruchów, dostała pewnego rodzaju drgawki. Czekąca

aż się zbliży do niej, lecz widząc, że Świętosław ze skrzyżowanymi rękami, wpatrzony w przestrzeń, nie zwraca wcale na nią uwagi, położyła jak cytryna a oczy jej zamigotały jak u miedzianki rozszoszczonej. — Zli mają dziwną przenikliwość, umieją oni zawsze ubość przeciwnika w najboleśniejszą jego ranę.

Tłum sukien i gorsów, wystawiających się na licytację matrymonjalną, zajęty właściwie tylko sobą jak aktor na przedstawieniu, udawał naiwne roztrzęsienie, podszyte tkliwością czułościową, brzmiącą westchnieniami i wykrzyknikami teatralnymi; poruszał się w takt jak głowa drobiu karmionego w „Tadeuszu”, w miarę sypanego ziarna umysłowego mięsistą dłońią mecenasówny Wendziaholskiej. Wężowemi zwrotami umiała nakierować rozmowę na właściwy dla swych zamiarów tor. Zaczęła rozwozić się nad poświęceniem, zwłaszcza nad tymi, co nawet w miłości ustępują. Rumiana Botwinówna, niezlicytowany dotąd towar matrymonjalny, klasnęła w dłonie i jakby nie widząc, kto stał w pobliżu, krzyknęła:

— Biedny pan Artur!., zwłaszcza po ostatnim czynie bohaterskim — dopiero niby spostrzegłszy Świętosława nachmurzonego, dodała — ach!...

Wendziaholska na to tylko czekała.

— O! tak, biedny, poczciwy pan Artur, wart lepszego losu... Rana słyszę otrzymana w obronie przyjaciela nie boli — oby się to ziściło na nim! — to rzekłszy Alicja, całkiem się zwróciła do Świętosława — nie tylko rzec się wszyst

kiego dla przyjaciela, ale oddać za niego i ży

cie, jakież to przepyszne!?

Panny, aczkolwiek słodko anielskie, rzuciły spojrzenia w stronę Świętosława, — z tem wszytkiem niezupełnie dobrotliwy wyraz łyskał po różach i liljach ich jagód i pomadowanych ustek różanych z wyszczerzonymi ząbkami perłowemi. Syknięcie żmii nie inneby sprawiło wrażenie na zadumanym samotniku jak owe gwary sukien i gorsów na Świętosławie, który pomknął w bok, nie spojrzawszy nawet na grono panięskie, W samą porę zjawił się Witold Raudoński, który odbywszy kampanję pod Ga rybaldim, ukończył studja w Rzymie i osiadł w rodzinnem Wilnie ; obecnie porzucił Broni sławę stroskaną, zajęta jakąś rozmową tajemniczą z ciotkami.

— Na mnicha czy co kierujesz się mój ry cerzu?—wołał Witold na Świętosława — scho wałeś się do kątku, uciekasz od świata, wpra wdzie nie bardzo estetycznego, niemniej przeto porządnego, stworzonego na obraz i podobieństwo chleba powszedniego z pieczenia, a jeśli chcesz — z szynką, zwierzyną, szparagami... — To nie dla mnie mój drogi... Połowiczny ideał dobrego i złego, praktyczny — ale nie według mego przekonania. Ten światek da rzący ciągłemi dawkami morfiny i jadu na od mianę, łechcący na podobieństwo ukłucia pew nych owadów nocnych, wysysających krew o fiary bez przebudzenia — być może otwiera so bie przestronniejsze tory w szrankach „walki o byt”, lecz do tych ja nigdy nie wkroczę...

Ja walczyć umiem tylko z otwartą przyłbicą; wymijać lub z zasadzek wypadać nie umiem i nie chcę L.

' — Kubek w kubek z ciebie „Mąż” z Nie boskiej komedji... Romantyczne maz poglądy na świat i życie. Przerosłeś zwykłą skalę, mu sisz sobie podciąć nieco skrzydeł, bo zanadto odlatujesz od ziemi, na której świeci dla ciebie tak pyszne słońce z fijołkowemi oczętami, ry sami bogini, kształtami niebianki... Ale dajmy temu pokój — mów mi o Arturze! — jakże tam z pocziwcem?

I to zapytanie, tak szczerze i serdecznie rzucone, zadrasnęło jednak podrażnioną podej rzliwość Świętosława. Ochłódł raptem dla przy jaciela. Właśnie nadciągnął Hadziewicz Ksawe ry, z miną urzędowej znakomitości, wytworno ścią żurnalową, nie licującą z klocowatą po wierzchnością autochtona borów litewskich,

lub „baby” kamiennej, bożyszczą w kołnierzykach... Po wycalowaniu rączek wszystkich pań i panienek, z cmokaniem smakosza kudłatego, zajadającego z barci wydartej, zrobił nieco dłuższy przystanek przed Alicją, słuchając od niej jakiegoś tajemniczego, półgłosem mówionego sprawozdania, połączonego ze znaczącym zerknięciem w stronę Świętosława. Archeolog zakończył rozmowę przeciągiem spojrzeniem, wznieśnięciem oczu w niebiosa i złożeniem nowego pocałunku na karaśkowatej dłoni mecenasówny. Podeszedł do mężczyzny, szeptał z mecenasem, poczem zawrócił do Świętosława i Witolda, stojących ciągle na uboczu.

— Uciekacie od ludzi czy co? — pytał ni by dobrodusznie — chcecie chyba dać im do zrozumienia, że są niczem bez was?!  
— Wy bo, archeolodzy — odparł Witold — żyjecie samą przeszłością, właściwie widzicie to, czego nie ma na świecie...  
— Przecież mam oczy?! widzę, że bez waszego światła pogasły zebrane tu planety... Może to i dobrze, może je popchniecie na drogę pracy samoistnego wyrobu światła wewnętrznego. Niejedną przez to poznają prawdę, i przyjmą równy udział w walce o byt...  
— Woję zupełną bierność niż życie podobne — przerwał Świętosław surowo.  
— Ależ drogi panie Świętosławie, nikt z nas nie jest mocen oprzeć się temu prawu. — i Ksawery spuścił oczy. — Jeżeli dosłownie go nie stosujemy w życiu codziennym, za to w gorętszych chwilach jak np. przy odbijaniu bogdanki, — któż z niego nie korzysta, choćby rywał był bratem rodzonym, ba, przyjacielem, krwią zapisującym dowody swej przyjaźni?... cha! cha! cha! Tak było od początku świata i będzie zawsze...  
Strzała zatruta archeologa utkwiała głęboko w sercu bwiętosława. Otoczenie gościnne było nie do wytrzymania, postanowił opuścić niezwłocznie salony radcowstwa. Miał dobry pretekst, potrzebował natychmiast wyprawić do ktora do Grzymiłowa. Zaczął żegnać niektórych bliższych, w liczbie ich i ks. Wojciecha, obecnego na wieczorze.

— Bój się Boga, Świętosławie! — mówił ksiądz ze wzruszeniem — a toż śmiertelnie zranisz gospodarzy, którzy jak to wszyscy się do myślają, wydali ten wieczór dla ciebie. Doktor, bez widzenia się z tobą, sam znajdzie drogę. Doprawdy, masz wielkie serce, ale wybaczone, po wiem ci prawdę — jest ono niechrześcijańskie... Uwaga ostatnia pół żartem, pół serjo po wiedziana, zaostriła zaciętość Świętosława. W radcowstwo jakby piorun uderzył; nie wie dzieli, co mają począć; błagali, zaklinali, ale to wszystko było napróżno. U pani Klotyldy łzy wystąpiły; podczas gdy swe rączki składała jak do modlitwy i przyciskała do olbrzymiego gorsu, — nadawała głosowi, nieco dychawiczne mu, wyraz śpiewu łabędziego.

— Mój ty rodzony, ta co ja ci złego zrobiła? — wołała rozpaczliwie — coż stanie się z memi cieciorczkami, jarząbeczkami młodzie siemi, — ach! mój Boże, auszpikiem, majone zem ?...

— A coż to za napaść, czem ciebie zmartwił? — dodawał radca — Klosiu, Broniu, ciociu, proście, proście L.

Daremne były wszelkie wysiłki, Świętosław grzecznie, lecz stanowczo oparł się namowom i błaganiom. Ciotka Kamilla przemawiała z trwogą, przewidując coś gorszego niż zwykle ka prysy zakochanego. Tak samo rozumiała i Bronisława opuszczenie zabawy przez kochanka, zwłaszcza po ranniejszej scenie; żegnała go na pół żywa, zdrętwiała z boju, ze łzami w oczach.

Jak dziecko, któremu motyl wyrwał się z ręki i ulatuje ku niebu, patrzyła rozżalona za uchodzącym.

— Sen na kwiatach zniknął — mówiła le dwo dosłyszonym głosem — niegodnam widać szczęścia...

— Siebie ofiarować, jest moim obowiązkiem — odpowiedział Świętosław tkliwie — nie wolno mi jednak przyjmować od nikogo ofiar... I złożony pocałunek na zmartwiałej ręce, szybko uchodził z domu. Na odchodnym dopędziła go jeszcze raz radczyni i z rodzajem zaciętości rzekła:

— Aj, aj! mój ty gołąbku, masz ty serce brylantowe, ależ i twarde jak brylant... To nie



dobrze, to może apetyt popsuć...

Skończywszy z doktorem, Świętosław jak ranny orzeł, pomimo nocy głębokiej, popędził w góry, za miasto. Niebo mrugając gwiazdami jakby go wabiło ku sobie, namawiało do powzięcia postanowienia ostatecznego. Pod pancerzem hartownego charakteru, tkliwa natura, właściwa silnym duchom, topiła jak wosk du mną woię; trzeba było szukać środka do odnowienia siły, zdolnej zapanować nad wszelkimi pokusami. Samotność miała mu ułatwić wejście w siebie, dla odszukania na dnie duszy klucza zagadki obecnego położenia.

Wyszedł na najwyższy szczyt góry, daleko za miastem. Dąb olbrzymi, świadek czasów po gańskich, siedzący na tym wierzchołku, był niby pośrednikiem niemym pomiędzy człowiekiem a niebem. Cisza dopomagała światu ide

alnemu zstąpić na ziemię. Po promieniach gwiazd mogły biec myśli swobodnie jak tabun rozhukanych rumaków; wtórowały im uczucia zawiedzione, niby muzyka z jęków głuchych i westchnień tłumionych, ujęta w rytm płaczu niemego. Mocą ducha powstrzymywał boleść szalejącą. — Żal po stracie jedynej, najwyższej, poczętej w życiu, co go wesołego prowadziła w sposoczone szranki walki ze złem, walił go z nóg.

Padł bezwładny na trawę zroszoną; wzrokiem gonił w czarną dolinę, wizerunek nicości, owej zdradnej kusicielki, namawiającej do przerwania bytu uciążliwego, pozornie celu nie mającego. Zwyczajne grube, stosunki okropne, złe obyczaje piętrzyły się przed nim jako zawady nie do zwalczenia — wynikające ze sprzeczności ducha i materji. Przemoc bierności przygniatała go swym ohydny ciężarem niewolniczym, czuł jakby rzeczywiście olbrzymi gład ciężył mu na piersiach. Rozpacz marna, odbierając wiarę, pochylała na drogę zwątpienia i odbierała resztki sił duchowi znękanemu. Podsunęła mu myśl po tępienia zupełnego dotychczasowego postępowania. Przedstawiał je sobie jako nieznośne, obrzydłe, mające złudzenie, fałsz, za podstawę, zamiast rzeczywistości, prawdy. Mądrość wieku doradza mu sobkowstwo, a on dając się uwodzić niepohamowanej naturze, dąży we wręcz przeciwnym kierunku, nieużytecznym ani dla siebie, ani dla innych — owszem — szkodliwym, bo zakłócającym spokój i harmonję społeczną. Roztrwonienie ducha i mienia, to wynik ostateczny tego postępowania

nia. Z czegoż stworzy dla siebie byt doczesny, zdolny do wydoskonalenia ducha, przygotowania go do nieśmiertelności?..

Nie tylko ludzie, ale sam powstał przeciwko sobie.

Czemże jest życie, praca ludzkości, bez celu materialnego?! — Niczem, — Gorzej — bo zbrodnią lub ciężarem nieużytecznym... Z sobkowstwa, z „walki o byt” powstał wszechmocny interes, dźwignia cywilizacji, ruchu postępowego. Interes połączył społeczeństwa, potworzył narody i państwa, pobudował miasta, zaprowadził prawa, obudził wiedzę, przemysł, handel — z pół zwierząt stworzył ludzi. Wśród poprawionego, ułaskawionego rodzaju ludzkiego, nowe krainy ducha odkrył... Postęp, cywilizacja — panowanie sprawiedliwości, pokoju, obfitości sprowadził we właściwej mierze na ziemię...

Chichotanie puszczyka i szum wietrzyku, szeleszczącego w krzakach, przerwały na chwilę dumania młodziana.

— Mierność hamuje postęp ducha — ozwał się głos wewnętrzny — złudne są to korzyści!...

Inne twe przeznaczenie...

Myślał dalej na nowo zbudzony.

Sprawiedliwość, pokój, obfitość, ależ to dary właściwe silnym a nie słabym! „Walka o byt” z „siłą przed prawem”, rządzą większością.

Warstwy społeczne ciężą jak bryły martwe jedna nad drugą, gniotąc niższe, ziejące chciwością i zemstą do wyższych. Interes, wyzyskując, zmuszając do ustępstw na swą korzyść, to olbrzymia pijawka wysysająca najlepsze soki z ludzkości!

ouo

Pod wpływem jego, duch traci rdzeń swej istoty — dar wolności, zadatek postępu w nie skończoność. Zamiast dźwigać brzemień żywota ziemskiego po bohatersku, na cześć Stwórcy swego, zaprzęga cię do taczki pracy materialnej; zostać każe niewolnikiem z przekonania, a nie z konieczności. — Przy tak strasznych stosunkach

ileż to musi być nieszczęśliwych, cierpiących, pokrzywdzonych? W cóż się obraca wtedy owa wielka, powszechna solidarność, podstawa harmonji wszechświata?...

Zamrugały gwiazdy w górze, jeden promyk padł do zwilżonej źrenicy i rozprysnął się błyskawicą po całym jego jestestwie. Wsparty na łokciu, spozierał w niebiosa, wzrok bezwiednie utkwił w swej gwiazdzie.

Krzywdy własne, kochanki, przyjaciół, ogólne, stały mu przed oczyma duszy. Sprawiedliwości szukał, a wszędzie same niesprawiedliwości znalazł. Jakiś potężny okrzyk zagrział w duszy. Nieprzewyciężony popęd, hasło boje, nieznane, wytrzeźwiło go nagle. Powstał, czoło dumnie podniósł do góry. Łysnął wzrokiem w górę i na dół, założył ręce na piersi: rozumowanie studziło coraz mocniej piekący ból duszy.

Zapytał siebie — po co został stworzony? — Na razie nie umiał na to odpowiedzieć. — Miłość wielka rozjaśniła tę trudną zagadkę. Uczuł nieprzyzwyciężony pociąg do wszystkiego, co wielkie, szlachetne i dobre; — nie dla niego więc ciasna widownia domowego pożycia, natomiast musi szukać szerszych wido-

kręgów, poświęcenia się za ogół, walki ze złem i nieprawością! — Miłość waleczna, to twór czość wszechmogąca.

Miłość Najwyższa, to Bóg...

Buta ducha nieugiętego zgasła przed „Słownem duchowym” jak świeca w obec słońca. Zdało mu się, że ujrzał Pana jedyne, któremu służyć i cześć oddawać przyrzekł...

Z piersią wezbraną, wzrokiem ciemności przeszywającym, myślą widomie na czole występującą pogonił w krainę ducha, w dziedzinę za pałą i ideałów. Stały mu w myślę symboliczne ognie: Atesz mazdejski, podsycany świętem drzewem „homa”; Znicz tajemniczy, płonący pod wiecznie zielonym dębem święty ogień westalek ; j o d ogień twórczy, w trójkącie wolnomularskim ; kierz płonący na górze Horeb; płomienista góra Synaju; języki ogniste, dar ducha św. — zamiast gasić zapał, uznał go za najwyższy dar: „Albowiem Bóg nasz jest ogniem trawiącym"!...

Uchylił czoła przed tą wielką prawdą.

Olśniony chwilowo wspaniałym widokiem, odwrócił był wzrok ducha — natychmiast stanęła przed nim cudna mora szczęścia domowego.

Bronisławy obraz z łonem drżącym i dłońmi wyciągniętymi wabił ku sobie. — Uchwycił się gwałtownie za piersi jakby chciał wydrzeć ze wspomnieniami tę krew i ciało, co mu odzwierciadlały obraz kochanki...

Bezwiednie wzrok znowu posłał w kierunku swej gwiazdy, owej, na około której krążą wszystkie światy widome. Od nieba przeszedł

do dębu, patrzył na niego ciekawie jakby dopiero ujrzał. Dzieje i legendy zastąpiły teraz mity.

Myślą ujrzał boskiego pogromcę hydry Lerneńskiej, czyszciciela stajni Augjasza ; obok niego stał ślepy mściciel na Filistynach, wywracający słupy świątyni pogańskiej: — dwa cienie nie wieście skakały na około nich jak ogniki błędne ; — dalej występował cały szereg królów, wodzów, rycerzy, po nad nimi bujały: Dziewica z Dombremy, dźwigająca proporzec z lilijami i miecz, niewiasta Trembowelska, kobiety z Głogowy...

— Bojownicy za swobodą, sprawiedliwość i pożyteczność zamknęli go w swem świetnym kole. Wyższej rozkoszy nad obcowanie z nimi nie pożądał — ziemskie ponęty w proch przed nimi upadały!

Nie walkę o byt, lecz walkę dobrego ze złem ujrzał wcieloną w te najpiękniejsze postaci dziewicze. Miłość prawdy jest alfą i omegą dla tych dusz. Ciało i krew rozdać w obronie swych zasad, to najwyższa dla nich rozkosz, zadatek nieśmiertelności. Podczas gdy jedni rozdają siebie twórczością, inni zasłaniają ich jako puklerze przeciwko natarczywości złego...

Struna bohaterstwa na nowo w całej pełni zadźwięczała mu w piersi.

Na Zamkowej górze przeciągle ozwał się sztyldwach :

— Słuchaj!

Żołnierski instynkt przebudził się w Świę

toślawie. Powiódł okiem zaiskrzoiem do koła, podniósł dłoń w niebiosy. Polak w nim zagadał zresztą.

— Przysięgam wytrwać do końca!..

Grłos najazdu brutalną ręką potargał ostanie węzły uczucia. Przypomniął, że jest w kraju, kośćmi ojców, krwią ich zlanym. Że pod tym dębem być może palił się ongi Znicza ogień święty. Miasto zbudowane „za bogów wyrażnym rozkazem”, śpiące u stóp jego, depce Moskal. Wielcy książęta litewscy, Jagiellonowie, sławni rycerze i hetmani, ojczyzna Kościuszki i Mickiewicza, ziemia zbiorzona krwią Szymona Konarskiego, ostatnie drgnięcie na stryczku Zygmunta Sierakowskiego—wir szalony wszystko to w mózgu jego wywołało. Moskwa, ten krwawy upiór bezmyślny, dziki, okrutny, przewrotny, to złe zbydlęcone i rozbestwione całego świata, ta zakała rodu ludzkiego — ona jest upostaciowaniem złego na ziemi: bój więc z nią bez wytchnienia!

— Żegnajcie mary złote! idę, gdzie mnie obowiązek woła — do obozu wolności, wroga śmiertelnego Moskwy...

XII.

Radca, dostawszy do rąk drogocenny dokument, poruszył niebo i ziemię, by przyspieszyć reinstalację Bronisławy w majątku zagrabionym przez Rysińskiego. Wszelkie zabiegi hrabiego i jego nadobnej małżonki, eksbaronówny Finci Złocińskiej, która szturmem zdobywszy rękę,

'jeszcze gwałtowniejsze prawo rościła do wszelkiej ruchomości i nieruchomości mężowskiej, — na nic się nie zdały. Daremne były rekomendacje i atestacje, nasyłane ze wszystkich czterech stron świata za pośrednictwem Hadziewicza; sąd stanął przy prawie, a zawstydzone hrabstwo galicyjskie musiało jak niepyszne powracać „do kraju”... Co gorsza, powróciwszy do Galicji, nie mieli gdzie głowy skłonić, bo i tameczną część sukcesji Bronisławy odebrano im jednocześnie. Nawiązki zaś sądowe i długi dawniejsze, nie popłacone, zrobiły tak kruchym stanowisko pana hrabiego, że dla niedostania się do kryminału „za lekkomyślną krede”, musiał co żywo zmykać ze Lwowa. Protekcji tylko księcia marszałka i dobrych not w tajnych rejestrach dyplomacji zawdzięczał, że mu dano dość czasu do umknięcia do Wiednia. Uciekł z duszą na ramieniu, zasilony przez niedynastę Porciakowskiego ojca; Leandrowstwo bowiem, jakkolwiek suto wynagrodzeni za „po mocną rękę”, znać nie chcieli tak szkaradnie gołego „swojaka”. Przyczyniło się jeszcze i to, że

Bronisława, nie wiedząc nic zgoła o dawniej szych machinacjach na jej szkodę, oddała znowu szanownemu mecenasowi „krajowemu” pro wadzenie sprawy.

Leander nie mając potrzeby zagłębiać się tą razą w wynajdywanie „punktów prawnych”, prędko załatwił sprawę, przyczem nie oszczędził kosztów i nawiązek hrabiemu kuzynowi, mając w tem ostatniemu na widoku powetowanie krzywd, doznanych przez Klarę, podczas rezydencji u

baronowej... Gdyby Rysiński miał Kalifornję z Golkondą i Minas Geraes, toby jeszcze się nie uiścił z rachunku, gorzej jak aptekarskiego, bo adwokackiego „krajowego”... Raz wydobywszy się ze Lwowa, pospieszył do przytułku rozbitków arystokratycznych, tego rodzaju zwłaszcza co on, do wszechopiekunicy Windobony...

Działo się to na początku roku pańskiego .., nader obfitego w widoki korzystne, dla rycerzy „walki o byt.” Pruska ambasada szukała sprytnego Galicjanina, mogącego podjąć się roli dyskrecjonalnej w kołach arystokracji polskiej, jak wiadomo, mającej podówczas wielkie łaski u Napoleona III i całej cesarskiej rodziny. Mnóstwo arcyciekawych rzeczy krążyło swobodnie po salonach polskich, o czem nie dozwolono było wiedzieć najpierwszym dygnitarzom cesarstwa. Rysiński poszeptawszy ze znajomym oddawna sekretarzem moskiewskiej ambasady, natychmiast został zaprezentowany Prusakom i przyjęty do „delikatnej misji...”

Z otrzymaniem pierwszej zaliczki w brzęczących talarach, wróciły humor i fantazja hrabiemu. Pospłacał co nagiejsze długi, sprowadził żonę z teściową i we trójkę, puścił się do Paryża, dla wywalczenia sobie bytu, odpowiedniego jego wysokiemu urodzeniu i stanowisku społecznemu.

Po Lwowie rozpuścił pogłoskę, że otrzymał spadek milionowy po stryju, zmarłym w Australii. Wieść ta całkiem zrehabilitowała honor hrabiego tak dalece, że sam Leander miał sobie za zaszczyt wymieniać jego nazwisko gło

śno w swych salonach, otwartych na nowo dla wysokiej szlachty i arystokracji. W Paryżu hrabia najął pyszny apartament obok Luwru, i rozpoczął, raczej odnowił dawne stosunki z salonami polskimi. Wszyscy dawni znajomi z wielkiego świata zostali zachwyceni przeobrażeniem się jego na lepsze; dawniej znał go jako niepoprawnego sportsmena i utracjusza, poświęconego turfowi i kokotkom, letkie wicza, niedbającego zresztą o nic więcej, — obecnie poznano w nim statystę, gorąco miłującego kraj swój, narodowość, oddanego ślepo praktykom religijnym. Miljon otworzył nietylko serca, ale i oczy... Odkryto w nim powtórnie dycję Tyzenhauza i Lubeckiego, mającego podnieść handel i przemysł, stworzyć lepsze finansowe warunki, boski dobrobyt zaprowadzić w opłakanych naszych stosunkach ekonomicznych. Śmiały planista na polu politycznoekonomicznym unikał najmniejszej wzmianki o polityce w ogóle, uważając takową za pewnego rodzaju złą, plagę straszną, której nawet słowami nie trzeba wywlekać na widownię, dla unikania złego przykładu. Praca organiczna, zdrowy rozwój wewnętrzny narodu, te go jedne zajmowały. Miał też zwolenników nader licznych swych zapatrywań, nie tylko pomiędzy panami, lecz i uboższymi Polakami, zostającymi w niejakiem z nimi stosunkach. Popularność jego urosła do tego stopnia, że na ostatku dotarł do Luwru, i był mile widziany u księcia Napoleona, protegującego wszelkie próbki arystokracji, gotowej

do zdemokratyzowania się na polu pieniężnych wyścigów. Co może być pońtniejszego i rentowniejszego w handlu po nad wino, zwłaszcza francuzkie? Żeby wyrwać z rąk żydowskich i „nie sumiennych wyzyskiwaczy” (zwykłych kupców), powziął szczęśliwą myśl otwarcia agencji komissowej, pośredniczącej pomiędzy Polską a Francją. Ten prosty, jasny, a tak poważny cel patriotyczny, stanął jajkiem Kolumba w umyśle znajomych Rysińskiego. Sława wielkiego patrioty magnata błyskawicą obleciała Paryż, począwszy od hotelu Lambert, aż do knajpki przy ulicy Nollet; co do tej ostatniej musimy dodać w rodzaju objaśnienia, że gdy dawniej hrabiego nie widywano w podobnym zakładzie nigdy, obecnie lubił gościć w niej więcej niż gdzieindziej.

Staruszkowie toż nie mogli znaleźć dla niego dość słów pochwały; wierzyli w poczciwość rodaka i dzielniej niż kto inny przyczyniali się do spopularyzowania imienia nowego towarzysza. Żeby jeszcze zyskać w opinii, nieznacznie niby puścił pomiędzy przyjaciółmi demokratami, że zamierza założyć na wielką skalę kantor handlu drzewem „polskiem”, „krajowem”.... Gaudjum było nieopisane, gdyż prócz polectania dumy narodowej, zapowiedział jako niebawem zapotrzebuje wielką ilość agentów i komiwojażerów, którzy naturalnie zostaną wybrani tylko z „rodaków” miejscowych. Staruszkowie aż słinkę połykali na myśl, że niejednemu ze znajomych biedaków będą mogli być użytecznymi, przez tak „opatrznościowo” zabraną znajomość

Hrabia za każdą bytnością w knajpce, hojnie częstował ponczykiem, „ptiwkami”, winkiem, całą kompanję rodaków; nie zaniedbywał też biedź z pomocą nieznaczną, jeżeli ktoś z biedaków wskazano; — baronowa teścia z Fincią na wielką skalę rozpoczęły zbierać składki na rodaków, urządzać wenty, bazyry, słowem, przyjęły na siebie rolę wcielonej „Opatrzności”... |

Zwykle, gdy dziewięta wieczorem nadchodziła, kapitan Litwin z porucznikiem Mazurem, tęsknym okiem spoglądali, oczekując przybycia hrabiego, który zawsze o tej godzinie zabiegał do knajpki. Hrabia przyrzekł tego dnia za prezentować im nowoprzybyłych urzędników z „krajem”, „fachowo ukształconych” mających dyrygować biurem i ajencją; od ich przybycia zależało puszczenie w ruch całej maszyny handlowoprzemysłowej i przyjęcie reszty oficjalistów, wyłącznie z miejscowej kolonii „rodaków” wziętych. — Staruszkowie wedle zwyczaju plaśkali łazankowemi kartami i już jakby zdręmnąć chcieli; gdy nagle zjawienie się hrabiego z dwoma nowymi, nieznanymi towarzyszami, orzeźwiło ich zupełnie. Nowoprzybyły prowadząc towarzyszy, wyciągał ręce do staruszków i na głos się śmiał dobrodusznie jak każdy finansista z olimpijskich wyżyn... — Che! che! che! szanowny kapitanie do brodzieju — wołał — jużeście zwątpili o mnie jak widzę?! Zwątpiliście o akuratności firmy Rysińskiego et Co.?! Otoż jestem, jestem i to



nie sam, ale z moimi pomocnikami, świeżoprzy-  
byłymi z kraju, o których zapowiedziałem.

Następnie przedstawił jednego krótko, ale  
wyraziście:

— Więciński!

— Być członkiem tak dobranego towarzy-  
stwa terefelki, kufelki — mówił Więciński  
dziwnie uśmiechnięty — to rozkosz prawdziwa,  
dla człowieka miłującego swój „kraj”, zwa-  
sza, gdy się ma na widoku dźwignięcie przy  
jego spółdzielnie znakomitych instytucyj, niepo-  
dobnych jak się zdawało w obec Niemców i  
żydów...

— Sidłowicz! — prezentował hrabia dru-  
giego swego urzędnika.

— Oj! te szwabska, to ziółka — ciągnął  
prezentowany Sidłowicz rozdając uściski dłoni  
na prawo i na lewo — to pijawki także same  
jak i żydzi. Ile razy we śnie przyśnię Niemca,  
odżegnać się nie mogę jakbym naprawdę z dja-  
błem obcował...

— Mają rację „gameny” wyprawiając wer-  
ble językowe — dodał porucznik — a ber... ber...  
ber... Berlin! Dopóki to istotnie nie nastąpi, —  
nie ma spokoju w Europie! Dawno pora rozpę-  
dzić te pludry na cztery wiatry...

Rozmowa poszła różnie, zwłaszcza, gdy na  
uczeczenie nowych członków, hrabia, wystąpił  
z więcej sutym poczęstunkiem niż zwykle. Stu-  
kano się w szklanki, opowiadano sobie o przy-  
szłych projektach handlowych, przemysłowych;  
od polityki jak od złego ognia stroniono. W za-  
pale rozmowy, hrabia, potrąciwszy Luwro,

nieznacznie zszedł na Tuilery i zaczął od sta-  
ruszków wypytywać o drobiazgi rozmowy pe-  
wnego dynasty polskiego z cesarzem, o której  
kapitan był bardzo dobrze poinformowany. Sta-  
rzec, wysmarkawszy się jak trąba jerychońska  
w kraciatą chustkę perkalową, z całą lubością  
opowiadał każdy niemal gest, nie tylko słowo  
ze słyszanej rozmowy. Sidłowicz, siedzący obok  
hrabiego, natężył całą uwagę jak najdobrodusz-  
niejszy parafjanin, słyszący po raz pierwszy opo-  
wiadania o tajemnicach dworu monarszego;  
pomału cofnął się wstecz, i wydobywszy ołówka,

zaczął coś żywo notować w książeczce. Wśród ogólnego zajęcia nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi na drobny fakt notowania. — Kapitan po skończonem sprawozdaniu, staroświeckim zwyczajem zaczął rozpytywać Więcierskiego i Siłłowicza o parantelę i koligację; przypomniał nawet sobie, że za dni młodości znał jakiegoś Więcierskiego na Białejrusi.

— Tego nazwiska, panie dobrodzieju — odpowiedział Więcierski — nie ma na Białejrusi, terefelki...

— Moge to poświadczyć — podchwycił hrabia skwapliwie — znam Białoruś, ale tam podobnego nazwiska nie spotykałem...

— Znacie Białoruś, panie hrabio? — za wołał kapitan uradowany — jakże to mnie cieszy, bo i ja sam z tamtych stron rodem. Musi cię zapewne znać naszego poczciwego przyjaciela, Świętosława Chrobrskiego z Grzymiłowa?

— Nie znam wcale — wyjąkał zarwany,

zmieniwszy się nieco na twarzy — nie słyszałem nawet o podobnem nazwisku...

— A to musieliście zapewne słyszeć o pułkownikównie Narzeńskiej, jego narzeczonej, słynnej na całą Litwę z piękności?...

— Też nieznanne mi nazwisko... Muszą na leżeć do mniej znanych imion w kraju...

Z ostatnimi słowy hrabia sięgnął nagle po zegarek, i spojrzawszy, podskoczył na krześle.

— Szanowni rodacy, dalibóg, tak nie można! — wołał dobrodusznie — człowiek zapomniał o sprawach piekących, gdy się raz pomiedzy was dostanie. Żegnam, żegnam, gotowem słowa chybić w sprawie, mogącej setką tysięcy straty pachnąć...

Nikt nie śmiał zatrzymać zaaferowanego, który wnet zniknął za progiem knajpki. Porucznik najwięcej miał pretensji do oceniania ludzi.

— Co to za punktualność, zupełnie jak gdyby był starym! — wykrzyknął po wyjściu hrabiego. — Lubię i jasność zwięzłą jego wysłowienia: „nie zna”, „małoznane nazwiska” — tu wszystko powiedziano... Z takimi do walki przeciw najazdom L.

— Tak, tak, mości dzieju — dodał kapitan, zażywając tabaczki — szkoda tylko, że nie mógł nam nic powiedzieć o poczciwym Świętosławie...

— Co to za imię? — pytał Więcierski zawsze dziwnie uśmiechnięty — dodane do nazwi

ska Chrobrski, wygląda jakby było przybrane,

zmyślone... terefelki... Dobranoc, szanownym ro  
dakom, upadam do nóżek!

Za Sidłowiczem napróżno się oglądał Wię  
cierski, gdyż ten pierwaj opuścił zakład, pędząc  
w stronę ambasady niemieckiej, gdzie na niego  
czekał Kysiński. Powiedzenie, podsuniecie wą  
pliwości o prawdziwości nazwiska Świętosława  
utkwilo ćwiekiem we łbach staruszków; żaden  
z nich nie umiał na razie stanąć po stronie swe  
go przyjaciela młodego, nie podejrzewając wca  
le zlej wiary w przypuszczeniach Więcierskiego.  
Tymczasem Świętosław bawił ciągle jeszcze  
w swym Grrzymiłowie, pielęgnując jak brata ran  
nego przyjaciela, który z dniem każdym coraz  
mocniejsze do niego okazywał przywiązanie. Ta  
dziwna sympatja była nierozwikłaną zagadką  
dla wszystkich prawie. Witold, wpadający czę  
sto do Grzymiłowa, dowodził, że Artur ciągle  
zostaje pod wpływem prądu magnetycznego  
Świętosława. Piesio i Klosia znowuz to sobie  
inaczej tłumaczyli, ten kiwając nosem znacząco,  
a ta przymrużając oczą w pulchnej opra  
wie; poczem odbywszy kilka „chasse croise" i  
piruetów, padali sobie w objęcia, wydając dźwięki  
jakiejś aglutynacyjnej a nie naszej fleksyjnej,  
arskiego pochodzenia mowy...

Ze zniknięciem nieprawych przywłaszczy  
cieli, Bronisława przeniosła się do swego ma  
jątku, nad Rozdę. Jeżeli nie co dnia, to co drugi  
dzień czólno jej przybijało do grzymiłowskiego  
brzegu i przywoziło czarodziejkę, spieszącą z  
urzędem na pomoc Arturowi, a półurzędownie —  
czyż trzeba domawiać do kogo?... Kto chce

znaleźć prawdę dziejową, niech jej szuka raczej  
w sferze półurzędowej niż urzędowej...

Rzecz ciekawa, Świętosław, nie dający da  
wniej nikomu przystąpić do kochanki, patrzył  
teraz nietylko obojętnie, ale poniekąd życzliwie  
na sam na sam Bronisławy z Arturem. Gdy  
przybywała, jakby umyślnie, wynajdywał nagle  
gospodarcze zajęcia i pozostawiał samą z ran

nym. W wytwornej jego grzeczności, prawdziwie rycerskiej, czuć było jednak chłód, od którego Bronisława drżała, mając źrenicę lżą za laną. Za nic przytem nie chciał wypuszczać od siebie Artura, choć ten już powrócił niemal zupełnie do zdrowia; zaklinał na wszystko, by go nie opuszczał, a tymczasem coraz częściej woził do Bronisławy, pod rozmaitemi pozorami. Artur powoli stawał się potrzebnym dla Bronisławy jako powiernik w jej utrapieniach i udręczeniach, doświadczanych w skutek oziębłości Świętosława. Nikt jej jednak nie mógł wrócić spokoju; żyła w jakimś zaklętym kole, przytłoczona ową „skałą lekkości”, olśniona dawno minionemi blaskami chwil szczęśliwych; wolała udręczenie złudzeń, aniżeli rozsądne pogodzenie się z rzeczywistością — dlatego upragnionym był powiernik z tak miękką duszą jak Artur. Nie słuchała ani krewnych, ani przyjaciół; bladeła jak lilja biała, oczy sypały coraz namiętniejszym żarem, — bo czuła, że pod maską obojętności kochanka ukryta była gorąca dla niej miłość. Niepojęte postanowienie Świętosława czyniło z niego tajemniczą istotę, napiętnowaną znamieniem przeznaczenia, najponętniejszą

dla kobiet jak wiadomo powszechnie. Wiedziała o każdym jego kroku.

Świętosław wiódł życie całkiem ekscentryczne, dla nieznanego głębiej sprężyn, poruszających duszą ludzką. Należąc pojęciami do współczesnych, nie przywiązywał żadnego znaczenia do praktyk religijnych; wyznawał natomiast filozoficzny kult mistyczny, zastępujący objawiony; bezwiednie jednak odbywał te same praktyki, służące do zahartowania woli i oczyszczenia sumienia, przez niewygody ciała i ciężką pracę fizyczną. Pracował z chłopami, młócił, kosił, drzewa ścinał; w święta zaś, dla niegorszenia prostaczków, ruszał na polowanie lub z siecią, ościenia i całe noce przepędzał na jeziorze. Widocznie nie dawał spocząć ciału na chwilę; umartwiał je jak mógł, sypiając na dworze, na końskiej skórze, z kamieniem pod głową, zamiast poduszki, i jedząc tylko mleczywo lub owoce z suchym chlebem razowym, słowem, żył jak prawdziwy anachoreta. Budził wielkie współczucie i niepokój u swych ludzi, głęboko do niego przywiązanych; nikomu jednak, nawet Orlikowskiemu, słowem jednym nie dawał do zrozumienia, w jakim stanie zostawał jego duch, znękaną walką wewnętrzną. Nikt

nie widział jak się dusza młodzieńcza błąkała  
po szlakach marzeń uroczych i płakała płaczem  
dziecka, po utracie najdroższego klejnotu na  
ziemi. Okropną walkę musiał nieustannie sta-  
czać z samym sobą, ze wspomnieniami, obsia-  
dującymi — to rojami widziadeł anielskich, to  
udręczeniami dumy i rozsądku, gryzących jadem

zazdrości i upokorzenia. — Olśniony i rozdra-  
żniony padał chwilami bezwładny na ziemię,  
wzywając pomocy niewidzialnego opiekuna.  
Szukał ratunku w niebiosach, wpatrzony  
w swą gwiazdę.  
Zbieg okoliczności jakby na to przychodził  
mu w pomoc, rzucając wieści o zmianach  
zachodzących w stosunkach międzynarodowych  
Zachodu. Ujrzał raptem niedaleką metę, kres  
swych cierpień; droga obowiązku znowu stanęła  
przed nim w przygniatającym majestacie, od-  
wodząc od ciasnego kółka miłości jednostek. —  
Pobudka nowa walki dobrego ze złem obleciała  
ziemię, ścisnęła trwogą serca słabych a przy-  
spieszyła ich bicie u obrońców prawdy i dobrego.  
Wybuchła wojna francuskoniemiecka.  
Z paszczy dział sedańskich ryknął tryum-  
falnie król piekieł w niebiosach. Wolność zgnie-  
cioną, to Moskwy wzmocnienie.  
Ostatnie hasło zostało podane, dla rycerzy  
poczętych z miłości najwyższej. Czas nadszedł  
postawienia muru z piersi żywych, by złe cał-  
kiem nie o władnęło ziemią. Samotnik z Kaprery  
zawezwał wiernych towarzyszy okrzykiem —  
ratujmy Francję! Wszystko, co było szlache-  
tniejszego w starej Europie, pędziło pod czer-  
I woną chorągiew starego orła z pod Marsall s  
: Rokosiński przypominał listem Świętosławowi  
i słowo dane przy pożegnaniu w Paryżu. Męczenni-  
I kowi młodemu powróciło to całe życie, odzy-  
I skał dawną energję i stanowczość. Zbory do  
I podróży o tyle zajęły czasu, ile tego wymagało  
rozporządzenie majątkiem na wypadek zgonu i

pożegnanie z najbliższymi osobami. W ostatniej

chwili popłynął jeziorem do Bronisławy, zabrawszy z sobą Artura.

Na widok łodzi, Bronisława, ubrana w białą suknię, z białymi różami we włosach, stanęła na ganku z miną, przybranej do trumny obłubienicy. Wiedziała o postanowieniu Świętosława, oczekiwała go ciągle. Z jej ocz fioletowych ły skał przyćmiony blask aksamitny, a białe jak marmur ramiona i gors odsłonięty drżały jak w zimie, choć był upał. Usta malutkie, w łuk bożka miłości wygięte, usiłowały zatrzymać na sobie uśmiech, podczas gdy źrenice co raz więcej łzą nabiegały. Zaledwo stąpili na brzeg, nie wytrzymała, lekko zbiegła ze schodów na powitanie.

Rozmowa szła nader ciężko jakby przy łożu konającego. Poważny nastrój wiekuistego bytu groźnie i uroczy wystąpił na tych młodych, pełnych życia postaciach. Rzeczywistość nadmysłowa lodem niby trzeźwiła gorączkę na miętności i wesela lekkiego. Wieczne rozstanie staowało przed nimi.

Świętosław przedstawił Artura jako swego zastępcę prawnego, do prowadzenia interesów Bronisławy w Galicji, gdzie jeszcze nie całkiem została sprawa uregulowaną, z powodu stempli od stępli na stępie, podatków, dodatków, taks i t. p. „wymiarów należytości, słodzących żywot galicyjskiego obywatela. Bronisława jakby się zachwiała, trzeba było błagalnego wzroku Artura, z głębokim westchnieniem jak z grobu, aby nakłonić ją do przyjęcia tej propozycji. Po

wiała, że nie śmie przyjąć ofiary tak wielkiej od człowieka, dopiero co powstałego z choroby. Artur gotów był już zapłakać, gdy Świętosław smutnie uśmiechnięty przemówił za niego. — Zrób to pani dla mnie — rzekł wzruszony — będę leżał spokojnie w grobie, widząc go pani opiekunem i... przyjacielem...

— Po co wyzywać te straszne obrazy? — i Bronisława zbladła jak płótno — komuż to żyć, jeśli nie panu?...

— Kto wyjeżdża na wojnę, ten stąpa do otwartego grobu...

— O! nie mów pan tego, nie mów... i po mimo obecności trzeciego świadka, ująwszy dłoń Świętosława, wybuchnęła płaczem...

Żegnając złożył pocałunek na ręce kochanki, wprawdzie pełen szacunku i powagi, ale bez owego ciepła miłosnego; to samo uczynił z ciotką, która również wzruszona stanęła obok naj

ukochańszej siostrzenicy. Bronisława od początku blada, gdy przyszła ostatnia chwila pożegnania, coraz stawała się bledszą i jak Galatea napowrót kamieniejąca — runęła do nóg Świętosława, objąwszy jego kolana. Ciotka zasłoniła oczy na ten widok, wybuchając głośno płaczem. — Jam była ciebie niegodną — jęknęła Bronisława przeraźliwie i padła bez ducha na podłogę — przebacz!.. — Biedne dziecko! miej litość nad nią, panie Świętosławie! — zawołała ciotka Kamilla, spiesząc na pomoc zemdlonej. — Tej sile, co mi rozkazuje iść w świat, nic się nie może oprzeć: moja godzina wybiła...

Zaklinam cię pani, w razie mej śmierci, abyś wyraźnie oświadczyła Bronisławie — i tu głos całkiem obniżył, tak, żeby jedna ciotka Kamilla mogła słyszeć — że moim jedynym pragnieniem jest widzieć ją znowu, którego krzywdę nigdy mi nie da spocząć na tamtym świecie. Nikogo niewinnego nie skrzywdziłem na ziemi, tylko właśnie mego najlepszego przyjaciela!... Niechże jej miłość ten mój grzech odkupi....

Bronisława zaczęła przychodzić do siebie, to było hasłem dla obudwóch przyjaciół do wyjazdu. Ciotka Kamilla, przeprowadzając wzrokiem Świętosława, błogosławiła go jak matka krzyżem a nie mogąc słowa wymówić, zalewała się łzami. — Ideał ziemski obudwu kobiet uciekał w niebiosa jak balonik barwisty dziecka, co go niebacznie z rąk puściło...

Zorza złocistą purpurą zakrwawiła zachód; jesienny liść pomarańczowy, biała kora brzoza, dziwnie fantastycznie odbijały się w wodzie naokoło czółna z powracającymi mężczyznami do Grzymiłowa. Obok tych jaskrawych odbić, ta jęmielniczym spokojem przeświecały w wodzie widmo błękitu nieba, ciemnozielone laski sitowia z krągłymi liśćmi lilij lub ostremi kończynami trzciny. Nad głowami tęskno kłębowały czajki i jęczały odlatujące siewki.

— Zakrwawione niebo przyświeca ostatniej podróży mojej — przerwał milczenie Świętosław, nastawiając ucho na głosy w powietrzu — a z jęku ptaków zdaje mi się słyszeć pożegnanie tej ziemi, tak upragnione dla mnie!..

— To co mówisz przyjacielu — odpowie  
dział Artur — brzmi w uchu mojem jakby wy-  
rzut, że cię samego puszczam w świat. Słuchaj  
Świętosławie ! bierz mnie z sobą, bo i na mnie  
kolej przychodzi powtórzyć za piosnką — „do-  
syć w kącie siedzieć." Jedźmy razem, komu in-  
nemu oddam plenipotencję.... Niech i mnie  
chrzest wolności zmyje!...

— Przenigdy! tu musisz zostać. Jesteś tak  
stworzony do życia jak ja do przedwczesnego  
zgonu. Pilnuj jej i ojcowizny, a ja się będę cie-  
szył po za grobem na widok waszego tu, na  
ziemi, szczęścia. Zostaw to życie „wykolejone”  
nam, chudym, do tłuściości jak wilki nieskon-  
nym !..

Próżne były namowy i zakłęcia Artura,  
Świętosław pozostał niewzruszonym w swych  
postanowieniach, nie przyjął go, kontentując się  
jednym Orlikowskim, bo podobnie odmówił i  
kowalowi, gwałtem napierającemu się iść na  
wojaczkę, pomimo młodej żony i porządnego  
zagospodarowania. Słudzy starzy, co za pod-  
dańczych jeszcze czasów służyli rodzicom Świe-  
tosława, błagali go przypadłszy do kolan, aby  
ich nie opuszczał; płakali jak gdyby tracili  
wszystko w życiu, chociaż każdego z nich los  
był zapewniony prawnym zapisem. Niemniej  
sze przywiązanie okazywali i chłopci ze wsi,  
należącej dawniej do Grzymiłowa. Podszczuwa-  
nia moskiewskie nic nie mogły w obec wzorowej  
cnoty obywatelskiej.

Nowy błędny rycerz był głuchy na wszystko,  
słuchał jeno głosu obowiązku, rozkazującego po

rzucić świat, wtedy właśnie, gdy życie całą po-  
tęgą młodych zmysłów wabiło ku sobie. Zegnał  
wszystkich i wszystko ze spokojem na twarzy  
i miłością w oku; choć ścisnęło mu się nieraz  
serce, ale tego nikomu nie dał poznać. Za bra-  
mą, wśród mroku nocnego, gdy po raz ostatni  
spojrzał na ojczystą zagrodę, westchnienie ciche  
podniosło mu pierś a łza zaszkliła w oku. Po  
wierzchnie na tyle tylko dopuścił zmięknąć  
przyrodzeniu, w głębi jednak ducha odbywała  
się scena pożegnania, podobna do tej jaką uczu-  
wa autor, puszczający w świat dzieło, mające  
naprzód zapewnione powodzenie, — był całkiem



rozzewniony, pełen miłości niezmiernej, kochającej aby kochać, zadowolony, że siebie rozdał na pożytek i pociechę bliźnich; czuł to, co czuje panna młoda opuszczająca dach rodzicielski, uczeń, co zdawszy chlubnie egzamin, przechodzi do wyższego zakładu z zamiłowaniem i pragnieniem wiedzy. Niewidzialne ramię przeznaczenia wiodło go do ołtarza, gdzie duch najwyższe święcenie otrzymuje na ziemi — w szranki walki orężnej o wolność, przeciwko zbydlęconym tłuszczołom niewolniczym, pod wodzą „księcia tej ziemi”, szatana despotyzmu...

### XIII.

Podróż przez Niemcy przekonała Świętosława, że wezwanie Garybaldego było zupełnie słusznym. Nie tyle okrzyki tryumfów germańskich, ile dzika zawziętość i pragnienie łupów spotykane na każdym kroku, wśród „narodu

filozofów", coraz surowiej nastrojały dusze obydwu ochotników. Na kolejach, tych prawdziwych arterjach życia europejskiego, wśród zgiełku i tłoku, przeplatanych jękami rannych i kojącymi lub zwrotkami „Wacht am Rhein” i „Ich bin ein Preuse”, — widząc na własne oczy owe historyczne „zegary”, bieliznę, srebra krwią francuską zbryzgane, — przychodzili do przekonania, że bez przykładowego oburzenia, za pomocą ołowiu i prochu, niepodobna opamiętać za wziętości niemieckiej... Czuli, że się stali narzędziami prawowitej opinii, przed którą każdy ucywilizowany naród, chcąc niechcąc musi uchylić czoła, nawet wśród szału zwycięstw i tryumfów. Przez Szwajcarię dotarli do Paryża, na krótko przed oblężeniem a po wrześniu, obaleniu cesarstwa. „Rząd tymczasowy obrony narodowej” ze słomianym wodzem Trochu na czele, o którym Polacy powiadali: „Że generał Trochu nie wymyślił prochu”, — rzucał się na wszystkie strony, w celu pomnożenia sił zbrojnych, haniebną klęską sedańską zniszczonych. Polacy sympatyzujący z Francuzami, zamieszkali w Paryżu, przedstawiali „Rządowi tymczasowemu” potrzebę uformowania legionu polskiego, dla odciągnięcia Poznańczyków od Prusaków. Myśl ta zdrowa i prosta znajdowała jednak zawziętych antagonistów w łonie „Rządu tymczasowego”, a co najdziwniejsza, i między Polakami, zwłaszcza z obozu arystokratycznego. Na czele opozycji stał Rysiński, latający niezmordowanie pomiędzy hotelami naszych magnatów i zakładami, w rodzaju znanego przy uliczce Nollet. W swych

przemówieniach, nowy niby Rejtan, zaklinał rodaków, po zakładach naturalnie, — żeby się nie wysługiwali narodowi tak niewdzięcznemu jak Francuzi, bez namacalnych gwarancyj jak n. p. sztandar narodowy, o czym właśnie ani słyszeć nie chciał Trochu et Co. Powiadał, że niewól no frymarczyć na niepewne krwią polską, „relikwią prawdziwą narodów." Do niego przyłączył się zastęp świątobliwych bigotów i bigotek, zaklinających rodaków, by nie kalali imienia polskiego namowami do „zbrodni krzywo przysięstwa"; na czele tego hufu wybranego stała złotowłosa baronowa Złocińska i nadobna hrabina Fińcia, zachodzące z mańki prostoduszność zfrancuziałych Polaków.... Po nad te jednak wybiegi, najdzielniej dopomagała troskliwemu opiekunowi szacownej krwi polskiej pycha francuska i kołowacizna ultramontańska generała niby dyktatora, nedopuszczającego za nic przekroczyć zaklętych granic legitymizmu regularnego wojska, choć sam był republikaninem zawziętym....

Wiedząc o nieodwołalnym postanowieniu naczelnika rządu tymczasowego, Rysiński, nie zasypiał pomimo to sprawy — czuwał niezmiernie nad ocaleniem szacownej krwi polskiej, mianowicie mieszkańców zakładów, a przede wszystkim uliczki Nollet, należących do najwzaskliwszych i najzapaleńszych. Kapitan Liwin i porucznik Mazur, pomimo siedmiu krzyżyków na plecach, odchodzili od zmysłów, rwąc się i gorączkując do czynu, a jednocześnie naturalnie nie szczędząc wyrzutów i podejrzeń

dla „Rządu tymczasowego". Głosy szanownych staruszek robiły mocne wrażenie na Francuzach i były wcale niebezpieczne, chociaż wychodziły z tak mizernej knajpki. Paryżanie oszaleli z boju i wstydu, dziesięćkrotnie byli podejrzliwsi i rezolutniejsi niż zwykle, dlatego Rysiński niezmiernie pilnował posterunku w uliczce Nollet z Sidłowiczem; Więcierskiego bowiem wyprawił przez Szwajcarję do kraju,

w leśnych interesach jak powiadał, zaraz po otrzymaniu wiadomości napewne: o zakazie formowania legionu i wzywaniu Poznańczyków do dezercji z szeregów pruskich.

Był wieczór. W zakładzie było gwarno i parno od ciasnoty, garsoni zaledwo mogli dociśnąć się do stołów roznosząc trunki i napoje. Hrabia, okryty potem, z błyszczącym okiem, sekundowany przez Sidłowicza, sypał rotowym ogniem argumentów i dowcipów, przekonując niezmordowanie o potrzebie oszczędzania krwi na lepsze czasy, tuj, tuj, mogące nastąpić z powodu powikłań dyplomatycznych. Staruszkowie wojacy byli bezsilni wobec nich, gdyż to jeden, to drugi na przemian fundowali wiarze, nie dając wciągać sprawy na tor poważniejszy. Kapitan zmęczony tą taktyką, po zwyczaju siedział na boku, grając w marjasza z porucznikiem. Złość wewnętrzna obu trawiła, choć jej wynurzyć głośno nie mogli, gdyż nieubłagana logika Rysińskiego zmuszała do milczenia; za to plaskali swemi łazankowemi kartami dwa razy mocniej niż zwykle.

— Waś kralkę niżnikiem pobijasz — mruknął kapitan do partnera.

— Tfy! a któżby tu głowy nie stracił, wśród tego babilońskiego pomieszania pojęć ? ! Trzeba, żeby nas ktoś z tego odmętu raz przecie wyprowadził...

— Niechże będą błogosławione usta wasze... Świętosław! — krzyknął kapitan, wskakując na równe nogi jak dwudziestuletni młody dzieńec.

Nie wszyscy od razu poznali wchodzącego Świętosława, dla brody i wąsów, co jeszcze większej powagi nadały jego twarzy, przedtem zaledwo porostem okrytej. Lwi wyraz wystąpił wyraźniej od dawnego, z powodu wrażeń wojennych i schudnięcia od walk wewnętrznych. Stał i oczy ma tylko zdradzał radość, nie dając najmniejszego przystępu uśmiechowi do siebie.

— Świętosław! Świętosław z kraju! Witaj bracie! — wołano do koła, a starzy i młodzi wyciągali ku niemu swe dłonie.

Podczas chwilowego zamieszania, Rysiński błady jak śmierć, zniknął gdzieś z zakładu, pozostawiając na miejscu Sidłowicza. Bystre oko Świętosława poznało od razu wroga, fatalnie włączącego w drogę na każdym kroku. Po krótkim, żołnierskim przywitaniu zwrócił się do kapitana.

— A co tu Rysiński pomiędzy wami porabia? — i wzrok badawczy utopił w Sidłowiczu, odwracającym się od niego tyłem.  
— Szyftuje się z nami na Prusaka, braciszku — odpowiedział kapitan — dzielny to pa

tr jota, choć Austriak... Praktyczny przedewszystkiem, wielbi kunktatorstwo, wcale niezgodne z naszą naturą, musimy jednak go słuchać, bo to głowa, głowa...

— Ależ to łotr skończony, gotowy na wszystko — strzeżcie się go! To szpieg z szajki moskalofilskiej.

— Co tobie jest, braciszku? Nie znam porządniejszego człowieka... Ależ gdzie jest hrabia? — ostatnie słowa kapitan zwrócił do Sidłowicza.

— P... p... praw... prawdziwie nie wiem — jękał Sidłowicz, błędąc za każdym słowem Świętosława coraz widoczniej.

— Znamy to ziółko, szanowny kapitanie — wtrącił Orlikowski, stający obok Świętosława — sąsiadowaliśmy z nim przez lata, ocalał od więzienia dzięki temu, że z djabełem pokumany, po prostu z Moskalem!

— Był waszym sąsiadem, a nam mówił, że wcale was nie zna? — ciągnął kapitan zdumiony — coś bo mnie ostrzegało, ale człowiek postarzał, stał się zanadto wyrozumiałym...

— Powtarzam raz jeszcze, wobec was wszystkich — zawołał Świętosław głośno. — Rysiński, to łotr i infamis, zdolny do wszystkiego.

W miarę jak te słowa wzniecały oburzenie u przytomnych, Sidłowicz cofał się ku drzwiom jak kot złapany na gorącym uczynku. Bystre oko świętosława spoczęło na nim.

— Dokąd łotrze? — krzyknął Świętosław,

podskakując do Sidłowicza, i łapiąc go za kołnierz — ty tu poco moskalofilu?

— Ja, ja, ja, dalibóg, tak sobie, przez cie kawość — i blady jak chusta Sidłowicz przypadł do ziemi, dygocąc zębami i nogami, z u

śmiechem półobląkanego tchórza.

Śmiech powszechny pokrył dalsze słowa Sidłowicza.

— Ostrzegam was, rodacy, przed tym nikczemnikiem — mówił Świętosław — to szpieg nad szpiegami: Deszczański, moskalofil ze Lwowa, — a tu jak się nazywasz?

— Si... si... si... i domniemany Sidłowicz za nic dalej przybranego nazwiska nie mógł wykrztusić.

Powstała ogromna wrzawa, zwłaszcza gdy i Francuzi dowiedzieli się, o co chodziło. Zmiażdżonoby na miejscu podejrzanego, gdyby nie interwencja gospodarza, ceniącego jak zwykle gościa podług zarobku, który najsolemniej zaręczał, że jest niewinnym. Deszczański czyli fałszywy Sidłowicz nabrał otuchy.

— Szanowni rodacy! — wołał płakawie — też ja za Rysińskiego nie ręczę... Róbcie z nim, co chcecie; ależ za co mnie prześladujecie?... dalibóg, ja nie winien... Ja, brat Rusin, Słowianin...

— Precz ztąd i z Paryża, jeśli chcesz ność dalej głowę na karku! — rzekł Świętosław. Wstyd przed obcymi wiąże nam ręce, wydać cię jako podłego szpiega. Wynoś się ty i twój towarzysz! dzisiaj jeszcze — słyszysz?

— Słu... słu... słucham — i pseudo Sidłowicz żwawo pomknął ku drzwiom.

Po krótkiej naradzie stanęło, żeby wydelegować paru rodaków, którzyby dopilnowali wyjazdu podejrzanych ludzi. Porucznik dobrał drugiego do pomocy, i nie czekając, udał się do Rysińskiego, choć już noc była.

Nie tyle hrabia, ile Fińcia i baronowa protestowały przeciwko raptownemu wyjazdowi. Tłumaczenia, fochy i dąsy na nic się nie zdały, wobec punktualności wojskowej porucznika, który ściągnąwszy Deszczańskiego, na krok nie odstąpił, dopóki nie wyjechali z Paryża. Kazano im opuścić Francję niezwłocznie. Hrabina była w rozpacz, nie z powodu hańby męża, ale że musiała opuścić Paryż, obiecujący otworzyć przed nią bramy powodzenia... Wdzięki jej, wcale obojętnie traktowane w kraju, znalazły licznych wielbicieli wśród znawców, należących do kół dyplomatycznych, a to dzięki Gogockiemu, świeżo przybyłemu do ambasady austriackiej w charakterze pół, ćwierć sekretarza... Śmiertelnie urażona, przysięgła uroczyście na wyjeździe, że przez zemstę, wróci do Paryża i rzuci go sobie

pod stopy... aby pomścić krzywdę zrobioną jej przez rodaków. Rachunki katylinarnych żywiołów z narodem wszystkie mają mniej więcej jedną podstawę moralną, podobną do obecnej... W Paryżu tymczasem jak w ulu roiło się; pszczoły patriotyczne leciały bronić gniazda. Francuzi wyczerpali siły do odegrania ostatniego aktu tragedji sedańskiej. Sława Jeny i PrusischEilau rozrywała im wnętrze, zwłaszcza

gdy ją obecnie zaćmiwał lada pruski ułan, zabierający w pojedynkę w posiadanie niemieckie całe miasta. Bolało ich to szczególnie, że tymi ułanami byli po większej części Polacy; ówki no tem ciągle rodakom, stojącym po stronie francuzkiej. Świętosław do żywego dotknięty, za pieniądze przywiezione z kraju, nie czekając, zaczął formować oddział wolnych strzelców konnych. Ale i to się nie podobało „Rządowi tymczasowemu;” kazano czekać, dopóki minis ter jun wojny nie załatwi kwestję uniformu, ujednostajnienia uzbrojenia, zrobienia list awansowych i temu podobnych ważnych zarządzeń. Trwałoby zapewne tak do skończenia świata, gdyby Pruskie forpoczty ze strasznyimi ułanami nie dotarły do St. Denis. Wprawdzie na celnik „Rządu tymczasowego” był zajęty organizowaniem Delegacji Rządu, mającej osiąść w Tours podczas oblężenia; nie mniej przeto musiał oderwać część swej uwagi na pomnożenie sił, zdolnych do powstrzymania zuchwałych najezdników, gotowych zająć przyszłą stolicę, zanim w niej zasiądzie projektowany Rząd. Przystano na tworzenie wolnych strzelców; choć z wielkim bólem serca, ale zresztą dozwolono i Świętosławowi na zorganizowanie oddziału. Na razie oddział Świętosława liczył około jeźdźców, na najznakomitszych wierzchowcach, darmo lub za kilkadziesiąt franków od dawanych na potrzebę ojczyzny w niebezpieczeństwie. Prócz Orlikowskiego i kilku młodszych rodaków, w skład wchodziłi sami Fran

cuzi, dawni kawalerzy sci lub poczty ljoni. Zna jomi z knajpki Nollet, staruszkowie, tez pałali chęcią wstąpienia w szeregi franctireurskie; ale jakoś zmienili na ostatku postanowienie, mając pewne widoki na formację Bosaka pod Garybaldim w Lyonie, dokąd pośpieszyli, nie czekając aż Prusacy zamkną wszystkie drogi. Oddział Świętosława, obrał go swym wodzem, i otrzymał nazwisko — „Orłów”, od piór orlich, zdobiących kaszkieciki, nakształt ułańskich. Polacy w nim rej wodzili jak w ogóle cała emigracja polska pomiędzy Francuzami w czasie tej wojny.

Zaledwo wyruszył za bramy Paryża, od dział „Orłów”, dotkliwą zadał klęskę patrolującemu plutonowi ułańów pruskich, który zniósł do szczętu. Sława tego czynu przebiegła całą Francję, a Niemcy zaczęli odtąd uważać „Orłów” za zmartwychpowstałych Lisowczyków, rodzaj „bicza bożego”, smagającego karne ich szeregi z zasadzek, najdowcipniej j obmyślanych. Pomimo, że rola rozbójników była z prawa przy niewyciężonych hufcach króla Wilhelma, teutoński przemysł nadał ją wolnym strzelcom, czyli tym, co szlachetniej od regularnych, bo dobrowolnie, bronili ojczyzny przed rabusiami i mordercami, aczkolwiek w skórę urzędową munduru obleczonymi. Ciekawa rzecz dla czego Moltke, pisujący do nieboszczyka, Bluntschlego listy wielce filozoficznej treści, nie zadał sobie trudu, wytłumaczenia przed światem ucywili zowanym, — co za różnicę widział pomiędzy mundurem uszytym przez krawca pułkowego a

innym, zrobionym przez cywilnego?... Co za subtelna logika a nadewszysto uczciwość rycerska, poczucie sprawie dliwości?! — Dosyć, że rycerze regularni, niepewni bezpieczeństwa na wet w Wersalu, wyjęli z pod „prawa” między narodowego wolnych strzelców, naznaczając na nich ceny jak na głowy zwykłych opryszków. Kołowacizna francuzka na punkcie urzędowości, pozwalająca np. patentowanym truć ludzi bez karnie, a karząca surowo niepatentowanych, ośmielających się uzdrawiać, zwłaszcza darmo — nie znalazła słów oburzenia, dla napiętnowania całej nikczemności teorii Moltkego czy tam Bismarka... Jeżeli jednak Niemcy zdradą pod chodzili wszystkich wolnych strzelców w ogóle, to szczególnie zawziętością, a to ze strachu, pałali przeciwko „Orłom”, na których nazaczyli podwójne ceny. Złość rycerzy regularnych była

tego rodzaju, że gdy w pewnej potyczce dostali w swe ręce rannego „Orła” — to go żywego wrzucili do ognia, wyjął z wściekłości na przekleństwa, miotane im w oczy przez nieustraszonego bohatera — męczennika ze środka płomieni.

Świętosław, party ze wszech stron, cofał się powoli za Eureę, i miał zaszczyt przyjęcia udziału w obronie Chateaudun'u przez Lipowskiego, najświetniejszych czynach, z bitwą pod Dijonem, ze strony francuskiej, podczas tej nie szczęśliwej dla cywilizacji kampanji. Po porażce pod Orleanem, gdy wojska francuskie straciły zupełne zaufanie do swych wodzów, operujących nad Loarą, pojedynczy żołnierze,

zwłaszcza cudzoziemcy i nasi, co tworzyli oddzielny legion zagraniczny, przymykali do oddziału „Orłów”, podążającego do Dijonu, do Grarybaldego. Orlikowski, oficer obecnie, cuda o powiadał o starym wodzu, jedynie groźnym obecnie dla Niemców. Ochotnicy widzieli jasno, że sprawa Francuzów jest przegrana, czując jednak jako przedstawiają sobą cień Banki cywilizacji — nie chcieli za nic ustąpić przed zastępami kulturników — filozofów, dokazujących nakształt hord Wandalów lub Czyngis chana: zasłonili sobą Termopile postępu nowożytnego; za nimi poszła reszta. — Cień siły zbrojnej miał złamać pychę i dumę zwyciężczyków, równych sławą zastępom: Macedończyka, Cezara, Napoleona, — i dokonał tego, przebudzając sumienie niemieckie, bądź co bądź pocziwe w gruncie, poddane postępowi i cywilizacji...

Wyszędłszy za Autun, „Orły”, dążyli przez Burgundję do Dijon, podjeżdżając i szarpiąc z boków niemieckie forpoczty i podjazdy. Niemcy niebawem widzieli, że mają przed sobą straszny oddział Świętosława; wyteżyli wszelkie siły, by zaskoczyć mu drogę niespodzianie. Liczni szpiegowie krążyli koło oddziału polsko-francuskiego; ale wszelkie ich zabiegi były na próżno, w obec nadzwyczajnej ostrożności dowódcy, okrywającego nieprzeniknioną tajemnicą każdy swój acz najdrobniejszy ruch. Raporty szpiegowskie dochodziły Prusaków, ale zawsze zapóźno. „Orły” mając wśród siebie powstańców z i mknęli nocami, dniuąc zwykle w



zakrytych zabudowaniach, nieuniknionych zwłaszcza podczas obecnej surowej zimy. Wracali często swymi śladami, i wpadali z nienacka na tych właśnie, co odchodzili, nie znalazłszy ich na miejscu, wskazanem przez szpiegów. Święto sław wypadła zwykle z zasadzki jak grom i urwawszy część arjergardy nieprzyjacielskiej, nikał bez śladu. Przyprawiły te wycieczki nadzwyczajne straty w szeregach niemieckich, podczas gdy u „Orłów” były one żadne lub bardzo małe. Niemcy przerażeni, podwoili cenę na głowę Świętosława, a tymczasem wieszali każdego, kto słusznie lub niesłusznie był im wskazywany jako taki, co widział lub obcował ze strasznymi partyzantami.

W Plombiers „Orły” otrzymali rozkaz od Garybaldego stanąć i wejść w skład oddziału Bosaka i jego przednich czat, zostających pod dowództwem znanego Rokosińskiego.

„Mohort zachodni” był zachwycony tem rozkazem, pośpieszył na ich powitanie. Wśród łez rozczulenia, niekoniecznie stosownych dla rycerza, witał, ścisnął, wmszował bohaterskie mu ich wodzowi. Mieszkańców szła prawdziwy opanował, a gdzie którego z „Orłów” napotkał, krzyczyli:

— Vive les vAiglesu! Vive la Republiqae!

Vive la Połogu el

Garybaldi dowiedziawszy się, że Święto sław jest tym ułanem austriackim, którego dekarował na pobojuwisku różą w kampanji tyrolskiej, zapragnął go widzieć. Jenerał witał wo

dza „Orłów” jak syna; wydał ucztę umyślną dla jego uczczenia.

— Z tysiącem wyrzuciłem Bombę z Neapolu — rzekł do Świętosława, wnosząc jego zdrowie — z dziesięciu zaś tysiącami jak ty, caro mio, wymiótłbym tę szarańczę teutońską w okularach z ich uwędzonym Achilesem, trzy włosym Ulissem i kminkówką zalanym Agamemnonem. — Niech żyje bohaterski wódz „Orłów!”

— Biorąc z ciebie, wielki jenerale, rycerzu boży, przykład mężstwa i poświęcenia —

odpowiedział Świętosław poważnie — dostąpiłem niezasłużonego zaszczytu, a wszystkie powodzenia orężne, zawdzięczam waleczności i męztwu mych żołnierzy. Świadeństwo twoje, jeńcy, jest o tyle dla mnie cennem, o ile upewnia, że spełniłem mój obowiązek względem Boga i ludzkości. Spokojnie mogę opuścić ten świat...

Wszelkie pieśczoły spółtowarzyszy i wyszczególnienia wcale nie oddziaływały na spokój obojętnej jego duszy na ponęty życiowe. Wojna i obowiązki żołnierskie, jedne go zajmowały, tworząc na około niego rodzaj koła za kłętego, po za które nie chciał i nie lubił wychodzić. Układanie rozmaitych planów i fortełów partyzanckich, uosobiało w sobie najwyższą dla niego poezję życia; reszta nic go nie obchodziła. Czucie nawet fizyczne utracił, ani ręce popękane i namulone, ani zimno, ani głód ani robactwo, ani szalone wysilenia — zmódz, go nie mogły. Był niemy prawie, wydawał tyl

ko rozporządzenia służbowe i komendy, zresztą słówkiem do nikogo się nie odezwał w sprawach powszednich. Jeden Orlikowski był do puszczonego do zwierzeń; z nim badał mapy i układał ruchy, tak, że nikt nic nie wiedział o jego zamiarach. Posiadał nadto inną jeszcze cnotę partyzanta — nie spuszczał się nigdy na nikogo, przy rozstawianiu posterunków i ich patrolowaniu. Po najforsowniejszych marszach, wśród szalonego znużenia, nie spoczął dotąd, aż obejrzał naokoło pozycję i porozstawiał czaty. Nikomu konia swego kulbaczyć, a nawet czyścić nie pozwalał; zgoła żadnej dla siebie usługi nie potrzebując, zjednał pomimo to taką cześć i szacunek dla siebie u żołnierzy, że go czcili jak Boga, chociaż żył z nimi na zupełnie równej stopie materialnej. Przy miłości żołnierzy, miał prócz daru strategicznego najpotrzebniejszy przymiot partyzanta — widział i słyszał jak ostro widzi a węch miał jak u Indjani, rozpoznając zawsze rodzaje dymu, — pochodził li on z kominów lub obozowisk; najłżejsze szmery umiał odróżnić, zwłaszcza wśród ciszy nocnej. Żołnierze podejrzewał swego woda, że jest obdarzony mocą nadprzyrodzoną, czyniącą go niezwyciężonym; o ile więc go czcili i szanowali, czuli przed nim pewien strach przesądny jako przed istotą nadziemską. Pamiędzy Garybaldeczykami powiadano, że stary Rokosiński dobrał sobie młodego sobowtóra, aby

po sobie spuściznę zostawić. Rokosiński, obecnie pułkownik, był po prostu zakochany w Świętosławie.

Pułkownik zasiadał pewnego dnia za stołem w najlepszej restauracji Plombierskiej, obok niego był stary kapitan Litwin i porucznik Mazur, przydzieleni do sztabu.

— Bóg mię wynagrodzi! — mówił pułkownik — zejść teraz spokojnie do grobu, bo mam komu powierzyć moją myśl...

— Wojna, bracie pułkowniku — zauważył kapitan — ma swe wybryki jak loteria lub karty... Nie wiedzieć, kto kogo przeżyje...

— A to jegomość ciągle, jak widzę, ma respekt przed naszą starą wędliną — wtrącił porucznik ćmiąc „brulegueulkę” (lulkę) — kto wie, kto wie, może jest w tem prawda; wolą robaki młode mięsko niż stare zawiedłe zylaste ochłapy... s

— Niezmordowany z waści pocieszyciel — zakończył pułkownik uśmiechnięty — zapewniasz, że robaki nas nie chcą, dobrzeby to było; ale z innej strony dochodzą mi wieści, że Prusacy w Chatillon ostrzą na nas zęby...

Garson, podający talerz pułkownikowi, w tej chwili jakoś dziwnie się przechylił, widocznie nie chciał uronić ani jednego słowa z ostatniej części rozmowy, powiedzianej półgłosem. Był to zręczny posługacz, zwinny, pomimo szpakowatych włosów; niezwykle ciemna cera przy zakrzywionym, kabłąkowatym nosie, zagadkową czyniły jego postać; postąpił na służbę zaledwo przed paru dniami, po przybyciu „Orłów”, i okazywał nadzwyczajną uprzejmość dla Polaków garybaldczyków, których zawsze obsługiwał. Podawano niezwykłą potrawę, mia

awicie kapuśniak litewski, zadysponowany przez kapitana kucharzowi miejscowemu ze wszelkimi możebnymi szczegółami. Spółbiesi [nicy aż się zaśmiali na widok starego znajomego dania. Chwalili ogromnie i winszowali kapitanowi.

— Dla was, braciszku, to wyśmienite —  
aówił stary zarumieniony od pochwał — ale  
i, litewskim zwyczajem, nie jadam kapuśniaku  
ez świeżego czosnku. — Garson! główkę czosn  
u — zawołał po polsku przez zapomnienie.  
Garson z razu jakby zrozumiał, o co cho  
zi, zawrócił ku bufetowi, ale po chwili pod  
sedł do gościa, pytając po francuzku — czego  
ada? W teje samej chwili stanął w prog  
więtosław, przybywający tu po raz pierwszy,  
interesie służbowym. Uśmiechnięty smagły  
arson, na widok nowo przybyłego, zrobił ruch  
odobny do kociego przed siadającym ptakiem,  
a odległość susa morderczego. Nie uszło to  
ka bystrego Świętosława, jak również i pierw  
ze poruszenie garsona, który raptem popędził  
o czosnek. Tymczasem witano nowoprzybyłego,  
apraszając na potrawę narodową i poufną na  
adę, dla której właściwie został wezwany do  
wego posterunku przez pułkownika.  
— Widzicie, panie bracie — mówił Roko  
iński półgłosem do Świętosława — musimy  
ieco przepłoszyć Prusaków, którzy jak wiem,  
hcą nas w tem uprzedzić. Pojutrze nadciągną  
u nowi „guidzi” ...  
W ciągu mowy garson przyniósł kapitanowi  
ądany czosnek przy ogólnym śmiechu.

— Czy nie ma żytnego chleba? — zapytał  
jakby w roztargnieniu Świętosław po polsku.  
Garson znowuż zawrócił jak przy żądaniu  
czosnku, ale wnet kornie schylony pytał gościa  
— czego żąda? Świętosław wparł w niego swe  
zimne błękitne źrenice, ciekawie połyskujące.  
Garson spuściwszy oczy, uśmiechnięty, dawszy  
odpowiedź gardłowym niemiłym głosem, stanął  
z tyłu, oczekując niby dalszych rozkazów. Do  
wodzcą „orłów” podczas rozmowy odrywał wzrok  
od spółbiesiadników i wodził nim uważnie po  
garsonie, niewzruszenie stojącym ze swą ser  
wetą na ramieniu. Pułkownik zatrzymał Świę  
tosława do wieczora w sztabie, dla wspólnych  
narad i ułożenia planu. Jedli znowuż razem,  
gdy przyszło do kolacji, i to w teje samej re  
stauracji. Inny garson posługiwał sztabowi, co  
jakoś wprawilo w zły humor porucznika i ka  
pitana, którzy całkiem byli przywykli do sma  
głego posługacza, niesłychanie dla nich ugrze  
cznionego. Zmartwieni starszankowie aż sprowa  
dzili gospodarza, dopytując go o swego fawo  
ryta, który jak się okazało, raptem zasłał i  
odjechał do Lyonu.

— Ależ bądźcie spokojni! panowie — odpowiedział gospodarz kaptującą pojmując, że wolicie być obsłużonymi przez rodaka niż przez cudzoziemca; zaręczam jednak, iż reszta służby mojej potrafi być również zręczną... Przekonacie się, szanowni panowie.

Na twarzach słuchaczy wystąpiło zdziwienie. Najpierwszy Świętosław zapytał gospodarza, z kąd pochodził garson ?

— O! ja nikogo bez paszportu obecnie nie przyjmuję — wołał gospodarz — wiem do czego są zdolni panowie Prusacy; żadnym środkiem nie pogardzają, ale i ja żadnego Niemca nie przyjmuję, choćby był z Austrii jak garson Zarliński, któremu jednak zaufałem, gdyż stwierdził, że jest Polakiem. Zresztą umiemy poznać się na farbowanych lisach, che! che L.

I szargnąwszy nogą, gospodarz pospieszył w inną stronę.

— Sądziłbym, że szanowny gospodarz nie zupełnie dobrze się zna na farbowanych lisach — rzekł Świętosław ironicznie — wiecież, kim był nasz znikły garson? — Pofarbowanym i pomalowanym hrabią Edwardem Rysińskim... Głowy wszystkich trzech starców odskoczyły od mówiącego; zdumienie a następnie oburzenie zapłonęło w ich wzroku.

— Tak jest, braciszku — krzyknął kaptan wskakując z krzesła — łotr, pomalował sobie twarz i zeszpakował włosy sztucznie. Teraz dopiero poznaję...

— Łapać ! powiesić ! — mruknął porucznik groźnie — gdybym to był wiedział przedtem... Pułkownik milczał, spoglądając uważnie na Świętosława.

— Jąbym go pozostawił w spokoju, na razie — rzekł ostatni — trzeba policzyć naprowadzić na jego tropy, to wyłapiemy wszystkich, nie równie prędzej niż gdybyśmy go od razu uwięzili...

— Podzielam twe zdanie, panie bracie — dodał pułkownik.

Telegrafem zawiadomiona policja lyońska, odpowiedziała tejże nocy, że wprawdzie znała Żarlińskiego, ajenta win z Galicji; ale ten opuścił już Lyon i wyjechał do Szwajcarii z dwoma oficjalistami, żoną i teściową, również jak i on polskiego pochodzenia. Nie było teraz najmniejszej wątpliwości, że pod imieniem Żarlińskiego ukrywał się Rysiński ze spółnikami.

W kilka dni potem, mer wsi Malnay, na desłał raport do sztabu w Plombiers, że Prusacy, którzy tam dotąd kwaterowali, uszli pospiesznie w kierunku Chatillonu. Świętosław otrzymał rozkaz, natychmiast zając opuszczone stanowisko przez nieprzyjaciela. Przed wyruszeniem na wyprawę, przybył do „Orłów” pułkownik Rokosiński, aby ułożyć wspólny ruch rekoniesansowy, dla uniknięcia zasadzki. Stary rycerz ostrzegł i błagał wodza „Orłów”, żeby był ostrożny, miał bowiem jakieś niedobre przeczucie. ;

Dzień był mroźny, konie w szeregu nie chciały stać spokojnie. Pod Świętosławem był śliczny skarogniady berberyjski „hoor”, ze „skórą jak miód, nozdrzami czarnymi jak noc, oczami jak gwiazdy”; zwykle nader posłuszny i łagodny, obecnie kopał nogami, grędził, osadzał się na zadzie, wzdychał i rżał po cichu. Jeździec najmniejszej uwagi nie zwracał na te wybryki swego wierzchowca nieocenionej cnoty ; siedział jak przykuty do siodła, od czasu do czasu lekko tylko ściągając cugli, gęstą pianą okrytych na wędzidle. „Hoor” miał cudowną zmyślność konia pustyni, był przywiązany do

pana swego jak dziecko do matki; dotknięty snąć obojętnością, chrapał, zawracał głowę, parskął, kopał obydwoma nogami na przemian. Porozumienie, co do wykonywanego ruchu, było skończone; rozmowa przeszła do potocznych rzeczy.

— Czego twój „hoor”, panie bracie — rzekł pułkownik do Świętosława — tak się niepokoi? Żyjąc tyle czasów pomiędzy Arabami algierskimi, słyszałem od nich, i sam poznałem, że ich konie mają dziwne instynkta... A może to zimo niezwykle dokucza biedakowi ?

— Nie sądzę, jest on nadzwyczaj wytrzymały na wszelkie niewygody i trudy — odpowiedział Świętosław — prędzej może co przeczuwa... Jeden z szaserów afrykańskich przeczytał mi amulet, zawieszony na jego szyi; oto jego treść: „Koń wychowany szczerze, na dro

dze Boga, dla wojny świętej, ochroni pana swego w dnia zmartwychwstania" — wyjęte to z Koranu. Kto wie, może pocziwina ostrzega przed podróżą na tamten świat?!...

— Choć staropolskie przysłowie powiada : „na wronym koniu nie jedź do boju!" aleś tyle już bitew na twym karoszu odbył szczęśliwie, że da Bóg wyjdiesz cało z tej „świętej wojny..." Zresztą przeznaczenia nie ominiesz : „śmierć i zona od Boga sądzona..." Nie warto tem głowy zaprzętać.

— Przeznaczenie byłoby wielce łaskawem, gdyby mi nie dozwoliło widzieć końca zwycięstwa twojej „walki o byt", złego nad dobrem.. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że się na to

ostatnie zanosi, przy zupełnym upadku Francuzów...

— Odpędzaj pesymizm; mocna wiara, krzepiąca ducha, krzepi ciało i widoczne wzruszenie starcem oświadczyło — daj pokój niewczesnym przeczuciom, zwykle zwojniczym jak sny... Ale, gdybyś był napadnięty, kai uderzyć na gwałt w dzwony i puść trzy race sygnalne. Posunę równolegle z wami; mam nadzieję nadciągnąć z odsieczą w sam czas...

„Orły" wyciągali trójkami na drogę, a pułkownik ścisnął ze łzą w oku dłoń młodego dowódcy. Rzecz dziwna, „hoor," tak niecierpliwy i teraz grzebiący jeszcze kopytem, wcale się nie rwał pomimo to do odchodzącego oddziału; za rzał tylko, a w ślad odpowiedziały mu konie z frontu.

— Będziecie mieli bitwę — rzekł pułkownik niby żartobliwie — wieszuję ci naprzód, panie bracie, zwycięstwa....

— Na tym ołtarzu je złóście... tu Święto sław obnażony pałasz wznosił ku niebu, odsalował pułkownika, i spiąwszy „hoora", czwałem pomknął na czoło oddziału.

Słońce w purpurze zachodu tonęło, gdy „orły\* ujrzeli Malnay, z lasem po jednej a gorami po drugiej stronie. Powietrze mroźne było jak zwykle dziwnie przejrzyste. Kracząc leciały kruki i wrony naprzeciwko oddziału, a psy jednocześnie zawyły we wsi, z której mieszkańcy radośnie i tłumnie pędzili na spotkanie hufca narodowego. Nadciągnął zresztą i mer ze starszyzną.

boi)

Świętosław, obojętny na pochlebne przywitania, wytężył bystry wzrok za wieś, w kierunku pagórka, z którego znikło raptem parę postaci konnych, stojących tam od pewnego czasu. Zapytany o konnych, mer upewniał, że są wcale bezpiecznymi ludźmi jako ajenci wędrujący win; Prusacy im nawet nie przeszkadzali do robienia interesów. Usłyszawszy to, wódz „Orłów”, drgnął w siodle; nie mówiąc ani słowa, skinął na ordynansa, i samowtór czwałem, co koń mógł wyskoczyć, pomknął ku pagórkowi. Niebawem dopadł mety, ale zmierzch, a do tego las na około, nic widzieć nie dozwalały; za to do słuchu jego, nadzwyczaj ostrego jak wiemy, dolatywał, choć całkiem prawie śniegiem przytłumiony, tupot koni czwałujących w stronę Chatillonu. Przeczekawszy chwilę, zawrócił do wsi, znowuż czwałem. Trzy depesze jednocześnie zostały wyprawione w trzech różnych kierunkach, a ludziom nakazano zachowywać największą ostrożność, jakby wobec nieprzyjaciela; nawet do stajen, ani do domów nie wolno było ani koni wprowadzać, ani ludziom na nocleg zostawać. Pomimo, że śnieg skrzypiał coraz głośniej pod nogami, rozbito konowiazy na środku placu, a przy nich pozapalano ognie biwakowe. Orlikowski jeden, jak zwykle, wiedział o wszystkich zamiarach wodza. Na szemrania nie których wygodnisiów krótko odpowiadał: — Uczcie się astronomji, róbcie rachunek sumienia, to korzystniejsze w obecnem położeniu — i uśmiechnięty tajemniczo, szedł dalej. Wieśniacy i wieśniaczki tymczasem pocie

szali jak mogli wiarę, znosząc przez całą noc — pieczone, smażone, gotowane, a po nad to wszystko gąsiorki tęgiego burgunda, zachowanego przed gardzielami pruskiemi. Uczta na mrozie, przy skrzypie śniegu, była czemś oryginalnem, zwłaszcza dla Paryżan; bawiono się więc w najlepsze aż za północ. Mieszkańcy zresztą wrócili do domów, a żołnierze, nakrywszy głowy kapizszonami od płaszczów, posnęli przy ogniach na słomie, grubo nasłanej. Wszystko ucichło; prócz sztyldwachów, czuwał tylko jeden wódz niestru



dzony.

Świętosław dopiero wrócił z podjazdu, który w kilka koni przedsięwziął w kierunku Châtillonu. Nic podejrzanego nie spotkał; to samo doniosły i inne patrole, wysłane na boki pozycji. Po ustawieniu „hoora” tuż przy sobie, zwinęty w płaszcz, z cygarem w ustach, oparł głowę na łokciu, i zaczął dumać patrząc w ogień, blade płonący wobec światła księżycowego. Żucie monotonne koni, przerywane z rzadka prychnaniem lub kaszlnięciem, spokój zupełny naokoło, przy śniegowym posłaniu, iskrzącym brylantami jak w kraju — całkiem swojsko[ na stroiły myśli wodza młodego.

Wigilia była niedaleką; świat kolędowy, w mistrzowskiej szacie poetycznej Lenartowicza, rozciągał się przed jego okiem duchowem. Spoglądał rozrzucony na to mrowisko prostaków, wśród którego tak mu swojsko było; badał przyczynę, co to uczucie wywoływała. Po korny, cichy, z wiarą na ustach, z nadzieją w sercu, potem i krwią obłany, w nędzy i pogar

dzie, ani sławy, ani mienia nieszukający — był to zastęp aniołów łagodnych, posłusznych głosi bożemu i tym, co go na ziemi powtarzali. Słudzy wszystkich, czujni, miłośnicy, wyglądali jak prawdziwi piastuni ludzkości. Rozdając się bie wbrew „walce o byt”, nie tylko nie maleli, lecz coraz większej siły nabierali. Duże ich życie, to wiersze cudne, obrazki nieśmiertelne, przybite do stropu niebieskiego gwiazdami brylantowemi. Wszędzie rozsiani, po wszystkich krajach i narodach, płciach i stanach, rodzaj sprzyśnięcia miłosnego — nic ich zrazić nie może: ani okrucieństwo, ani nikczemność, chciwość zbrodnicza, pyszałkowstwo, obłuda podłoga, mędrkowstwo głupie; niańczą i mameczą ten gmin duchowy, w grubym materializmie pograżony, ze zwierzęcym hasłem „walki o byt” na świat przychodzący, jakby był dzieckiem najmilszym, a nie tem, co mu klami i pazurami kąsa i rozszarpuje miłosierne łono...

„Hoor”, żujący dotąd spokojnie, westchnął głęboko. Zalaływało sapanie głośnie śpiących ludzi i koni. Wzrok dumającego pobiegł w górę ku gwiazdzie, którą, acz błędą, spostrzegł na widokregu; promień jej trafił do głębi zmysłów. Przypomniał sen, miany w noc pożaru w Wilnie, świetną swą postać rycerską i ów zastęp wybranych, z którego był niby rodem. Do szopki w wyobraźni wleciała jak motyl cudo

wna postać Bronisławy i inna, również śliczna, z obliczem Artura, a razem z nimi wszystkie mary dziecinnego wieku, owiane urokiem nie wysłowionym. Zmysł przy tem muzykalny tak

rzewną do tego dorabiał nutę, że łzą zalala się źrenica, i niewidzialny dla ludzi uśmiech, ożywił twarz lwia bohaterskiego „Orła ” Pomimo wolnie i piekący żal uczuł...

Ronty nadeszły, musiał wysłuchać raportów. Podejrzanego lub niepokojącego, nic nie zaszło, wierzchowiec jednak Świętosława prze stał żuć, prychał ciągle i grzebał nogami; u spokajał się nieco, gdy pan do niego podcho dził i gładził. Niebo blednąc zaczynało, mróz stawał się dokuczliwszym. Świętosław kazał drzewa dorzucić na przygasłe stosy, a sam zno wu dumał, najmniejszej ochoty nie mając do snu. — Powrócił do przerwanej wątku myśli jakby to był ciąg dalszy czytanej powieści dru kowanej.

Patrzył na śliczną parę z Bronisławy i Artura okiem rodzicielskim; przerwa uspo koila chwilowe wzburzenie; — widział w niej narzędzie do poskromienia złego, dzikości, przez piękno. Łagodne zachwycające światło błysnęło na dnie duszy, uczuł, że zrobił wielkie odkrycie: ujrzał odsłoniętą tajemnicę zagadki miłości bezgranicznej. — Całe bogactwo a za tem i szczęście ducha, zależy na tem, ile sobie zdobyć zdoła niepogwałcenie dusz, by wspólnymi siłami mógł wejść na wyższy szczebel postępu, źródło niewyczerpanych rozkoszy radości wiecznej... Anielskie uczucie wypogodziło umysł i okazało prawdę w świętecznej szacie. Prychanie i grzebanie „hoora” na chwilę było przycichło; na raz wyciągnął cienką szyję, nasrożył długie ucho i zarżał przeciągle. Ko

nie oddziały powtórzyły rzenie. Nie upłynęło kilkanaście sekund, gdy na pagórku błysnęło, — kuknął strzał widety.

— Na koń! — krzyknął Świętosław, skoczywszy na nogi i odrzucając cygaro.

Nawykli do alarmów, „Orły”, w parę minut minut byli już na koniach „sakrując” i „bujając” najeźdźców pruskich. Orlikowski, przeglądając szeregi, żartował:

— A co? nie mówiłem — róbcie rachunek sumienia... Prusacy przyszli was spowiadać... — „Eh bien”, przez wdzięczność wyprawy wnet ich świątobliwość do nieba — od powiedział wachmistrz, przy ogólnym śmiechu szeregowych.

Świętosław z połową oddziału pospieszył za wieś, dla wzmocnienia pikiet, a reszcie każał się cofać stępą ku Plombiers; jednocześnie uderzono na gwałt w dzwony i puszczono trzy race, gdyż ogień karabinowy był coraz gęstszy. Ani jedna głowa nie pokazała się z mieszkań, gdy szczękając bronią i hucząc jak huragan pędziła część „Orłów” na spotkanie nieprzyjaciela; trwoga małoduszna, nie tylko zapomniała o społecznym obowiązku, ale zło rzeczyła im skrycie...

Gwiazdy gasły jedna po drugiej; przy brzęsku posunęły cztery szwadrony ułanów pruskich z lasu na pole, i dwa odprzodkowane działa sypnęły kartaczami do „Orłów”, galopem de buszujących ze wsi. Chrapnęły trąbki, lance groźnie opadły do ataku; przeciągła komenda zabrzmiała u Prusaków, szwadrony ruszyły do

szarży. Widety i placówki czwaleń pędziły do swego oddziału, doczekawszy się ich, Świętosław, ruszył klusem wstecz po za wieś. — Pora była, gdyż z po za gór wyskoczyły cztery inne szwadrony z dwoma działami, pędzące na tyły „Orłów.”

Za wsią, Świętosław, zastał resztę oddziału stojącą, z powodu trzeciego korpusu pruskiego z działami, tamującego odwrót ku Plombiers. Kartacze pruskie siały okropne spustoszenie w szeregach „Orłów.” Nie było chwili do stracenia. Chociaż nieprzyjaciel, przecinający odwrót, był kilkakroć liczniejszym od całego oddziału „Orłów”, Świętosław, postanowił otworzyć sobie drogę, uderzeniem na jedno skrzydło. „Orły” jak jaskółki zawinęły na jeden bok drogi, i zanim Prusacy zdolali oprzytomnieć, wpadli na lewą połowę asekuracji. Zuchwała szarża partyzantów została okryta największym powodzeniem, gdyż po rozprószeniu lewej połowy, wpadli na prawą i na działa, zdobywając te ostatnie i rozpędzając resztę asekuracji. Rozprawa nie trwała dłużej niż pięć minut, czasu

tego jednak wystarczyło dla dopędzenia „Orłów” przez resztę Prusaków. Świętosław bądź cobądź postanowił uwięzić zabrane działa; tymczasem odprężenie zabitego konia w jednym z zaprzęgów zabierało tyle czasu, że nieprzyjaciel, gdy by zaraz rozwinął szyk, dopędziłby niezawodnie. Dla powstrzymania Prusaków wódz „Orłów” z połową oddziału uderzył na czoło kolumny, zmuszając ją do cofnięcia się do wsi. Brzask nie dozwalał Prusakom dobrze rozpo-

znać sił swego progroinicy, ustępującego klusem po szosie, dla zakrycia zdobył ych dział.

— Do widzenia, panowie Prusacy ! — krzyknął Orlikowski, jadący obok Świętosława — dziękujemy za działa...

Śmiechowi szalonemu „Orłów” zawtórowały wycia i przekleństwa Prusaków.

— Czekaj I a psia krew! „luderhafte Gesindel”! — odpowiadali pruscy ulani, dając ognia z rewolwerów i karabinków.

Część Prusaków popędziła za uchodzącymi, a jednocześnie reszta dział odkryła piekielny ogień kariaczowy i granatami. Kilku „Orłów” padło na drodze, reszta mierzonym klusem jechała jak na musztrze. Przybyli do mostku, na którym padł od granatu jeden z koni pod działem; by i to ostatni dyszlowy, drugiego poprzecznie zabito. Wypadało przeprzędz jednego i ja szczykowych; zabierało to czasu, tak, że Świętosław musiał zawrócić i znowu uderzyć ze swą garstką na tych, co ścigali go po szosie.

— Musimy zatrzymać pościg — zawołał Świętosław, jadący z tyłu — dział za nic nie oddamy I

Zabrzmiała komenda, trójki zawróciły do nieprzyjaciela, zagrała trąbka, i „Orły” w szalonym pędzie wpadli na Prusaków. „Hoor” Świętosława jakby zdziczał, runął całą pierś na wierzchowca pruskiego kapitana, co pościg prowadził, i wywrócił go do rowu. Ten sani szął opanował i inne konie „Orłów”, a przy pomocy lanc i szabel spędził w tył dwakroć liczniejszą Prusaków. Odpędziwszy nieprzyjaciela,

„Orty”, wracali wyciągniętym kłusem, dopędzają resztę oddziału, który po przeprząguieci koni szybko pędził po linii odwrotu.

Mijając zepchniętego do rowu kapitana pruskiego, Orlikowski spostrzegł, że koń i jeździec powstali, a ostatni zakłada nogę w strzemię.

— Złóż broń! — krzyknął Orlikowski, zataczając nilynę podniesionym pałaszem.

Prusak wy dobył rewolwer, strzelił i rali I konia Orlikowskiego w łeb. Dzielny oficer od „Orłów”, po padnięciu wierzchowca, nie dał za wygrane zdradzieckiemu Niemcowi; skoczył do niego i rozplątał czaszkę. Koń zabitego pomknął w pole, Orlikowski w paru susach stanął na drodze. Prusacy, będąc nie dalej niż kilkadziesiąt kroków, sypnęli ognia z karabinków i rewolwerów, raniąc w nogę zawziętego „Orła”.

— Dawaj rękę! — krzyknął Świętosław, zabierając u siodła rannego.

Nikogo z „Orłów” nie było prócz Świętosława, jadącego zwykle przy rejteradzie ostatnim w odwodzie. Stanie na jednym miejscu, podczas wyciągania Orlikowskiego na siodło, dało możliwość Prusakom zbliżenia się bez szkody na kilkanaście kroków. Śmiały zwykle w boju berberyjczyk Świętosława tańczył spłoszony, i utrudniał wsiadanie rannemu. Potrzeba było koniecznie wstrzymać nieprzyjaciela, chociażby na kilka sekund. Świętosław dał ognia trzy razy z rewolweru bez pudła jak zwykle, i pierwsza trójka runęła na ziemię; następna nie śmiała na razie ruszyć naprzód. Widząc to

jadący za rowem flankierzy pruscy sypnęli gradem kul w nieustraszonego wodza „Orłów”. Świętosław za bok się schwyił; zachwiał w siodle.

— Siadaj!... krzyknął słabo, zwrócony do Orlikowskiego, i osunął się na ziemię.

Orlikowski rzucił wzrokiem na padłego przyjaciela wodza z niezrównaną boleścią i smutkiem; dzika rozpacz łysnęła mu z oblicza, przemógłszy ból, porwał za rewolwer, dał dwa strzały i zszedł dwóch nieprzyjaciół. „Hoor” tymczasem, wyciągnąwszy po łabędziem smukłą szyję, obwąchiwał leżącego pana i przestępując z nogi na nogę, chrapał przeraźliwie.

Prusacy zresztą dopadli na długość siecznej broni, Orlikowski, nieustraszony, zasłaniając ciało najdroższego przyjaciela, pokazał, co mo

że dzielny fechtmistrz; — kłuł chrapy i rąbał pałaszem po łbach nacierających koni, które jak szalone zawracały wstecz lub zeskakiwały z drogi. W „Hoorą” jakby dusza ludzka wstała, co który koń przyskoczył do niego, wierzgał okropnie, albo rzucał się gryźć z rykiem; mógł to ostatnie z łatwością dokazywać, gdyż mu Orlikowski umyślnie zdarł munsztuk, wiedząc o jego zajadłości w boju.

— Co za dzielne zwierzę! — krzyczeli Prusacy — szkoda go...

Te czułe wykrzykniki nie przeszkodziły dać salwę, tak do Orlikowskiego jak i „Hoorą” dla otwarcia drogi. Padł ciężko ranny Orlikowski a obok niego szlachetne zwierzę, co broniło przystępu do swego pana. Mając wolną drogę

NS pościg pogonił za „Orłami”, uprowadzającymi działa.

Niebawem nadciągnął sztab pruski, a z nim trzech konnych po cywilnemu przebranych. Do jechawszy do ciał Świętosława i Orlikowskiego, cywilni wydali okrzyk.

— Znakomicie! winszujemy! Macie tego rozbójnika Chrobrskiego i jego pomocnika... Radość piekielna błysnęła na twarzy sztabowców. Kazano natychmiast zabrać obydwóch rannych, przekonawszy się, że nie są zabici.

— Zaraz łotrów powiesimy, skoro przyjdą do siebie — mówił pułkownik, dowodzącą wyprawy, zacierając ręce.

Rannych zaniesiono do najbliższego domu, a za nimi pośpieszyli trzej cywilni na koniach. We wsi wrzało jak w piekle, Prusacy, teutońskim zwyczajem, rozpoczęli rabunek, zanurzając bestjalskie instynkta żołdaka w „legalnym” rozboju... Tarzającym się w kale występku i zbrodni, nie na rękę było pilnowanie dwóch trupów prawie, — pozostawili ich przeto na opiece cywilnych ze sztabu. Jeden z nich wydobyl sole z kieszeni i zaczął trzeźwić. Pierwszy otworzył oczy Orlikowski; w trzech cywilnych od razu poznał — Rysińskiego, Deszczańskiego i Dranieckiego pseudo Więcierskiego. Chory, nie mogąc na razie mówić, ponuro wodził wzrokiem po swych stróżach.

— To wy szpiedzy na prawdę? — pytał po cichu Orlikowski, łyskając wzrokiem.

— Cicho! leż spokojnie, przyjacielu — odpowiedział Rysiński strasznie uśmiechnięty —

wytrzeźwimy zaraz szanownego twego naczelnika; będziesz wtedy mógł z nim rozmawiać, aż do drzewa szubienicznego...

Po dłuższym nieco odcieraniu i trzeźwieniu, przyszedł zresztą do siebie i Świętosław. Zale dwa ostatni oczy otworzył, hrabia aż klasnął w dłonie, a jego nos kabłąkowany końcem za zierał drgając do ust namiętnie wydętych; w zielonych oczach łyskał wilczy ogień zawziętości. ;:

— Co za przyjemność skończyć z sobą na ostatku rachunek ! ? — wykrzyknął Rysiński — krzyżowałeś mi wszelkie moje plany, warchole nędzny, teraz ja cię za to ukrzyżuję... na szubienicy...

— Powędrujemy na piwko do Abrahamciar terefelki, kufelki — dodał Draniecki uśmiechnięty mefistofelicznie.

— Przedtem jednak, przeklęty Lachu — zasyczał Deszczański, wykrzywiwszy zarostą twarz — ja cię żywego ze skóry obedrę...

Świętosław nic nie odpowiadał, jak gdyby nie rozumiał, że do niego mówią. Rysińskiemu jeszcze mocniej oczy zaświeciły, skoczył do milczącego.

— Czemu nie odpowiadasz ? Zaraz ci język rozwiążę — stary dług zapłacę!... i hrabia pluł w twarz pórupa.

— Wżeż zaśpiwajesz Laszeńku — syczał Deszczański, wydobywając scyzoryk z kieszeni — mów, wielu was jest przeklętych rozbójników, i gdzie stoi reszta?

Nie było na to żadnej odpowiedzi. Straszny redaktor mruknął, wyszczerzył białe zęby z pod czarnego zarostu, i zaczął scyzorykiem krajać twarz Świętosława. Krew okropnie buchnęła, zaląła piękne oblicze wodza „Orłów” — ale a ni jednego jęku, jak u Indjanina, nie zdołało wyrwać pastwienie się wyrodków potwornych.

— Na pożegnanie z tym światem, żeby ci odechciało się na wieki walczyć z nami, pozy tywistami — krzyknął hrabia wściekły — masz pieczęć na świadectwo L.

I hrabia pięścią uderzył w twarz bezwła

dnego bohatera, ocierając następnie skrwawioną rękę o połę munduru znieważonego. Niezwykły blask zaświecił w oku męczennika, rodzaj świa tłokreğu otoczył wyniosłe jego czoło, oddycha jące rezygnacją i spokojem zagrobowym.

— Walczyć będę, dopóki was nie pokonam — odpowiedział Świętosław głosem nieswoim, i na tychmiast stracił przytomność.

— Che! che! che! musimy cię pasować na zupełnego męczennika — szypiał Draniecki, pod nosząc rejtpejcz nad twarzą zemdlącego mę czennika — opryszku! masz za moje — i za czął smagać po twarzy okrwawionej.

— Łotry szatańscy! — krzyknął Orlikow ski, robiąc nagły ruch, od którego krew bu chnęła z rany.

Trzy potwory skoczyły do niego, gotowe rozpocząć na nowo swe hyenie katusze. Scena obmierzła pastwienia się i znieważenia rannego bez władzy, — niestety, zbyt dobrze znana, tym, co zwiedzali pobojuwiska, podczas boju,—

gotowa była ponowić się, gdyby nie ułan pru ski, postawiony na szyldwach przed chwilą.

— Sie! heraus! — A to chyba wy nie ka tolicy? — dodał szyldwach po polsku — ko mendant rozkazali ich żywych zachować, a wy co ?...

Rozjuszeni szpiedzy jak psy na odgłos ha rapa, odstąpili od zamiaru pierwotnego. Jakby na to przybył i lekarz pruski do opatrzenia, a by jako tako módz egzekucję odbyć.

Rabunek tymczasem postępował wśród wrza wy piekielnej — krzyku gwałconych kobiet, płaczu dzieci, ryku i kwiku mordowanych by dłał. Orgia kanibalska z dziką sprośnością bu szowała wśród płonącej wsi. Prusacy powiadali, że czynili to, dla zadośćuczynienia sprawiedli wości czasu wojennego.

Nad lasem i po za górami, nagle, jedne po drugich pękały race sygnałowe. W dodatku hu knęły działa na tyłach Prusaków, którzy w tryumfie zapomnieli wystawić widety w tej stronie.

Komendant pruski stracił głowę, połowa bowiem oddziału zaledwo była pod bronią, przy koniach; reszta zaś rozpierzchła się dla rabunku. Odsiecz nadciągająca do Malnay, była daleko liczniejszą od pruskiego oddziału. Co pozostało z „Orłów", przy pomocy posiłków świeżych, uderzyło z całym impetem na stojących za wsią Prusaków i popędziło ich wstecz. Jednocześnie



z lasu, z kąd najprzód wypadli byli z rana Prusacy, wyskoczył oddział „guidów”, a przed nim w czerwonej koszuli, świecącej z pod kożucha,

z białą po pas jak miotła komety brodą, w barankowej czapce, pułkownik Rokosiński, machający na piędź szeroką szablą, nie węższą od Skindera baszy kordą, spoczywającego w zbrownowym muzeum Ossolińskich. Gdzie tylko płała stara dzielnica, tam głowy padały jak maćki, ręce odlatywały, tułowia na pół przecięte broczyły krwią śniegowe posłanie.

Zwycięstwo ostateczne zapewnił Orłom oddział znaczniejszy wypadający z po za gór, i uderzający wprost na wieś. Na czele jego cwałował, w mundurze polskiego legionu, imponującej postawy wojownik; pociągła jego twarz orle oko jaśniało zapalem bitwy, uczuciem karzącej sprawiedliwości według „sądu bożego”, śmiałego łowca na drapieżników ludzkich. Wódz wznosił połyskujący pałasz wśród rubinowego blasku wschodzącego słońca, i krzyknął dźwięcznym głosem, rozchodzącym się po całym placu boju:

— Niech żyje Polska! naprzód!

Jak grzmot odpowiedziały szeregi różnorodnych, ziemia zadudniała pomimo śniegu, wichrem pomknęły do wsi wzbijając kurzawę śnieżną. Ściśnięci ze wszystkich stron, Prusacy, podali się z całą artylerią i sztandarami.

Okazały wódz pierwszy wpadł do wsi; jak z pod ziemi wyspały się do niego kobiety, krzyczące z uniesieniem:

— O! zbawco nasz; o! aniele; niech cię Bóg stokrotnie wynagrodzi!

Odważyli się zresztą wyjść z ukrycia i mężyczni, starszyzna szła złożyć podziękowanie

walecznej odsieczy. Mer dopytywał się o nazwisko generała komenderującego wyprawą, a gdy się dowiedział, stanął przed nim i podnosząc w górę kapelusz, krzyknął:

— Niech żyje generał Bosak!

— Niech żyje Bosak! niech żyje republika!

ka! — krzyknęli uradowani mieszkańcy.  
Echo okrzyków doleciało do mieszkania,  
gdzie szpiedzy pastwili się nad bohaterami  
czennikami. Hrabia skakał po pokoju jak zwierz  
wpadły do jamy; Draniecki wodził wzrokiem  
nieprzytomnie po szybach, mlaskając ustami, z  
osłupiałym wzrokiem; Deszczański ryczał i zgrzy-  
tał jak niedźwiedź w żelazie, dopadając ciągle  
okna.

— Ratujmy się! — krzyknął ostatni —  
schowajmy się, nie znajduj, byle ci nie wydali... \*  
— Dobrze — dodał hrabia i wydobywszy  
rewolwer, strzelił dwa razy w piersi Święto-  
sława — masz za wszystko! syknął kierując  
następnie lufę do głowy Orlikowskiego, przy  
którym stał blisko.

Niespodzianie Orlikowski odzyskał przyto-  
mność, silną dłoń wyrwał rewolwer i postrzelił  
w ramię mordercę szpiega.

Uchwyciwszy się za ramię, Rysiński, wy-  
biegł z pokoju, pędząc do kryjówki, obok w  
opuszczonym zabudowaniu. Za nim reszta towa-  
rzyszy pomknęła. Zaledwo to jednak dokonać  
zdołali, wpadli do domu garybaldzycy z kapi-  
tanem Litwinem na czele, tuż za nimi spieszył  
Rokosiński. Wzięty do niewoli ułan Polak, co  
stał na szyldwachu, sam wskazał, gdzie się

ukryli szpiedzy moskalofle, na służbie tego, kto  
płaci; ujęto ich natychmiast.

Rokosiński jęknął głucho na widok po-  
krwawionego Świętosława, leżącego jak trup.  
Ranny drgnął, otworzył oczy i spojrzał jakimś  
lodowatym przeszywającym wzrokiem.

— Wygraliście? — zapytał po cichu nie  
swoim głosem.

— Działa, sztandary i wszyscy Prusacy są  
w naszym ręku — odpowiedział Rokosiński  
z ogniem.

— Dziękuję wam bracia... Śmierć ta, moją  
nagrodą... Niech żyje!...

I nie dokończywszy ostatniego wykrzy-  
knika, bohater — męczennik, oddał ducha lekko.  
Pułkownikowi trysnęły łzy gradem, a rękami  
drżącymi zamykał oczy przyjaciela młodego.  
Kapitan z porucznikiem, przyklękawszy, za-  
częli głośno odmawiać modlitwę za konających.  
Przy „wiecznym odpoczywaniu" twarz zmarłego  
całkiem zastygła; ze spokojem, zajaśniał na  
niej blask niezwykły.

Wszedł generał Bosak; oparty na szabli,  
spoglądał rozrzewniony na nieboszczyka.

— Rycerz to boży nas opuścił — rzekł jenerał — bracia! obyśmy wszyscy dostąpili tak chlubnego zgonu.

— Wytrwałeś w walce ze złem do końca — mówił pułkownik do zmarłego — niechże cię Wszechmogący najwyższym dobrem wynagrodzi, poznaniem miłości dla samej miłości!

— Zanieście mnie do niego! — zawołał Orlikowski, a gdy spełniono jego życzenie —

wodzu! zabierz mnie z sobą — krzyknął rozdzierającym głosem obejmując za szyję nieboszczyka i przciskający usta do czoła zimnego. Zaledwo mogli oderwać od zwłok naczelnika dzielnego „Orła”, który z wysilenia zemdlął. — Cześć temu, kto tyle miłości umiał wzbudzić u swych podkomendnych — rzekł Bosak — z takich powstanie wódz, co zbawi Polskę! Ostatnie słowa bohaterskiego jenerała wzruszył do głębi serca przytomnych. Ci zahartowani w tysięcznych bojach, konspiracjach, przeciwnościach losu i ubóstwie, żelazni ludzie, zalali się łzami na wspomnienie ojczyzny. Duch niegraniczonej miłości, z bohaterstwa urosły, ulatywał nad tym zgromadzeniem zakonników mieczowych Polski...

— Waleczni jak lwy, a czuli jak panny? — pytali siebie Francuzi niedowierzająco — to niepojęte!

Ocucony wkrótce Orlikowski wykrył sprawców zbrodni, dokonanej na Świętosławie. Żołnierze chcieli straszną trójkę rozsiekać na miejscu.

— Nie ponizajcie waszej broni, brocząc we krwi tych nikczemników! — zawołał Bosak, wzbraniając dokonania doraźnej sprawiedliwości.

Sąd polowy skazał wszystkich trzech szpiegów — moskalofilów, za zdradę powszechnej wolności, własnej ojczyzny, szpiegostwo i morderstwo, na karę powieszenia. Skazani padli na ziemię, czołgali się u nóg sędziów, całowali im buty, błagając o litość, o darowanie życia. Grdy

wszelkie prośby okazały się daremnymi, Ry siński odzyskał przytomność, demoniczny wyraz łysnął na jego trupio bladej twarzy.

— Ale już go nie wskrzesicie, waszego warchoła rewolucyjnego — syknął hrabia przez raźliwie.

— Zbrodnia wasza utrwaliła jego pamięć — odpowiedział pułkownik, który przewodniczył sądowi — porównanie jego cnoty do waszych łotrowstw, niby pokojowych, wskaże Polsce konieczność logiczną odżywienia w swem łonie rycerskiego ducha... Wy zginiecie haniebnie, on żyć będzie wiecznie!

Niebawem trzy ciała zawisły na jednym drzewie, obok cmentarza wiejskiego. Po odejściu ludzi od placu traceniał, przyleciały trzy kruki i usiadłszy nad wisielcami, skacząc boczkami, przekrzywiały łby, zerkając chciwie czarne miślepami na zwłoki, kołysane wiatrem mroźnym. To jeden, to drugi pokrakując i bijąc skrzydłami, zapuszczał szpony w najeżone włosy wisielców, łupiąc oczy strasznie rozwarłe. Dzieci wiejskie i ciekawi przechodnie odganiał śnieżkami i krzykiem z dala drapieżniki, ciągle wracające, by nanowo rozpocząć przyrwaną uctę. — Powstała niebawem gadka we wsi, że te trzy kruki, to trzy djabły, co przeleciały po dusze szpiegów — wisielców. Trwało to aż do zachodu, do pochowania zbrodniarzy.

Słońce wspaniale zachodziło, złocista purpura zorzy świeciła po nad śniegiem jak płaszcz królewski z koroną na widokręgu. „Orłom”, których za ledwo trzecia część pozostała, poru-

czono odprowadzić do Lyonu trofea, działa zdobyte i jeńców. Przed wymarszem asystowali wszyscy przy pogrzebie wodza, chowanego z największą pompą kościelną, na cmentarzu wiejskim, przy biciu z dział i z ręcznej broni.

Krajobraz swojski zimy, obok pogrzebu świętego, rzewnie a zarazem podniosłe nastroił umysły Polaków, oddających ostatnią posługę bohaterskiemu rodakowi.

Pochód „Orłów” z trofeami przez wieś był wspaniały, a zarazem rozrzucający. Na pierwszym dziale pruskim leżała burka Świętośława, z czapką z orłem piórem przymocowaną brylantową spinką, szablą i pistoletami na niej, a pod nią wisiały wleczone po ziemi sztandary nieprzyjacielskie. Kolumnę postępującą przy dźwięku trąbek, obstawiali rojem mijskańcy i żołnierze, wydając okrzyki.

— Niech żyją „Orły”! Wodzowi ich cześć!  
Niech żyją Polacy!  
Upłynęło dwa lata od zgonu Świętosława.  
Żałowano go i uwielbiano powszechnie. Tra-  
giczna śmierć jego pogrążyła Bronisławę w  
rozpacz, nader gwałtowną z początku, która  
jednak powoli ustawać zaczynała; gdy Artur,  
zjechawszy na miejsce, przywiózł wszelkie mo-  
żebne szczegóły o czynach sławnych i osta-  
tnich chwilach kochanka. Ciągła rozmowa z  
Arturem o zgasłym bohaterze, przywiązywała  
nieznacznie Bronisławę do opowiadacza. Ciotka

i wuj czuwający nad nią nieodstępnie, podpa-  
rzywszy zręczną porę, objawili ostatnią woję  
Świętosława, popartą listem nieboszczyka do  
ciotki Kamilli, w którym, niezadługo przed  
zgonem, powtarzał z naciskiem życzenie, aby  
rękę oddała Arturowi. Klosia i Piesio na klęcz-  
kach, ze łzami w oczach, obejmując kolana  
siostrzenicy, namówili ją zresztą, że oddała swą  
rękę biednemu Arturowi.

Wesele odbyło się całkiem cicho w Wilnie.  
Ślub był dany w mieszkaniu; prócz domowych  
i paru krewnych, z obcych była jedna Alicja  
z mężem, szanownym archeologiem Ksawerym  
Hadziewiczem, któremu oddała rękę wkrótce  
po śmierci Świętosława. Gdy przyszło do po-  
winięcia po ślubie, Alicja, wśród nieskończo-  
nych całusów powiedziała:

— O ! jakże jestem szczęśliwa, że jego woję  
spełniłaś... i zielone oczy archeologowej zaja-  
śniały kocim blaskiem, a szydarczy uśmiech  
niepostrzeżenie zmarszczył kąciki ust.

— Tak aniołeczku, tak cukiereczku — wo-  
łała Klosia ściskając bez liku i bez miary  
państwo młodych — teraz dopiero będzie „u-  
czta z górą”...

— Dalibóg, słowo honoru, żeby mi tylko  
Pan Bóg dozwolił poniańczyć wasze dziateczki—  
i radca poprawił order na szyi — to już nic  
mi brakować nie będzie na świecie...

Nazajutrz państwo młodzi wyjechali w po-  
dróż po Europie, zawadzwszy najprzód o Lwów,  
by uregulować jakieś zaległości dodatków od  
podatków i stęplowych należności, wiecznie

wynajdywanych, chociaż post festum przez nie strudzoną c. k. dyrekcję finansową. Porcia kowscy młodzi i starzy popłakali się jak bo bry z rozrzewnienia wielkiego, na widok cu downie, wedle nich, skojarzonego stadła mał żeńskiego. Pan Pamfil dowodził przytem, że wie dział o tem naprzód, gdyż przyśnił mu się — ka meduła, co oznacza błogosławieństwo i przyby tek w familji... Klara opowiadając o wszyst kiem i o wszystkich, nieomieszkała przytoczyć jako Fińcia, hrabina Rysińska, osładza swe wdowieństwo, robiąc furorę w Paryżu z Go gockim, jako emancypowana lwica...

Peżegnawszy Lwów z jego woniejącą Peł twią i chaosem towarzyskim, nowożeńcy, nigdzie nie zatrzymując się, podążyli do Malnay. Bro nislawa tego pragnęła koniecznie z niezbeda nych pobudek serca kobiecego. Jakaś ją go rączka paliła, podobna do tej, jakiej doświad czają pokutnice, pędzące do konfesjonału... Przy bywszy na miejsce, nagliła męża, który sprowa dziwszy jakąś kobietę za przewodniczkę, musiał z nią pospieszyć na cmentarz miejski. Zaledwo zdążyła na grób, ozdobiony skromnym pomni kiem z napisem: „Orły swemu wodzowi”, padła na ziemię, tonąc we łzach i modląc się blisko godzinę, leżąc krzyżem na mogile.

Powstawszy na nogi, zaczęła dopiero oglą dać nagrobek z jego najdrobniejszymi szczegółami. Zdumiona była, ujrawszy na nim wieniec ze świeżych kwiatów polnych. Troskliwie pytała o życzliwą osobę, co pamiętała o grobie obcego i cudzoziemca. Przewodniczka, niezmiernie ga da

tliwa kobiecina, klasnęła w dłonie, z&nim odpo wiedziała.

— Ależ moja droga pani, to żadna osobaj! to nasza biedna Bluetta, pastuszka, tak zawsze stroi mogiłę „Orła”.

— Zkądże to przywiązanie u tej dziew czyny?

— To żadne przywiązanie, ale cześć reli gijna, jaką ona powzięła dla ś. p. „Orła”. Bo to widzi pani, Bluetta, to jakieś dziwne stwo rzenie, co śni na jawie i opowiada dziwne dzi wy o tej mogile. Opowiem całą historję, mamy ją tu w kraju za cudowną. Usiądźmy jednak, stojąc źle będzie słuchać.

Wszyscy troje usiedli na mogile, naprze

ciwko grobowca Świętosława.

— Trzeba wiedzieć państwu — tak zaczęła przewodniczka — Bluetta, choć pastuszka, jest bardzo pobożna, ma wiele rozumu i roztargnienia przy nadzwyczajnej poczciwości. Jest ona ze wszech miar wiarygodną istotą, choć czasami nieprawdopodobne historię opowiada. Na wiosnę, po strasznej bitwie, w której zginął „Orzeł”, pasła ona pewnego dnia kozy w pobliżu cmentarza. Usiadłszy przy ogrodzeniu, tu niedaleko, zaczęła patrzeć uważnie na mogiłę „Orła” i świeżo postawiony pomnik. Wtem coś ją trąciło z nienacka, odwróciła głowę i wzrok jej padł na drzewo trzech wisielców; oto te co przed nami w polu! Kiedy spojrzy, aż tu siedzą trzy kruki niezwyklej wielkości. Zdjęta trwożą, odwróciła głowę, tak, że znowu widziała mogiłę „Orła”, która się po cichu rozwarła i buchnęła

światłem. Niebawem wśród tej światłości ukazał się „Orzeł”, niby śpiący, ale nie umarły. Lotem błyskawicy, wszakże bez najmniejszego szumu i hałasu, spadły na niego trzy kruki, zląwszy się naprzód w jednego okropnego ptaka. Potwór z rozdziawionym dziobem, pierzem nastrzępionem na grzbiecie i rozstawionemu szponami, leciał prosto do oczu „Orła”; ale w tej chwili ukazała się Matka Boska z królewską koroną na głowie, z mieczem w dłoni. Kruk odleciał w bok i zamienił się w olbrzymiego smoka jak na obrazie kościelnym, a po chwili spadł na „Orła”. Ale Matka Boska podała miecz swój, którym „Orzeł” ścinał głowę po twoju. Z zabitego smoka wyszedł wtedy czarny duch, sięgający głową obłoków, ale go „Orzeł” zaklął i kazał zanurzyć się we własnej krwi. I stał się cud. — Z czarnego, duch, stał się tak jasny i czysty jak „Orzeł”. — Wtedy Matka Boska wzięła ich pod ręce, i wszyscy razem zniknęli w niebie. Bluetta odtąd uważa „Orła” za świętego, zawsze świeże kwiaty w porze właściwej składa na jego grobowcu, i modli się przed nim, choć ksiądz proboszcz powiada: że wątpliwą jest rzeczą, aby garybaldczyk mógł być świętym... Tak to moja pani droga rzecz się ma z tym wieńcem...

Obdarzywszy hojnie przewodniczkę, nowożeńcy wracali do hotelu w dziwnie podniosłym nastroju ducha. Fjołkowe oczy Bronisławy błyszczały jak brylanty, a piękną twarz okryło coś nakształt cichego zachwycenia.

— Wiesz co? rzekła do męża — teraz wie

'Vo

rzę doprawdy, że on musiał być nietylko boha-  
terem, lecz i świętym.

— Mnie ta cała wizja dziwnie przypomina  
koniec świata podług ZendAwesty, gdy gur-  
szer" kometa spadnie z nieba i nastąpi pogo-  
dzenie Ormuzda z Arimanem, oraz „amszaspan-  
dów" z „dewami", przy powszechnem uznaniu  
Yasny. Nie ma tu tylko przeobrażenia ziemi  
na wiecznotrwałą, błyszczącą i przezroczystą;  
jest za to wyraźny rozdział państwa ducha i  
materji, co podług mnie daleko prawdziwsze.  
Kto wie czy nie ma na dnie tej wizji jakiejś  
prawdy ?..

— A któż to, jeżeli nie. tacy prostaczkowie  
potworzyli mity ze swych wizji, które dały po-  
czątek wszelkim religjom, służącym za podstawę  
do uspołecznienia ludzkości? Wy, mężczyźni,  
podobne rzeczy uważacie, za wątpliwe; nam  
wszakże kobietom niepodobna iść w wasze ślady,  
mając na każdym kroku dowody, że daleko Ie\*  
piej wychodzimy, trzymając się wiary ślepo...  
Artur pocałunkiem zamknął dalszą rozmo-  
wę? przyrzekając nie poruszać za nic tego  
przedmiotu, żeby nie być przykrym ukochanej \*  
kobiecie. Bronisława zaś nigdy nie odstąpiła  
od swego przekonania, i zawsze czciła pamięć  
Świętosława jako świętego. \*

KONIEC.

it  
mi '

























